



**AKADEMIA
OBRONY NARODOWEJ**

Czesław DĘGA

**OFICEROWIE NA PROGU
XXI WIEKU**

~~Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej
S/5064~~



~~05-005064-002~~

WARSZAWA

69013





OFICEROWIE W WOJSKU POLSKIM II REPUBLIKI	5
1. Lata niepodległości 1918-1939	6
1.1. Przygotowanie wojenne	6
1.2. Polak w armii niemieckiej	12
1.3. W zakłóceniu służby	15
2. Oficerowie w czasie II wojny światowej	16
2.1. Oficerowie w armii niemieckiej	16
2.2. Niemcy w służbie polskiej	17
2.3. Oficerowie w armii niemieckiej	20
2.4. Oficerowie w armii niemieckiej	21
2.5. Oficerowie w armii niemieckiej	22
2.6. Ważne sprawy w służbie niemieckiej	22

Czesław DĘGA

Oficerowie na progu

XXI wieku

OFICEROWIE W WOJSKU POLSKIM II REPUBLIKI	23
1. Kadra oficerska okresu wojny	23
1.1. I Armia Wojska Polskiego	23
1.2. II Armia Wojska Polskiego	23
1.3. Oficerowie radzieccy	24
1.4. Frontowe perypetie	28
2. Działania powojenne oficerów	30
2.1. Lata represji (1944 - 1955)	32
2.2. Centrum Wyszkolenia Artyleri w Toruniu	41
2.3. Akademia Artyleri w Moskwa	46
2.4. Akademia Szkoły Głównego WP	54
2.5. Attaché wojskowy w Londynie	57



Spis treści

	Str.
Wstęp.....	5
OFICEROWIE DRUGIEJ RZECZYPOSPOLITEJ	9
1. Lata niepodległości 1918-1939.....	9
1.1. Przypadkowy konglomerat	9
1.2. Polski esprit de corps	12
1.3. W zakolach służby	15
2. Oficerowie w czasie wojny 1939 r.	16
2.1. Oficerowie w aurze pewności	16
2.2. Nieświadomi skali zagrożeń	18
2.3. Desperacka obrona	20
2.4. Opuszczeni przez aliantów	22
2.5. Tragiczne losy przedwojennych oficerów	25
2.6. Ważne ogniwo w łańcuchu pokoleń	28
OFICEROWIE OKRESU POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ	30
1. Kadra oficerska okresu II wojny światowej.....	30
1.1. I Armia Wojska Polskiego	30
1.2. II Armia Wojska Polskiego	33
1.3. Oficerowie radzieccy	36
1.4. Frontowe perypetie	38
2. Dzieje powojenne oficerów.....	40
2.1. Lata represji (1944 – 1955)	40
2.2. Centrum Wyszukolenia Artylerii w Toruniu	41
2.3. Akademia Artylerii w Moskwie	45
2.4. Akademia Sztabu Generalnego WP	54
2.5. Attachè wojskowy w Londynie	57

OFICEROWIE TRZECIEJ RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.....	64
1. Korpus oficerski w latach 1981-1990.....	64
1.1. Wśród raketowców	64
1.2. Śląski Okręg Wojskowy	75
1.3. Wojska Obrony Powietrznej Kraju	80
1.4. Znów w Akademii Sztabu Generalnego	85
1.5. Stan wojenny	88
1.6. W Ministerstwie Spraw Zagranicznych.....	95
2. Wyzwania i szanse. Lata 1989-1999	102
2.1. Okres przejściowy (1989-1999)	102
2.2. NATO – wyzwanie i szansa dla Wojska Polskiego	105
3. Oficerowie na progu XXI wieku	109
3.1. Efekty transformacji.	109
3.2. Nowe struktury - NATO	115
3.3. Profesjonalizm w służbie.....	118
4. Motywacje do służby i pracy	122
4.1. Motywacje czasu wojny	122
4.2. Motywacje czasu pokoju	133
4.3. Szturm młodych	142
5. Wartości intelektualne kadry	154
5.1. Wszystko musi być ćwiczone.....	154
5.2. Informatyka	158
5.3. Nowe myślenie	162
6. Dowódcy – liderzy	166
6.1. Wprowadzenie	166
6.2. Nowe uwarunkowania	169
6.3. Jaki dowódca – taka jednostka	171
6.4. Drogi do sukcesu	176
7. Uczestnicy misji (operacji) pokojowych	179
7.1. Koreańska lekcja	179
7.2. Wietnamskie doświadczenia.....	188

7.3. Rodzaje operacji pokojowych	196
7.4. Co niesie przyszłość?	197
7.5. Przygotowani językowo	200
8. Ranga tradycji w kształceniu osobowości oficerów.....	205
8.1. Tradycje oficerskie w wybranych armiach.....	205
8.2. Polskie militarne tradycje	208
9. Oficerowie dyplomaci	215
9.1. Różne odcienie dyplomacji	215
9.2. Dyplomacja „oficerska”	217
10. Rola kobiet w siłach zbrojnych.....	221
10.1. Kobiety w wojsku „jutra”	225
11. Jakie szkolnictwo – tacy oficerowie	228
11.1. Dorobek przeszłości	228
11.2. Dylematy przyszłości	232
12. Cywile w wojsku.....	242
13. Terroryzm – Signum Temporis.....	243
13.1. Sygnały nowego.....	243
13.2. Terroryzm – wyzwanie XXI wieku	246
13.3. Jak walczyć z terroryzmem?.....	248
Bibliografia	255

WSTĘP

Moja książka jest wynikiem długotrwałych rozmyślań i rozważań w gronie kolegów, nad służbą oficera, jedną z trudniejszych, jakim musi podołać człowiek. Moim celem było pobudzenie kadry do refleksji, aby – w świecie dojrzewającej cywilizacji informatycznej - z większą świadomością odnajdywała własne ścieżki życia, na których znajdzie sukcesy i zadowolenie.

Niniejsza książka może być interesująca dla każdej dorosłej osoby, bo nie zawiera gotowych „oficerskich recept”, natomiast skupia uwagę na wielu ludziach, których zachowania były dla mnie pouczające i wzorcowe oraz na sytuacjach, które wywoływały radość, lęk albo smutek.

Moje osobiste żołnierskie życie było niezmiernie ciekawe. Co kilka lat znajdowałem się na innej „górze”, skąd rozciągał się widok na wydarzenia dotyczące Ojczyzny, najbliższego środowiska i mnie osobiście. Nie wnikając w szczegóły byłem: uczniem przedwojennego gimnazjum na Kresach; partyzantem; skoczkiem; dowódcą plutonu artylerii na froncie; studentem akademii artylerii w Moskwie; nauczycielem akademickim; attachè wojskowym; dowódcą brygady rakiet operacyjno – taktycznych; szefem wojsk rakietowych i artylerii okręgu wojskowego; zastępcą dowódcy wojsk obrony powietrznej kraju; ambasadorem.

Jako jeden z nielicznych świadków minionych czasów – pozostała ich już garstka - chciałem przybliżyć prawdę o kadrze oficerskiej tamtych dni: jaka była przed wojną, w czasie wojny i po wojnie, a potem przedstawić mój punkt widzenia na sylwetkę oficera przyszłości.

Stojąc na progu XXI wieku dostrzegamy, że świat ulega szybkim przemianom technologicznym i w stosunkach międzyludzkich. Osobiście, zaledwie w jednym życiu zawodowym też w nich aktywnie uczestniczyłem. A kiedy się oglądam wstecz, to mi się wydaje, że to wszystko zaistniało „wczoraj” i jakby się odbywało w dwóch odstępach: archaicznej i współczesnej.

- W 1943 roku, jako partyzant-dywersant – rzemiosło saperskie – miałem do czynienia z minami ustawianymi ręcznie. A tymczasem w roku 1990, pod koniec

mojej służby – obecnie tym bardziej – artyleria i rakiety mogły już ustawiać minowe pola narzutowe, zdalnie sterowane, o „inteligentnych właściwościach”.

- W styczniu 1945 roku wyruszyłem na front jako dowódca plutonu artylerii o ciągu konnym. Wówczas „moje” 122 mm haubice dysponowały skutecznym zasięgiem na odległość około 10 kilometrów. W roku 1963 roku, dowodziłem brygada rakiet o zasięgu ponad 200 kilometrów. Skuteczność rakiet – przy użyciu głowic jądrowych – mogła być przerażająco niszczycielska.
- W 1945 roku na froncie – 2 armia WP – prowadziłem ogień, przygotowując go głównie „na oko” – z wykorzystaniem mapy. Wymagało to całej „góry” amunicji. Od roku 1990 już zaczęło funkcjonować przygotowanie komputerowe, super-szybkie i dokładne. Większość armii NATO zaczęła stosować pociski samonaprowadzające.
- W roku 1955 – w ramach przygotowywania rozprawy doktorskiej - na toruńskim poligonie przeprowadzałem strzelania doświadczalne, z użyciem ogromnej liczby pocisków. Pod koniec służby to samo już mogłem osiągnąć z pomocą „komputerowych strzelań symulowanych.
- W roku 1944 – podczas walk z jednostkami pancernymi marszałka Schórnera - 2 armia WP do obrony przeciwpancernej używała głównie 45 i 75 mm dział. Prowadziły mało skuteczny ogień na wprost, o zasięgu zaledwie kilkuset metrów. Natomiast na początku lat pięćdziesiątych, tę samą rolę z pełną skutecznością zaczęły odgrywać przeciwpancerne pociski kierowane na odległości około sześciu – ośmiu kilometrów.

Jednym słowem – jak w zaczarowanej bajce - system ognia z roku na rok przekształcał się w całkowicie nową jakość, wynikającą z gwałtownego rozwoju naukowo – technicznego.

W książce staram się wykazać, że historyczna ciągłość oparta na tradycji zaowocuje powstaniem nowej kadry oficerskiej: wyzwolonej ze starych obciążeń; patriotycznej lecz szanującej inne narody; dumnej z tradycji żołnierskich walk na Wschodzie i Zachodzie; perfekcyjnie wykonującej swój zawód; permanentnie szkolącej się; swobodnie władającej językiem angielskim; rozumiejącej kompleksowość i współzależność złożonego organizmu wojskowego; umiejącej

wykorzystywać nowoczesne techniki dowodzenia i kultywującej polski esprit de corps.

Każdy oficer, kierując wzrok wstecz, powinien sobie uświadamiać, że bezpowrotnie minęły już czasy łatwych karier. **Teraz wiedza jest najwyższą wartością.** Po szczeblach służby szybciej i dalej zajdą Ci, którzy potrafią lepiej wykorzystywać bardziej wyrafinowane sieci komunikacyjne, pozwalające im zrobić więcej w krótszym czasie¹.

Nowe czasy wymagają odejścia od ortodoksyjnego widzenia oficera jako człowieka zamkniętego w koszarach. Udział w międzynarodowych misjach pokojowych i działalność międzysojusznicza wyznaczają mu rolę „dyplomaty” mającego obowiązek budować autorytet Wojska Polskiego i Ojczyzny.

W wielu miejscach wyraziłem opinię, że wśród kadry – pod wpływem wypowiedzi polityków – wytwarza się niebezpieczna opinia o erozji etosu oficerskiego.

W jednym z rozdziałów rozpatruję rolę kobiet w wojsku „jutra”. Obecnie w armiach NATO przeważa zrozumienie, iż kobiety powinny otrzymywać równe szanse z mężczyznami do zajmowania wszystkich stanowisk wojskowych. Przedstawiam wiele argumentów, aby pobudzić w naszym wojsku analogiczne myślenie i wytworzyć klimat sprzyjający nobilitacji polskich kobiet.

Szczególne miejsce poświęciłem oficerom dowódcom – liderom, bowiem ich postawa jest gwarantem wiary w nowoczesne wojsko. Oni muszą być ludźmi o wyobraźni sięgającej w przyszłość. Życzliwi wobec podwładnych, motywujący ich własnym postępowaniem bardziej skutecznie, niż to robili ich poprzednicy. Współczesny dowódca – lider stara się raczej przewodzić, nie zaś - w starym „oschłym stylu” - dowodzić.

Z troską wypowiadam się o szkolnictwie wojskowym. Aby dorównać intelektualnie czołowym armiom świata i sprostać wyzwaniom nadchodzących czasów, ważne są własne dobre szkoły oficerskie i akademie. Hańbą byłoby bezmyślne przetrwanie cudzej wiedzy. Podobnie jak armie: brytyjska, francuska i niemiecka, Wojsko Polskie też powinno mieć ambicje – nawet ze świadomością

¹ Dale Carnegie and Associates, The Leader in You, 1993, s.15.

ryzyka - wypracowywania własnych metod szkolenia. Ma pod tym względem piękne tradycje i bogatą praktykę. W nauce, tak jak w życiu, uczymy się, korzystając z sukcesów i unikając błędów przeszłości².

Przy okazji chciałbym serdecznie podziękować wszystkim życzliwym osobom, które przyczyniły się do wydania tej książki.

² R.G.A. Dolby, Uncertain KNOWLEDGE, Cambridge University Press 1996, s. 132.

Oficerowie Drugiej Rzeczypospolitej

1. Lata niepodległości 1918-1939

1.1. Przypadkowy konglomerat

Po długiej narodowej tragedii, będącej skutkiem ponad stuletniej niewoli, Polska, dobrym zrządzeniem losu – I wojna światowa, zderzając ze sobą zaborców Polski, mocno ich osłabiła - i uporem narodu, wybiła się na niepodległość. Korpus oficerski odrodzonego wojska, świadom zaistniałej przed Ojczyzną historycznej szansy, był uskrzydłony patriotyzmem, ale pod wieloma względami stanowił społeczność niezwykle zróżnicowaną. Jego trzon tworzyli oficerowie z trzech byłych armii zaborczych, natomiast uzupełniali kadre legionści Piłsudskiego i hallerczycy. Dopiero z upływem lat uwidoczniła się rola młodej, jednolicie wychowanej, wykształconej kadry oficerskiej, która w 1939 roku, tuż przed agresją hitlerowską, stanowiła już prawie siedemdziesiąt procent oficerów zawodowych Wojska Polskiego³. Ona już miała inne „spojrzenie” na rolę wojska w nowoczesnej wojnie.

Trzeba znać dramatyczną historię okresu niewoli i mieć rozbudzoną wyobraźnię, aby rozumieć tamte szczególne warunki w jakich odradzało się wojsko Drugiej Rzeczypospolitej. Na progu dwudziestoletniej niepodległości, podawali sobie ręce oficerowie rosyjskiej szkoły, wychowywani w arogancji wobec szarej masy żołnierskiej, i drudzy, nasączeni pruską butą i drylem, oraz ci z „ociupinkę” liberalniejszej Austrii. Różnili się przygotowaniem zawodowym, językiem, wojskowym słownictwem, mentalnością i wyniesionymi z obcych armii obyczajami. Takie były blaski i cienie tworzenia nowych sił zbrojnych.

Mowa, sposób rozumowania i codzienne zachowanie na służbie czyniły z nich ludzi sobie przeciwstawnych, nasączonych obcością. Każda z tych oficerskich społeczności na swój sposób traktowała sprawy dyscypliny, stylu życia, tradycji, honoru, patriotyzmu, taktyki użycia wojsk i sztuki operacyjnej. Bardzo trudno im było oderwać się od swoich poprzednich życiowych „pomostów”. **I dopiero wojna 1920 roku okazała się silnym spoiwem, które ich zjednoczyło dla wielkiej narodowej sprawy, ratowania zagrożonej niepodległości.** Z tego patriotycznego zrywu narodowego wyłoniła się już prawie jednolita kadra, co otwierało jaśniejszą

³ Franciszek Kusiak, Życie codzienne oficerów Drugiej Rzeczypospolitej.

perspektywę dla tworzenia siły i zwartości odrodzonej armii. W jej umysłach skumulowały się motywacje uczestników powstań narodowych, wojen napoleońskich, nadzieje Polaków walczących w I wojnie światowej.

Józef Piłsudski usunął z ich serc kompleks niemocy, przywrócił wiarę w swoje siły i dumę narodową. W jego pismach często występuje problematyka wojskowa. Wielokrotnie powtarza, iż „podstawą armii jest dusza prostego żołnierza, którą kształtuje oficer”. Przedłużając tę myśl, Tadeusz Hołówko w ciekawej pracy *Oficer polski* wydanej w 1921 roku sformułował do dziś aktualne zdanie: „Niechże oficer tej duszy młodego żołnierza nie pokaleczy i nie maltretuje, lecz przeciwnie, niech wzmocni ją i uszlachetni. Im więcej on miłości i troski włoży w swoją pracę nad duszą żołnierza, tym piękniejszą i odporniejszą będzie ona na podszepty słabości”⁴. Ale to nie było takie proste.

Polska wybiła się na niepodległość jako państwo gospodarczo wyniszczone kulturowo zacofane. Duży procent jej obywateli stanowiły mniejszości narodowe: Żydzi, Białorusini, Ukraińcy, Niemcy. Do armii przychodzili rekruci zaniedbani pod względem higieny, o słabej kondycji fizycznej i w znacznej części analfabeci. Wielu z nich miało trudności nawet z wystawianiem się po polsku.

Sądząc z literatury wspomnieniowej, wojsko spełniało nadzwyczajną funkcję oświatową i edukacyjną w budowaniu świadomości obywatelskiej jako wyniku przemyślanej, konsekwentnej polityki państwa. Odległe garnizony, w oderwanych od świata miejscowościach kresowych, były jedynymi ośrodkami, wokół których odbywały się wszelkie uroczystości państwowe, organizacje społecznych i młodzieży szkolnej. Oficerowie, emocjonalnie przygotowani do odgrywania „misyjnej roli” na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, cieszyli się niekwestionowanym autorytetem wśród lokalnych władz cywilnych. Ich oddziaływanie intelektualne na miejscową ludność kresową miało nadzwyczajne znaczenie dla umacniania państwa polskiego. Należeli do tego pokolenia inteligencji, której wyzwaniem było przewodzenie narodowi w pierwszych latach niepodległości.

Oto jak wyglądały lata dwudzieste w 23 pułku artylerii lekkiej⁵: „Poważnym problemem był poziom wykształcenia żołnierzy. Z terenów wschodnich przychodzili

⁴ T. Hołówko, *Oficer polski*, Warszawa, E. Wende i S-ka 1921, s. 127.

⁵ L. Szostek, *23 Pułk Artylerii Lekkiej*, Wyd. „Ajaks”, Pruszków 1997, s.15.

bowiem rekruci o bardzo niskim poziomie edukacji, nierzadko analfabeci. Dlatego w pierwszych latach powojennych 10% czasu przeznaczonego na szkolenie ogólnowojskowe i specjalistyczne poświęcano na naukę czytania, pisania rachunków.”

Albo inne wspomnienie z 29 pułku artylerii lekkiej⁶: „Od 1933 roku ważnym elementem kulturalnym w życiu garnizonu grodzieńskiego były organizowane w podoficerskim kasynie garnizonowym odczyty krajoznawcze. Odbywały się w czwartki o godzinie 19.00, a wstęp na nie był bezpłatny. Dobrze i ciekawie prowadzone, często z udziałem znanych polskich podróżników, cieszyły się dużym powodzeniem wśród całej kadry pułku.

Nie zaniedbywano też szeregowych. Chodzili oni na darmowe przedstawienia do Teatru Garnizonowego mieszczącego się w Domu Żołnierza. Urządzano gry i zabawy w świetlicach. Co roku młodszy rocznik obowiązkowo zwiedzał Miejskie Muzeum w Grodnie, a dla wyróżniających się absolwentów szkoły podoficerskiej organizowane były wycieczki. Na przykład w marcu 1937 roku 8 podoficerów i 44 elewów szkoły podoficerskiej pojechało na wycieczkę krajoznawczą do Warszawy, Katowic i Krakowa. A w celu dokształcania szeregowych, odbywały się kursy i odczyty, głównie z zakresu rolnictwa”.

Szczególne znaczenie miały święta formacji wojskowych. Po nabożeństwie i defiladzie - jak podaje Franciszek Kusiak w Życiu codziennym oficerów Drugiej Rzeczypospolitej - wszyscy żołnierze zasiadali do wspólnego stołu. Kompanie siedziały z kadrą i rodzinami przyjeżdżającymi w odwiedziny do swoich synów. Razem spędzone godziny dla wszystkich były wielkim przeżyciem. Wytwarzał się nastrój dumy z własnej formacji i silne więzi koleżeńskie. Z tej przypadkowej społeczności młodych, nieokrzesanych chłopców powstawało coś wielkiego, co charakteryzowało ducha armii i tworzyło wyraz nowych niepodległych czasów. Całkowicie nowoczesny, demokratyczny styl życia wojskowego może być dobrym drogowskazem dla dowódców poszukujących rozwiązań obecnych problemów wielu „zagubionych” jednostek wojskowych.

⁶ P. Zarzycki, 29 Pułk Artylerii Lekkiej, Wyd. „Ajaks”, Pruszków 1999, s.11.

1.2. *Polski esprit de corps*

Przed wojną mieszkałem w Pińsku. Tam uczyłem się w Państwowym Gimnazjum imienia Józefa Piłsudskiego. Ubrany w granatowy mundur naładowany energią młodości, dzień w dzień maszerowałem pełen godności do swojej „budy” położonej w śródmieściu. **Pamiętam dokładnie, jak życie miasta ożywia i ubarwia silny garnizon wojskowy, złożony z 84 Pułku Strzelców Poleskich, II dywizjonu artylerii lekkiej i Flotylli Rzecznej Polskiej Marynarki Wojennej⁷.** Oba rodzaje wojsk prezentowały się wspaniale. Ale gwoli prawdy muszę przyznać, że „morsko” ubrani marynarze byli szczególną okrasą miasta. Nie mogę powstrzymać się od pikantnej uwagi, że panienki lekkich obyczajów też preferowały szarmanckich „wodniaków”.

Dowódca flotylli, o sprężystej postaci komandor Witold Zajczkowski, z owianego aurą tajemniczości portu wojennego, wymieniany był w pierwszym rzędzie wielkich znakomitości Pińska⁸. 3 lipca 1938 roku, w dniu Święta Flotylli Rzecznej, stałem nad Piną ściśnięty w podekscytowanym tłumie „pińczuków”. Uniesiony nastrojem patriotyzmu, jak oszalały oklaskiwałem defiladę oflagowanych rzecznych monitorów, kanonierek, trałowców, uzbrojonych statków, zwinnych kutrów i pomalowanych w maskujące łaty stawiaczy min. Wydawało mi się, że znajduję się u wybrzeża groźnej bazy morskiej.

W moich oczach, najeżone lufami wodne „kolosy” urastały do rangi budzącej grozy potęgi państwa polskiego. Wyobrażałem sobie, jaką to zaporę ogniową mogą ustawić na wszystkich rzekach Polesia. Czułem się obywatelem kraju dobrze przygotowanego do obrony niepodległości i bezpiecznego. Mój duch usadowił się na wyżynach nieba. Nie przypuszczałem jednak, że wojna „stoi za progiem”, a niepomyślny przebieg frontowych wydarzeń odbierze flotylli szansę bezpośredniego udziału w zmaganiach, zgodnie z jej przeznaczeniem.

Obecnie łatwo jest mędrkować, że flotylla rzeczna na skutek gwałtownego rozwoju lotnictwa już w latach trzydziestych utraciła rację bytu. Ale nie tylko „mocą rozpędu”, podobnie jak kawaleria, pozostawała w polskich siłach zbrojnych. Po prostu na radykalne utechniczenie armii i nadanie jej nowoczesnego oblicza, nie

⁷ J. W. Dyskant, *Flotylla Rzeczna Marynarki Wojennej, 1919-1939*, Wyd. Bellona, Warszawa 1994.

⁸ Tamże.

było środków. Niemniej jednak my i wszyscy dawni „pińczuci”, jesteśmy dumni ze swoich marynarzy. Dzielnie walczyli na różnych bitewnych polach: w grupie operacyjnej „Polesie” generała Franciszka Kleeberga, w Anglii na okrętach Polskiej Marynarki Wojennej, w oddziałach partyzanckich i w odrodzonym Wojsku Polskim.

Uczciwość wymaga abym wyznał, że chociaż żołnierze piechoty skromniej się prezentowali niż zawadiaccy marynarze, to dzień, w którym 84 pułk wracał z jesiennych manewrów, miał charakter radosnego święta. Tysiące ludzi, wśród których stało uszeregowane moje gimnazjum, witało maszerujące kompanie brawami. W takt pułkowej orkiestry popisywały się „tańcem” smukłe oficerskie wierzchowce. Pod ich nogi rzucono kolorowe kwiaty. **Wyprostowani, pięknie siedzący w siodłach oficerowie, salutując z gracją uśmiechali się do życzliwej „publiczności”.** Z pewnością można to zaliczyć do jednego ze znamiennych fragmentów ich życia, podczas którego formował się specyficznie polski *esprit de corps*. Powitanie wojska, swojego pułku powracającego do koszar, stało się piękną tradycją międzywojennego dwudziestolecia. Pińsk także ją kultywował. Był w tym przejaw gorącego patriotyzmu, uwrażliwienia na sprawy obronności i wielkiego szacunku do wojska. Dodam jeszcze, iż w 1939 roku żołnierze 84 Pułku Strzelców Poleskich dzielnie walczyli pod Częstochową i w obronie twierdzy modlińskiej.

A oto tak opisuje powrót z manewrów mój gimnazjalny kolega starszego rocznika, plutonowy podchorąży kawalerii Wiesław Mirecki⁹: „Konie, czując instynktem zbliżającą się akcję, oczekujący je galop, parskają nerwowo i podtańcowują podniecone. Deszcz ustał, ale murawa mokrusieńka. Ślisko. Gdy pułki kawalerii kierują się na trasę i wyciągają w defiladową kolumnę, odstania się wreszcie widok na teren przed trybunami. Chwilowo jedziemy w przeciwnym kierunku, dopiero gdy na skraju pola zawrócimy, wyjedziemy na właściwy tor defilady. Jedzie tam teraz artyleria. Jeszcze trochę oczekiwania, parę chwil niecierpliwości. Zaraz kolej na nas, kawalerię. Zmieniają się orkiestry. Na białych koniach, przybrana w amaranty, zajeżdża galopem orkiestra szwoleżerów i zajmuje miejsca przy trybunach. A na trybunach entuzjazm. Orkiestra rżnie mazura.

⁹ W. Mirecki, *Malowane dzieci*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1986, s. 248.

Zaczynamy. Widzimy jak (generał – przyp. aut.) Wieniawa sady na swym smoku na czele dywizji i błyska szablą oddając honory głowie państwa..... Nasze szwadrony ruszają kłusem i za chwilę pułk przechodzi w galop.....Byle tylko utrzymać równanie, zachować pion lancy, wytrzymać tak w siodle jeszcze z paręset metrów. W uszach huk, grzmot, to mijamy orkiestrę i tłum na trybunach krzyczący, bijący brawo. A my pędzimy, nie, mkniemy.”

W moim otoczeniu ci, którzy pamiętają rok 1938, wszyscy zgadzają się co do tego, że wojsko prezentowało się świetnie. Kwestia, która nas dzieli, to pytanie, czy mogło być do wojny lepiej przygotowane?

Przed wojną nigdy nie miałem okazji bezpośrednio poznać różnych odcieni koszarowego i poligonowego życia kadry oficerskiej. Dopiero w późniejszych latach, kiedy sam „oblokłem się w mundur”, zrozumiałem, że one zawsze były, są i pozostaną „ukryte” przed wzrokiem społeczności cywilnej. To odnosi się, prawie w jednakowym stopniu, do wszystkich armii świata. Oczywiście, obecnie nowy duch demokratyzmu trochę uchylił kurtynę nad sceną bytu wojskowego, ale to nie zmienia istoty wyrażonej przeze mnie opinii. Prawdziwe życie oficera, oddane stale do dyspozycji służby, jest daleko trudniejsze, niż to się cywilom – włącznie z przełożonymi – wydaje. I mnie się kiedyś tak wydawało.

A powracając do Polesia, wśród moich szkolnych kolegów panowała zgodna opinia, że oficerowie, których codziennie spotykaliśmy na ulicach Pińska, to ludzie honoru, o świetnej prezencji i dżentelmeni. Mundur mimowolnie budził powszechne zainteresowanie, oddziaływał na uczucia, symbolizował coś wzniosłego. Był gwarantem niepodległości.

Pod koniec lat trzydziestych większość oficerów starszej generacji, o różnych obcych „naleciałościach”, odeszła na zasłużone emerytury. Ich stanowiska zajęli oficerowie młodzi, dla których I wojna światowa była już tylko odległym, z innej „epoki” historycznym zjawiskiem. Obsadzili oni w wojskach szczeble „średnie” - głównie dowództwa pułków, a w pojedynczych przypadkach dywizji. Ponadto we wszystkich sztabach tworzyli zasadniczą warstwę wykonawczą. Nie dokonała się jeszcze pełna zmiana generacyjna. Dowództwa korpusów i armii zajmowała „stara gwardia” legionowa i osoby wypromowane przez marszałka Piłsudskiego¹⁰.

¹⁰ S. Kopański, *Moja służba w wojsku polskim 1917-1939*, s. 302.

Ogromny autorytet marszałka osłaniał wojsko przed dezintegracją i tworzył z niego siłę napędową postępu społecznego. Polscy oficerowie, pod względem uposażenia, znajdowali się na czołowym miejscu wśród armii europejskich. Piłsudski miał wyrobione zdanie, że fundamentem i „rozumem” polskiej armii jest korpus oficerski o wysokiej kulturze umysłowej, o walorach moralnych i głębokiej wiedzy fachowej. Oficerom stwarzano dobre warunki do nauki języków obcych. Najbardziej rozpowszechniony był francuski i niemiecki. Rodziny oficerskie bez żadnych przeszkód mogły czas urlopów spędzać w różnych krajach Europy Zachodniej.

We wspomnieniowej literaturze wyczytałem, że jednostki wojskowe na wschodzie wyróżniały się większym zżyciem kadry oficerskiej niż garnizony w centrum i na zachodzie kraju. Wielu oficerów uprawiało myślistwo. Z mojego ukochanego Pińska, z ulicy Rzemieślniczej 22, pamiętam sąsiedni okazały dom zamieszkiwany przez kapitana Romualda Brusa, zapalonego myśliwego, który kilkakrotnie zabierał mnie za sobą, abym nosił upolowane kaczki. Motocyklem jechaliśmy usypaną na moczarach groblą do Pleszczyc, położonych na południe od Pińska, i stamtąd, kawałek drogi maszerowaliśmy na piechotę, nad małe jezioro ukryte w morzu bezkresnych szuwarów. Oglądany przez pryzmat otaczającej nas przyrody świat miał w sobie coś z baśni. Kapitan Brus podobnie jak ja upajał się Polesiem. Nieraz, przesiadując w zaroślach, zafascynowany obserwowałem smukłe żurawie, które na przybrzeżnych wodach kroczyły dostojnie pomiędzy liliami wodnymi i mieniły się w słońcu kolorami.

1.3. W zakolach służby

Niestety, natura ludzka jest ułomna. Podobnie jak całe społeczeństwo, korpus oficerski oprócz wielu wspaniałych zalet miał też swoje wady i ciemniejsze strony. Do nich w pierwszym rzędzie trzeba zaliczyć dość powszechne nadużywanie alkoholu. Dosadnie mówi o tym oficer 3 pułku artylerii ciężkiej, późniejszy generał, historyk Jerzy Kirchmayer. „W kasynie i knajpach pito obficie i często. Nieraz były to trzydniówki”. Natomiast w barwnych wspomnieniach generała Józefa Kuropieski wielokrotnie występuje brydż, skądinąd wspaniała rozwojowa gra, pobudzająca myślenie, która w pewnych okolicznościach przeradzała się w nałogowe długotrwałe

zasiedziny. „Przez okrągłe siedem dni tygodnia przy stolikach grano w brydża, kopiąc przy tym niemiłosiernie, zgodnie z zasadą, że karta lubi dym. Prawie połowę partnerów stanowiły panie”. U innych autorów doczytałem się, że w niektórych jednostkach wojskowych grasowali, często bezkarnie, zawodowi pokerzyści w mundurach. Są to przybrudzone karty naszej oficerskiej przeszłości, naszej tradycji, w której mieszczą się nie tylko rzeczy szlachetne. Piszę o tym z goryczą, bo jest tajemnicą poliszynela, że i obecnie sporo pobłażliwości okazuje się „profesjonalnym” alkoholikom. Dla nich każda imieninowa okazja jest dobrym usprawiedliwieniem do odbycia towarzyskiej „popijawy”. Na szczęście w wymiarze globalnym można te zjawiska zakwalifikować do marginalnych. Kiedyś, obserwując strojne figury oficerów na ulicach Pińska, nie wyobrażałem sobie, że wśród nich, tak jak w społeczności cywilnej, też istnieją „równoległe” światy: ludzi wielkiego formatu, z uporem realizujących swoje marzenia, i mętnych, krótkowzrocznych cwaniaków.

2. Oficerowie w czasie wojny 1939 r.

2.1. Oficerowie w aurze pewności

Na początku lat trzydziestych, po dojściu Hitlera do władzy, rozpoczął się gwałtowny ilościowy i jakościowy rozwój wehrmachtu. U zachodnich granic Polski powstawały silne zgrupowania zmechanizowane i pancerne, o zdecydowanie ofensywnym charakterze. Łatwo było wydedukować, że następuje przestawianie niemieckich sił zbrojnych ze stopy pokojowej na wojenną. **Już 5 kwietnia 1935 roku amerykański ambasador William E. Dodd raportował do Waszyngtonu: „Ustrój hitlerowski jest z natury agresywny. Odpowiedzialne, czy raczej nieodpowiedzialne trio - Hitler, Góring i Goebbels - może łatwo uczynić jakiś szaleńczy krok; doświadczenia historii są im zupełnie obce. Wszyscy trzej mają mentalność morderców”¹¹.**

Podobne zjawiska obserwowano się na granicy wschodniej. Armia Czerwona przeobrażała się w zawrotnym tempie. Masowo powstawały dywizje i korpusy pancerne. Wzrastało nasycenie artylerią. Tysiące samolotów szykowało się

¹¹ W. E. Dodd, Dziennik ambasadora (1933-1938), Instytut Wyd. PAX . 1972, s. 201.

do wsparcia wojsk lądowych. W latach 1933-1936 radykalnie wzrastały możliwości ofensywne wschodniego sąsiada. A tymczasem przeciętny Polak ciągle jeszcze żył euforią „cudu nad Wisłą” i nie miał pojęcia, że na Wschodzie gwałtownie pojawił się nawis zagrożenia, jak przysłowiowy miecz Damoklesa.

Polski Sztab Generalny miał świadomość, że sytuacja z dnia na dzień staje się coraz bardziej tragiczna i wojsko wymaga szybkiego dobrojenia w dziedzinie czołgów, lotnictwa oraz w srodki przeciwpancerne i przeciwlotnicze. Tymczasem armia polska, ze względu na słabość potencjału gospodarczego państwa, nie była w stanie szybko zareagować na niepokojące sygnały dochodzące z terenów swoich dwóch najpotężniejszych sąsiadów. Dopływ niedużych ilości nowoczesnego sprzętu miał charakter drobnej „kosmetyki” i nie zmieniał katastrofalnie niekorzystnego stosunku sił.

Jednak coś ważnego zaistniało. 3 grudnia 1938 roku na posiedzeniu Sejmu Eugeniusz Kwiatkowski przedstawił - opracowany w Biurze Planowania Krajowego - perspektywiczny plan gospodarczy na okres 15 lat. Przewidywał on szybki wzrost produkcji w przemyśle precyzyjnym, chemicznym, maszynowym, elektrotechnicznym, samochodowym i lotniczym. Ambitnie nakreślone cele dowodziły, że Polska miała świątłych ekonomistów - polityków. Dobrze rozumieli, iż w dłuższym horyzoncie czasowym tylko gospodarka zadecyduje o bezpieczeństwie i pozycji państwa polskiego w Europie. Wojna unicestwiła te zamiary¹². Hitler i Stalin orientowali się, że czas pracuje na ich niekorzyść. Z różnych pozycji, obaj dyktatorzy w ryzyko wojny wkalkulowali sobie szybki rozbiór Polski jako najkorzystniejsze otwarcie drogi do dalszych podbojów. **W obliczu jednoczesnego zagrożenia z Zachodu i Wschodu strategiczne położenie Polski stawało się beznadziejne.**

Po śmierci marszałka Piłsudskiego coraz więcej „burzowych chmur” zbierało się nad zachodnią granicą Polski. Pomimo, że Polska miała z Niemcami podpisaną w 1934 roku deklarację o niestosowaniu przemocy, niebezpieczeństwo hitlerowskiej agresji zbrojnej zarysowywało się coraz wyraźniej. A kiedy stało się jasne, że Polska nie wyrazi zgody na autostradę do Prus Wschodnich i przyłączenie Gdańska do Rzeszy, Hitler 28 kwietnia 1939 roku

¹² R. Szeremietiew, Czy mogliśmy przetrwać, Bellona, Warszawa 1996, s. 298.

wypowiada pakt o nieagresji i wszczyna nieustający propagandowy nacisk na Polskę. Zagrożenie suwerenności kraju zaczęło narastać lawinowo. W tej sytuacji rząd Rzeczypospolitej pośpiesznie rozpoczął starania o wzmocnienie pozycji obronnej państwa, drogą tworzenia koalicji z Francją i Wielką Brytanią.

31 marca 1939 roku brytyjski premier oświadczył w Izbie Gmin: „W wypadku jakiegokolwiek akcji, która by wyraźnie zagrażała niepodległości Polski której Rząd Polski uznałby za konieczne przeciwstawić się swymi narodowymi siłami - Rząd JKM będzie uważał, że jest zobowiązany do bezzwłocznego okazania Rządowi Polskiemu całkowitego poparcia, jakiego będzie mu w stanie udzielić”. W ten sposób koalicja antyhitlerowska stawała się faktem. Był to bezsporny sukces polskiej polityki zagranicznej, co wywołało ogromny entuzjazm i sympatie proangielskie w społeczeństwie polskim¹³.

2.2. Nieświadomi skali zagrożeń

Po oświadczeniu brytyjskim wydawało się, że nawet wojna przestała być groźna. Zaświadczał to swym autorytetem nasz sąsiad, elegancki kapitan Romuald Brus. Już 27 marca zjawił się w naszej chatynce. Nie wątpię, że wyrażał nastroje panujące w korpusie oficerskim 84 pułku piechoty. Objął mnie ramieniem, a jego ogorzała twarz wprost jaśniała pewnością i optymizmem. „Kiedy mamy takich mocnych sojuszników, jak Francja i Anglia - powiedział z emfazą - to ten szaleniec Hitler nic nie zdoła u nas wskórać”. Potem barwnie opowiadał, jak to wojsko intensywnie ćwiczy i przygotowuje się na każdą ewentualność. Rzeczywiście, z rejonu koszar od wielu tygodni dochodził terkot karabinów maszynowych i częste wybuchy pocisków artyleryjskich.

W gimnazjum panowała euforia. Chłopcy wyobrażali sobie działania bojowe jako czas wielkich przygód. Reakcje miały podłoże emocjonalne. Byliśmy pewni, że w koalicji z imperium brytyjskim i francuskim wojna okaże się „igraszka”. Rozklejone na mieście hasła utwierdzały nas w tym przekonaniu. „Nie oddamy nawet guzika”. Nie mieliśmy pojęcia, jak druzgocącą przewagę nad siłami polskimi miał Wehrmacht w dziedzinie broni pancernej i lotnictwa, a o inwazji wojsk sowieckich nikt nawet nie myślał.

¹³ Wrzesień 1939 w relacjach i wspomnieniach, Wyd. MON 1989, s. 44

Niekiedy, gdy zagrażała klasówka z łaciny, stosowaliśmy „zmyślne zagrywki” wobec wykładowcy Ignacego Rabcewicza, porucznika rezerwy, wychowanka gimnazjum pińskiego. Na powitanie profesora odpowiadaliśmy zaskakującym: „czołem, panie poruczniku”. Wówczas z zażenowaniem zwracał nam uwagę: „Niech mi się klasa nie wygłupia”, i pozwalał wciągnąć się w dyskusję o ewentualnej wojnie. Pan Rabcewicz, chociaż gnębił nas wyjątkowymi wymaganiami, cieszył się wśród chłopaków wielkim autorytetem. Łacinę miał „w małym palcu”. Był wysportowany, dowcipny i rozkochany w starożytnym Rzymie. Specjalistą od zadawania mu „wojennych” pytań był Mikołaj Kałaur, późniejszy pułkownik Wojska Polskiego, bohater bitwy pod Lenino. Reszta klasy słuchała z zapartym tchem.

- Panie profesorze – Mikołaj ciągnął z powagą właściwą nastrojowi chwili - Jako oficer, czy mógłby Pan nam przedstawić swoją opinię, na ile jest realna perspektywa wojny z Niemcami?

- Porozmawiajmy lepiej o naszych lekcyjnych sprawach - odpowiadał Rabcewicz - posyłając nam przekorne spojrzenia.

Czasami jednak pozwalał sobie na małe odchylenia od programu i wdawał się w formułowanie prognoz. Był zdania, że zachodni sąsiad jest bardzo niebezpieczny, bo góruje nad nami technologicznie. Ale - poprawiał się - kiedy po swojej stronie mamy silnych aliantów, obronimy się. W Pińsku możecie spać spokojnie. Tu jest najbezpieczniejszy zakątek Polski – powiadał z uśmiechem.

Niedługo potem nadszedł czas, kiedy Ignacy Rabcewicz, ubrany w dopasowany mundur oficerski z bielutką wypustką u kołnierza, odchodził na wojnę. Każdemu podawał dłoń na pożegnanie. Już nas nie strofował. Na zawsze pozostał nam jako błyskotliwy pedagog i oddany Polsce oficer. Czułem uścisk w gardle. A kiedy zaszalutował, trudno było powstrzymać łzy. Ani on, ani my, wszyscy jego uczniowie, nie wiedzieliśmy, że opuszczą nas alianci i będziemy skazani na wieloletnią upokarzającą niewolę. Nie wiedzieliśmy też, że nasze roczniki początkowych lat dwudziestych zostaną rzucone na cierniste szlaki historii polskiego narodu. **Moja pińska klasa doświadczyła wszystkiego. Każdy dostał swój „przydział”: wywózkę na Sybir, leśną partyzantkę, konspirację, powstanie warszawskie, udział w walkach frontowych Wojska Polskiego na Wschodzie i na Zachodzie.** Dla znacznej części klasy, w tym i dla mnie, trudny zawód oficerski

został „przypisany” na całe życie. Lat wojny nikomu z nas nie udało się przetrwać bez szwanku.

Przed ostatnimi wakacjami trzydziestego dziewiątego roku w klasie odbyło się kilka spotkań z oficerami marynarki i piechoty. Ich celem było wzmocnienie naszego ducha patriotycznego i umiejętności posługiwania się bronią strzelecką. Praktyczne strzelania do tarczy wypadły całkiem zadowolająco. Otrzymywaliśmy same pochwały. Pamiętam z jaką godnością zachowywali się występujący przed nami reprezentanci kadry oficerskiej. Otaczała ich aura pewności i całkowitego oddania Ojczyźnie.

2.3. Desperacka obrona

1 sierpnia 1939 roku rozpoczęło się zmasowane uderzenie wojsk hitlerowskich na Polskę. Siły zbrojne Rzeczypospolitej, mimo porażek i dużych strat ponoszonych w bitwie granicznej, nie dały się niemieckim zagonom pancernym okrążyć i rozbić w terminach przewidywanych przez Hitlera. Co więcej - jak podaje Wacław Stachewicz, Szef Sztabu Naczelnego Wodza - dowództwo niemieckie musiało zmienić założenia planu, przewidując nowe kleszcze okrążenia na wschodnim brzegu Wisły¹⁴.

Tymczasem, z zaskoczenia, nad Bzurą rozpoczęło się silne przeciwuderzenie wojsk generała Kutrzeby. Niemcy zostali zmuszeni do przemanewrowania większości sił przeciwko atakującym armiom „Poznań” i „Pomorze”. W tym samym czasie Naczelnny Wódz marszałek Śmigły-Rydz zreorganizował dowodzenie wojskami, utworzył trzy współdziałające Fronty - Północny, Środkowy i Południowy - na rzecz których pośpiesznie formowały się armie „Warszawa”, „Lublin” i „Małopolska”. Na zapleczu odtwarzano nowe jednostki i uzupełnienia dla wykrwawionych oddziałów frontowych¹⁵.

Niestety, 12 września w Abbeville Anglicy i Francuzi - mając nad Niemcami druzgocącą przewagę - podjęli ukrywaną przed Polakami tchórzliwą, niczym nie usprawiedliwioną decyzję o wstrzymaniu działań wojennych. 8 września, a więc „w przeddzień” tej haniebnej decyzji, generał Faury - przedstawiciel armii francuskiej

¹⁴ Wrzesień 1939. Z relacji Szefa Sztabu Naczelnego Wodza, Warszawa, Wyd. MON 1989.

¹⁵ Encyklopedia Powszechna PWN, Warszawa 1976, Wojna Obronna Polski.

w Polsce - słusznie oceniał, że Polacy przegrali bitwę o granice, ale „do tej pory żadne z szybkich niemieckich uderzeń, które mogłyby być śmiertelne, nie zostało zrealizowane i nie ma powodów do desperacji”.

I w takich oto okolicznościach nadszedł okrutny 17 września 1939 roku. Sowieckie wojska, „uczciwie” realizując tajne zobowiązania paktu „Ribbentrop - Mołotow”, na całej długości przekroczyły granice Polski. W wiarołomnej agresji wzięło udział: około miliona żołnierzy, ponad 5000 pojazdów pancernych, 4500 dział i 1000 samolotów. Podstępne uderzenie było tak nieoczekiwane, iż niektórzy polscy dowódcy uznali, że Sowieci zjawiają się jako sojusznicy. Nawet marszałek Śmigły-Rydz sądził, że Rosjanie pozwolą wycofać się wojskom polskim na Węgry i do Rumunii.

Aby nie prowokować Sowietów, Naczelny Wódz wydaje wojskom rozkaz: "Nakazuję ogólne wycofanie na Węgry i Rumunię. Z bolszewikami nie walczyć chyba w razie natarcia z ich strony albo próby rozbrojenia oddziałów". Rzeczywistość okazała się ponura. Następował czwarty rozbiór Polski.

Ostatnie dni dogorywającej niepodległości przeżyłem w Pińsku. Już przed 10 sierpnia z zachodnich i centralnych dzielnic kraju do miasta sphywała nieopanowana „powódź” uciekinierów. Dzięki sprawnie działającej policji - co z całą mocą pragnę zaakcentować - wszyscy przybysze byli „rozparcelowani” po domach rdzennych pińczuków i życie toczyło się względnie normalnie. Panował spokój i mieszkańcy czuli się bezpiecznie. Społeczeństwo polskie, zdezorientowane wydarzeniami, w dalszym ciągu nie traciło optymizmu. Obrona Warszawy rozbudzała nieokreślone nadzieje. Dniem i nocą obserwowano ruchy wojsk polskich. Przemieszczały się małe pododdziały i całe kolumny. Widziałem utrudzonych żołnierzy i zmęczonych oficerów, ale sprawnych, dobrze umundurowanych, zdecydowanych realizować postawione im zadania. W ich wzroku nie było paniki ani strachu. Jestem pewien, że podobnie jak całe polskie społeczeństwo, wojsko z niezachwianą nadzieją oczekiwało uderzenia aliantów, które zmusiłoby Hitlera do wycofania znacznych sił na zachód. Mimo wszelkich niepowodzeń dominował duch gotowości do walki.

6 września część klasy otrzymała wezwanie do komendy miasta. Zostaliśmy umundurowani i staliśmy się żołnierzami pododdziału

wartowniczego. W głębokiej tajemnicy poinformowano nas, że będziemy pilnować samolotów bojowych. Kiedy ujęliśmy w dłonie karabiny, wydawało się, że to my uratujemy Ojczyznę.

Wieczorem warta odbyła kilkukilometrowy przemarsz do Halewa, w rejon polowego lotniska, położonego na rozległych łąkach obok lasu. Widok kilkunastu potężnych samolotów zamaskowanych gałęziami i pomalowanych na zielono napawał nas szaloną dumą. Pierwszy raz w życiu stałem przy samolocie. Patrzyłem szeroko otwartymi oczami na nie znane mi sylwetki maszyn bojowych. Ustawiliśmy się w szereg, a porucznik w stalowym mundurze nakreślił zadania. Piloci uświadomili nas, że są to najnowsze polskie konstrukcje typu „Łoś” i mniej doskonałe „Karasie”. Pomału przyzwyczajaliśmy się do lotnictwa, ale z nabożeństwem dotykałem rozpostarte skrzydła z biało-czerwoną szachownicą lub część silnikową zakończoną łopatomi śmigieł. Nawiązaliśmy serdeczne kontakty z pilotami i obsługą techniczną. Imponował nam ubiór i zachowanie młodych ludzi o bogatej fantazji, dla których dyscyplina była czymś niewymuszonym. Skąd miałem wiedzieć, że polskie lotnictwo mogło przeciwstawić niemieckiej Luftwaffe liczącej 1400 samolotów, nie całe 400 maszyn bojowych, w tym zaledwie 90 nowoczesnych „ŁOSI”.

Tymczasem samoloty z rykiem startowały do wykonywania nie znanych nam bojowych operacji, a kiedy powracały były pośpiesznie maskowane. W kilku wypadkach nie wszystkie maszyny zjawiły się z powrotem, niektóre były silnie podziurawione i halewskie łąki stawały się dla nich miejscem „wiecznego spoczynku”. Oficerowie piloci serdecznie wspominali swoich kolegów ale zdecydowani byli walczyć, chociaż coraz częściej określali sytuację jako bardzo trudną. Kończyło się paliwo, amunicja, bomby.

2.4. Opuszczeni przez aliantów

17 września zostaliśmy poinformowani, że granicę wschodnią przekroczyło sowieckie wojsko. Wstrząsająca wiadomość. Zaczęły się szybkie przygotowania do likwidacji polowego lotniska. Piloci wyrażali chęci zabrania nas do Rumunii, ale postanowiliśmy wracać do swoich rodzin w Pińsku. Podczas pożegnania, w napiętej ciszy, dowódca eskadry każdemu z wartowników uściśnął dłoń i starał się natchnąć nas silną wiarą w przyszłość. „Dla Ojczyzny nadchodzą

ciężkie czasy - mówił powoli, z niewzruszoną pewnością -. My odlatujemy do Rumunii, aby dalej walczyć. Wy odtąd pozostajecie zdani sami na siebie. Bądźcie dzielni. Nie traćcie nadziei. Polska odzyska wolność". Potem ciężkie maszyny odrywały się od ziemi i znikwały za horyzontem. Nie chciałem wierzyć, że nadchodził koniec niepodległości. Takie narodowe nieszczęście. **Czułem się osaczony pod nawalem złowrogich wieści, ale kipiąca we mnie młodość i patriotyzm wyniesiony z domu, od moich charyzmatycznych nauczycieli, od pińskich żołnierzy i marynarzy, od „halewskich” pilotów, przywracał wiarę w niezniszczalność Ojczyzny.**

18 września warta powróciła do Pińska. Oddaliśmy karabiny, sorty mundurowe i staliśmy się bezużytecznymi cywilami. Jednocześnie muszę powiedzieć - nie tylko ja uświadomiłem to sobie daleko później - że ten krótki czas „wojennej żołnierki” pozostawił niezatarty ślad w pamięci i niejednokrotnie każdemu z nas pomagał podejmować śmiałą grę z życiem.

Tymczasem wojna nieubłaganie zmierzała w stronę dramatycznego zakończenia. Hitlerowskie zgrupowania pancerne nie zaprzestały rozczłonkowania armii polskiej. Dowódca wojsk, marszałek Rydz Śmigły i naczelne władze państwa zainstalowały się nad granicą rumuńską, mając zamiar bronić Polesia i Małopolski Wschodniej, w oczekiwaniu na ofensywę francuską. I oto wyjaśniło się, że taki zamiar jest nierealny, bo ten cały wschodni region zaczęła pośpiesznie „wyzwalać” armia sowiecka. Zaskoczony nadzwyczajną zmianą sytuacji rząd polski wycofał się do Rumunii.

Obecnie, kiedy w uzupełnieniu do swoich wspomnień, przestudiowałem działalność bojową samodzielnej grupy operacyjnej „Polesie”, odczuwam szczere uznanie dla mądrości dowódczej generała Franciszka Kleeberga. Okazuje się, iż w czasie naszego „wartowania” na lotnisku polowym generał Kleeberg, w rozkazie wydanym w majątku Albrechtowo koło Pińska, nakazał dowódcom zgrupowań taktycznych przygotować się do długotrwałej walki w lesisto - bagnistym obszarze Polesia. Zalecał im także gotowość do działań partyzanckich i włączanie miejscowej ludności do pododdziałów dywersyjnych. Nie potrafię tego inaczej określić jak znakomitą, nieomylną intuicję. Któż by przypuszczał, że na przełomie roku 1943 i 1944 osobiście będę uczestnikiem działań

dywersyjnych na Polesiu, prowadzonych przez oddziały wielkiego zgrupowania partyzanckiego, świetnie dowodzonego przez pułkownika Roberta Satanowskiego. Odnosiliśmy duże sukcesy, bo ściśle współpracowaliśmy z miejscową ludnością polską i białoruską.

Po tym własnym skromnym doświadczeniu jestem zdania, że zamierzenia generała Kleeberga mogłyby przysporzyć Wehrmachtowi wiele kłopotów i znacznie wydłużyć czas obrony państwa polskiego. W każdym razie po przekroczeniu Bugu niemieckie dywizje pancerne i zmechanizowane znalazły się przed całkowicie odmiennym obszarem operacyjnym. Terytorium Polesia przewyższało Belgię i tworzyło największą w Europie krainę bagien oraz królestwo dziko płynących rzek.

Perfidna stalinowska agresja pozbawiła Polskę możliwości wykorzystania walorów tego unikalnego terenu dla swoich celów obronnych. Któż nie wie, że w wielkich wojnach ostatnich dwóch stuleci - ofensywa Napoleona, I wojna światowa, wojna polsko-bolszewicka, II wojna światowa - żadna z armii nie odważyła się uderzać bezpośrednio na kierunku Polesia.

19 września po raz ostatni nocował u nas „wojenny” porucznik piechoty. Jego podwładni pozostali na wozach, rozmieszczonych w sąsiednich podwórkach. Był sympatycznym roslym mężczyzną, osobą fizycznie silną i małomówną. Nie chciał się wdawać w żadną ocenę sytuacji, ale kilkakrotnie z zaniepokojeniem oświadczył, że najgorsze, co by go mogło spotkać, to dostanie się w łapy bolszewików. „Wybrałem zawód wojskowego - mówił z kamiennym spokojem - i ten smutny czas wykonywania go”. Z tego co mogłem zaobserwować, i oficer i jego żołnierze, zdecydowani byli dołączyć do wojsk generała Kleeberga. Patrzyłem z podziwem, jak o świcie sprawnie uformowała się kolumna, a „nasz oficer” na koniu poprowadził ją na wyzwanie losu. Wydał rozkaz „maszerować!” i pomachał nam ręką. Na jego twarzy i w jego zachowaniu nie zaobserwowałem najmniejszego lęku ani respektu przed okrutną wojną, której musiał stawiać czoło. Do dzisiaj wspominam go z sentymentem, bo był ostatnim polskim przedwojennym oficerem, jeszcze wolnej Rzeczypospolitej, który wniósł w moje życie dużą dawkę odwagi i dumy narodowej.

2.5. Tragiczne losy przedwojennych oficerów

Agresja sowiecka pomogła Hitlerowi „dobić” Polskę. I po tym tragicznym fakcie rozeszły się drogi przedwojennych oficerów.

Kilka tysięcy dostało się do niewoli niemieckiej. Hitlerizm, niezależnie od jego antypolskiej polityki i nie ukrywanej pogardy do naszego narodu, w zasadzie stosował się do międzynarodowych konwencji o traktowaniu jeńców wojennych. Polscy oficerowie zostali rozmieszczeni w oflagach i jak wynika z wielu pisemnych relacji i słownych przekazów, zorganizowali tam życie kulturalne, rozwijali bogate formy kształcenia i sport. Represje dotknęły niewielu z nich. Wyszli z niewoli w dobrym stanie psychofizycznym i nie ztratili swoich umiejętności profesjonalnych. Wielu zdobyło wartościowe zawody cywilne. Naturalnie, sześć długich lat nie mogło minąć bez śladu. Ale, o dziwo, spośród wszystkich grup jenieckich na terenie Niemiec to właśnie Polacy okazali się najlepiej zorganizowani i uodpornieni na destrukcyjny czas odosobnienia.

Najokrutniejszy los spotkał ponad dwudziestotysięczną rzeszę oficerów, generałów i policjantów, którzy dostali się do niewoli sowieckiej. Od samego początku otaczała ich atmosfera totalnego zakłamania. Drobnym przykładem stosowanej wobec Polaków obłudy ilustruje punkt ósmy protokołu o przekazaniu Lwowa wojskom sowieckim, podpisany 22 września 1939 roku w miasteczku Winniki; „Oficerom Wojsk Polskich gwarantuje się osobista swoboda i nietykalność ich prywatnej własności. Przy przejazdach do państw obcych rozstrzyga władza miejska wraz z przedstawicielami władz dyplomatycznych danego Państwa”. Był to cyniczny propagandowy kamuflaż wobec ludzi wychowywanych w poczuciu honoru i odpowiedzialności za słowo. Po zdaniu broni wszyscy zostali przewiezieni do obozów odosobnienia, czego finałem stał się mord katyński. W najczarniejszych opcjach żaden z oficerów nie brał tego pod uwagę. Wynika to z treści notatek skrupulatnie prowadzonych do ostatniej chwili, znalezionych w wielu mundurach ekshumowanych ciał. Dopiero ostatnia „podróż w nieznane” i końcowe zachowanie enkawudzistów nasunęły podejrzenia i trwożne przeczucia. Oto finalne zdania pamiętnika majora Adama Solskiego: „9.IV. Od świtu dzień rozpoczął się szczególnie. Wyjazd karetką więzienną w celkach (straszne), przewieziono gdzieś do lasu, coś w rodzaju letniska. Tu szczegółowa rewizja. Zabrano zegarek, na którym

była godzina 6.30/8.30, pytano mnie o obrączkę, którą zabrano, ruble, pas główny, scyzoryk”¹⁶.

Chociaż noszę w sobie bogate i bolesne doświadczenia wojenne, które mnie uzbroiły w odporność psychiczną, z przerażeniem i ze ściśniętym gardłem odczytuję ostatecznie słowa majora Solskiego, pisane pośpiesznie, w tej brzemiennej strasznym losem chwili.

Tak okrutnego mordu i o takiej skali, dokonanego na oficerach obcego państwa, nie znają kroniki ani współczesnych, ani dawnych czasów. Do tego Stalin miał zamiar – podobnie jak wszystkie swoje mordy – ukryć go na zawsze przed światową opinią publiczną. A kiedy to mu się nie udało, z niebywałym cynizmem i tchórzostwem starał się za tę zbrodnię obarczyć winą hitlerowców.

Bezwzględny satrapa dokonał tej zbrodni z pełnym przeświadczeniem, że bez elity oficerskiej i generalskiej Wojsko Polskie nie będzie mogło normalnie funkcjonować. A na polu cywilnym obaj dyktatorzy – Hitler i Stalin – w jednakowym stopniu dążyli do wyłęgania w społeczeństwie polskim jego elit, tej najważniejszej umysłowo – witalnej siły narodu.

Zachodni alianci już w czasie trwania działań wojennych byli zorientowani, że Stalin jest odpowiedzialny za uśmiercenie wielu tysięcy Polaków, ale w imię „nadrzędnych interesów” zastosowali haniebną „strusią politykę”.

Szczęście mieli ci oficerowie, którzy zdołali przedostać się do Rumunii i na Węgry. Oba te państwa zachowały się wobec Polaków lojalnie i z sympatią. Kadra oficerska otrzymała szansę przedostania się do Francji. Potem, już w polskich formacjach, razem z zachodnimi sojusznikami uczestniczyła w wojnie z Niemcami. W 1942 roku zostali zasileni znaczną ilością oficerów przybyłych na Zachód wraz z armią generała Władysława Andersa. Oni też mogą mówić o niebywałej łasce losu, który im pozwolił uniknąć Katania i zachować życie.

W czasie mojej służby w wojsku poznałem generała brygady Marcina Górskiego, któremu udało się „spod drzwi” uciec od śmierci. Jako plutonowy podchorąży, jadąc transportem jenieckim na wschód, podczas postoju na stacji w Równem, otrzymał od wartownika zgodę na skorzystanie z ubikacji peronowej.

¹⁶ J. Tucholski, Mord w Katyniu, PAX, Warszawa 1991, s.40.

I tu powziął błyskawiczną decyzję. Poprosił Polaka kolejarza o płaszcz i szybko oddalił się do miasta, gdzie odszukał swoich krewnych. Ujawnił ten fakt dopiero wówczas, kiedy przeszedł na emeryturę. Opowiadając ten zdumiewający epizod, tężał na twarzy, bo nie opuszczała go świadomość, że wówczas nieprzenikniony los przerzucił go na drogę życia.

Polskie jednostki na Zachodzie kultywowały przedwojenne tradycje. Oficerowie wojsk lądowych, lotnictwa i marynarki wojennej walczyli mężnie i z przekonaniem, że w każdym dniu wojny przyczyniają się do wyzwolenia Ojczyzny. Rozstawiali Polskę w bitwie o Anglię, pod Tobrukiem, zdobywając Monte Cassino, wyzwalaając zachodnioeuropejskie państwa spod hitlerowskiej okupacji. Ofiarą krwi, na wszystkich frontach, potwierdzali prawo Polski do niepodległości. Po wojnie, większość z nich nie mogła się pogodzić z nową sytuacją polityczną Ojczyzny i ruszyli na emigrację, w różne strony doczesnego świata. Dopiero u schyłku życia, prawie pięćdziesiąt lat po wojnie, już „zadomowieni” na obczyźnie, niektórzy doczekali się w pełni wolnej Polski.

Powojenny los nie był dla nich łaskawy. Jedni, bardziej ostrożni, do czasu wyklarowania się sytuacji politycznej w kraju zdecydowali się pozostać na terytoriach zachodnich aliantów. Jak się potem okazało, takie rozwiązanie skazywało ich na dożywotnią emigrację. Inni, uskrzydleni szczerym idealistycznym patriotyzmem, powrócili do Polski w przekonaniu, że to jest ich miejsce na ziemi, że tu chcą żyć i pracować. Trudno sobie wyobrazić bolesne rozczarowanie i tragedię tych dumnych ludzi, kiedy po wcieleniu do wojska byli podstępnie aresztowani, oskarżani o szpiegostwo i poddawani nieludzkim represjom. Kilkunastu oficerów uśmiercono, innych skazano na wieloletnie więzienie lub w najszcześniejszym przypadku rugowano z wojska, pozostawiając bez żadnych środków do życia¹⁷. Stosunkowo mała grupa zdołała w wojsku osiągnąć wiek emerytalny. Z biegiem lat tamte zjawiska coraz bardziej zacierają się w mojej pamięci, ale nie zapomniałem wielu szlachetnych przedwojennych oficerów, o których na początku lat pięćdziesiątych „otarłem się” na drodze mojej służby.

¹⁷ Lansując stalinowską tezę o potrzebie zwiększenia „czujności rewolucyjnej”, w lotnictwie zwolniono z wojska i aresztowano wielu wspaniałych oficerów: Bernarda Adameckiego, Józefa Jungrava, Augusta Menczaka, Stanisława Michowskiego, Władysława Minakowskiego, Stanisława Skalskiego, Zygmunta Sokołowskiego, Szczepana Ścibiora i wielu innych. Zapadły wysokie wyroki, wielu stracono. Patrz – A. Przedpełski, 80 lat polskiego lotnictwa wojskowego, Bellona, Warszawa 1998, s.188.

2.6. Ważne ogniwo w łańcuchu pokoleń

Oficerowie II Rzeczypospolitej zawsze cieszyli się autorytetem jako ludzie którzy wywalczyli wolność. Reprezentując siły zbrojne, stale uosabiali gwarantów niepodległości Ojczyzny, cieszyli się ogromnym autorytetem społecznym.

W Polsce, wydobytej z ponad stuletniej porzobiorowej zapaści i osadzonej na mapie Europy jako normalne państwo, kadra oficerska tworzyła ważne spoiwo jednoczące naród, nasączonymi przez zaborców odśrodkowy tendencjami.

Pułki kawalerii i dywizjony artylerii konnej okresu międzywojennego, jako jedyne jednostki wojska miały zwyczaj śpiewania żurawiejek – krótkich rymowanych przyśpiewek zapożyczonych z tradycji kawalerii carskiej Rosji, w której służyło wielu oficerów Polaków¹⁸. Żurawiejki tworzyły klimat i charakterystyczną symbolikę każdego pułku. Oto kilka z nich:

1 Pułk Ułanów Krechowieckich Zawsze dzielni, wszędzie znani Krechowieccy to ułani.	8 Pułk Ułanów Ósmy zdoła nam salony, Same grafy i barony.
14 Pułk Ułanów Jazłowieckich Hej, dziewczęta, w górę kiecki! Jedzie ułan jazłowiecki	23 Pułk Ułanów Grodzieńskich W boju kripkij, w miru sławnyj Dwadcatt tretij prawosławnyj.
1 Dywizjon Artylerii Konnej w Warszawie. Dzielni chłopcy, choć nicponie W pierwszym konnym dywizjonie. Dawniej był to „dak” bojowy. Teraz - kondukt pogrzebowy.	7 Wielkopolski Dywizjon Artylerii Konnej z Poznania. Jechać, jechać zaś pierunie, Siódmy „dak” ma dobre kunie. Zawsze dumny, wielkopański, To jest siódmy „dak” poznański.

2 Dywizjon Artylerii Konnej z Dubna.

Kto w brygadzie samyj tonnyj,
To wtoroj dywizjon konnyj.
Nasz dywizjon numer dwa,
Kaźda panna w Polsce zna.
Atmosfera tu jest zładna,
Ze kto strzela – ten jest z Dubna.
Kto ma w babach cały smak,
To jest z Dubna drugi „dak”.

¹⁸ M.K. Dragan, Żurawiejki kawaleryjskie, Wyd. MON Warszawa 1990.

Tuż przed wybuchem wojny armię polską zdominowało pokolenie młodych oficerów, gruntownie wykształconych, pozbawionych kompleksów. Mieli świadomość, że wojsko aby sprostać nadchodzącym wyzwaniom, wymaga przebrojenia. Byli jeszcze za młodzi, aby sięgnąć po „etaty” generalskie, decydujące o sztuce operacyjnej i strategii użycia sił zbrojnych. Do pełnej zmiany pokoleniowej zabrakło około dziesięciu lat.

Oficerowie II Rzeczypospolitej, aktywnie uczestniczyli w szybkich technologicznych przekształceniach uzbrojenia sił zbrojnych. Od lat trzydziestych nabierało ono wyraźnego przyśpieszenia. W tym czasie dokonano się wiele fundamentalnych, choć początkowo w małej skali osiągnięć. To, co widać było „gołym okiem”, zaistniało w lotnictwie. Zaczęły je zasilać eskadry samolotów PZL-37 B Łoś – jednych z najlepszych bombowców na świecie. Niestety, zbyt późno rozpoczęta produkcja seryjna, nie była w stanie zaspokoić dużego zapotrzebowania na tego typu samolot.

W artylerii niewątpliwie największym sukcesem okazało się skonstruowanie 155-milimetrowej armaty dalekosiężnej. Przeprowadzone w styczniu i lutym 1939 roku próby marszowe i strzelania doświadczalne wykazały, iż działo w pełni odpowiada stawianym warunkom. Osiągnięta donośność 27 kilometrów i stosunkowo mały rozrzut potwierdziły większe zalety tego działa niż podobnego wzorca Schneidera¹⁹.

W wojnie oficerowie II Rzeczypospolitej ponieśli ogromne straty. Spotykałem ich w wielu miejscach na drodze mojego życia²⁰. We wszystkich wypadkach prezentowali się jako godni do naśladowania wzorowi oficerowie. Dla nich niepodległa Polska zawsze była wartością najwyższą. To także dzięki nim przetrwały nasze chlubne oficerskie tradycje.

Solidnie wyszkoleni, bez trudności dostosowywali się do nowych wzorców uzbrojenia radzieckiego. Mają swój bezcenny udział w rozbudowie szkolnictwa wojskowego i przygotowaniu kadr dla powojennego rozwoju wojska polskiego.

¹⁹ K. Wyszyński, Rozwój organizacyjny, szkolenie i zasady użycia artylerii polskiej w latach 1918-1939.

²⁰ Oficerowie 84 pp i Flotylli Pińskiej oraz ppor. rez. Ignacy Rabcewicz. W zgrupowaniu partyzanckim Jeszcze Polska nie Zginęła: kpt. Czesław Baczyński, kpt. Wincenty Rożkowski. W 37 pal: ppor. Mieczysław Borkowski, plut. pchor. Jan Tyszkiewicz. W CWArt. w Toruniu: płk Bolesław Suszyński, mjr Florenty Orzeszko, mjr Józef Krzemiński, kpt. Michał Brożek, kpt. Józef Kopeć, mjr Jan Frej. W dowództwie artylerii: płk dypl. Mieczysław Oborski, płk dypl. Adam Jaworski. W Akademii Sztabu Generalnego: płk dypl. Henryk Ładoń, płk prof. Felicjan Wiśniewski.

OFICEROWIE POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ

1. Kadra oficerska okresu II wojny światowej

1.1. I Armia Wojska Polskiego

Jesienią 1942 r., po ewakuacji wojsk polskich na Bliski Wschód²¹ - wyjechało zaledwie siedem procent deportowanych - stosunki władz sowieckich z rządem generała Sikorskiego weszły w fazę ostrego napięcia. Stalin, wykorzystując „strachliwość” Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, wobec sprawy polskiej, oczekiwał tylko sprzyjającej okoliczności, aby zerwać wszelkie więzy z kłopotliwą reprezentacją zachodniego sąsiada. I oto nadarzyła się nadspodziewana okazja. **W kwietniu 1943r., rozgłoszenie niemieckie wypuszczają w świat komunikat o wykryciu na Smoleńszczyźnie, w lesie katyńskim, masowych grobów wymordowanych oficerów polskich. Dostarczają ewidentnych dowodów, iż zbrodnia została dokonana przez władze sowieckie²².**

Wstrząśnięty do głębi wiadomością, generał Sikorski zwraca się z prośbą do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Szwajcarii o „zbadanie sprawy”. Na taki „ruch”, ze zrozumiałych względów, Stalin zareagował gwałtownie i wobec opinii światowej spektakularnie. Oskarżył rząd polski o wrogą postawę wobec Związku Sowieckiego i zerwał z nim stosunki dyplomatyczne, obarczając go winą za to, co się stało²³. Od tej pory, dyktator zręcznie rozgrywa „kartę polską” w myśl własnego strategicznego scenariusza. „Na prośbę” Związku Patriotów Polskich w ZSRR zezwala na utworzenie polskich formacji zbrojnych „w celu wspólnej walki z Armią Czerwoną przeciwko najeźdźcom niemieckim”. Za ten „wspaniałomyślny gest” na łamach prasy Wanda Wasilewska - Korniejczukowa wyraziła rządowi sowieckiemu gorącą wdzięczność. Tymczasem w katastrofie lotniczej ginie generał Sikorski - jedyna wielka osobistość polska o uznanym autorytecie międzynarodowym - z opinią którego zachodni alianci jako tako się liczyli²⁴. Od tej chwili Stalin działa jeszcze konsekwentniej metodą faktów dokonanych. Bez zwłoki podnosi rangę polityczną

²¹ W. Pobóg-Malinowski, Najnowsza historia polityczna Polski, Bydgoszcz 1990, s. 249.

²² Tamże s. 280.

²³ Encyklopedia II wojny światowej, Warszawa 1975.

²⁴ Tamże, s. 307.

Związku Patriotów Polskich dla przeciwwagi rządowi londyńskiemu i tworzy „konkurencyjne” polskie siły zbrojne.

Pod dowództwem generała Berlinga, powstaje 1 Dywizja im. Tadeusza Kościuszki, a potem 1 korpus, który szybko przekształca się w 1 armię Wojska Polskiego. **Nie wnikając głębiej w zawiłości polityczne tamtego czasu i ich ocenę, jedno trzeba uznać za bezsporne: wojsko „generała Berlinga” pozwoliło olbrzymiej masie „prześladowanych” Polaków wydostać się z głębin nieludzkich warunków upodlenia i wejść na drogę nadziei na powrót do niepodległej Ojczyzny²⁵.** Z tego zasadniczego powodu nie można godzić się na żadne próby dzielenia żołnierzy polskich na mniej lub bardziej patriotycznych w zależności od ich miejsca walki na różnych frontach. Dokonują tego przeważnie młodzi powojenni autsajderzy, którzy nie mają pojęcia, w jakich warunkach wywożono Polaków na Sybir, ilu z nich zdołało ten czas przeżyć i jakim błogosławieństwem stała się dla nich armia polska na Wschodzie. Politycznie zaciętrzewieni - obiektywnie działając na szkodę interesów narodowych - „zapominają”, że to zachodni alianci, z chłodnym cynizmem, inicjatywę w sprawach polskich oddali Stalinowi. Nigdy nie zdobyli się wobec niego nawet na stonowane potępienie polityki wyniszczania narodu polskiego.

Nic w tym dziwnego, że po dokonanej zbrodni katyńskiej i po ewakuacji armii Andersa nowo formowane wojsko „wschodnie” zostało bez kadry oficerskiej. W końcu lipca 1943 r., kiedy 1 dywizja liczyła już 16 tysięcy żołnierzy, w jej składzie znajdowało się zaledwie 58 przedwojennych oficerów²⁶. Rząd sowiecki oczywiście „z otwartym sercem pomógł rozwiązać ten problem”. Do polskiego wojska skierował tysiące swoich oficerów. Generał Berling, widząc tragizm sytuacji, rozpoczął intensywne szkolenie młodych kadr, które w miarę uzyskiwania kwalifikacji miały przejmować stanowiska zajmowane przez oficerów sowieckich. Jeżeli się jednak uwzględni oficerską drogę rozwoju: od dowódcy plutonu do dowódcy dywizji, nawet w przyspieszonym tempie, to rysowała się odległa perspektywa spełnienia takiego zamiaru.

²⁵ Płk Kałaur opowiadał mi, że generał Berling zawsze na piersi nosił Krzyż Virtuti Militari. Wszyscy wiedzieli, iż otrzymał go na wojnie 1920 roku i to mu budowało u żołnierzy głębokie zaufanie. Był dowódcą powszechnie lubianym i szanowanym.

²⁶ Cz. Staciwa, Etapy rozwojowe ludowego Wojska Polskiego w 35-leciu, Warszawa 1978.

Jako były partyzant i następnie oficer 2 armii ludowego Wojska Polskiego, nie byłem świadkiem sytuacji panującej wśród oficerów 1 armii. Łatwo mi ją sobie uzmysłwić, albowiem przez wiele godzin rozmawiałem o tamtych czasach z Sybirakami, moimi kolegami szkolnymi.

A nieraz, kiedy sięgam do wspaniałej książki Kałłaura o jego 3 pułku berlińskim, oczy mi się szklą, bo w wielu miejscach odnajduję cząstkę własnego wojennego życia. Weźmy chociażby ten oto urywek:” Gdy dzisiaj posiwiali weterani opowiadają o czynach bojowych własnych i kolegów, pamiętamy, że przed ponad trzydziestu laty, zanim doszło do walk, często zziębnięci, przemoknięci, z ciężącym rynsztunkiem bojowym, przemierzali nocą i dniem frontowe drogi. Nic im nie było wtedy obce, co ludzkie: miłość i przywiązanie do bliskich, chęć życia i bojaźń przed śmiercią”.

A przecież to wszystko cierpliwie znosili, bo chcieli żyć w wolnym kraju. Są dumni, że w różnych formacjach zbrojnych 1 armii walczyli o niepodległość „Najjaśniejszej”²⁷. Byli przekonani, że ich współdział z Armią Czerwoną w walce o wyzwolenie Ojczyzny wytworzy nowe sprzyjające uwarunkowania dla przyszłej normalizacji stosunków z naszym wielkim, groźnym sąsiadem wschodnim. Nie byli politykami, ale intuicyjnie wyczuwali, że bierne oczekiwanie na „nowego generała Andersa” prowadzi donikąd. Taki sam pogląd reprezentują obecnie liczni kombatanci, z którymi spotykam się na zebraniach byłych żołnierzy zawodowych.

Organizacyjnie armia polska tworzona była na modłę radziecką. Wszechobecny aparat polityczny rozpoczął intensywną indoktrynizację ideologiczną - polityczną, zohydzał „przedwojenne państwo burżuazyjne i jego nieudolny tchórzliwy rząd”. Wojsko jednak bez reszty sercem było oddane Ojczyźnie. Bolesne doświadczenia „sybirskie”: zakłamanie władzy, donosicielstwo, bezwzględność aparatu przemocy, krasomówcza agitacja, nauczyło ostrożności w wyrażaniu swoich myśli i „chowania się w sobie”. Nikt nie tracił nadziei, iż wyzwolenie Ojczyzny jest tylko kwestią czasu. A kiedy nadeszła potrzeba walki: pod Lenino, podczas

²⁷ Płk Mikołaj Kałłaur, bohater bitwy pod Lenino. Brawurowy dowódca kompanii piechoty. Ciężko ranny. Odznaczony Krzyżem Grunwaldu III klasy i Krzyżem Walecznych. Historyk. Autor książki – Trzeci Berliński Pułk Piechoty, Wyd. MON, 1977.

Płk Kazimierz Burczak, nawigator. Uczestnik wielu walk powietrznych Ludowego Lotnictwa Polskiego. Odznaczony Krzyżem Walecznych.

Płk pil. Edward Chromy, jeden z nielicznych uczestników walk powietrznych nad Berlinem w 1945r.

okazywania pomocy powstańcom warszawskim, przełamywania Wału Pomorskiego, uczestnictwa w krwawej bitwie o Kołobrzeg i Berlin, oficerowie 1 armii spisywali się mężnie, zawsze na czele swoich żołnierzy. Rosjanie, występujący w polskich mundurach, też zachowywali się dzielnie.

Generalnie rzecz ujmując, współzycie kadry polskiej z oficerami Armii Radzieckiej układało się poprawnie. Nie ulega jednak wątpliwości, że liczebna dominacja oficerów rosyjskojęzycznych i ich usytuowanie na wszystkich ważniejszych stanowiskach dowódczych i sztabowych wywoływały ujemny wpływ na samopoczucie oficerów polskich i nastroje żołnierskie. Upływ czasu, w miarę jak ze szkół oficerskich napływał element polski, powoli zmieniał ten niekorzystny obraz. Odbywało się to głównie na szczeblach najniższych - dowódców plutonów kompanii - jednak oddziaływało silniej, niżby to wynikało z relacji statystycznych. Problem adaptacji Rosjan w nowych dla nich warunkach nie był bynajmniej sprawą łatwą. Bariera językowa, odmienność tradycji i kultury narodowej, brak organizacji partyjnych, oficjalnie aprobowane obrzędy religijne onieśmiały Rosjan, hamowały ich aktywność, a z drugiej strony stanowiły oczywisty atut oficerów polskich. Stąd wokół nich tworzyła się atmosfera swojskości i żołnierskiej więzi narodowej.

1.2. II Armia Wojska Polskiego

2 armia została pośpiesznie zorganizowana jesienią 1944 roku, na rdzenie polskich terenach, w rejonie Siedlec, Białystoku i Rzeszowa. W przeciwieństwie do 1 armii Wojska Polskiego, która operacyjnie podlegała dowództwu 1 Frontu Białoruskiego, 2 armia pod każdym względem była podporządkowana Naczelnemu Dowództwu Wojska Polskiego²⁸. Braki kadrowe nie odbiegały daleko od sytuacji panującej w 1 armii, ale od samego początku miała w sobie więcej nasycenia elementem polskim, więcej „polszczyzny”.

Armię zasiliły setki oficerów z konspiracji i oddziałów leśnych AK, BCh, AL oraz z dużego zgrupowania partyzanckiego „Jeszcze Polska nie zginęła”²⁹. Kilka

²⁸ Płk dr K. Kaczmarek, Z problematyki dowodzenia 2 armią WP, *Wojskowy Przegląd Historyczny*, Lipiec-Wrzesień 1973 r., s. 254.

Płk dypl. mgr I. Błagowieszczanski, Rozważania o artylerii 2 armii WP, *Wojskowy Przegląd Historyczny*, Październik-Grudzień 1972 r., s. 256.

²⁹ Przedwojenna kadra oficerska: ppłk Władysław Narkucki, kpt. Czesław Baczyński, por. Wincenty Rożkowski, por. Zdzisław Podgórnny, ppor. (pil.) Stanisław Bogulak, ppor. (BCh) Edward Duda.

znaczących stanowisk dowódczych obsadzono nawet, jak rodzinami, oficerami przedwojennymi³⁰. To nie zmieniało faktu, że chociaż na poziomie najniższym znajdowało się wielu Polaków, dowodzenie nimi pozostawało „rosyjskie”. Gwoli ścisłości trzeba dopowiedzieć, że chociaż dowódca armii generał Karol Świerczewski przyznawał się otwarcie do polskości, podobnie jak kilka innych wysoko ustawionych osób, to praktycznie niczego to nie zmieniało. Ich styl dowodzenia pozostawał nasączony demonstrowaną „radzieckością”. Jego treść stanowiły bezwzględna brutalność, niewybredne słownictwo i utrzymywanie podwładnych w strachu. Każdemu z nich doświadczenie własnego życia przypominało, że znajduje się on pod specjalnie wyczulonym nadzorem służb bezpieczeństwa.

Wewnętrzną sytuację 2 armii znam z autopsji. Są to wrażenia zaledwie dowódcy plutonu 37 pułku artylerii, ale nie sądzę, aby daleko odbiegały od rzeczywistości. Uważnie obserwowałem to co się nasuwało w pole widzenia. Liniowa kadra oficerska w 90 procentach składała się z Rosjan. Nas, Polaków można było policzyć na palcach u jednej ręki. Komendy – zgodnie z zaleceniem – miały być wydawane tylko po polsku, stąd czuliśmy dosłownie „historyczną odpowiedzialność”, aby wśród żołnierzy panował duch polskości. **Muszę przyznać, iż większość Rosjan, tych ze stanowisk młodszych dowódców, próbowała „desperacko” uczyć się polskiego. Wykazywali dużą troskę o żołnierzy i byli przez nich lubiani. Moje doświadczenia współpracy, z oficerami radzieckimi, kiedy to dotyczy 37 pułku artylerii są bardzo pozytywne.** Właśnie tam dowódca III dywizjonu major Kaszcejew, Sybirak, nauczyciel z cywila, zdecydował się przyjąć mnie - podporucznika bez wojskowego wykształcenia - i wyznaczył na dowódcę plutonu ogniowego. Nie owijał rzeczy w bawełnę i uprzedzał:

- Budiesz rabotać, staniesz artileristom. Smotri, partizan, nie podwiedi (Będziesz pracować, zostaniesz artylerzystą. Ale uważaj, partyzancie, abyś nie zawiódł).

Później przekonałem się, że nigdy nie traktował służby w Wojsku Polskim formalnie, jako czasowej delegacji. Widział w niej swoją wielką misję żołnierza. Nakazał dowódcy baterii kapitanowi Artiemiewowi, aby „uczynił ze mnie artylerzystę”.

³⁰ Dowódca 5 DP, płk Stanisław Kupsza, Dowódca 7 DP, płk Mikołaj Prus-Więckowski.

W przeciągu czterech miesięcy przeszedłem intensywne szkolenie teoretyczne, brałem udział w codziennych treningach artyleryjskich, ostrych strzelaniach, nawet z dokładnym przygotowaniem balistycznym. Na froncie nie miałem żadnych kłopotów z wykonywaniem obowiązków dowódcy plutonu ogniowego i plutonu dowodzenia. Czułem się równorzędnym partnerem wobec podobnie usytuowanych oficerów rosyjskich.

Major Iwan Kaszczejew skupiał w sobie zalety świątłych Rosjan, wielkich przyjaciół Polski. Nie marnował czasu i już do grudnia 1944 roku opanował język polski. Trafnie ocenił, że będzie on kluczem otwierającym mu żołnierskie serca. Pamiętam, że na punkcie mowy ojczystej byliśmy diabelnie wyczuleni. Kaszczejew próbował wymusić, aby wszyscy Rosjanie mówili po polsku, ale to mu się nie udało. Niektórzy, jak mój dowódca baterii kapitan Walery Artiemiew i dowódca plutonu porucznik Grigorii Gonczarow, przejawiali antytalent do języków. Po nieudanych próbach nauki, obaj szybko się zniechęcili i w sytuacjach „bez wyjścia” potrafili wydusić z siebie tylko kilka najprostszych zdań. Artiemiew, kiedy stawał przed dowódcą dywizjonu, zaczynał meldunek po polsku, a potem wszystko mu się przekręcało: „Obywatelu majorze, melduju posłuszno, siódmu batereju w połnoj bojowej gotowności”. Nie był to jednak żaden problem. Ja znałem rosyjski z pińskiej dziesięciolatki, a i żołnierze dobrze go rozumieli. Wielu z nich pochodziło z za Bugu.

Bateria liczyła siedemdziesiąt osób o dużej rozpiętości wieku: od dziewiętnastu do pięćdziesięciu lat. Rodziny większości żołnierzy, podobnie jak moja, pozostały na wschodnich terenach II Rzeczypospolitej. Do tamtych stron ulatywały myśli pełne tęsknoty i niepokoju. Pomimo intensywnych zajęć politycznych, w sprawach granic ujawniały się ostre polemiki. Czynniki emocjonalne górowały nad „racjami” wielkiej polityki.

Pomiędzy oficerami polskimi i radzieckimi nieraz dochodziło do ostrych sporów i polemik w sprawach Kościoła, prywatnej własności, tolerancji wobec różnych ugrupowań politycznych. Z biegiem czasu „stępieł się” ich radykalizm i obserwowano się postępującą konsolidację młodszej kadry oficerskiej, wynikającą ze świadomości, że razem będziemy walczyć i razem umierać. Bliska perspektywa frontu usuwała na dalszy plan bieżące kontrowersje i wszystkich cementowała.

Nawet wydawało się całkiem naturalne, że w każdą niedzielę Rosjanie, w polskim umundurowaniu, powadzili swoje pododdziały do kościoła.

1.3. Oficerowie radzieccy

Rosjan szanowałem za ich sprawny profesjonalizm - dodatkowo jeszcze wzmocniony doświadczeniem walk frontowym - za szybką adaptację do zmiennych warunków sytuacyjnych i odporność na trudy związane z realizacją napiętych zamierzeń szkoleniowych, przed wymarszem na front. **Dowódca baterii i dowódca dywizjonu byli osobnikami wymagającymi i sprawiedliwymi.**

Na treningach ogniowych, kiedy major Kaszcejew stwierdził, iż zaczynam dorównywać oficerom dywizjonu, nie szczędził mi pochwał, dopingował do pracy. Co dwa tygodnie osobiście dokonywał sprawdzianów umiejętności ogniowych kadry dywizjonu. Jeżeli wyniki go satysfakcjonowały, wówczas przywoływał adiutanta i polecał mu - Zdzisław przynieś garafin. Każdemu z obecnych nalewał z karafki porządną szklankę samogonu i opróżnialiśmy ją pod wzniosły toast „za pobiędu”. Atmosfera się rozluźniała, następował czas wspominek, ploteczek, obgadywania słabości innych dywizjonów. Oczywiście, nasz był najlepszy.

Nie zawsze było tak „anielsko”. Niektórzy z Rosjan lubili sobie porządnie popić na uboczu, a będąc „płciowo wyposzczeni”, kiedy zjawiali się w swoich kwaterach - zamieszkiwali w domach rodzin polskich - wobec kobiet zachowywali się agresywnie, nie kryjąc wcale swoich seksualnych zamiarów. Awanturnikiem numer jeden okazał się szef sztabu dywizjonu kapitan Fieoksyn Bondariow. Przerażone kobiety nieraz uciekały do nas, prosząc o ratunek i wówczas trzeba było go zdecydowanie „obezwładniać”. Zawsze nosił radziecki mundur i w stanie zamroczenia ryczał jak bawół. Nigdy nie ważył się na żadne oficjalne skargi, ani przenoszenia konfliktu na grunt „antyradzieckości”, bo wiedział, iż nie znajdzie posłuchu u dowódcy dywizjonu. Suszyło go równomiernie pod koniec każdego tygodnia. Dodam jeszcze, że przy „groźniejszych” zatargach z Rosjanami, żołnierze stawali murem po stronie oficerów polskich.

Drugie miejsce w opilstwie, o całkowicie innym podłożu, zajmował szef łączności dywizjonu podporucznik Sergiusz Bielow. Ten, nosił w sobie jakieś głęboko ukryte urazy, bo wódka wyzwalała w nim ogromne ilości łez. Siedząc, opierał się na

łokciach i płakał jak bóbr. W 1946 roku, kiedy dołową warstwę radzieckich oficerów odsyłano „na rodzinę”, Biełow wszelkimi sposobami próbował pozostać w Polsce. Wystąpił nawet o obywatelstwo. Niestety, zmuszono go wyjechać i ślad po nim zaginął. Wielu oficerów z 37 pułku artylerii utrzymuje z nami - polskimi oficerami - długoletnią łączność korespondencyjną. Do mnie stale pisywał kapitan Kaszcejew, aż do śmierci w 1986 roku. Gdyby nie on, nie miałbym szans dostać się do upragnionej „elity” artyleryjskiej. Musiałbym w wojsku kontynuować swoje partyzanckie saperskie rzemiosło - zakładać i rozbrajać miny.

Kapitan Artiemiew, podobnie jak pozostali oficerowie, po odwołaniu został zwolniony do cywila i zamieszkał w Kazachstanie. Ciężko ranny, schorowany, klepie biedę nad biedami. W swoich listach pobyt w wojsku polskim wspomina jako najpiękniejszy czas życia. Pisząc do mnie, z goryczą rozmyśla: „Czesław, ja wojewałem w wojsku polskim, wojewałem za oswobodzenie Polacy. Posowietuj, jak by mnie połączyć pomoszcz iz Ministerstwa Oborony?”. Cóż mogę mu poradzić. Od czasu do czasu wysyłam na jego adres lekarstwa. Inny Rosjanin, porucznik Jurij Bierozin, przez wiele lat w Riazaniu był przewodniczącym przyjaźni radziecko-polskiej. Serdeczne listy otrzymuję od pułkownika rezerwy Dmitra Puzia. **Odnoszę wrażenie, iż mając w Rosji duże pro polskie „oficerskie zaplecze”, nie potrafiliśmy go wykorzystywać, do budowania silnych dobrosąsiedzkich pomostów ku przyszłości. Postępujemy niedojrzałe i krótkowzroczne.** Na dowód tego powołam się na jeszcze jeden list z Moskwy od Puzia. Kiedy na początku lat pięćdziesiątych zmarł były podporucznik Mikołaj Łomow - przed śmiercią generał brygady w stanie spoczynku - pułkownik Puż powiadomił o tym polskiego attache wojskowego z myślą, iż ten przesłał rodzinie zmarłego kondolencje i być może swoją obecnością zaszczyli pogrzeb. Niestety, nic podobnego nie zaistniało. Nie wiem, czy to znak tchórzostwa, bo skołowany politycznie i „wystraszony” attache, nie odważył się na żaden dyplomatyczny gest, który byłby „po wsze czasy” z wdzięcznością odnotowany w rodzinie zmarłego. Notabene, jaka gorycz u tych przyjaznych ludzi pozostanie w umysłach na wspomnienie Polski, można sobie „dośpiewać”.

1.4. Frontowe perypetie

Druga armia, pośpiesznie sklecona z najbardziej różnorodnego ludzkiego elementu w czasie sześciu miesięcy, dzielnie zdała krwawy egzamin frontowy. Mogę tylko domniemywać - na podstawie „nerwowego” przerzucania jej na odległe od siebie, różne kierunki operacyjne - że początkowo wraz z pierwszą armią miała utworzyć silną „pięść polską” pod Berlinem. Z Siedlec, przez zgruzowaną Warszawę – dwa tygodnie spełnialiśmy funkcje ochronno-wartownicze objadając się melasą wydobywaną z ruin fabryki Wedla – piękny Toruń, Bydgoszcz, Nakło, Piłę, Ogardy i kiedy już „zapachniało” Berlinem, nagle skierowano nas na południe. Sądzę, iż „stawka” – naczelne dowództwo armii radzieckiej doszło do „słusznego” wniosku, że dla historii byłby to zbyt zaakcentowany udział Polaków w operacji berlińskiej.

Potem miało być wyzwalenie Wrocławia. Dobrze pamiętam ten słoneczny kwietniowy dzień, kiedy stałem na punkcie obserwacyjnym i wcinałem cele, przekazywane nam przez Rosjan. To też nie uzyskało „politycznej” aprobaty, bo wyzwolenie słynnego miasta - twierdzy warto było zapisać na konto armii radzieckiej. Ku naszej rozpaczycy – proszę mi wierzyć w moją szczerłość – obawialiśmy się, że umknie nam szansa uczestniczenia w prawdziwej frontowej wojaczce, w dobijaniu butnego hitleryzmu. Po raz drugi zostaliśmy zwinięci i jak „armia widmo”, nocami ruszyliśmy na Zachód. Przez Oborniki Śląskie, Legnicę, Bolesławiec – nawet mi przez myśl nie przeszło, że kiedyś tu powrócę i jako dowódca brygady rakiet, wyniosę z tego uroczego miasteczka najpiękniejsze wspomnienia - aby wreszcie zakończyć swój 1000-kilometrowy marsz nad Nysą Łużycką. Dziesiątego i jedenastego kwietnia odbyło się luzowanie 13 armii radzieckiej, a niedługo potem, 16 kwietnia, włączona w potężne siły radzieckie, druga polska armia rozpoczęła udział w operacji łużyckiej³¹. Osłaniała południowe skrzydło 1 Frontu Ukraińskiego, nacierającego na Berlin. Na kierunku „mojej” ósmej dywizji piechoty, zgrupowanych zostało 250 dział i moździerzy na każdym kilometrze frontu. Ponad dwugodzinna kanonada „demolowała” niemieckie okopy burzą ognia i otworzyła nam drogę do wymarzonego odwetu. W zamiarze radzieckich strategów, miało to być zadanie drugorzędne i marginalne. Los chciał inaczej.

³¹ Mała Kronika Ludowego Wojska Polskiego 1943-1973, Wyd. MON, 1975, s.182.

21 kwietnia, kiedy wojska drugiej armii znajdowały się prawie u wrót Drezna, od południa, na tyły armii, zostało wykonane zaskakujące uderzenie zgrupowania pancernego feldmarszałka Schórnera³². Całkowicie zawiodło sojusznicze rozpoznanie frontowe i strategiczne. Trzem czołowym polskim dywizjom groziło odcięcie i pełna izolacja. W takiej niebezpiecznej sytuacji armia została zmuszona szybko wycofać się w rejon Budziszyna. Rozgorzały zacięte walki, bo Schórner nie miał innej alternatywy: Zgodnie z rozkazem musiał się przebijać do Berlina, aby ratować Hitlera i stolicę. Skoncentrowane uderzenie jego czołgów i lotnictwa czyniło zastraszające spustoszenie. Rozbita piąta dywizja piechoty utraciła zdolność bojową, a wzięty do niewoli jej dowódca Rosjanin generał Aleksander Waszkiewicz został bestialsko zamordowany. W opanowanych szpitalach polowych, Niemcy bezpardonowo rozstrzelali setki rannych żołnierzy. Cała artyleria, z armijną włącznie, rozwinięta na kilku głębokich rubieżach strzelała na wprost.

26 kwietnia, główne ognisko walk znalazło się w obrębie obrony 8 dywizji piechoty. W pewnym momencie, aż trudno uwierzyć, tu ważyły się losy całej operacji armijnej³³. Zahartowane w wojnie, upancernione dywizje Schórnera atakowały z furją, ale ponosząc duże straty, powoli traciły na impecie. Siódma bateria, samotnie rozwinięta na obrzeżach Cóln, desperacko odpierała kolejne fale czołgów. W ciągu jednej doby straciła 16 osób w zabitych i rannych. **Spośród oficerów, w jednakowym stopniu ginęli Polacy i Rosjanie. Sto metrów ode mnie, bez mała na moich oczach, wybuch pocisku rozszarpał porucznika Gonczarowa. Ja też porządnie „oberwałem”, ale za ten gorący czas, otrzymałem Krzyż Virtuti Militari, który pozostaje dumą całego mojego życia.**

W okresie wojny, radzieckich oficerów w Wojsku Polskim podzieliłbym na dwie warstwy. Pierwsza, to oficerowie młodszy, których oddziaływanie polityczne było znikome. Zbratani z Polakami, oszołomieni uprzywilejowanym traktowaniem, większym luzem życia niż „w rodzinnym sojuszu”, szybko zostali odwołani i jako element „opolaczony” bezpardonowo zwolnieni. W ich sercach pozostał głęboki sentyment do Polski. Warstwę drugą, tworzyli oficerowie starsi i generałowie. Posługiwali się tylko językiem rosyjskim. Czując się bezkarni, z całą bezwzględnością wnosili do polskiego wojska arogancki i ponizający podwładnych

³² Tamże s. 183.

³³ Tamże

styl dowodzenia. Realizowali zamiary swojego rządu i partii. Ich negatywny wpływ na wewnętrzne życie wojska i politykę personalną był długotrwały. Pozostawił przez lata odczuwalne skutki.

2. Dzieje powojenne oficerów

2.1. Lata represji (1944 – 1955)

Pierwsze powojenne lata kadry oficerskiej układały się różnie. Chociaż znam je z autopsji, wiem, jak trudno jest je obiektywnie scharakteryzować. Tuż po froncie, trzeci dywizjon 37 pułku artylerii, w którym ciągle jeszcze byłem w siódmej baterii dowódcą plutonu, został skierowany do Baligrodu. Mieliśmy bronić miasteczko przed atakami ukraińskich sił powstańczych, zwanych uprzednio bandami. Były one dobrze uzbrojone i przejawiały dużą aktywność bojową. W niektóre noce, dywizjon wykonywał ogień zaporowy lub prowadził ogień na wprost, z nie mniejszą intensywnością, jak na froncie. Poległo tam wielu Ukraińców, ale i po naszej stronie byli ranni i zabici, głównie szeregowi żołnierze i podoficerowie. Początkowo - tak jak na froncie - dziewięćdziesiąt procent obsady kadrowej stanowili Rosjanie, ale coraz głośniej mówiło się o ich wyjeździe. Zresztą, z zachowania widać było, że starają się maksymalnie umilić sobie ostatnie chwile wykonywania historycznej misji w „wojskie polskom”. Być może w podobnej sytuacji postępowalibyśmy analogicznie. Na bimbier zamieniali przeróżne wojenne trofea i codziennym libacjom nie było końca. Nie tylko ja obserwowałem z dezaprobatą masowy ubój dywizjonowych zapasów bydła trzody chlewnej. Kiedy więc nadszedł oficjalny rozkaz o dacie wyjazdu wszystkich Rosjan, z wyjątkiem dowódcy pułku, zostałem chwilowo wyznaczony na stanowisko pełniącego obowiązki dowódcy dywizjonu. Oczywiście, motywowany „intereseм narodowym”, natychmiast sprzeciwiłem się uszczuplaniu stanu pogłowia zwierząt, czym boleśnie poczuł się dotknięty „mój dobroczyńca” kapitan Kaszczew. Muszę się przyznać, że z trudem udało mi się go obłaskawić.

Późną jesienią zostałem przeniesiony do Dębicy na stanowisko szefa sztabu drugiego dywizjonu, pod dowództwem porucznika Mieczysława Borkowskiego. Był to żołnierz w każdym calu. Osobowość rubaszna, wylewna, do ostatniego „paznokcia” oddana wojsku. Atmosfera nasycona polskością, powoli czyniła życie coraz bardziej unormowanym, podporządkowanym potrzebom służby pokojowej. W pułku zaczęły

pojawiać się przeróżne komisje badające stan nastrojów, zakwaterowania, wyżywienia, szkolenia. Wszelkie potrzeby gospodarcze musiały być załatwiane własną pomysłowością i odpowiednim oddziaływaniem na cywilne władze administracyjne. **Nasze kłopoty nikogo nie interesowały. Na szczęście, porucznik Borkowski, jako dowódca garnizonu, miał wystarczające uprawnienia, aby nakłonić cywili do „patriotycznych” świadczeń na rzecz wojska.** Błogostan Dębicy czynił mylne wrażenie, iż armia zostanie pozostawiona na uboczu wielkiej politycznej batalii o kształt państwa.

2.2. Centrum Wyszukolenia Artylerii w Toruniu

Pod koniec 1945 roku, zostałem skierowany do Centrum Wyszukolenia Artylerii w Toruniu, na półroczny kurs przeszkolenia szefów sztabów dywizjonów adiunktów. Sytuacja życiowa - oderwanie od rodziny, brak mieszkania jakichkolwiek środków utrzymania - „skazywała mnie” na karierę wojskową. Nie widziałem innego rozwiązania. Zdawałem sobie sprawę, że powinienem wykorzystać każdą okazję, do wzmocnienia mojego przygotowania teoretycznego, będącego fundamentem umiejętności ogniowych każdego artylerzysty.

Toruń okazał się pięknym miastem, nasyconym dorodnymi dziewczynami atmosferą artyleryjskiej tradycji. Po drugiej stronie Wisły oczekiwał rozległy poligon, założony jeszcze w czasach przednapoleońskich, który „przeegzaminował” wiele generacji oficerów pruskich i artylerii drugiej Rzeczypospolitej. Szkolenie zainaugurowało przemówienie komendanta Centrum, generała brygady Stanisława Grochoczyńskiego, człowieka o eleganckiej prezencji i nieukrywanej dumie narodowej. Z jego częstym udziałem, w klubie na ulicy żeglarskiej, odbywały się sobotnie bale oficerskie. Chętnie przychodziły na nie, zapraszane z różnych szkół, ogniste torunianki, same albo pod opieką swoich nauczycielek. Magnesem byli dojrzały kawalerowie i atmosfera oficerskiego „szyku”. **Nigdy wówczas nie widziałem pijanego oficera. Bale zawsze rozpoczynał staropolski mazur lub słynny polonez Ogińskiego.** Nie było z tym żadnego kłopotu, bowiem na całym kursie, liczącym 145 słuchaczy, jedną trzecią stanowili oficerowie przedwojenni. Wszyscy przybyli wprost z niemieckich oflagów. Pozostałą brać, tworzyła młodsza

generacja wojennego chowu „ludowego” – żołnierze i partyzanci. Byłem jednym z nich.

Szybko przyswajaliśmy sobie manieri przedwojennych zachowań. Naśladowaliśmy starszych wiekiem kolegów. Przy wchodzeniu na sale kasyna oficerskiego, przyjmowało się zasadniczą postawę i skłonem głowy, oddawało się szacunek dla osób tam przebywających. O ile sobie przypominam, już w latach sześćdziesiątych, wszystkie te „burżuazyjne” naleciałości, pod presją wychowania partyjno-politycznego, zostały w wojsku „wytrzebione”.

Zajęcia, o mocnym podkładzie profesjonalnym, kończyły się poligonowym sprawdzianem na ćwiczeniach taktycznych z użyciem olbrzymiej ilości ostrej amunicji. Wykładowca instrukcji strzelania major Józef Krzemiński, przedwojenny specjalista z tej dziedziny, budził postrach i szacunek. Kiedy przykładał do oczu lornetkę, wydawało się, że już w trakcie lotu pocisku potrafi ocenić jego odchylenie od celu. W tej sztuce, nie miał sobie równych. Utkwiła mi w pamięci jego bezbłędna znajomość poligonu. Kiedy stawał na punkcie obserwacyjnym, jego twarz doznawała przeobrażenia. Było widać, że zwolna opuszcza go pobłażliwy uśmiech i staje się tylko kierownikiem strzelania. To było jego życiową pasją. Nawet w oflagu – jak się nam zwierzał – gdzie wszystko napawało przygnębieniem, były koła aktywnych artylerzystów.

Na kursie, nasycenie programu treściami politycznymi, nie budziło awersji. Jednak do znudzenia powtarzała się teza o najkrótszej drodze do wolności od Lenino do Berlina, przekonywanie nas do „wiecznej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim” przeciwstawianie dynamicznego socjalizmu - zgniłemu kapitalizmowi. Oficerowie przedwojenni, szybko się dopasowywali do nowych politycznych trendów, słusznie oceniając, iż jakiegokolwiek przeciwstawianie się tym prawdom, może pozbawić ich chleba. Poza tym, wszyscy mieliśmy świadomość, że Polska nie ma żadnych szans „oderwania się od radzieckiej przyjaźni”. Świącie wierzyliśmy, że socjalizm szybko wydobędzie Polskę z wojennej zapaści i okaże się ustrojem sprawiedliwym, o równych szansach dla biednych i bogatych.

Byliśmy pierwszym wojennym pokoleniem, przeświadczonym, iż dobrze spełniliśmy swój patriotyczny obowiązek wobec Ojczyzny i szczęśliwi, że cało wyszliśmy z tej krwawej zawieruchy. Nasza młodość zakotwiczona była w Drugiej Rzeczypospolitej. Potem w czas wojny i okupacji, los każdego poprowadził różnymi

ścieżkami. Jednych wpakował do oflagów, pozostałych zagonił do syberyjskich lasów, do partyzantki zabarwionej „zachodnio lub wschodnio”, do powstania warszawskiego albo do frontowych zmagani pierwszej i drugiej armii. A teraz, siedzieliśmy w jednej szkolnej klasie, napełnieni radością życia, dumni ze swojej artyleryjskiej profesji. Jak jeden mąż sprawiliśmy sobie eleganckie rogatywki prawdziwe błyszczące oficerki z usztywniaczami. Z optymizmem spoglądaliśmy w „kolorową” przyszłość. Pod koniec każdego tygodnia, w toruńskich restauracjach roiło się od oficerów.

Problemy wielkiej polityki nie dotykały nas bezpośrednio, ale wyczuwało się, że wojsko podlega szczególnej obróbce ideologicznej. Niemal codziennie słuchaliśmy wykładów o dziesięciu stalinowskich operacjach, które doprowadziły do ostatecznego zwycięstwa w drugiej wojnie światowej. Początkiem tej serii był wykład o rozpadzie burżuazyjnej Polski, o wyzwoleniu ziem zabużańskich przez armię czerwoną i „wiarołomnym” napadzie Hitlera na ZSRR. Większość oficerów, znało te sprawy z całkowicie innej strony. Radzieckie „wyzwolenie” zrujnowało im normalne życie, pozbawiło rodziców, wyгнаło z domów do syberyjskich kopalń i lasów. Nikt jednak nie próbował dotykać swojej bolesnej przeszłości, ani wydobywać tej śliskiej tematyki na forum dyskusji. Panowało zgodne, wykalkulowane milczenie. Przeszłość, nie pasująca do socjalizmu, pozostawała skryta w sercach i własnych myślach. Zakodowane doświadczenia nakazywały ostrożność. Czasami, mówiło się o nich półgębkiem w gronie najbliższych kolegów i przyjaciół. Jednocześnie, stała indoktrynacja nie mijała bez śladu. Chciało się wierzyć w dobroć socjalizmu, bo przedwojenna Polska też niosła w sobie duże brzemienie biedy i niesprawiedliwości.

Toruńskie Centrum Wyszakolenia Artylerii zapisało piękną kartę w powojennej historii wojska. Było to niepowtarzalne miejsce, nasycone oficerami wielkiej klasy, mającymi świadomość, że odrodzona Ojczyzna wymaga ofiarnej pracy. Nawiązane kontakty z uniwersytetem toruńskim, bardzo szybko zaowocowały wzrostem poziomu dydaktyki.

„Mini poligony” – terenowy i morski – pozwalały słuchaczom doskonalić umiejętności w kierowaniu ogniem baterii, dywizjonu i brygady. Potem następowały ćwiczenia bojowe na trudnym, przestrzennym poligonie. Duże przydziały amunicji dawały szansę uczestniczyć w prawdziwym przygotowaniu i wsparciu ogniowym,

a następnie wykonywać przeróżne manewry taktyczne, z wielokrotną zmianą ugrupowania bojowego. A ponieważ czas był ograniczony, nie było to łatwe.

Toruński poligon, od „wieków” zbratany z artylerią, zalicza się do modelowych, niespotykanych w Europie. Dwie równoległe drogi terenowe – Warszawska i Wudecka, mocno zalesione, służyły do manewru „Północ – Południe”, a cała masa wzgórz: Popiołowa, Orla, Chrobrego, Batorego, Sypka, Długa, Jelenia, Rosyjska Przednia i Tylna oraz Dziwak, dawały nieograniczone możliwości wykonywania przeróżnych kombinacji ognia. Oficerowie, którzy wyszli obronną ręką z tej „wyższej szkoły artyleryjskiej jazdy”, mieli otwartą drogę do wszystkich stanowisk dowódczych w wojskach i w sztabach³⁴. Przez całą służbę szli z podniesionym czołem, „namaszczeni” autorytetem „Cewuartu” – (Centrum Wyszakolenia Artylerii). Jestem pewien, iż przy mądrej promocji wśród wojsk NATO, toruński poligon – podobnie jak drawski – mógłby z całej Europy przyciągać jednostki artyleryjskie i stanowić pokaźne źródło dopływu pieniędzy. Pobliskie miasto Toruń, uatrakcyjniałoby pobyt w Polsce.

Ćwiczenia poligonowe CWArt. przebiegały w rytmie frontowej dynamiki,, uwzględniając „świeże jeszcze” doświadczenia wojenne. Zawsze miały „wplecione”: strzelania dzienno–nocne, użycie lotnictwa, rozpoznanie za pomocą baterii dźwiękowych, bogatą rozbudowę inżynieryjną, pozorację działań nieprzyjaciela, skryte zajmowanie punktów obserwacyjnych, pełne maskowanie sprzętu i ludzi, przenikanie zwiadowców w ugrupowanie przeciwnika. Na każdym kroku, zdarzały się epizody o „frontowym zapachu”.

Wszystkie dokumenty zawierały elementy współdziałania na kanwie taktyki ogólnowojskowej³⁵. Programy, zlecane przez dowództwo artylerii, opracowywała kadra Centrum Wyszakolenia, równoważąc teorię z praktyką. **Po kilku latach, z wielką krzywdą dla całej artylerii, Cewuart został rozwiązany. Kiedykolwiek jestem w Toruniu, jakieś magiczne fluidy ciągną mnie w tamto miejsce, skąd**

³⁴ Generałowie: Ignacy Szczęsnowicz, Tadeusz Tuczapski, Czesław Czubryt-Borkowski, Jerzy Skalski, Władysław Mróz, Leon Sulima, Stanisław Żak, Czesław Dęga. Pułkownicy: Edward Besen, Marian Wojciechowski, Igor Błagowieszczanski, Kazimierz Chodelski, Ciechanowicz, Mieczysław Ciepelski, Jan Furman, Krzysztof Aleksandruk, Kazimierz Gocyła, Kazimierz Gorczyca, Jerzy Grabiec, Mieczysław Góral, Zdzisław Grenda, Zdzisław Grzejszczak, Izidor Hachulski, Jan Kaliszek, Grzegorz Lisowski, Bolesław Morawski, Tadeusz Riss, Walenty Romanowski, Stanisław Waluszkiewicz, Roman Welc, Jan Węgrzyn, Jan Wiśniewski, Kazimierz Zielak, Marian Wołoszczak, Stefan Olszewski.

³⁵ Pułkownicy – Kazimierz Jarmuliński i Marcin Kuś, określają edukację w CWArt., jako niezapomnianą szkołę solidnego przygotowania do kariery wojskowej. Było tam „rzemiosło z fantazją”.

zianie smutkiem i pustką. Jedna nieprzemyślana decyzja – w imię obłądnej reorganizacji – pogrzebała wielki polski dorobek wojennego pokolenia oficerów, uskrzydłonych patriotyczną ambicją³⁶. Przy tej „okazji”, bez żadnego uzasadnienia, zwolniono kilku przedwojennych oficerów. Ich emerytura - pułkownik Bolesława Suszyński był jedną z ofiar tej politycznej decyzji – na skutek inflacji, z każdym miesiącem stawała się coraz „starszym portfelem” i wprowadzała tych zasłużonych dla wojska ludzi w stan nędzy. A przecież ta krzywda dotknęła wielu.

Pobyt w toruńskim Centrum Wyszkozenia Artylerii, pozwalał się zorientować dokąd zmierza polityka kadrowa wojska. Przede wszystkim, wbrew faktom, ujemnie była charakteryzowana kadra wojskowa armii przedwojennej. Przyklejano jej etykietkę pochodzenia ziemiańskiego i z bogatej burżuazji, a więc wrogię wobec socjalizmu. Tymczasem w moim otoczeniu doliczyłem się ośmiu takich „osobników”. Wszyscy wywodzili się z najzwyczajniejszych rodzin chłopskich. Pamiętam zaledwie kilku z nich: majora Florentego Orzeszko, kapitanów - Michała Brożka i Józefa Kopcia, majorów Jana Freja i Józefa Krzemińskiego wzorowych, oddanych służbie oficerów. Daleko później, z historycznych wydawnictw dowiedziałem się, że w 1939 roku, prawie 70 procent oficerów wywodziło się z rodzin chłopskich i robotniczych. Natomiast w czasach „władzy ludowej”, dominowali oficerowie z rodzin inteligenckich. Czyli, dopuszczano się najzwyczajniejszej manipulacji na użytek bieżących potrzeb gry politycznej. Niechętny stosunek do Armii Krajowej, też nie wróżył łatwej drogi oficerom pochodzącym z tej formacji, stąd wielu z nich świadomie ukrywało swoją „podziemną” przeszłość.

2.3. Akademia Artylerii w Moskwie

W czerwcu 1946 roku rozstałem się z grodem toruńskim, urzeczony pięknem miasta, przez które maszerowałem na front z drugą armia Wojska Polskiego. Umocniony w teorii i praktyce artyleryjskiej, z optymizmem startowałem do dalszej służby. I oto, jak przysłowiowej ślepej kurze ziarno, nadarzyła mi się szansa wyjazdu do Rembertowa na kurs przygotowawczy do egzaminów w akademii artylerii w Moskwie. Nie była to decyzja łatwa, jako że studia miały trwać ponad cztery lata. W moim własnym interesie – chociaż już założyłem rodzinę -podjąłem to wyzwanie.

³⁶ Wiele faktów przypomniał mi dawny kapitan, a obecnie pułkownik Kostański.

W Rembertowie zastałem duże zgrupowanie oficerów, wśród których był tylko jeden reprezentant armii przedwojennej, kapitan Jan Maruszyński. Natomiast, duży odsetek stanowili oficerowie pochodzenia polskiego, obywatele radzieccy. Jak się potem okazało, już po pierwszym roku nauki zamienili umundurowanie i odeszli do rdzennych grup radzieckich. Sądzę, że doświadczenie życiowe im podpowiadało, aby nie angażować się w niebezpieczną polskość.

Po toruńskim przeszkoleniu, Rembertów wydłużył moje przygotowanie teoretyczne i „uzbroił” w poczucie pewności. W grupie artyleryjskiej dominowała matematyka, fizyka i język rosyjski. Przynajmniej raz w tygodniu musieliśmy od nowa pisać swoje życiorysy które, jak nie trudno się było domyśleć, były skrupulatnie porównywane i zapełniały teczki informacji wojskowej. Podobnie jak pozostali koledzy, stale powieliałem pierwowzór.

W ostatecznym rozrachunku, po wstępnych egzaminach, do macierzystych jednostek zostali odesłani oficerowie z ocenami niedostatecznymi i ci, u których na drogach życiorysu znajdowały się podejrzane odcinki „zabłocone”. Pamiętam, że wśród „niepewnych” znalazł się mój toruński kolega, zdolny oficer pochodzenia żydowskiego, kapitan Marek Klibański. W 1968 roku, będąc już w stopniu pułkownika, wraz z wieloma innymi oficerami wyemigrował do Szwecji.

W Moskwie, zostaliśmy rozlokowani w ogromnym kompleksie budynków Akademii Artylerii imienia Feliksa Dzierżyńskiego, tuż nad brzegiem rzeki, w niedalekim sąsiedztwie Kremla. W czasach carskich, mieścił się tam internat i szkoła dla szlachetnie urodzonych panien - „błagorodnych dziewic”. Na czterech kondygnacjach, ponuro przyciemnione, typowo klasztorne korytarze, tworzyły niekończący się labirynt zakrętów, różnych przejść, uskoków, stromych schodów. Nieraz zastanawialiśmy się, jak te biedne dziewczęta musiały się tam „hartować”.

Polska grupa kierunku dowódczego i inżynierskiego, licząca dwanaście osób, otrzymała jedną obszerną salę, w której zostaliśmy zakotwiczeni na całe studia. O dziwo, wytrwaliśmy tam nie skłócenie i w prawdziwej przyjaźni. Był to szalenie ciekawy i dla każdego bardzo ważny okres naszego życia. Uzbrowieni profesjonalnie, mogliśmy śmiało startować do szalenie wymagającej i stresogennej służby oficerskiej. Zajęcia odbywały się od poniedziałku do soboty, a przymusowa nauka własna trwała od godziny 16.00 do 20.00. Sobotnie popołudnia były wolne.

Przynajmniej trzy razy w tygodniu chodziliśmy – oczywiście indywidualnie - na koncerty i do teatrów. Cztery, wyrwanych z młodości długich lat – inżynierowie ponad pięć - pozwoliły mi przybliżyć sobie przeogromne bogactwo rosyjskiej kultury, romantycznej, nabrzmiałej tęsknotą. Już w tamtym biednym powojennym okresie, rosyjska publiczność teatralna, a szczególnie płci żeńskiej, prezentowała się elegancko. Kobiety, we wszystkich okolicznościach, umieją się zaskakująco przeobrażać w piękne istoty.

Jak każdy „student”, czas akademicki wspominam z rozrzewnieniem. Aż trudno uwierzyć, że długotrwała izolacja od krajowych politycznych napięć okresu ponurej stalinizacji, bez potrzeby uczestniczenia w wyborczych akcjach agitacyjnych, tworzyły psychologiczny komfort. O dziwo, studiując bez mała u podnóża murów Kremla, jako „inostrancy” (obcokrajowcy), mieliśmy pełną autonomię. Zgrupowani w osobnym „inostrannym” fakultecie: Polacy, Jugosłowianie, Bułgarzy, Albańczycy Czechosłowacy, byliśmy całkowicie odseparowani od rdzennych grup radzieckich. Nie obowiązywały nas żadne przygotowania defiladowe do uroczystości pierwszomajowych i rewolucji październikowej. Zimą nie wymagano od nas niedzielnych zaliczeń biegów narciarskich, pomijano w pracach społecznych. Tolerowano, improwizowane przez nas wieczory wigilijne i lekko „zakrapiane” uroczystości imieninowe. Często uczestniczył w nich komendant fakultetu, pułkownik A. I. Werigin.

Rosyjscy oficerowie-studenci, unikali z nami kontaktów, jakbyśmy byli zadzumieni. Znajdowaliśmy się w zakazanej strefie „zagranicznych przyjaciół”. W bibliotece, nie mieliśmy dostępu do ich wykładów z taktyki i uzbrojenia. Skrywano przed nami najnowszą generację dział i moździerzy. Cóż to była za konsternacja, kiedy wykładowca „z rozpędu” wymienił kaliber zakazanej armaty i jękając się, próbował jakoś wycofać zaskakującą informację. **Większość wykładowców znała Polskę z czasów wojny i byli do nas nastawieni bardzo przyjaźnie.** Żaden jednak nie odważył się zaprosić nas do swojego mieszkania.

To nam wcale nie doskwierało. Wiedzieliśmy o co chodzi. Czuliśmy się dumni, że reprezentujemy swoją wolną Ojczyznę. Nasza odrębność była zauważalna w umundurowaniu, w zachowaniu podczas wchodzenia do oficerskiej stołówki i oczywiście przy powitaniu „dam”. Pocałunek w rękę pani profesor z fizyki, gwarantował nam jej otwartą przychylność. O dziwo, wśród kadry pedagogicznej,

stykaliśmy się z kilkoma pedagogami dawnej armii carskiej. Generałowie profesorowie: Wasilij Wencel, Iwan Blinow, Gienadi Diakonow, P. A. Diegtiarow i inni wykładowcy już młodszej generacji, reprezentowali prawdziwych koryfeuszy nauki. Do dzisiaj są to wielkie nazwiska w dziedzinie balistyki wewnętrznej i zewnętrznej, teorii strzelania, projektowania sprzętu, fotografii lotniczej. Zawdzięczam im solidną wiedzę i co najważniejsze, poczucie pewności siebie. Zawsze, z podniesionym czołem maszerowałem przez „służbowe” życie. Nigdy nie miałem żadnych kompleksów, ani przed szarżami rosyjskimi, ani zachodnimi, z którymi los mnie często stykał. Muszę do tego dodać, że w uzupełnieniu do akademickiego dyplomu, na każdym odcinku życiowej drogi nie leniłem się pracować nad bieżącym wzmacnianiem swojej wojskowej wiedzy i potencjału myślowego.

Mógłbym długo jeszcze wspominać tamten ciekawy moskiewski czas, jednak muszę powracać do zasadniczego nurtu tematycznego. Po egzaminach pierwszego roku, wakacje spędziliśmy w kraju i z ciężkim sercem powróciliśmy do akademickiego internatu. Dopiero tutaj zorientowaliśmy się, że jest nas dziesięciu. Niewidoczna ręka „rewolucyjnej czujności”, zatrzymała paszporty jednemu oficerowi przedwojnemu i jednemu reprezentantowi młodszego pokolenia, u którego wykryto podejrzaną „plamkę” w życiorysie. Pomiedzy sobą snuliśmy różne domysły, ale wyjaśnień oficjalnych nigdy nie otrzymaliśmy. Radzieccy wykładowcy, bardziej obcy w takich „kapturowych” decyzjach, udawali, że niczego nie dostrzegają.

Drugi rok, naszpikowany wyższą matematyką, w sposób naturalny wyeliminował dwie kolejne osoby z naszego grona. Wciąż jednak było nas sporo, bo tworzyliśmy wspólną grupę z Jugosłowianami. Obok mnie siedział Liubo Ivanovic waleczny partyzant Czarnogórzec, dla którego marszałek Broz Tito był niekwestionowanym autorytetem. Wszyscy po cichu zazdrościliśmy jugosłowiańskim przystojniakom szalonego powodzenia u Rosjanek. Żyliśmy z nimi w serdecznej przyjaźni. W pewnym momencie „wybuchła bomba”. Najświętsza postać dla naszych jugosłowiańskich kolegów marszałek Broz Tito, został oskarżony o zdradę interesów socjalizmu. Jugosłowian poddano niewybrednej obróbce propagandowej. Każdy z nich przechodził kilka komisyjnych przesłuchań. Niezbitymi „argumentami” byli przekonywani, że Tito zaprzedał się międzynarodowemu imperializmowi, a więc powinni pozostać w ZSRR, do czasu przywrócenia w Belgradzie władzy robotniczo-chłopskiej. Polską grypcę też zaczęto cichaczem przekonywać, aby namawiała

Jugosłowian do pozostania w Moskwie. Oczywiście nikt z nas nie ważył się na takie świństwo i wszyscy jugosłowiańscy artylerzyści wyjechali do Belgradu. Krótco potem, władze akademickie poinformowały nas, iż w Belgradzie zostali aresztowani. Okazało się to propagandowym zafałszowaniem prawdy. Z Liubą Ivanovicem, przez wszystkie powojenne lata, aż do jego śmierci w 1996 roku, pozostawałem w stałym listowym kontakcie.

W akademii, zorientowaliśmy się, że wśród radzieckich oficerów, tylko teoretycznie panowała socjalistyczna równość. W praktyce, obowiązywała surowa zasada carskich podziałów kastowych. Społeczność generałów i profesorów jadała w wydzielonej części kasyna, przeznaczonej tylko dla „gienierskiego profesorskiego sastawa”. Wszyscy pozostali oficerowie, zajmowali sale „niższego standardu”. Podoficerowie, nie mieli prawa wstępu do kasyn oficerskich. W podróżach kolejowych, oficerowie młodszy, do majora włącznie, otrzymywali bilety tylko drugiej klasy. U nas w tej dziedzinie królowała złota demokracja i ona też wyróżniała powojenne wojsko polskie.

W obszarze tajemnicy wojskowej, obowiązywały straszliwe rygory. Zagubienie tajnego dokumentu, właściwie przerywało dalszą karierę oficerską. Wiedzieliśmy, że nasze kasy pancerne są nocami kontrolowane. Pokoje internatu miały ukryty podsłuch. Wystarczyło głośno ponarzekać na któregoś wykładowcę, a już następnego dnia, dawał on do zrozumienia, iż mamy do niego nieuzasadnione pretensje. W sumie, były to kłopotliwe ograniczniki, ale zachowując zakodowaną na stałe ostrożność, żyło się rytmem młodości i wielkich nadziei.

W latach czterdziestych, byliśmy względnie dobrze sytuowani. Przynajmniej raz w miesiącu, bez żadnego problemu, każdego stać nas było na wystawny obiad w czołowej moskiewskiej restauracji Metropol. Na widok obcego munduru, albo na dźwięk „zagranicznej” mowy, wyfraczeni, w złotych oblamowaniach odźwierni, w najbardziej zatłoczonych miejscach, zawsze energicznie „wypraszaali swoich” i znajdowali „inostrancom” wolne stoliki. Rosjanie tolerowali to ze zrozumieniem i potulnością. Obcokrajowiec w tamtym czasie, miał prawa szczególne. To był „ktoś”. Nawet w kasach teatralnych siedzieli specjaliści „dyrektorzy”, u których hołubiony „zagranicznik” nie miał trudności, nawet tuż przed spektaklem, w zakupieniu przyzwoitych biletów.

Cztery lata spędzone w artyleryjskiej akademii wspominam z sentymentem. Głęboki szacunek noszę w sercu dla wspaniałej kadry dydaktycznej, o dużym autorytecie naukowym i osiągnięciach konstrukcyjnych. Ich wykłady, seminaria to prawdziwy popis pedagogiki w wykonaniu wielkich nauczycieli. Nie mogę się powstrzymać przed wymienieniem chociażby kilku nazwisk generałów profesorów: W.J. Diakonow, (teoria strzelania), G.J. Blinow (teoria strzelania), A.A. Liapunow (wyższa matematyka i cybernetyka), I.W. Matwiejew (fizyka), I.I. Dżordżadze (historia sztuki wojennej), A. Błagonrawow (balistyka wewnętrzna i zewnętrzna), I. Grawe (balistyka zewnętrzna), F. A. Baum (materiały wybuchowe), M.B. Wasiliew (teoria zapalników). N. Drozdow (projektowanie uzbrojenia), M.B. Wasiliew (pociski artyleryjskie). Mile wspominam komendanta fakultetu, pułkownika A. I. Werigina i wspaniałego wykładowcę płk. W.I. Ugłowa.

Nawet na kierunku dowódczym, otrzymywało się solidny podkład wiedzy politechnicznej, a cóż dopiero na kierunku inżynierskim. Z tym akademickim intelektualnym „zastrzykiem”, nie miałem żadnych kłopotów, aby na początku lat sześćdziesiątych aktywnie uczestniczyć w rakietyzacji Wojska Polskiego, a pod koniec służby jeszcze śmiało zahaczyć o świat komputerów i informatyki.

W ciągu dwóch pierwszych lat studiów, grupa dowódcza została mocno „wyszczerbiona”. Jedni, nie sprostali wymaganiom programu, inni jako obywatele radzieccy pochodzenia polskiego, zdecydowali się przejść do grup rosyjskich, a kilku – o czym już pisałem - dopadły „macki” rewolucyjnej czujności. I ostatecznie, do egzaminu końcowego stanęło tylko nas dwóch dzielnych wojaków – ja i mój serdeczny kolega, pełen humoru, błyskotliwy oficer, kapitan Eugeniusz Androsiuk.

Musieliśmy ściśle ze sobą współdziałać, aby podczas wielogodzinnych seminariów z przedmiotów ścisłych, w miarę sprawiedliwie rozkładać pomiędzy sobą umysłowe obciążenia. Łatwiej było z marksizmem i leninizmem. W tej płynnej materii, stosowaliśmy ogólnoświatowe, wypróbowane sztubackie chwytły. Zadawaliśmy przeróżne ideologiczne pytania i dawaliśmy szansę popisowej erudycji dla samego wykładowcy. Szczególnie satysfakcjonowało go nasze zainteresowanie budownictwem socjalizmu w krajach demokracji ludowej. Z najwyższą uwagą wysłuchiwalismy nie kończących się dobrych rad, jak w Polsce należałoby „przenicować stare życie”, wprowadzając sprawdzone wzorce wschodniego

sąsiada. Zawsze jego przedmiotem szczególnej troski stanowiły polskie prywatne gospodarstwa rolne. Pułkownik Siergiej Nikiforow, z podnieconym zaangażowaniem dawał nam wskazówki, iż „tylko zmechanizowane kołchozy, wyzwajające entuzjazm pracy, mogą wydobyć Polskę z kapitalistycznego zacofania i wprowadzić w obszar dobrobytu”. Wpatrzni w wykładowcę, obłudnie przytakiwaliśmy głowami.

Pomysłowy Gienek (Androsiuk) stale miał oryginalne „dowcipy”, ale dwa z nich kosztowały nas sporo nerwów. Po pierwsze, wpadł na pomysł, abyśmy podczas krajowych wakacji uszyli sobie przewiewne bluzy, w stylu organizacji „Służba Polsce” i wystąpili w nich na męczących strzelaniach poligonowych. To miały być nasze mundury polowe. Pod Gorkim, doskwierały nam drobne muszki, wysokie temperatury i pociliśmy się niemiłosiernie.

Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Przewiewne „mundurki” wywoływały spore zainteresowanie. Aż nadszedł moment spotkania z generałem Włodzimierzem Kierpem – słuchacz kursów doskonalących - który powrócił z wojska polskiego na łono radzieckiej ojczyzny. Wybałuszył oczy i ni mniej ni więcej, doniósł „gdzie trzeba”, że demonstracyjnie występujemy w ubiorze Armii Krajowej. Z trudem nam się udało przekonać komendanta fakultetu pułkownika Werigina, że nie kryją się za tym żadne podteksty polityczne i tylko jemu zawdzięczaliśmy ujście z groźnej opresji.

Inny pomysł „Gienka”, bez mała wstrząsnął akademią i wprowadził w osłupienie samego komendanta, generała Połuektowa. Którejś soboty w końcówce drugiego roku, kiedy wszyscy przed wolną niedzielą „uciekaliśmy” z internatu na miasto, Gienek z mikrofonem wszedł do szafy i podłączywszy się do radiowego głośnika, oczekiwał na powracających kolegów. Pierwszy, który się zjawił usłyszał płynącą z radia nadzwyczajną informację.

- „W związku z wybuchem rewolucji we Francji i gwałtownie narastającym napięciem stosunków pomiędzy światem socjalistycznym i kapitalistycznym, rząd polski wzywa swoich obywateli przebywającymi zagranicą, do natychmiastowego powrotu do kraju”.

Aby nie było żadnych wątpliwości, że sytuacja jest dramatyczna, komunikat został powtórzony „grobowym głosem” trzykrotnie.

Zachowania powracających były różne. Jedni wpadali w dziką panikę, innych opanowywała osowiała depresja, a niektórzy ryczeli „znowu wojna”. Dwóch oficerów

„pochodzenia polskiego”, mających w Moskwie krewnych, chciało biec na miasto, aby przekazać im „warszawskie wieści”. Po krótkim szoku, każdy kolejny oszukany był wtajemniczany w „spisek” i w ten sposób rosło grono aktywnych statystów tego niebywałego „dreszczowca”.

Potem, do polskiego pokoju byli przywoływani Bułgarzy i Czechosłowacy. Przekazywane komunikaty, w coraz to groźniejszym brzmieniu – tłumaczone przez nas na rosyjski – wywoływały prawdziwą panikę. A kiedy, w kolejnym wydaniu, spiker ogłosił, że na Sofię została zrzucona bomba atomowa – Bułgarzy w trwożnych pojękiwaniach rzucali się sobie w ramiona i w ostatecznej rozpaczce powtarzali tylko jedno zdanie: „atomnaja bomba ta, na Sofija ta”.

Wreszcie nadszedł moment opamiętania. W obawie, aby komunikat nie nabral międzynarodowego rozgłosu, Bułgarzy i Czechosłowacy też zostali wtajemniczeni. W nieświadomości pozostawali już tylko Mongołowie. Wszyscy „nabrani” jednogłośnie orzekli, że Mongołów też trzeba poddać psychologicznej presji. No więc, kiedy o północy, grupa czterech rozbawionych Mongołów powróciła do internatu, zostali wezwani do głośnika. Niestety wbrew naszym oczekiwaniom, nie przejęli się zbytnio, europejską wojną atomową. Pokiwali głowami i orzekli, że jest to „plocho – źle”, ale Mongolia jest daleko. Deklarowali rewolucyjną solidarność z proletariatem Francji. Ostatecznie, Gienek Androsiuk wyszedł z kryjówki, otrzymał od kolegów gratulację, zaczęły się wesole komentarze. Formalnie gra się skończyła, ale miała ona swoje dalsze reperkusje.

Następnego dnia zawrzało w komendzie akademii. Specjalna komisja rozpoczęła intensywne dochodzenie. Interesowało ją wszystko. Z ognia krzyżowych pytań, rysował się nieskrywany zamiar ustalenia celu i autorów tej „szaleńczej” audycji oraz czy nie kryła się za tym jakaś dywersyjna organizacja. W głowach im się nie mieściło, iż ktoś mógł wpaść na pomysł szafowania świętością rewolucji. Zanosilo się na najgorsze, jednak po kilku dniach, komendant akademii dał się wreszcie obłaskawić. Uznał to za zwykły młodzieńczy wybryk. Ze skruszonymi minami, wysłuchaliśmy długiej reprimendy, a po jakimś czasie „sobotnia rewolucja światowa” została zdominowana przez natłok bieżących zajęć.

Dzisiaj, kiedy wspominam tamten moskiewski odcinek mojego życia – abstrahując od mrocznych aspektów wielkiej polityki, w której wszyscy, niezależnie

od naszej woli, zostaliśmy zanurzeni – z sentymentem rozmyślam o tej wojskowej uczelni, gdzie panował ogromny szacunek do nauki i profesjonalizmu. Niezależnie od wszechobecnego kultu Stalina, uczelnia śmiało sięgała do swoich głębokich, przedrewolucyjnych tradycji, szczyła się dawnymi profesorami, wśród których często występowały polsko brzmiące nazwiska (Albickij, Zabudzkij, Kozłowski, Rdułowski, Szlenski, Wiszniewski).

W latach sześćdziesiątych, akademia w wydaniu „taktyczno-operacyjnym”, została przeniesiona do Leningradu (obecnego Sankt Petersburga), czyli do swojego pierwotnego macierznika³⁷, a moskiewska akademia stała się uczelnią rakiet strategicznych. Głównie jej właśnie, Rosjanie zawdzięczają swoje bezsporne sukcesy w dziedzinie broni rakietowej i na polu badań kosmicznych. **Jeżeli tyle miejsca poświęciłem artyleryjskiej akademii w Moskwie, to nie tylko dlatego, że ukończyłem tę uczelnię, lecz również po to, aby oficerowie i decydenci naszego wojska uzmysławiali sobie, iż sukcesy Rosjan w dziedzinie artylerii i rakiet, są wynikiem [od stuleci] konsekwentnego nawarstwiania doświadczeń i budowania coraz sprawniejszych zespołów naukowo – dydaktycznych.**

Oficerowie polscy, absolwenci pierwszej powojennej promocji akademii artylerii w Moskwie³⁸, podobnie jak ich koledzy z innych radzieckich uczelni wojskowych, stanowili nową falę młodej, wykształconej kadry. Przyczyniała się ona do szybkiego podnoszenia profesjonalizmu i umiejętności taktyczno-operacyjnych całego Wojska Polskiego. Przez to, wzrastał autorytet Polaków w oczach wschodniego sojusznika i następowało powolne, acz wyraźne, uniezależnianie się od jego „rad, sugestii i wskazówek”. **Wiedza pobudzała własne ambicje narodowe. A kiedy już na początku lat sześćdziesiątych, nadszedł czas widocznych sukcesów Wojskowej Akademii Technicznej i Akademii Sztabu Generalnego, to z kolei wymuszało na reprezentantach radzieckich coraz bardziej partnerskie traktowanie kadry wojska polskiego. I ten stale**

³⁷ 175 Let Wojennej Akademii im. Dzierżńskiego (1820-1995), Moskwa 1995, s. 6.

³⁸ Pierwsza grupa absolwentów: Specjalność dowódcza: Eugeniusz Androsiuk, Czesław Dęga. Specjalność techniczna: Władysław Jeżak, Stanisław Monarski, Jerzy Wejs, Michał Kochański, Piotr Rogowski, Leopold Sułkowski.

postępujący proces, bynajmniej w wojsku, zapuszczał korzenie i symbolizował nowego ducha.

2.4. Akademia Sztabu Generalnego WP

Jesienią 1954 roku, po powrocie z koreańskiej wyprawy, zostałem zakotwiczony w Akademii Sztabu Generalnego w Rembertowie. Znalazłem się w towarzystwie młodej kadry dydaktycznej, pełnej energii i dumy, mającej świadomość że zakładała fundamenty pod polską wyższą uczelnię wojskową. Było w niej poczucie historycznej misji. Nie zastałem już generała Berlinga, odsuniętego już całkowicie na „boczne tory”. Wśród oficerów pozostawił dobrą opinię, osoby spokojnej, przychylniej dla kadry. Często kontrolował zajęcia, nie zabierał głosu. Wyglądał na człowieka smutnego i zgaszonego.

W odróżnieniu od toruńskiego Centrum, akademia była oddana w ręce kierowniczej kadry radzieckiej. Trwało to bez przerwy do roku 1956. W uczelni przeżyłem czterech komendantów generałów: Ostapa Stecę, Bronisława Łażko, Wiktora Sienickiego i Jakuba Galczenię. Wszyscy byli Rosjanami.

Przypominałem ich sobie, siedząc przy dobrym trunku w mieszkaniu długoletniego wybitnego dydaktyka akademickiego, pana pułkownika Stanisława Oleksińskiego. Ten scharakteryzował ich bardzo trafnie, jako spokojnych, kulturalnych „gabinetowców”. Nie znając języka polskiego, czuli się onieśmieleni. Poświęcali się wyłącznie sprawom organizacyjnym. Bliżsi dydaktycznego „warsztatu” byli ich zastępcy, też Rosjanie. Zgrupowani na szczycie, głównie pilnowali polityki kadrowej i zgodności programów z tym, co nauczyla moskiewska akademia imienia Frunze.

Kiedy zjawiłem się w akademii, świeża jeszcze była pamięć o znacznej grupie oficerów przedwojennych. Do roku 1951, wszyscy – poza kilkoma drobnymi wyjątkami – jako element obcy klasowo, zostali „wytrzebieni”. Jednych rozstrzelano, drugich skazano na długoletnie więzienia lub w najlepszym wypadku, zwolniono z wojska. Szeptem mówiło się o ich kulturze, gruntownym przygotowaniu i częstym sięganiu do tradycji wojska polskiego. Ich ofiara zaznaczyła swój wpływ na historii uczelni. Pojedyncze osoby, jakimś cudem, zdołał przetrwać.

Wśród Rosjan, na poziomie szefów katedr, było kilka ciekawych postaci, o bogatych frontowych życiorysach i zdeterminowanych patriotów swoich rodzajów broni. W mojej pamięci tkwią dwa nazwiska. Pułkownik wojsk pancernych Aleksiej Suprun, który „z nabożeństwem” mówił o roli czołgów we współczesnej wojnie. Sypał przykładami z „otieczestwiЕННОj wojny”, ubarwiał je w osobiste przeżycia. Szanowali go polscy oficerowie kadry i słuchacze.

Drugiego, Mikołaja Nowgorodzkiego, dobrze poznałem osobiście. Początkowo był moim przełożonym, a potem w roku 1954 przejąłem po nim komendę fakultetu artylerii. Pod koniec wojny, zajmował stanowisko dowódcy artylerii korpusu. Oficer z wyższym wykształceniem, o potężnej tuszy, miał ambicje, aby w wojsku polskim pozostawić po sobie trwałe ślady. Znał się na dydaktyce, często przebywał na zajęciach i co było kłopotliwe, nie mógł się powstrzymać od zabierania głosu i „wzbogacania” tematu. Miał kompleks człowieka skrzywdzonego, jako że nie otrzymał stopnia generalskiego.

Rzeczywistymi twórcami fakultetu artylerii stała się duża grupa oficerów, w stopniach majora, o niezwyklej energii i determinacji, przeniesionych z Torunia: Stanisław Lewandowski, Józef Kopeć, Kazimierz Świński, Tadeusz Stawski, Kazimierz Gocyla, Tadeusz Riss, Roman Welc, Jan Wiśniewski - tych z którymi już pracowałem w Cewuarcie i moi koledzy z akademii moskiewskiej: majorzy Eugeniusz Androsiuk i inżynier Piotr Rogowski. Wszyscy byliśmy przekonani, iż uczestniczymy w narodzinach ważnej dla artylerii placówki dydaktyczno-naukowej. W tym czasie w akademii, wśród całej plejady młodszej kadry dydaktycznej, ciągle jeszcze wojennego pokolenia, „kipiał” duch bezgranicznego oddania swojej uczelni. Z Warszawy, każdego ranka autokary akademickie przywoziły wykładowców do Rembertowa i późnym wieczorem odwoziły. I tak wkoło, od poniedziałku do soboty, mijały dziesiątki lat. Nikt nawet nie marzył o własnym samochodzie. Zawsze oddani swoim studentom, zawsze „dyspozycyjni”. Na glebie ich trudu, powoli wyrastała nowoczesna akademia, uczelnia z rozmachem.

Przynajmniej dwa dni w miesiącu, przeważnie w przedpołudnia wolnych niedziel, cała kadra akademicka, w polowych mundurach, uczestniczyła w odgruzowaniu Warszawy. Chociaż była to formacja, którą los obciążył ogromnym balastem wojny, panował w niej duch optymizmu. Z tej altruistycznej oficerskiej warstwy, wyrosli wielcy profesorowie, wspaniali dydaktycy, autorzy cennych

książkowych pozycji. Zawsze są umieszczone na pierwszym planie mojej biblioteki. W tym miejscu, wymienię tylko kilku z nich. Trzech pułkowników profesorów nauk wojskowych: Andrzeja Madejskiego, Henryka Piekarskiego i Kazimierza Nożko; dwóch zasłużonych pułkowników historyków: Igora Błagowieszczańskiego i Jana Orzechowskiego oraz artylerzystę Stefana Pataja. Sześć wielkich postaci Akademii Sztabu Generalnego.

Z pośród Rosjan, Nowgorodzkiemu jestem wdzięczny za usilną „agitację”, abym równoległe z aktywnym zaangażowaniem w dydaktyce, otworzył przewód kandydata nauk wojskowych (obecnie doktorat). I tak też się stało. Początkowo był moim promotorem, a potem, kiedy wyjechał do Moskwy, jego miejsce formalnie zajął szef sztabu dowództwa artylerii, generał brygady Leon Dubicki. W tym odległym czasie, generałom przysługiwały jeszcze uprawnienia profesorskie.

Jako temat rozprawy wybrałem: „Zwalczanie artylerii nieprzyjaciela w działaniach zaczepnych”. Bez żadnych trudności otrzymałem olbrzymi przydział amunicji. Na toruńskim poligonie zostały rozbudowane pozorowane stanowiska artylerii, będące obiektami niszczenia i obezwładniania. W wyniku długotrwałych strzelań, powstała solidna dokumentacja, której analizie poświęciłem wiele „dni i nocy”. Obecna artyleryjska „młodzież”, edukowana informatycznie, stosując komputerową symulację, byłaby w stanie „błyskawicznie” zrealizować mój ówczesny zamiar.

Szczęśliwie przebrnąłem przez wymagane egzaminy i w lipcu 1956 roku stanąłem przed „nadzwyczajną” komisją, zorganizowaną po raz pierwszy i ostatni na tak wysokim szczeblu. Przewodnictwo sprawował szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego i wiceminister obrony narodowej generał broni Jerzy Bordziłowski, a jej uczestnikami byli: generał broni Stanisław Popławski, dowódca artylerii generał dywizji Mikołaj Michałkin, komendant akademii generał brygady Mieczysław Bień i mój „formalny” promotor, generał brygady Leon Dubicki. Dalsze zaplecze stanowiła grupa zaproszonych oficerów ze sztabu generalnego i dowództwa artylerii. Szczególnie obawiałem się generałów Bordziłowskiego i Michałkina. Oni rzeczywiście okazali się najbardziej „płodni” w pytania. Dzień ten przeżyłem w ogromnym stresie. Ostatecznie, po dwugodzinnym „przesłuchaniu” i krótkiej przerwie, generał Bordziłowski zapoznał mnie z wynikiem dyskusji i głosowania

komisji. Uznał rozprawę za ciekawą, przydatną dla wojska, dobrze uzasadnioną i osadzoną w literaturze przedmiotu. Przy okazji wytknął mi „potknięcia” i z charakterystycznym dla niego humorem, długo popisując się swoją erudycją z dziedziny sztuki operacyjnej i znajomości użycia artylerii w przełamaniu obrony niemieckiej na różnych frontach wojny. Oszłomiony i rozluźniony ciągle stałem przed tym groźnym „areopagiem”, aż generał Bordziłowski pogratulował mi obrony i oświadczył, iż komisja wystąpi z wnioskiem o nadanie mi pierwszego w wojsku polskim stopnia kandydata nauk wojskowych – przemianowanego wkrótce na doktora nauk wojskowych. Potem, zaprosił obecnych na okolicznościową kawę.

Rada Naukowa Akademii uchwałą z dnia 21 grudnia 1956 roku, zatwierdzoną przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną Dla Pracowników Nauki, nadała mi stopień Kandydata Nauk Wojskowych. Pod dyplomem złożyli podpisy: komendant akademii gen. bryg. Mieczysław Bień i promotor gen. bryg. Leon Dubicki.

Akademia Sztabu Generalnego, uzyskała uprawnienia do samodzielnego nadawania oficerom stopni naukowych dopiero w roku 1960, kiedy to Rada Państwa nadała tytuły profesora nadzwyczajnego jedenastu pracownikom naukowym³⁹.

Chociaż, jak obecnie swój sukces oceniam, nie był to wysokiej klasy doktorat, tym niemniej „uruchomił we mnie” nową ambitną energię do zgłębiania problematyki wojskowej, do krytycznego analizowania piśmiennictwa militarnego i do przenoszenia swoich myśli na papier.

Obecnie jestem pełen uznania dla młodej kadry akademickich naukowców, pracowitych, obdarzonych duchem dociekliwości i potencjałem ogromnej inteligencji. Trzeba tylko dać im szansę podobnego rozwoju, jaki stoi otworem przed oficerami o karierze dowódczej.

2.5. Attachè wojskowy w Londynie

Słynne „październikowe” przemówienie Władysława Gomułki na wiecu w Warszawie, przeorało nieodmiennie stan ducha całego narodu i wywołało

³⁹ Gen. bryg. Mieczysław Bień; pułkownicy dyplomowani: Jakub Broch, Józef Dac, Jan Dyda, Jan Kurniewicz, Andrzej Madejski, Edward Perkowicz, Eugeniusz Petrykowski, Józef Stachowski, Felicjan Wiśniewski i Remigiusz Wojtowicz.

ożywczą nadzieję, że Polska rozwijać będzie swoją odmianę socjalizmu, pozbawioną piętna radzieckiego powinowadztwa.

Więzienie opuścił Marian Spychalski i mianowany do stopnia generała przejął dowodzenie nad wojskiem. Poruszona do głębi kadra, pokładała ogromne nadzieje w Gomułce, który boleśnie doświadczył na sobie stalinowskich represji. Akademia, najsilniejszy ośrodek intelektualny armii, wrzała od swobodnych dyskusji i śmiałych poglądów. Wyjazd generałów i oficerów radzieckich, włącznie z marszałkiem Konstantym Rokosowskim, jeszcze bardziej spotęgował patriotyczne emocje. Wydawało się, że nowy trend codziennie nabiera rozmachu. Ale to nie trwało długo. Szybko dało się wyczuć, że polska „rewolucja”, napotyka na zdecydowane przeciwdziałanie Moskwy, a wywołana sytuacja przerasta „sterownicze możliwości” Gomułki i jego odwagę.

Nie przypuszczałem, że w takiej oto atmosferze politycznego podniecenia, o mnie też zahaczy fala przemian 1956 roku. Nowy szef Zarządu Drugiego Sztabu Generalnego pułkownik Tadeusz Jedynak zaproponował mi stanowisko attache wojskowego w Londynie. Z wrażenia zaniemówiłem. Wiedziałem, że po trzech latach dydaktyki, nowe wyzwanie jest uśmiechem szczęścia. Przeszedłem krótki trening językowy, trochę „liznąłem” umiejętności z szyfrowania meldunków, zamówiłem elegancki garnitur u mistrza Zaręby i pożegnałem Warszawę. Nadrabiałem miną, kiedy w otoczeniu rodziny wylądowałem w stolicy brytyjskiego imperium. Oczywiście, już na lotnisku przekonałem się, że moja znajomość angielskiego jest ograniczona i prymitywna.

Czteroletni, londyński rozdział mojego życia, zawarty w latach 1957-1960, a więc w okresie już odczuwalnej odwilży politycznej w Polsce, tchnął we mnie nowego ducha. Moje otoczenie okazało się życzliwe. Obsadę ambasady tworzył zespół ambitnych, światłych dyplomatów o „spokojnych” poglądach, oddanych bez reszty sprawie normalizacji i odbudowie dobrych stosunków polsko – brytyjskich. Wielką osobowością był sam ambasador Eugeniusz Milnikiel. Naturalną elegancją zachowania, umiejętnością formułowania wywarzonych opinii, znajomością angielskiego, nadawał ton placówce i jak sądzę, pasował do Anglików jak ulał. Cechowało go subtelne, acz lekko rubaszne poczucie humoru. Dobrze reprezentował różne nabolące interesy polskie i co najważniejsze, został

zaakceptowany przez znaczną część emigracyjnej polonii. Na tej samej wysokiej fali, dzielnie go wspomagali dwaj nieprzeciętni radcowie: Witold Tomorowicz i Karol Małcużyński. Ich dalsze kariery potwierdzają moją opinię. Tomorowicz wiele lat reprezentował Polskę w Organizacji Narodów Zjednoczonych, a Małcużyński okazał się utalentowanym komentatorem politycznym telewizji. Jego cotygodniowe przeglądy tchnęły liberalnym patriotyzmem i duchem profesjonalizmu.

Usilnie starałem się, aby attachat wojskowy, chociaż formalnie nisko osadzony na dyplomatycznej drabinie, nie przynosił ujmy ani ambasadzie, ani wojsku. Szybko opanowałem angielski, a będąc solidnie przygotowany pod względem „militarnym”, śmiało poruszałem się wśród cywili i moich wojskowych odpowiedników. Z wdzięcznością zachowuję w pamięci podległych mi oficerów, trzy wspaniałe osoby: rasowego lotnika – majora Waszyrowskiego i dwóch kapitanów inżynierów magistrów, po studiach w Wojskowej Akademii Technicznej - Kozłowskiego i Janasiewicza. Razem tworzyliśmy zgrany i profesjonalnie silny zespół. Wojsko Polskie otrzymywało od nas dobre informacje o stanie i tendencjach rozwoju uzbrojenia oraz światowej myśli operacyjno-taktycznej.

Londyn, swego czasu stolica brytyjskiego imperium, wywarł na mnie oszałamiające wrażenie. Prawie fizycznie odczuwałem zakorzenienie tego miejskiego kolosa w globalnej historii świata. Nie przerywana ciągłość pokojowego rozwoju, nawarstwiła tu niewyobrażalne bogactwo dóbr materialnych. W tym czasie, kiedy polska magnateria, w zaciekłym pieniactwie zatraciła instynkt państwowy i „przewarcholiła” naszą niepodległość, a potem, w każdym pokoleniu wykrywaliśmy się „w bohaterskich zrywach” powstańczych, Anglicy, naród tej „małej wysepki”, podporządkowali swojej Koronie jedną czwartą świata. „Mikroprzyczyny” tego fenomenu, odkryłem przypadkowo. Pewnego razu, będąc u swoich przyjaciół, dowiedziałem się, jak skrupulatnie przestrzegają apelu władz miejskich, aby nie przekraczać dziennego zużycia wody ponad dziesięć litrów na osobę. Oczywiście, takie pro państwowe postawy, nie pojawiły się z dnia na dzień.

Już w pierwszych miesiącach, nawiązałem serdeczne stosunki z kilkoma zwykłymi rodzinami angielskimi – co było nie do pomyślenia w żadnym z naszych socjalistycznych krajów - i to jeszcze bardziej wzmogło mój szacunek do tego wyspiarskiego narodu. Kiedykolwiek w ich domach odbywały się towarzyskie

spotkania, zawsze bez żadnych niedomówień, byłem oficjalnie przedstawiany jako polski attache wojskowy. Nigdy nie spotkałem się z najmniejszą oznaką niechęci wobec mnie czy mojej Ojczyzny. Wielka polityka nie miała wpływu na naszą zażyłość i wzajemne relacje.

W moim odczuciu, figurą numer jeden Wielkiej Brytanii na co dzień, był jej policjant, słynny „Boby”. W każdym zakątku państwa, gdziekolwiek go napotykałem, prezentował się z godnością. Delikatna elegancja, wynikała nie tylko z nienagannego kroju munduru i charakterystycznego hełmu, lecz głównie z jego walorów fizycznych i dyskretnego zachowania. Szczupła, wysportowana sylwetka z pogodnym wyrazem twarzy, budziła zaufanie i przekonanie, iż w każdej sytuacji człowiek może liczyć na jego życzliwą pomoc. A jak jest u nas? Zniszczyliśmy dobry wzorzec przedwojennej policji i podobnie jak w wojsku, miotamy się w uproszczonych pomysłach ciągłych zmian organizacyjno – mundurowych. Niskie, wręcz poniżające uposażenie podstawowej masy funkcjonariuszy policyjnych, staje się źródłem powodowania najgorszych skutków. Ich przełożeni, lepiej opłacani i najczęściej, będąc w cielesnej nadwadze, przymykają oczy na zaniedbanych fizycznie, zakompleksiały podwładnych. Mam nadzieję, iż narastające powiązania z zachodnią Europą, zaczną „wymuszać” poprawę tego stanu rzeczy. Z przykrością myślę, dlaczego nasze własne umiejętności dostosowawcze do wymogów „nowoczesnego człowieka” są tak opóźnione.

W Anglii, ja i moi współpracownicy, wielokrotnie byliśmy zapraszani do jednostek wojskowych. Na każdym kroku obserwowałem oszczędny ale estetyczny wystrój koszar, szacunek do dawnych tradycji, rzucający się w oczy demokratyzm życia wewnętrznego i bezpardonową dyscyplinę. Podobnie, jak w przedwojennym wojsku polskim, głównym filarem jednostek byli podoficerowie. Oni wykonywali „orkę” szkoleniową, dbali o dyscyplinę i porządek, odpowiadali za sprawność ruchu pojazdów mechanicznych i wozów bojowych. Wszystko to odbywało się w „spokojnej ciszy”, bez znanych mi skądinąd wrzasków i prymitywnych smolistych przekleństw.

Nie mogłem się nadziwić – a było to przecież w latach pięćdziesiątych – że oficerska szkoła w Sundhorst stwarzała swoim elewom komfortowe warunki. Każdy dysponował samodzielnym pokojem, w którym znajdowały się oddane do jego dyspozycji szkoleniowe biblioteczki, wypełnione regulaminami i niezbędną bibliografią o różnych stopniach tajności. Biura przepustek i posterunki kontrolne,

obsadzone były pracownikami cywilnymi, głównie emerytowanymi podoficerami. Przyglądałem się tym „obrazom” i z zadrą w sercu myślałem, jak nierozsądnie marnujemy naszych żołnierzy, których służba często upływa na bezmyślnych wartach i jeszcze bardziej beznadziejnym „operowaniu miotłami”.

W maju 1958 roku zostałem indywidualnie zaproszony na artyleryjskie ćwiczenia z ostrym strzelaniem. Poligon, na pograniczu Anglii i Szkocji okazał się płaskim terenem, ubranym w lekkie zakrzaczenia. Nie „umywał się” do toruńskiej szkoły ognia. Dowódca pułku, ogorzały major z pięknie oprawionym bambusowym kijkiem pod pachą – otrzymał go w spadku od ojca, który służył w wojskach kolonialnych – pokazał mi wysunięty punkt obserwacyjny do kierowania ogniem. Z pomocą lornety nożycowej obejrzałem cele. Jeden z nich, wskazany przeze mnie, był w pierwszej kolejności obezwładniany. Bez wahania wystawiłem wysoką notę strzelającemu kapitanowi.

W sumie, kilkugodzinne strzelania, okazały się prawdziwą „artyleryjską uczta”. Efektownym jej zakończeniem stało się kierowanie ogniem z samolotu. Wraziłem swoje uznanie dla dowódcy pułku, co wywołało olbrzymi strumień zadowolenia na twarzach wszystkich otaczających mnie Anglików.

Z satysfakcją przekonałem się, że w tamtym powojennym czasie lat pięćdziesiątych, polscy artylerzyści reprezentowali nie gorszy poziom od swoich brytyjskich kolegów. Nawet wyposażenie techniczne rozpoznania było podobnej jakości. A jak z tym jest obecnie, lepiej nie mówić, aby nie pozbawiać się złudzeń i nie wywoływać gorczy smutku.

Po strzelaninach, dowódca pułku wydał uroczysty obiad, poprzedzony luźnym spotkaniem na aperitif. Dominował dżin z tonikiem i „Old Scotch whisky”. Powszechnie byłem indagowany przez oficerów o wrażenia z poligonu i nasze polskie doświadczenia. Potem był obiad na pułkowych srebrnych zastawach, z zachowaniem tradycyjnego rytuału wznoszenia krótkich, naszpikowanych humorem toastów. Przynależem sobie, że jeśli tylko służba wyniesie mnie na stanowisko dowódcze, wówczas wiele elementów z tego oficerskiego zwyczaju Anglików przeniosę do wojska polskiego.

Na pierwszym urlopie w Warszawie, kiedy mi się nadarzyło nieoczekiwane spotkanie z ministrem obrony narodowej – przyjęcie z okazji święta 22 lipca – pełen

najlepszych intencji, zacząłem mu entuzjastycznie przekazywać swoje „angielskie spostrzeżenia”. Zakładałem, iż w wielu odniesieniach mogą być przydatne dla Wojska Polskiego. Jakież było moje zaskoczenie, kiedy spostrzegłem lodowatą dezaprobatę na poszarzałej twarzy mojego najwyższego przełożonego. „Nie bądź naiwniakiem”, pomyślałem sobie. Szybko zmieniłem temat, na treści bardziej nieprzyjemne „kapitalizmowi”. Wzrok słuchającego powoli wrócił do równowagi milcząco potwierdzał słuszność mojej decyzji.

Analogicznie jak u wszystkich ludzi, każdy krok mojego życia, stanowił elementarną lekcję w całościowym procesie człowieczej „edukacji”. Drepcząc powoli do przodu, obrastałem przeróżnymi doświadczeniami: radości, bólu, mądrości, głupoty, spokoju, zacierzenia, wywyższania się i pokory.

Dopiero w latach głębokiej dojrzałości, zrozumiałem swoją „nicość” wobec zachodzących wokół mnie skomplikowanych procesów społecznych, geopolitycznych i lawiny zmian technologicznych. Nauczyłem się powstrzymać swój język w wyrażaniu pochopnych sądów. Stałe pogłębiał się mój szacunek do innych ras i narodów.

W Anglii zebrałem spory „koszyk” doświadczeń. Na stronach tej książki, ukazuję zaledwie kilka drobnych fragmentów z jego zawartości. Przypadkowo wyluskuję je z zardzewiałej pamięci. W tym kontekście, wydaje mi się ciekawy jeszcze jeden charakterystyczny epizod, wynikający ze stanu ówczesnego usytuowania politycznego Polski. W 1957 roku, ósmego maja, z okazji „dnia zwycięstwa”, zostałem zaproszony na paradę gwardii królewskiej. Ubrany w galowy mundur, zająłem wyznaczone mi czołowe miejsce i w najlepszym nastroju przyglądałem się barwnym gwardzistom i ich efektownym niedźwiedzim czapom. W pewnym momencie zauważyłem generała Andersa z małżonką. Obydwoje szli uśmiechnięci, kiwali głowami do znajomych. Za chwilę okazało się – nie przypuszczam, aby to wynikało z przeoczenia Anglików – że mieli być moimi „sąsiadami”. Generał, kiedy się zorientował w sytuacji, stanął jak wryty i nastąpiła chwila wyraźnej rozterki. Sądzę, iż miał zamiar wycofać się. Ale, w tym momencie, odważnym decydem okazała się jego elegancka, przystojna Pani małżonka. Jej reakcja była zdecydowana i szybka. Usiadła obok mnie i z następnej swojej strony usadowiła męża. Oddałem honor. Generał Anders trochę się rozchmurzył, zasalutował do swojego „kapitalistycznego” beretu, a ja do swojej „socjalistycznej”

czapki. Byłem spięty i nie próbowałem nawiązać z nim kontaktu, natomiast z Panią Andersową, kilkakrotnie wymieniliśmy grzecznościowe opinie na temat królowej i tradycji dworu brytyjskiego. Rozstaliśmy się w poprawnej atmosferze.

Wielokrotnie powracałem pamięcią do tamtego zdarzenia. Zawsze emocjonalnie go przeżywałem. **Miałem bolesną świadomość, że Polska, będąc najwierniejszym sojusznikiem zachodnich aliantów, w imię ich „nadrzędnych strategicznych interesów”, z lodowatym cynizmem została „podarowana” Stalinowi.** Emigracyjny rząd w Londynie „wykopano” na ubocze, a za prawowitą reprezentację narodu polskiego uznano władze w Warszawie. Z tej przyczyny, wyrosły sztuczne podziały polityczne pomiędzy olbrzymią rzeszą Polaków, skazanych na dożywotnią tułaczkę emigracyjną i nadzorowanym przez Stalina państwem polskim. Jakiegokolwiek obecne utrzymywanie tych przedziałów „polowanie” na winnych we własnym narodzie, trzeba uznać za przejaw irracjonalnego prymitywizmu politycznego.

W Londynie, ja i moi oficerowie, nieraz „ocieraliśmy się” o byłych polskich wojskowych – nawet o bardzo wysokich stopniach – spełniających funkcje woźnych, sprzątaczy, listonoszy. Będąc świadkami takiego poniżenia, cierpieliśmy razem z nimi. W jednym tylko przypadku, podczas wizyty w pułku artylerii, podszedł do mnie sympatyczny porucznik, który w pięknej polszczyźnie przedstawił się jako syn generała Kopańskiego. Mówiłem mu nawet, iż chętnie przedłużyłbym rozmowę w ambasadzie, ale obaj doszliśmy do wniosku, że ze względu na jego dalszą karierę, byłoby to nie wskazane.

Wielka Brytania na zawsze zapadła mi w serce, jako kraj ciekawych, zdyscyplinowanych ludzi, rozwinięty gospodarczo, piękny widokowo, niesamowicie szanujący swoje wojsko i jego tradycje. Tam poznałem język angielski, który mi otworzył dostęp do świata innych ludzi. Nie musiałem już być tylko ich biernym obserwatorem. Oprócz tego, nadszedł w moim życiu wielki dzień, o czym zawsze marzyłem, że mogłem wejść do biblioteki i wspomagać siebie bogactwem angielskojęzycznej bibliografii.

Zatrudniona w attachacie polska młodzież oficerska, całkowicie już powojennej generacji, podobnie jak jej przedwojenni „bracia”, dawała ewidentne świadectwo wierności i oddania dla swojej Ojczyzny.

OFICEROWIE III RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

1. Korpus oficerski w latach 1981-1990

1.1. *Wśród raketowców*

Moja czteroletnia londyńska przygoda, jak kolorowy sen „urwała się” latem 1960 roku. Wzmocniony finansowo, kupiłem samochód i wraz z rodziną – ukochane córki i małżonka – przez Francję, Niemcy, Austrię i Czechosłowację zjawiłem się w Warszawie. Urlop spędziłem w Szklarskiej Porębie i nabuzowany energią, zameldowałem się u generała Grzegorza Korczyńskiego – szefa zarządu drugiego sztabu generalnego. Złożyłem mu krótki formalny meldunek o swoich „zagranicznych dokonaniach” i pełen dobrych myśli oczekiwałem na pochlebny finał. Tymczasem mój przełożony, owszem, wypowiedział kilka „okrągłych zdań” i nagle, przeszedł do formułowania zarzutów pod adresem pracy attachatu. Ponieważ przez całą „londyńską służbę” nie czyniono mi ujemnych uwag, więc wystąpienie generała uznałem za bezpodstawne, sprzeczne z prawdą i niesprawiedliwe wobec pracy wykonanej przeze mnie i podwładnych. Niestety, generał Korczyński, nie miał zamiaru wdawać się ze mną w polemikę i w ramach zastraszenia, zadzwonił do personalnego, aby przyniósł moją teczkę. Ten ruch z jego strony, wobec mnie oficera frontowego, uznałem za obelgę. Doszło do ostrej wymiany zdań i po czterech dniach, zostałem odesłany do departamentu kadr.

„Klimat” rozstania z zarządem drugim, wydawał mi się groźny dla mojej dalszej wojskowej służby. Wpływy towarzysza „Grzegorza” sięgały wysoko i daleko. Ale, jednak chyba z nich nie skorzystał, bo jak się potem okazało, „kopniak” wyszedł mi na dobre. Z opresji uratował mnie szef wojsk raketowych i artylerii, generał dywizji Ignacy Szczęsnowicz. Kiedy z miną skruszonego grzesznika poprosiłem go o powrót na łono artylerii, nie okazał zdziwienia i krótko sprecyzował swój zamiar.

- Proponuję, aby obywatel pułkownik udał się z ekipą oficerów do Leningradu, na przeszkolenie z dziedziny rakiet operacyjno-taktycznych. W wypadku pozytywnej oceny, mam zamiar powierzyć koledze dowództwo organizowanej w Bolesławcu, drugiej z kolei w Wojsku polskim, Brygady. Zdajecie sobie sprawę, że jest to perspektywa rozstania się z Warszawą - z uśmiechem powiedział generał Szczęsnowicz.

Propozycja wykraczała poza moje najśmielsze marzenia. Bez ociągania się wyraziłem na nią zgodę i podziękowałem generałowi za zaufanie. Jego gest „pomocnej dłoni”, ratujący mnie z życiowej opresji, stale noszę we wdzięcznej pamięci.

Wyjazd do Leningradu (obecnie Sankt Petersburg) nastąpił w pięknej oprawie wiosny 1961 roku. W artyleryjskiej akademii, obok mnie, znalazło się całe dowództwo przyszłej brygady: sześciu dowódców baterii startowych, jeden dowódca baterii technicznej, dwóch dowódców dywizjonów, dwóch moich zastępców do spraw technicznych i liniowych oraz szef sztabu wraz z kilkoma pomocnikami. To wspólne, bez mała roczne zgrupowanie, pozwoliło mi dokładnie poznać swoich bezpośrednich podwładnych, z którymi miałem dowodzić raketową brygadą. Szybko zorientowałem się – na szkolnej ławie, każdego widać jak na dłoni: intelekt, orientacja, charakter – że mam do czynienia z porządnym, zgranym zespołem oficerów.

Do dnia dzisiejszego stoi mi jeszcze w oczach, rozciągnięty na całą ścianę, super tajny schemat numer dwanaście, zawierający wszystkie elementy rakiety K-14. Każdy z nas musiał go znać na pamięć. W tym miejscu oddaję cześć wykładowcom rosyjskim, ich znajomości rzeczy i życzliwości dla nas.

W zimowe niedziele, tuż po śniadaniu wypożyczałem narty i wśród niezliczonych tłumów leningradczyków, jechałem elektrycznym pociągiem pod fińską granicę. Co kilka minut ruszał kolejny zatłoczony narciarzami „transport”. Podobnie jak większość pasażerów wysiadałem w Kawgołowo, gdzie ta cała ludzka cizba rozpląwała się po ośnieżonych pagórkowatych przestrzeniach. Wielogodzinne biegi wspaniale hartowały ciało i psychikę.

Razem z nami, szkoliła się grupa raketowców Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Jak przystało na sojuszników, wzajemne kontakty pozbawione były antagonizmów. Wręcz odwrotnie. Bardzo miłe wspominałem swojego odpowiednika, podpułkownika Heinza Marschnera. Zaskarbił sobie moją szczególną sympatię, bo kiedykolwiek spotykaliśmy się w bufecie, już po pierwszym kieliszku, niezmiennie deklarował gotowość „oddania głowy za granicę na Odrze i Nysie”. Aż nadszedł smutny moment rozstania. Podczas uroczystego pożegnialnego obiadu, Marschner znacznie przekroczył linię bezpieczeństwa swoich wódczanych możliwości. Będąc w stanie znacznego zamroczenia, zażądał od rosyjskiego szatniarza, aby mu

przyszył naderwany naramiennik. Kiedy ten się ociągał, oberst Marschner, nawiedzony złym duchem pruskiej buty, „grzmotnął w ucho” zaskoczonego leningradczyka i chybotawszy się, spokojnie opuścił pożegnalne przyjęcie.

Oczywiście, powstała gigantyczna konsternacja. Kariera mojego przypadkowego „przyjaciela” zawisła na włosku. Jako starszy obydwu grup, zostałem wezwany do komendanta akademii, aby wypowiedzieć swoją opinię w tej „haniebnej” sprawie. Naturalnie, potępiłem pijacki wybryk towarzysza Marschnera, ale pomny jego szlachetnej determinacji do obrony polskiej zachodniej granicy wnioskowałem, o ukaranie dyscyplinarne i nie pozbawianie go szans kontynuacji służby wojskowej. I tak się stało. Oberst Marschner, dopóki żył, a zmarł na raka w 1978 roku, korespondował ze mną i w każdym liście wyrażał mi wdzięczność, za wsparcie podczas tamtego „politycznego” incydentu. Chyba się nawet nie domyślał, że uratowała go „granica na Odrze i Nysie”

W czerwcu 1962 roku, już jako świeżo upieczeni raketowcy, zjawiliśmy się w Bolesławcu. Otrzymałem jednoznaczny rozkaz, aby do lipca następnego roku, 18 Brygada Rakiet Operacyjno Taktycznych osiągnęła pełną gotowość do wykonania startów bojowych. Wyrzutnie z raketami, miały nadejść ze Związku Radzieckiego w najbliższych miesiącach.

Nowy kompleks poniemieckich koszar, wybudowanych przed wojną dla pułku piechoty, prezentował się okazałe, ale wymagał dostosowania do wymogów innego typu jednostki. Wydzielony teren „techniczny”, gdzie znajdowały się garaże dla wyrzutni, został otoczony wysokim betonowym murem, by nie zdekonspirować dyslokacji super tajnej broni. Żał mi tylko było wielkiej hali gimnastycznej, którą dostosowano do prowadzenia ćwiczeń ze służby ogniowej.

Od lipca, kiedy nadeszła całość uzbrojenia. Rozpoczął się morderczy wyścig z czasem. Ci, którzy służyli w tego typu raketowych jednostkach, mają świadomość, jaki to był złożony „organizm”. Najmniejszy błąd pojedynczego żołnierza, eliminował wysiłek baterii i rzutował ujemnie na ocenę dywizjonu, a pośrednio i brygady. Wymóg zachowania tajemnicy powodował, że wszystkie ćwiczenia odbywały się tylko w porze nocnej. Początkowo w obrębie bolesławieckich lasów, a potem w trakcie wykonywania dalekich marszów. Etatowy klucz śmigłowców, ułatwiał rozpoznanie terenu i reagowanie na różne zaskakujące sytuacje.

Dowodzenie taką nowoczesną „machiną”, dawało ogromną satysfakcję. Kiedy po raz pierwszy, ze swoimi zastępcami stanąłem na podium przed frontem prawie tysiąca żołnierzy, o nieporównywalnie wyższych wskaźnikach wykształcenia niż w innych jednostkach, zdołałem tylko wydusić z siebie krótką „płomienną” mowę. Zawarłem w niej całą mądrość mojego życia. Próbowałem oddziaływać na rozum uczucia każdego słuchacza. Mówiłem z przekonaniem, że szczęśliwy los połączył nas odpowiedzialną misją tworzenia sprawnej brygady rakiet, aby dawała świadectwo nowoczesności Wojska Polskiego. Zapowiadałem ciężką służbę, życząc im i sobie, abyśmy po latach z dumą wspominali, ten nasz bolesławiecki wysiłek.

I doprawdy, wspólnymi siłami, nam się to udało. Wśród personelu jednostki, wytworzyła się bezcenna uczuciowa spójnia duchowa. Obecnie, z rozrzewnieniem spoglądam na wyblakłe fotografie, z których patrzą na mnie ówi wspaniali raketowcy, dobrzy żołnierze, całym sercem oddani Ojczyźnie. Wiem, że nikomu więcej, tylko Im zawdzięczam zaszczytną generalską nominację.

Podstawowa masa młodszej kadry, wywodziła się bezpośrednio z oficerskich szkół technicznych. Była to „kawalerska” młodzież – podoficerowie też podobnego narybku – kipiąca energią i rządzą czynu. Bolesławieckie dziewczyny, „repatriantki” z za Bugu, z małą domieszką panienek wywodzących się z Polski centralnej, imaly się wszelkich sposobów, aby żaden z kandydatów do żeniaczki, nie pozostawał w samotności cierpienia.

„Otoczkę jądra” nadającego ton szkoleniu i wytwarzającego ducha wewnętrznego brygady, tworzyło zaledwie kilkanaście osób. Zaliczałem do nich: szefa sztabu, zastępców do spraw technicznych i liniowych, zastępcę do spraw politycznych, kwatermistrza, dwóch dowódców dywizjonów i sześciu dowódców baterii. Nie miałem przed nimi żadnych tajemnic. Hołubiłem ich na wszystkie sposoby.

W każdą sobotę, cała kadra ze swoimi „białogłowami”, na czele z dowódcą brygady i jego małżonką, spotykała się na zabawie w kasynie. Nie ma co ukrywać, że wzorem Anglików, starałem się wpoić podwładnym potrzebę pewnej elegancji zachowania. Szefowa kasyna wlot pojęła moje intencje. Obsłudze i zastawie stolików, z powodzeniem nadawała europejski połysk. „Czystą wyborową” zaczęły wypierać słabsze wina i wymyślne koktajle. Wodzirej, aktywizował gości do udziału

w tańcach. Najbardziej znani obywatele Bolesławca, ubiegali się o zaproszenie na udział w oficerskich sobotnich wieczorach. Uczestnikiem takich spotkań, zawsze był Włodzimierz Kowalski, przyjaciel wojska, kombatan (pułkownik w stanie spoczynku), historyk, człowiek o jasnej sylwetce moralnej. Kadra brygady, wyselekcjonowana z pośród wielu jednostek, zaliczała się do czołowej inteligencji miasta.

Wewnątrz koszar, wszystkie ogrodzenia i tablice informacyjne, utrzymane w kolorze jasno-żółtym, nadawały otoczeniu charakter własnego, odrębnego stylu, który był pozytywnie odbierany w samej brygadzie i przez osoby wizytujące jednostkę. Wśród podwładnych utarła się opinia, że dowódca ma słabość do koloru żółtego, ale pozostało moją tajemnicą, że to też zostało podpatrzone w brytyjskich jednostkach, chociaż biel przesunęła się w pobliże żółci.

Tuż poza koszarami, powstał betonowy kort tenisowy, na którym co jakiś czas starałem się rozładowywać swoje służbowe napięcia. Wkrótce, wielu moich młodych raketowców, stało się zapaleńcami tenisa. To też „przepracowałem” z Londynu dzięki hinduskiemu attache wojskowemu. Grał jak z nut. Zawsze mi powtarzał, że sport powinien przez całe życie towarzyszyć zawodowemu żołnierzowi. W Anglii napotykałem tylko „żyłastych” oficerów i generałów. Podziwiałem ich, bo rzeczywiście wymogom wojny może sprostać tylko człowiek o dużej sprawności fizycznej.

I jeszcze jedno ważne odkrycie autorstwa Anglików, „żywcem” przeniósłem do Bolesławca. Wprowadziłem bezwzględną zasadę, iż wszelkie ruchy pojazdów, włącznie z wyrzutniami, musiały się odbywać w pełnej ciszy. Kierowcy mogli reagować tylko na sygnały ręczne przełożonych. Kategorycznie zabraniałem występujących w Polsce „zwyczajowych wrzasków”, w rodzaju „dawaj, dawaj, stój k..... mać, jeszcze w prawo, trochę w lewo”. Ewidentne świadectwo zacofania i niedojrzałości technicznej.

Po trzech miesiącach szkoleniowej szarpaniny, generał Szczęsłowicz wydelegował do Bolesławca centralną grupę kontrolną, złożoną z wybitnych specjalistów, w celu zdobycia wstępnej orientacji o stanie realizacji programu szkolenia. Jej dowódcą był ppłk Marian Nafalski, świątły oficer „wielkiej wody”

– zwany szeryfem⁴⁰. W następnym roku, dowództwo grupy przejął inny inteligentny oficer ppłk Krzysztof Aleksandruk.

Wymagania okazały się bardzo surowe i brygada otrzymała ocenę niedostateczną. Oczywiście, mocno to przeżyłem, ale postanowiłem utrzymywać założony rytm przygotowań. Jako były dydaktyk, miałem cichą nadzieję, że dwójka została postawiona „profilaktycznie”, abyśmy nie popadli w zadufanie.

Po kilku miesiącach, ta sama kontrolna grupa zjawiała się po raz drugi. Przez tydzień żyliśmy w napięciu, aż wreszcie ppłk Nafalski odczytał pokontrolny protokół. Brygada została oceniona pozytywnie i otrzymała ocenę dobrą. Zapowiedział jeszcze jeden przyjazd do Bolesławca, wspólnie z radziecką grupą kontrolną. Jedyne ona miała uprawnienia dopuszczenia brygady do pierwszych „strzelań bojowych”. Przy następnych wyjazdach do Kazachstanu, wystarczał już placet tylko polskich kontrolerów.

Po udanej inspekcji, stanąłem przed frontem swoich żołnierzy. Zawsze starałem się, aby nasze relacje cechowała wzajemna życzliwość. Orkiestra zagrała sprężystego marsza, zasalutowałem i ze wzruszeniem podziękowałem za nieprzespane noce, za przykładną służbę dla Ojczyzny, za sukces, którego część każdy ma prawo przypisać sobie. Wyrażałem przekonanie, że nadal utrzymamy się na wysokich lotach, aby założyć solidny fundament pod historię naszej bolesławieckiej raketowej brygady. Zaraz potem, zaprosiłem do kasyna poszerzoną grupę dowódców, aby im wyrazić swoją wdzięczność za dotychczasową pracę. Wiedziałem, że ich ręce trzymają klucze do bram sukcesu. Kiedy zjawily się kelnerki z koktajlowymi specjałami i kolorowymi kieliszkami, wzniosłem toast: „za was drodzy koledzy”. Otaczali mnie ludzie z fantazją, rozmiłowani w swoim rzemiośle, twardzi żołnierze: ppłk Henryk Kondas, ppłk Antoni Stocki, ppłk Mieczysław Kaletka, ppłk Mieczysław Kulikowski, mjr Czesław Bartocha i dwaj dowódcy dywizjonów majorzy: Paweł Majnicz i Ignacy Kwik.

⁴⁰ Baterie startowe kontrolowali: mjr Władysław Szewczyk – układ kierowania rakiety; ppłk Bogumił Szaraniec – układ napędowy rakiety; kpt. Zygmunt Jabłoński – aparatura kontrolno-startowa; mjr Tadeusz Jasiński – wycelowanie rakiety; ppłk Jan Węgrzyn - przygotowanie topograficzne; kpt. Eugeniusz Waligóra – określanie nastaw do startu. Baterię techniczną kontrolowali: ppłk Jan Bobrowicz – układ kierowania rakiety; ppłk Borys Rusko – układ napędowy rakiety; mjr Jerzy Fisz – aparatura kontrolno-pomiarowa; ppłk Marian Orbidan – transport i przeładunek rakiet; kpt. Jan Nowicki – napełnianie rakiet.

W lipcu do Bolesławca zaczął napływać strumień wizytujących przełożonych. Brygada stała się obiektem dużego zainteresowania. To w jakimś stopniu dezorganizuje normalny tok życia jednostki, ale jednocześnie „nobiletuje” podwładnych. Do byle jakich garnizonów nikt się nie kwapi. Raczej się tam wysyła przeróżne komisje, pisemne „połajanki”, kąśliwe uwagi, zestawy „mądrych” zaleceń.

Kilkakrotnie przyjeżdżał generał Ignacy Szczęsłowicz w towarzystwie szefa wojsk raketowych i artylerii śląskiego okręgu wojskowego Wacława Antoniuka. Obydwu traktowałem jako „swoich”. Ich troskliwe spokojne zachowanie, profesjonalne uwagi – brygada pracowała na chwałę całej artylerii – starałem się szybko uwzględnić.

Podobny charakter miały „odwiedziny” dowódcy śląskiego okręgu wojskowego, generała Czesława Waryszaka. Brygada, o nowej technologii jednostka, była jego oczkiem w głowie. Ten, niebywalej kultury żołnierz, tchnący życzliwą szczerością, nigdy nie wzbudzał u podwładnych strachu. Lekkie zacięcia w mowie ubarwiały jego osobowość. W mojej długoletniej służbie, niewielu napotkałem podobnie „człowieczych” generałów, stosujących przyjazną wymagalność. Nie wyobrażałem sobie, abym kiedykolwiek mógł go zawieść. Nie bez znaczenia dla jego służbowych sukcesów, była znakomita prezencja małżonki, (Wandy) kobiety o subtelny żarcie.

Na początku września, kiedy wyjazd do Kazachstanu był już w zasięgu ręki, do brygady przybywały coraz wyżej osadzone szarże. Bez zapowiedzi, zjawił się zastępca szefa szkolenia bojowego, generał Jan Śliwiński. Miałem z nim pobieżną styczność już w roku 1954, w Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru w Korei. Cechowała go oschła wymagalność i wyjątkowe uczulenie na drobiazgi. Na szczęście, wizyta wypadła całkiem dobrze. Podczas zwiedzania koszar, wizytator grzebiąc w żołnierskich szafkach „postękał trochę”, ale za to rozjaśnił się podczas służby ogniowej. Wytrenowane załogi, na każdy kolejny rozkaz, jak sprzężone automaty rzucały się do wykonywania swoich czynności i w przepisowym czasie ogromna rakietę wzniosła się do pionu. Dowódca baterii zameldował o gotowości do startu. Nasz gość pomrukiwał zadowolony i nakazał cofnąć raketę do stanu wyjściowego.

Podczas kasynowego posiłku, często przewijały się sentymentalne wspomnienia z Korei, wysłuchaliśmy wielu „przyjaznych rad” i na twarzy generała Śliwińskiego zawitał prawdziwy uśmiech. Wyczuwało się, że za parawanem specyficznego sposobu bycia, ukrywa się całkiem wyrozumiała osobowość.

- Mam wrażenie, iż podążacie we właściwym kierunku – wycodził dyplomatycznie - Jestem spokojny o waszą ocenę poligonową i takiej treści meldunek złożę głównemu inspektorowi szkolenia.

Wiedziałem, że podobne stwierdzenia, rzadko wypływały z ust generała Śliwińskiego. Byłem mu wdzięczny za podtrzymanie w nas ducha optymizmu.

Nie minęły nawet dwa tygodnie – w powietrzu ciągle jeszcze unosił się kurz po ostatniej wizycie - a z Wrocławia zabrzączał telefon z informacją, że za pół godziny, na radzieckim lotniku w Krzywej, wylądował samolot z generałem broni Zygmuntem Duszyńskim – wiceministrem obrony narodowej i głównym inspektorem szkolenia. W lekkim podnieceniu, przekazałem odpowiedni „sygnał” szefowi sztabu i zastępcy do spraw liniowych – a sam z majorem Kondasem – zastępcą do spraw politycznych, służbową „warszawą” wyruszyłem na lotnisko.

W sytuacjach napiętych, major Kondas okazywał się człowiekiem wielkich wartości: inteligentny, wszechstronnie odczytany, z szybkim refleksem, oficer z poczuciem finezyjnego humoru. Wpadliśmy do Krzywej minutę po wylądowaniu błyszczącego „biesa” i w chwilę potem już witaliśmy się z generałem Duszyńskim. Znałem go tylko z widzenia. Chociaż niskiego wzrostu, miał w wojskach wysoki autorytet. Elegancki w zachowaniu i sprawny fizycznie, był uosobieniem przedwojennego wizerunku. Pamiętam, że u radzieckich generałów, na wspomnienie o Duszyńskim, na twarzach pojawiały się „kwaśne miny”.

W drodze do Bolesławca, zameldowałem wizytującemu o stanie szkolenia brygady, o końcowym etapie przygotowań do „bojowego sprawdzianu” i o moim zadowoleniu z postawy młodej kadry oficerskiej i podoficerskiej. Po wjeździe do miasta, inicjatywę przejął major Henryk Kondas. Najpierw zainteresował generała, pomnikiem z czarnego marmuru, jaki Niemcy wystawili rosyjskiemu marszałkowi Michaiłowi Kutuzowowi, po wojnach napoleońskich. Potem, zatrzymaliśmy się obok fragmentów starych murów obronnych. Mój zastępca, przez dobre pół godziny popisował się, ubarwioną szczegółami, historią bolesławieckiego grodu. I wreszcie,

kiedy zjawiliśmy się pod koszarami brygady, mrugnąłem do Kondasa, bo wiedziałem, że jednostka zdążyła przybrać „odświętny charakter”. **Żaden dowódca, podobnie jak porządna gospodyni, nie lubi zaskakujących wizyt. Zawsze potrzebna jest krótka chwila, aby przed wejściem gości, nadać mieszkaniu odpowiedni „połysk”.**

Zgodnie z oczekiwaniami, generał Duszyński skupił się głównie na problematyce „rakietowej”. Otrzymał pogłębioną informację teoretyczną i był świadkiem kilku pokazów praktycznych, głównie z zakresu różnych czynności przedstartowych. A kiedy, na koniec został wprowadzony do jednej z hal, gdzie znajdowała się „wystawa szkoleniowa”, był wyraźnie poruszony. Każdy z jej trzech segmentów, prezentował inny młody oficer; kapitan Kazimierz Gorczyca i dwaj podporucznicy: Łysakowski Wiesław oraz Jerzy Wolny. W części wstępnej, pokazana została krótka historia rozwoju rakiet i udział w niej naszych wielkich rodaków: Kazimierza Siemionowicza i rosyjskiego uczonego, syna polskiego zesłańca na sybir, Konstantego Ciołkowskiego. Dział zasadniczy, dotyczył brygadowej rakiety „K-14”, jej danych taktyczno-technicznych, układów napędowych i naprowadzania oraz służby ogniowej. W części końcowej, kolorowe plansze demonstrowały niektóre dziedziny zastosowania rakiet do celów militarnych pokojowych.

Wystawa, przygotowana dużym nakładem pracy, miała w sobie silny ładunek promocyjny brygady. Robiła wrażenie na „swoich” i tym bardziej na „obcych”. Pod względem charakteru i treści, dawała dobre świadectwo powiązania wojska z nowoczesnością. **Generał Duszyński opuszczał Bolesławiec w ciepłym nastroju. Trzymając moją dłoń, wyraził podziękowanie za dobry stan jednostki. Oświadczył, iż zaproponuje marszałkowi Marianowi Spychalskiemu, aby zechciał uhonorować osiemnastą brygadę rakiet swoją obecnością.**

Wśród dowódczego zespołu brygady mieliśmy świadomość, że stoimy przed wielkim wyzwaniem, które jest naszą niepowtarzalną szansą. Chociaż, okrzepliśmy już w doświadczenia, jednak marszałek Spychalski był człowiekiem z najwyższego „piedestału”, o ogromnych uprawnieniach. W wojsku krążyły o nim różne opinie. Znajomi dowódcy dywizji, u których przeprowadziłem wywiad, określali go jako osobę pobudliwą i mało kontaktową.

Po kilku dniach, otrzymałem polecenie, aby zameldować się we Wrocławiu u dowódcy okręgu. **Generał Waryszak potwierdził wizytę marszałka Spychalskiego pod koniec czerwca. Radził koncentrować się na szkoleniu bojowym i nie podniecać się formalną stroną wizyty.** Dodał na okrasę, że kwatermistrz okręgu zorganizuje w brygadzie pożegnalny obiad.

Rzeczywiście, w ostatnich dniach sierpnia, marszałek Spychalski w otoczeniu znacznej świty osób towarzyszących, zjawiał się w brygadzie. Wyraził zgodę na proponowany plan sześciogodzinnej wizyty i wszystko rozpoczęło się od postawienia jednego dywizjonu w stan gotowości bojowej. Rozrzucone w pobliskim lesie baterie, na komendy dowódcy dywizjonu kapitana Teodora Soćko reagowały błyskawicznie, a brygadowa grupa kontrolna – obiekt naszej dumy - uruchomiana przez niepospolitego oficera majora Kaletkę, oceniała ich wyniki. Kiedy marszałkowi zameldował, iż dywizjon otrzymał ocenę dobrą, ten uśmiechnął się zadowolony.

Obok marszałka stale znajdował się dowódca okręgu i generał Wiktor Ziemiński – naczelny kwatermistrz Wojska Polskiego. Widać było, iż marszałek traktuje go uprzywilejowanie. Ten przedwojenny oficer, uczestnik wojny trzydziestego dziewiątego roku, odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*, był znany z doskonałego poczucia humoru i niespożytej siły ducha. Pozostaje w mojej pamięci jako postać barwna i szlachetna. Nosił czarne rękawiczki, aby „zamaskować” brak lewej dłoni. Obywatelu Marszałku – zwrócił się do niego z zainscenizowaną powagą - obawiam się, że tym rakietowcom grozi przetrenowanie.

Marszałek zaskoczony, z natury stale poważny, szybko się zorientował w podtekście wypowiedzi.

- Generale – odparł z rozbawieniem - Zostawmy ich w spokoju. Mają rację, że chcą się dobrze wywiązać ze swoich obowiązków.

Potem nastąpiło pobieżne zwiedzanie koszar i wystawy szkoleniowej. Przed wejściem do wnętrza gmachu, marszałek zwrócił uwagę na najzupełniej prozaiczną rzecz – zdjęcie Alberta Einsteina i jego słynne równanie, obrazujące zależność pomiędzy masą i energią. Po obejrzeniu całej wystawy i wysłuchaniu, ze swadą wypowiadanych objaśnień moich „zawadiackich” poruczników, w oczach marszałka Spychalskiego pojawił się zwiastun aprobaty.

- Obywatelu pułkownika – zwrócił się w moim kierunku. – Pochwalam obserwowane u was poczucie odpowiedzialności. Cieszę się, że wśród młodych oficerów zaszczepiacie brygadowy patriotyzm i rozwijacie myślenie. **Einstein – nawiązał do motta wystawy - to nośnik nowoczesnego świata.** Nie wybieram się z wami do Kazachstanu - wycedził przez nos - aby nie zapeszyć. Życzę brygadzie sukcesu.

Potem wszystkich poderwał apetyt na suty pożegnalny obiad. Tymczasem marszałek, mając jakieś kłopoty żołądkowe, zdecydował się na czczo opuścić Bolesławiec. Bolesnie zawiedzona i wygłodzona świta, żwawo ruszyła za nim. To był mój jedyny, bezpośredni kontakt z marszałkiem Spychalskim, o którym krążyły całe „legendy”. Zapamiętałem go jako osobę wrażliwą i głęboką.

Wyjazd „na strzelania” do Kazachstanu, to odrębny wycinek barwnej epopei, godnej upamiętnienia. Już sama podróż do tej odległej wschodnie „guberni” stała się mocnym turystycznym przeżyciem dla żołnierzy uczestniczących w tej niewyobrażalnej wyprawie.

Od 14 do 18 września, brygada wystawiona na ostrą próbę dynamicznych ćwiczeń, przez kilka dni hulała po stepowym poligonie. Egzaminem dojrzałości stał się udany start dwóch rakiet na niewyobrażalną odległość, prawie dwustu kilometrów. Została pokonana trudna profesjonalna bariera i to pozostało chlubą bolesławieckich raketowców. Gdziekolwiek ich spotykam, zawsze nawracamy do tamtych wydarzeń. Z prawdziwym wzruszeniem uścisnąłem twardą dłoń majora Majnicza – dowódcy dywizjonu. A mnie, jako pierwszy złożył gratulacje generał Ignacy Szczęsnowicz.

Tuż po powrocie do garnizonu, otrzymałem generalską nominację i z tej okazji, dowódca okręgu zaprosił mnie z małżonką na uroczysty obiad w gronie wszystkich swoich pięciu generałów. Był to gest w iście „europejskim” stylu. W ówczesnym czasie należało to do rzadkości.

Niestety, bardzo szybko musiałem rozstać się z ukochaną brygadą przytulnym Bolesławcem. Upłynął zaledwie jeden rok i zostałem przeniesiony do Wrocławia na stanowisko szefa wojsk raketowych i artylerii okręgu. Zająłem miejsce opuszczone przez zmarłego pułkownika Wacława Antoniuka. Rozmawiałem z nim

tydzień przed jego śmiercią, kiedy już wiedział, że choroba nie daje mu żadnych szans. Przyjmował to spokojnie, z godnością. Wspaniały żołnierz i kolega.

Brygadę przekazałem w godne ręce dobrego kolegi płk. Walentego Romanowskiego, frontowego oficera, człowieka kompetentnego i energicznego.

Kiedy już osiadłem we Wrocławiu, nieraz coś we mnie łkało na wspomnienie bolesławieckiego garnizonu, moich świetnych raketowców i cywilnej społeczności tego dolnośląskiego miasteczka. Powoli uzmysławiałem sobie, że już bezpowrotnie „utraciłem” najpiękniejsze dowódcze stanowisko w wojsku. Obdarowało mnie wszystkim, czego mogłem oczekiwać jako „rozpalony” oficer.

Obecnie, kiedy od czasu do czasu listonosz wrzuca mi do skrzynki list z Bolesławca i znajduję w nim ciepłe słowa ppłk. w st. spocz. Włodzimierza Kowalskiego – wiernego patriotę Ziemi Śląskiej i brygady raketowej, badacza przedwojennych formacji Korpusu Ochrony Pogranicza⁴¹ – wiem, że życie jest pełne niewiarygodnego piękna. Jednak nie tracę poczucia rzeczywistości, bo prawda jest taka, jak w piosence Maryli Rodowicz: „Ale to już było i nie wróci więcej”.

1.2. Śląski Okręg Wojskowy

Wrocław w moim życiu też miał swój urok, ale nieporównywalny do Bolesławca. Najsmutniejsze było to, że w międzyczasie nastąpiła zmiana dowódcy okręgu i miejsce generała Waryszaka zajął inny generał: trochę młodszy, bardziej „energiczny”, oschły i apodyktyczny. Współpraca z przełożonym miała charakter formalno-służbowy i pozbawiona była elementów „międzyludzkiej ciepłoty”. Miałem powody aby sądzić, że mi ciągle „niedowierza”.

Ogromny, z czerwonej cegły, pięknie zaplanowany budynek, tuż przed wojną siedziba niemieckiego sztabu korpusu, był idealnym miejscem do pracy. Nieraz starałem się sobie wyobrazić, co tam się działo pod koniec sierpnia 1939 roku. W jakim napięciu odbywały się przeróżne narady, uzgodnienia i jakie stamtąd „wylatywały” rozkazy. Krieg mit Polen (wojna z Polska) musiała rozbudzać ogromne emocje. Nie wiem, czy sztab hitlerowskiego korpusu miał świadomość, że szykuje się do II wojny światowej.

⁴¹ W. Kowalski, *U Polskich stoim granic*, Wydawnictwo Hańcza, Suwałki 1999.

W śląskim dowództwie okręgu też nie brakowało podniecających momentów. W planach strategicznych, na wypadek wojny, wojska okręgu miały nacierać w pierwszym rzucie. Było to najbardziej upancernione zgrupowanie operacyjne wojska polskiego. **A przecież początek lat sześćdziesiątych, nie bez racji charakteryzował się lawinowym narastaniem psychozy wojennej.** W tym czasie „ekspresowo” powstał słynny mur berliński. Potem, nieprzewidywalny „Nikita” (Chruszczow), oceniając prezydenta Stanów Zjednoczonych Johna Kennedego jako „mięczaka”, wysłał w kierunku Kuby transport rakiet o strategicznym zasięgu. W październiku 1962 roku, napięcie osiągnęło apogeum. Sztab okręgu został przetrzucony w duży kompleks leśny pod Berlinem i wziął udział w zgrywających ćwiczeniach sojuszniczych, jako „preludium” do działań bojowych. Tam nie było udawania. Zaplanowane uderzenia jądrowe, przydział głowic, pasy i kierunki działań dywizji, rubież wprowadzenia drugich rzutów, administracja okupacyjna. Czuło się, że machina militarna nabiera tempa i jak lawina toczy się w kierunku wojny.

Sztab wojsk raketowych i artylerii, tworzyła grupa zdolnych oficerów profesjonalistów, zahartowanych w ćwiczeniach poligonowych z wojskami. Moim zastępcą i zarazem szefem sztabu, był oficer twardego charakteru pułkownik Mieczysław Donhoffner. Jego pomocnikami, imponującymi szybkością i precyzją planowania było pięciu majorów: Jan Bieniek, Staszewski, Edmund Andersz, Władysław Budkiewicz, i Marian Dubas. Często wymienialiśmy opinię i dochodziliśmy do wniosku, że Ojczyzna, wbrew jej interesom – podobnie jak to nieraz bywało na szlakach naszej narodowej przeszłości – znowu może się stać ofiarą zmagania wielkich mocarstw. Trudno było szukać pocieszenia w operacyjnych zamiarach, przewidujących w ciągu zaledwie dziesięciu dni błyskawiczne zajęcie całego terytorium Zachodniej Europy. Przydzielone na operację dla polskiej armii, ponad trzydzieści ładunków jądrowych, miały „przebijać” korytarz do tryumfalnego zwycięstwa. Moje osobiste wojenne doświadczenie, nakazywało mi zachowywać duży dystans do takiego myślenia.

W tych ponurych czasach podzielonego świata, nie było jeszcze doświadczeń Czernobyla. Zadufanym w sobie i głodnym sukcesów radzieckim „marszałom” wydawało się, że skok na Europę będzie „małym piwem”. Nam przydzielono rolę w wąziutkim wycinku owego globalnego spektaklu. Teraz

dostają gęziej skóry, kiedy sobie uzmysławiam, iż wojenna konfrontacja tamtego czasu, mogła zamknąć ostatni rozdział polskiej historii.

Na szczęście, w obliczu amerykańskiej blokady, Chruszczow się zmięgował i wycofał raketową armadę. Nas też odwołano do swoich garnizonów. Ale wojska nadal były utrzymywane w podwyższonej gotowości bojowej. Mój kilkusobowy sztab, podobnie jak inne organizmy dowództwa okręgu, stale urzędował w terenie. Kontrolowaliśmy jedną dywizję po drugiej, dyslokujące w Nysie, Opolu, Żaganiu, Gubinie oraz brygady i pułki artylerii: Bolesławca, Głogowa, Gniezna, Pleszewa. Bardzo często finał kontroli był na poligonach Żagania, Biedruska i nawet Orzysza. Uczestniczyliśmy w ćwiczeniach sztabu generalnego, które ciągnęły się od wschodniej granicy państwa i znajdowały „zwycięskie zakończenie” uroczystym obiadem przyjaźni, w głębi dawnej Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Żyliśmy obarczeni stresami, jako że wyniki uzyskiwane przez jednostki artyleryjskie, odciskały piętno na losie ich dowódców i naszym. „Naczelnny wódz okręgu” miał nieograniczoną władzę. Wystarczyło jedno kiwnięcie, aby podwładny otrzymał medal lub spadał ze stanowiska. Na ogół wychodziliśmy obronną ręką, ale jakim kosztem?

Latem 1968 roku, z racji znajomości języka angielskiego, zostałem wyznaczony do towarzyszenia delegacji irackiej, której przewodniczył sam cesarz Reza Pachlavi z małżonką. Miałem opiekować się trzema reprezentantami wojska irackiego: generałem armii AYADI – szefem służby zdrowia, generałem dywizji KACHANI – komendantem akademii wojskowej i inżynierem vice admirałem KOUROSEM – pracownikiem sztabu generalnego. W planie było zwiedzanie Krakowa, Nowej Huty, Gdańska i Warszawy. W sumie, na tle okręgowej harówki, ten tydzień usadowił się w mojej pamięci jako piękny, kolorowy „przerywnik”.

Delegacja zamieszkała w pałacu wilanowskim. Cesarz wywarł na mnie bardzo pozytywne wrażenie; często przejawiał zainteresowanie polską kulturą, ale jego główna uwaga była skoncentrowana na sprawach gospodarczych. Zadawał dziesiątki konkretnych pytań, poszukując odpowiedzi, gdzie moglibyśmy zintensyfikować nasze wzajemne kontakty, nasz eksport i import.

Podwładni, skrzętnie notowali cesarskie wypowiedzi i reagowali na każde skinienie jego „palca”. Małżonka cesarza, urocza niewiasta, odwiedziła kilka

przedszkoli i starała się wiele fotografować. Na nasze nieszczęście, kiedy zabrakło filmów, zwróciła się z prośbą o zakupienie jej kilku „małoobrazkowych Kodaków”. Obecnie, trudno to sobie nawet wyobrazić, że w całym Krakowie nie można było tej „drobnostki” załatwić. Dopiero pełna mobilizacja Ministerstwa Spraw Zagranicznych, pozwoliła w ciągu kilku godzin, dostarczyć lotniczym kurierem z Warszawy tę cenną przesyłkę. Cesarzowa – mimo wykrętnych wyjaśnień polskiej strony - nie mogła zrozumieć, dlaczego jej prośba została zrealizowana z takim opóźnieniem.

Najbardziej „rozkoszonym” gościem okazał się vice admirał. Wśród delegacji, z powodzeniem wytwarzał wrażenie człowieka sprawnie operującego językiem polskim. Kiedy wchodził na salę, głośno powtarzał: dzień dobry, dzień dobry, do widzenia, do widzenia, kocham cię, kocham cię, kemiczne pranie koszula. Pojedyncze polskie słowa pozostały mu w pamięci z 1942 roku, kiedy miał styczność z armią generała Andersa. Delegacja irańska była dumna ze swojego poliglota, a ja nie ważyłem się wyprowadzać jej z błędu. Najwięcej bezczelności okazał na terenie stoczni gdańskiej. Kiedy mu próbowałem tłumaczyć wystąpienie oprowadzającego nas inżyniera, wówczas KOUROS klepnął mnie poufale po ramieniu i oznajmił, iż dla niego – admirała nie muszę się wysilać. Ma to wszystko „w małym palcu”. Wskazał ręką na najbliższy statek i oszacował go na dziesięć tysięcy ton wyporności. Uśmiechnąłem się ze zrozumieniem i złożyłem mu gratulacje, a od polskiego inżyniera, usłyszałem informację o dwukrotnie większym tonażu. W moim życiu nieraz jeszcze „ocierałem się” o bezczelnych samochwałów, ale żaden nie „umywał się” do tego irackiego admirała.

Delegacja opuściła Polskę pod wrażeniem dużej prężności naszego narodu, który w krótkim powojennym okresie, zdołał dokonać wielkiego postępu w odbudowie i uprzemysłowieniu kraju.

Po tej barwnej przygodzie, znów powróciłem do służbowej orki. Z marszu wciągnęły mnie ćwiczenia, kontrole, egzaminy. Zawsze ratowałem się oparciem o wspaniątych podwładnych. **Z rozrzewnieniem wspominam solidnych oficerów, oddanych wojsku dowódców w stopniach pułkowników: Walentego Romanowskiego, Mariana Nafalskiego, Zygmunta Wnuka, Szyszkowskiego. Znali swoje rzemiosło i byli niezawodni.** Na każdym kroku razem potykaliśmy się o ciekawe wydarzenia i groźne epizody. Jeden z nich przytrafił się nam w trakcie pokazowego ćwiczenia na poligonie w Biedrusku. Obserwatorami była czołówka

ekipy rządzącej, reprezentowana przez Władysława Gomułkę, Józefa Cyrankiewicza, marszałka Mariana Spychalskiego oraz towarzyszącą im świtę. Zostali ustawieni na obszernej podwyższonej trybunie, umożliwiającej dobry wgląd we „frontowe przedpole”.

Byłem odpowiedzialny za prowadzenie ognia. To zawsze stanowi najbardziej groźną i spektakularną część wojskowych pokazów. W tym szczególnym wypadku, wiele uwagi poświęciłem bezpieczeństwu. Oczywiście, tory pocisków musiały przechodzić z boku od trybuny. Każde działo posiadało boczne ograniczniki.

Ćwiczenie zawierało typowe elementy współczesnej walki, z którymi na poligonach niejednokrotnie już mieliśmy do czynienia, ale dla cywili mogły być interesujące i ekscytujące. Kiedy pierwsza fala czołgów znalazła się na rubieży ataku, wydałem komendę do rozpoczęcia artyleryjskiego przygotowania. Zagrzmiąca salwa, a po niej już tylko dudniły wybuchy pocisków. Utrzymane w jednej linii przed czołgami, torowały im drogę w głąb obrony nieprzyjaciela i jak zdążyłem się zorientować, wywierały imponujące wrażenie na naszych gościach. Padały pochlebne uwagi, wzmacniane żywą gestykulacją. Ale, licho nie śpi. W pewnym momencie nastąpił skrócony wybuch haubicznego pocisku i potem drugi odezwał się jeszcze bliżej. Któreś działo wyraźnie „knociło”. Szepnąłem do pułkownika Bieńka, aby zaalarmował stanowiska ogniowe, a kanonada trwała nadal. Wiedziałem, że przerwanie ognia, byłoby równoznaczne z nieodwracalnym blamażem artylerii okręgu i moim. A tu jak na nieszczęście, kolejny pocisk huknął z boku, na wysokości „świętej trybuny”. Tego, marszałek Spychalski nerwowo już nie wytrzymał.

- Generale Dęga – na całe gardło wrzasnął. – Co to za wybuchy?
- Pozoracja, obywatelu marszałku – zameldowałem bez zająknięcia.
- To przerwijcie, do cholery tą pozorację.
- Tak jest obywatelu marszałku – odkrzyknąłem desperacko.

Z podobnego „potrzasku”, człowieka może wybawić tylko łut szczęścia. Traf chciał, że tak się stało. Alarmujący sygnał dotarł do adresata. Któryś z dowódców ogniowych – którego nazwiska do dnia dzisiejszego nie znamy – poprawił nastawy poziomicy i dalej już wszystko poszło gładko. W sumie, było to dla mnie koszmarne przeżycie.

Kiedykolwiek wspominał tamten i wiele mu podobnych „dreszczowców” z mojej służby, zawsze ratowali mnie z presji podwładni oficerowie, oddani służbie „Donhöfnerowie, Bieńkowie”.

Pożegnanie odbyło się w miłej atmosferze. Marszałek Spychalski jeszcze raz, z widoczną życzliwością zwrócił mi uwagę, aby podczas takich pokazów nie „szarżować” z pozoracją. Natomiast zaimponował mi premier Józef Cyrankiewicz. Przed wojną ukończył podchorążówkę oficerów rezerwy artylerii. Ściskając moją dłoń, mrugnął porozumiewawczo i ściszym głosem wycedził: - pomylili nastawy. Co? Zamiast odpowiedzi uśmiechnąłem się i potwierdziłem kiwnięciem głowy. A kiedy jego błyszcząca łysina zniknęła w autokarze, byłem pewien, że „nasz sekret” zachowa tylko dla siebie. Nie myliłem się.

Na początku 1968 roku, zacząłem sobie uświadamiać, że Wrocław da się lubić i nie zauważyłem, kiedy poczułem się wrośnięty w żołnierską społeczność okręgową. **Artyleryjskie garnizony odznaczały się kulturą wystroju i życia, ładnymi kasynami i ambitną kadrą. Dowódcy jednostek, dynamiczni oficerowie pierwszych powojennych promocji, zaczęli powoli osiągać wiek dojrzały.** Być może i ja stałbym się zasiedziałym patriotą Śląskiego Okręgu Wojskowego, gdyby nie nagłe wezwanie do departamentu kadr. Padła zaskakująca propozycja, objęcia nowego stanowiska zastępcy dowódcy Wojsk Obrony Powietrznej Kraju. Po krótkiej rodzinnej naradzie, wyraziłem zgodę na rolę jaką mi przydzielono.

1.3. Wojska Obrony Powietrznej Kraju

Trzyletnia służba w Wojskach Obrony Powietrznej Kraju, zaistniała w moim życiu jako kolejna przygoda. Dowództwo mieściło się w pięknie zaplanowanym, przedwojennym gmachu marynarki wojennej, na wprost pomnika lotników, przy ulicy Żwirki i Wigury. Obronę powietrzną kraju tworzyły: centralne stanowisko dowodzenia i trzy korpusy - warszawski, wrocławski i bydgoski. Każdy z nich posiadał lotnictwo myśliwskie, wojska raketowe i radiotechniczne. Zadziałanie tej skomplikowanej bojowej maszyny, wymagało od kadry wielkiego kunsztu profesjonalnego. Wszystkie środki musiały być zgrane w określonym miejscu czasie, wzajemnie komplementarne. Sukces zależał od szybkości reakcji.

Stanowiska dowodzenia korpusów – Warszawa, Bydgoszcz, Wrocław - jak na owe czasy, pod względem technicznym były bardzo sprawne, ale już pojawiała się potrzeba wprowadzenia wyższego stopnia automatyzacji. Na wielkich planszach, ręcznie wykreślany ruch samolotów nieprzyjaciela, w odczuwalnym stopniu opóźniał czas reakcji własnych myśliwców i rakiet.

Aby nie drażnić opiekowców zielenią swojego munduru już po miesiącu przywdziałem strój lotniczy. O dziwo, dość szybko otrząsnąłem się z bolesnej świadomości, że oderwałem się od swojej artyleryjskiej rodziny. Człowiek jest napełniony próżnością. Przejrzałem się w lustrze i byłem z siebie zadowolony. Pozostawało tylko sprytnie się wyłgać przed własnym sumieniem.

W śląskim okręgu, często korzystałem z usług lotniczej eskadry transportowej, złożonej z powolnych dwupłatów, powszechnie zwanych „kukuruźnikami”. Każdy przelot wprowadzał mnie w stan nieustających mdłości. Samolot całkowicie bezpieczny, ale podatny na najmniejszą turbulencję powietrzną. Kiedy tylko zaczynał „skakać”, otwierał we mnie osobliwe ruchy żołądkowe, nad którymi z trudem panowałem. Ileż to razy musiałem nadrabiać miną, aby po opuszczeniu samolotu, jakoś przetrwać ceremonię powitalną.

Tymczasem, w Wojskach Obrony Powietrznej Kraju, po pierwszym przelocie „biesem” z Warszawy do Bydgoszczy, wysiadłem z samoloty jak stary „wilk lotniczy”. Do dzisiaj nie wiem, co wówczas zadziało. Przypuszczam, że trochę mi dopomógł granatowy mundur, ale na pewno główną rolę odegrał wpływ lotników. Emanowała od nich nonszalancka pewność i spokój. Często korzystałem z ich usług, aż pokochałem te podniebne szybowania. Za szczęście poczytuję sobie, że poznałem tam wielu wspaniałych ludzi. Trochę szalonych, niesfornych odwagą i brawurą generałów: Zdzisława Żarskiego, Władysława Hermaszewskiego, Henryka Michałowskiego, Andrzeja Rybackiego, Mariana Bondziora. Pułkowników: Jana Krawczyka, Ryszarda Grundmana, Stanisława Mielczarka.

Poznałem tam elity techniczne specjalistów wojsk rakietowych i artylerii oraz wojsk radiotechnicznych generałów: Edmunda Soję, Władysława Szczypuchę, Aleksandra Grabowskiego, Pułkowników: Kazimierza Burczaka, Stefana Rutkowskiego. Zaszczepili we mnie szacunek do swojego zawodu i nieświadomie

wywołali w sercu żal, iż na progu służby, ślepy los zafascynował mnie artylerią. Chociaż wiem, że w tej chwili są to jakieś irracjonalne tęsknoty, ale...

Kilkakrotnie znajdowałem się w sytuacjach wywołujących dreszcze emocji. Przeważnie zdarzały się latem, z zaskoczenia, podczas gwałtownych zmian warunków atmosferycznych. Ni stąd ni zowąd pojawiały się groźne burze. Wówczas, kiedy już w bakach pozostawało nie wiele paliwa, trzeba było „pędzić” na zastępcze lotniska. Ale nie to było najważniejsze. Wystarczyło kilka przelotów o zachodach słońca, aby się wczuć w ogarnięte pasją lotników dusze. Obserwując w dole bezgraniczny „ocean”, podświetlonych pastelowo, przeróżnych „kombinacji” płynących chmur i połączanych samotnych obłoków, chciałoby się w miejscu zatrzymać czas. Ludzka fantazja, nie jest w stanie wykrzesać podobnych obrazów. A przecież w nieprzerwanej serii lotów, każdy kolejny odbywał się w całkowicie innej, niepowtarzalnej scenerii. Z powietrza, odrębny urok miała też nasza polska ziemia. Trudno się dziwić, że człowiek wiecznie marzył o lataniu.

Chociaż ta powietrzna idylla, może się wydawać powierzchownym i nieistotnym zjawiskiem rzeczywistości, ale – podobnie jak u marynarzy morze – zajmuje ważne miejsce w lotniczych sercach.

Naturalnie, proza życia, bardzo często miała inne oblicza. Przynajmniej kilka razy w roku zdarzały się wypadki lotnicze, w których umierali młodzi, pełni werwy rozbudzonych nadziei piloci. Uczestniczyłem w pogrzebach, bezradnie obserwowałem cierpienia ich żon i dzieci. Byłem przybity człowieczą bezsilnością wobec okrucieństwa losu.

Wielokrotnie brałem udział w ćwiczeniach sojuszniczych. Czułem się dumny, ze sprawności polskich Wojsk Obrony Powietrznej Kraju. Pochlebiało mi, że w najtrudniejszych nocnych warunkach atmosferycznych, jedynie polskie eskadry decydowały się na „przechwytywanie obcych samolotów” i lądowanie na odległych zapasowych lotniskach radzieckich lub enerdowskich. Te niewątpliwe sukcesy zawodowe lotników fascynowały nie tylko mnie. Odważna sprawność, zasadzała się na dużych nalotach, na częstym przebywaniu w powietrzu. Nie trudno się było zorientować, iż sprężyną ich niezawodności są wojska radiotechniczne, kierowane przez wysokiej klasy specjalistę pułkownika inż. mgr Wiesława Wojciechowskiego. Musiałem przebudować swoją wyobraźnię. Dotychczas karmiona wizją poligonu,

punktu obserwacyjnego, bliższej i dalszej rubieży obronnej, wymagała śmiałego wyjścia w ogromną powietrzną przestrzeń. Tego właśnie było mi potrzeba. Moja służba obracała się teraz w innym, trójwymiarowym świecie.

Lotnicy kilkakrotnie poddawali mnie próbom „odwagi”. Pamiętam przelot z pułkownikiem, późniejszym generałem, Władysławem Hermaszewskim. Był szefem lotnictwa o niekwestionowanym autorytecie dobrego zawodowca. Wystartowaliśmy odrzutowcem z Goleniowa i śmigając na pograniczu lądu i morza, tuż nad głowami pływających wczasowiczów, wylądowaliśmy pod Gdynią. Jak w przyspieszonym filmie, z ekscytacją patrzyłem na wodną taflę i uciekające obrazy wypełnionych ludźmi plaż. Widziałem jak powiewają do nas wyciągnięte ręce. Czułem napięcie tej „szarzy”, ale ujęty honorem, nie zdradzałem się przed pilotem ani jednym słowem. Z uczuciem ulgi opuściłem szalonego MIGA i obaj udawaliśmy, że był to najwykleszy rutynowy „wyczyn”.

Jako zastępca dowódcy Wojsk Obrony Powietrznej Kraju, odpowiadałem za rozbudowę stanowisk startowych baterii rakiet przeciwlotniczych. Pamiętam nieskończone wyjazdy w teren, dla wyboru „ukrytych miejsc” i nadzorowania prac inżynieryjno – budowlanych. Teraz, kiedy prawie rok rocznie spędzam letnie wczasy w Uroczej Juracie, nie mogę się powstrzymać, aby w rejonie Hel Boru, nie odwiedzić rozbabranego pagórek, gdzie pozostają nędzne resztki ogrodzenia i utwardzonej platformy pod wyrzutnie. Tylko tyle pozostało po tajemniczym obiekcie, niegdyś identyfikowanym z bezpieczeństwem portu gdyńskiego. Wydawał się militarną „świętością”. I cóż się okazało – łażą się w oku kręci - czas wszystko zmienia i przeważnie degraduje. Taka sobie zabawa historii w paradoksy.

Na każde wspomnienie o mojej służbie w Wojskach Obrony Powietrznej Kraju, wracam myślą do istniejącej wówczas ścisłej współpracy z Wojskową Akademią Techniczną. Dotyczyła ona badań nad zautomatyzowanym systemem dowodzenia obroną powietrzną korpusu, pod kryptonimem CYBER. Przez dwa lata „pilotowałem” tą ideę. **Historia powstania CYBERA jest związana z osobą nieżyjącego już generała profesora Sylwestra Kaliskiego. Zasługuje, aby go wymieniać w pierwszym rządzie polskich wojskowych znakomitości.** Pamiętam moje z nim spotkania na początku lat siedemdziesiątych. Należało podjąć decyzję, bo radziecki marszałek Baticikij czynił bezpardonowe naciski, abyśmy zakupili ich gotowy system. Z uznaniem muszę odnotować, iż generał Kaliski bez wahania

przystał na wyrażenie wspólnego stanowiska – Wojsk Obrony Powietrznej Kraju i Wojskowej Akademii Technicznej – popierającego nasze własne rozwiązanie. Trochę się jąkał, ale stanowczo oświadczył: "sssami wwwykonamy". Doznałem uczucia ulgi. W grę wchodziły olbrzymie pieniądze, które mogły wzmocnić polski potencjał badawczy. Obrona takiej decyzji wymagała – jak na ówczesne czasy „braterskiego internacjonalizmu” – poniesienia znacznego ryzyka. Źródło takiej postawy znajdowało się w nim samym i w ambitnym zespole otaczających go oficerów. Generała Kaliskiego wspierał ugruntowany autorytet naukowy, sięgający daleko poza Warszawę.

Po kilku latach, kiedy zostałem z opieka „wycofany”, CYBER został zbudowany i osiągnął postać pragmatycznej, solidnej infrastruktury informatycznej, działającej w czasie rzeczywistym. Był to wielki sukces Wojskowej Akademii Technicznej i polskiej nauki wojskowej.

Tę historię opowiedziałem po to, aby służyła jako przyczynek do formułowania opinii o kadrze wojsk Obrony Powietrznej Kraju. Byłbym niesprawiedliwy, gdybym nie powtarzał, że składała się z gruntownie wykształconych oficerów ekspertów, mających rozległą profesjonalną wiedzę. Wyrażam im wdzięczność i uznanie, że przyjęli mnie do swojego grona i pozwolili współtworzyć bardzo nowoczesny potencjał obronny polskich sił zbrojnych. Właśnie oni mieli najwyżej ustawioną poprzeczkę technologiczną. Gdziekolwiek ich na służbie poznawałem: w ciszy domków pilota, na zagubionych w terenie kompaniach radiotechnicznych, w ukrytych dywizjonach raketowych, oddziaływali na mnie „magią” swojego poświęcenia i patriotycznego ducha.

Teraz, po latach, z tej całej „gwardii opekowskiej” od czasu do czasu spotykam – przeważnie w przychodniach lekarskich - generała Władysława Szczypuchę. Nadal pozostał wspaniałym skromnym człowiekiem, o silnie zakorzenionej etyce. Częściej widuję generała profesora Zdzisława Żarskiego. Nie zmienia się wcale. Wciąż ten sam: przekorny, myślący, aktywny.

1.4. *Znów w Akademii Sztabu Generalnego*

Na początku 1971 roku, kiedy już zacząłem odczuwać smak wysokiej funkcji dowódczej w wojskach, w których często korzystałem z „podniebnych” środków lokomocji, wszechwładny departament kadr – mocno zainspirowany przez szefa głównego zarządu politycznego – przesunął mnie do Akademii Sztabu Generalnego. Zameldowałem się u generała Adama Czaplewskiego.

Początkowo było mi markotno. Przez dłuższy czas moje myśli były zdominowane przez Wojska Obrony Powietrznej Kraju. Jako szef katedry Wojsk Raketowych i Artylerii, przeżywałem ciężkie dni psychologicznej depresji. Kilka miesięcy nie mogłem się rozstać z lotniczym mundurem. Ale, kiedy się zabrałem do roboty i zostałem wciągnięty w tryby dydaktyki, rozejrzałem się wokół siebie poczułem się całkiem normalnie. Otaczali mnie znajomi życzliwi oficerowie, którzy poczynili niesamowite postępy w rozwoju pedagogiczno-naukowym⁴².

Akademia emanowała innego ducha niż w latach pięćdziesiątych, kiedy w niej pracowałem. Stało się to za sprawą generała Józefa Kuropieski, człowieka o wielkiej rubasznej osobowości⁴³. Żałowałem, iż nie zastałem go na akademickiej scenie. „Rządził” w latach 1964 – 1968 i przeorał akademię. Dzięki Gomółce, w wojsku zostały zapoczątkowane nieodwracalne procesy, podobnie jak w życiu całego państwa polskiego. Kuropieska, nie naruszając radzieckiej doktryny wojennej, spolszczył program nauczania, wprowadził do niego elementy przedwojenne: ćwiczenia pociągowe, terenowe studium taktyczno-operacyjne, zwiedzanie „sztandarowych” obiektów historycznych i kulturalnych, obozy letnie i zimowe. Prowadził klarowną politykę personalną. Bezuczuciowo pozbywał się oficerów nie nadających się na wykładowców. Wyselekcjonowana przez niego kadra, przetrwała całe lata i ugruntowała wysoki autorytet Akademii

⁴² Płk Stanisław Lewandowski, płk Igor Błagowieszczański, płk Jerzy Narojczyk, płk Kazimierz Kaczmarek, płk Józef Kopeć, płk Stefan Pataj, płk Stanisław Marzecki, płk Robert Czepan, płk Jan Gruszecki, płk Kazimierz Gocyła, płk Henryk Majewski, płk Józef Dynkowski, płk Mieczysław Kowalski, płk Jerzy Narojczyk, płk Antoni Kowalski, płk Roman Welc, płk Kazimierz Śliwiński, płk Tadeusz Ryss, płk Jerzy Wójcik, płk Tadeusz Krzemień, płk Stanisław Obłuski, mjr Wilhelm Nowacki, mjr Jerzy Mazur, kpt. Czesław Jarecki, mjr Stefan Olszewski, kpt. mgr inż. Jerzy Nawrot, kpt. mgr inż. Julian Skrzyp.

⁴³ Opinię o nim, wyrobiłem sobie po rozmowie z wieloma oficerami akademii. Dużo szczegółów uzyskałem od pułkownika Oleksińskiego. Generał Kuropieska przebywał w więzieniu w tym samym czasie co marszałek Spychalski i Władysław Gomółka. Wyzwolił ich rok 1956, kiedy powoli następował odwrót stalinizmu.

Sztabu Generalnego. Dzięki jej taktyczno-operacyjnym wysiłkom, poziom oficerów wojska polskiego był bardzo wysoki.

Jako komendant akademii, często uczestniczył w zajęciach terenowych, odbywających się w różnych miejscach Polski. Wyróżniając kierowników ćwiczeń, miał zwyczaj każdego miesiąca zapraszać ich do kasyna. Siadał z nimi za stołem, stawiał dwa – trzy kieliszki wódki i na luzie dyskutowano o zamiarach i celach ćwiczeń. Pułkownik Oleksiński, który wielokrotnie brał udział w takich spotkaniach, wyraża opinię, że generał Kuropieska „nie bawił się w politykę”. Kiedyś tylko wzburzony, podniósł głos i ostro zareplikował: - oficer musi mieć twardy charakter. „Sam nie wiem jak to przetrwałem, kiedy przez cały długi rok siedziałem w celi z wyrokiem śmierci i czekałem, kiedy mnie zamordują”.

Osobiście obserwowałem go na dwóch prestiżowych ćwiczeniach Sztabu Generalnego. Nieraz potrafił zwrócić się do marszałka Spychalskiego, tytułując go „hetmanie”, czym wywoływał na sali znakomity nastrój.

Od czasu generała Kuropieski, polska akademia, jako jedyna tego typu uczelnia w socjalistycznym obozie, miała swój odrębny program szkolenia, nasączony duchem tradycji naszego wojska. Wprowadzone przez niego ćwiczenia „pociągowe”, zawierały w sobie wizję przestrzennego działania, maksymalnie przybliżały oficerów do realiów wojennych.

Kolejnym, mocno zaznaczonym w historii akademii komendantem, był generał Bolesław Chocha (1973-1978). Objął to stanowisko, po wieloletnim kierowaniu sztabem generalnym Wojska Polskiego. Miał uzasadnione ambicje, aby nadać uczelni „swoją styl”. Jako komendant wydziału wojsk lądowych miewałem z nim częste kontakty służbowe. Z entuzjazmem uczestniczył w dorocznych wystawach wydziałowych, promujących osiągnięcia naukowe kadry. Miał głęboką wiedzę ze szczebla operacyjnego i obrony terytorialnej.

Prezentował się jako światła osobowość, rozumiejąca potrzeby jutra. Przy nim akademia otworzyła się na nowoczesne prądy w dowodzeniu i dydaktyce. Powstał instytut dydaktyki (płk prof. Jerzy Zakrzewski), katedra cybernetyki (płk prof. Jerzy Skibiński), katedra dowodzenia (płk dr hab. Wiesław Wójtowicz). Śmielej weszła narodowa tematyka do historii sztuki wojennej (płk prof. Emil Jadziak).

Na wykłady do wojskowej uczelni byli zapraszani wielcy polscy cywilni profesorowie: Tadeusz Kotarbiński, Bogdan Suchodolski, Jan Szczepański, Benon Miśkiewicz.

Komendant doceniał rolę sportu w życiu oficera. Ganił „otłuszczonych osobników”, jako zaniedbanych fizycznie i nieprzydatnych do obrony Ojczyzny. Dwukrotnie w tygodniu pływał i grał w siatkówkę. Przykład komendanta, gremialnie mobilizował podwładnych. To wówczas powstała słynna drużyna, w której składzie walczyła śmietanka naukowa akademii. Pierwsze skrzypce odgrywały dwie osoby; mój zastępca pułkownik Stanisław Lewandowski i szef katedry inżynieryjnej pułkownik Tadeusz Proca. Ileż to było emocji, kiedy ta „profesorska” ekipa toczyła zwycięskie boje z reprezentacją studenckiej młodzieży.

Generał Chocha opuścił akademię w 1978 roku. Pozostawił uczelnię w silnym rozruchu intelektualnym i profesjonalnym. Dużo uwagi poświęcał ćwiczeniom akademickim, zawsze „osadzonym” na wojskach okręgowych. Nigdy nie obrażał podwładnych. Szczególnym szacunkiem darzył szefów katedr. Po nim komendę przejął generał broni Józef Kamiński. Jego zasługą było konsekwentne podtrzymanie steru ustawionego na poprzednim kursie. Rzeczywistym „strażnikiem” programów i metod nauczania były rady naukowe wydziałów i senat akademicki. Tworzyli je zespoły zasłużonych pracowników naukowych i wybitnych pedagogów. Ich stanowiska, poparte wielkim autorytetem, decydowały o obliczu akademii.

W latach siedemdziesiątych, uczelnia dysponowała ogromnym potencjałem mądrych i ambitnych „żołnierzy pedagogów”, którzy byli świadomi swojej odpowiedzialności za przygotowywanie kadr dla Wojska Polskiego. Świadectwem ich dojrzałości intelektualnej, była prawdziwa „eksplozja” książek, na tematy teorii i praktyki z dziedziny obronności, uzbrojenia i sztuki wojennej. Takiego zjawiska - w swojej wielowiekowej historii - Wojsko Polskie nigdy nie przeżywało. I to uzasadnia moją nadzieję, iż kolejne pokolenia oficerów, stojąc na gruncie utworzonym przez światłą, powojenną kadrę wykładowców, pójdą drogą służby z podniesioną głową.

Kiedykolwiek stoję przed swoją domową biblioteką i sięgam po jedną z czterdziestu książek moich wspaniałych kolegów – autorów, serce napęłnia radość,

że przez wiele lat z nimi współpracowałem. Dzięki nim, skomplikowany, prawie pięćdziesięcioletni powojenny okres spraw wojskowych, został udokumentowany, oddany w rzeczywistych „barwach” tamtego czasu. Nie sposób wymienić wszystkich, stanowiących życiodajną warstwę inteligencji Wojska Polskiego, osoby twórcze, umiejące pisać, analizować, syntetyzować, wyrażać swoje opinie, korzystać z przebogatyh źródeł archiwalnych, bibliografii polskojęzycznej i obcej. Weźmy dla przykładu „pierwszych z brzegu”: płk Igor Błagowieszczanski, płk prof. Julian Kaczmarek, płk prof. Tadeusz Krzemień, płk prof. Andrzej Madejski, płk prof. Kazimierz Nożko, płk Jan Orzechowski, płk dr Stefan Pataj, płk prof. Henryk Piekarski, płk prof. płk Czesław Krzemiński, płk prof. Piotr Sienkiewicz, płk dr hab. Roman Łoś, płk Franciszek Skibiński, płk prof. Wacław Świątnicki. Podobnie jak wyżej wymienionym, dziesiątkom innym⁴⁴ akademickim naukowcom, głównie młodszego pokolenia, Wojsko Polskie zawdzięcza swoje sukcesy, swój patriotyzm i powszechny autorytet.

1.5. Stan wojenny

Końcówka lat siedemdziesiątych głośno sygnalizowała, że Polska stanęła wobec niezmiernie złożonej sytuacji politycznej, społecznej i gospodarczej. Wynaturzony socjalizm stał się hamulcem w rozwoju społecznym i gospodarczym kraju. Pojawiła się nowa potężna siła w postaci wielomilionowej Solidarności. Strajki zaczęły wstrząsać słabą gospodarką. Wschodni sojusznik, obserwował ten polski proces z nieskrywanym narastającym podenerwowaniem. W Warszawie stale przebywały kremłowskie partyjno-rządowe delegacje. Zaczęły dochodzić trwożne słyuchy u ruchach i przygranicznej koncentracji radzieckich wojsk. Miałem pełną świadomość, że Moskwa – w obliczu groźby oderwania się polskiego sojusznika – może dokonać brutalnej agresji o tragicznych skutkach dla Kraju.

Po zajęciach, stałe się odbywały spotkania z przedstawicielami ministerstwa obrony narodowej, rządu i partii. Czynione były desperackie próby „ideologicznego

⁴⁴ Gen. prof. Tadeusz Jemiolo, gen. prof. Bolesław Balcerowicz, gen. prof. Stanisław Koziej, gen. broni pil. Jerzy Gotowała, gen. prof. Michał Krauze, płk prof. Jakub Broch, płk prof. Adam Tomaszewski, płk prof. Władysław Filar, płk prof. Jerzy Kunikowski, płk prof. Kazimierz Żegnatek, płk prof. Eugeniusz Nowak, płk prof. Stanisław Pióro, płk dr hab. Marian Szczepaniak, płk prof. Wojtowicz, płk prof. Ryszard Wróblewski, płk prof. Jerzy Zieliński, płk prof. Michał Huzarski, płk pil. dr hab. Janusz Karpowicz, płk prof. Romuald Mańkowski.

wzmocnienia” oficerów akademii. Sprawy jednak nabrały już takiego rozpędu, iż wymykały się spod starych wzorów rutynowego oddziaływania. Atakowani pytaniami speszeni prelegenci „wycofywali się” do swoich zacisznych gabinetów. W moim akademickim otoczeniu, ewidentnie następowała radykalizacja nastrojów

Szczególnie młoda kadra oficerska – u starszych wiekiem, wojenne przejścia zakodowały potrzebę zachowywania powściągliwej ostrożności – otwarcie demonstrowała swoją przychylność dla Solidarności. Padały żądania, aby w radio i telewizji, odbywały się dyskusje przedstawicieli władz państwowych i nowej opozycji.

W listopadzie 1980 roku, przyjechał do akademii szef Sztabu Generalnego. Z niedowierzaniem obserwowałem tego zawsze pewnego siebie przełożonego. Siedział teraz skulony i zatracony, a z audytorium spadała nań lawina pytań i pouczeń, jak należy demokratyzować życie w Ojczyźnie.

Wreszcie kiedy przemówił, jego wystąpienie komentowane było na gorąco jako zachowawcze i dystansujące się od oczekiwanej odnowy. Ponadto, kadra dydaktyczna, wyczulona na styl i poziom polszczyzny, oceniła je surowo, jako „cedzone, chrząkane i stękane”. Nie przekonywująco i wręcz żałośnie brzmiały ideologiczne frazesy. Mówca okazał całkowitą „głuchotę” na głosy wypowiedzianych przed nim opinii. Kiedy opuścił akademię, życie znów zostało zdominowane burzliwymi wypadkami.

Nadchodziła późna jesień, a sytuacja w kraju pozostawała napięta. W aspekcie politycznym, obserwowało się powszechny brak wiary w poczynania rządu, a stan gospodarczy najlepiej charakteryzowały opustoszałe sklepy. Było w tym coś trwożnego. Na zakurzonych półkach stały „osierocone” słoiki z musztardą butelki z octem. Słowem, kupa nieszczęścia, jak w tym ludowym przysłowiu: „Idź powoli, a bieda cię dogoni; idź prędko, a dogonisz biedę”.

W dowództwie wydziału wojsk lądowych panowała zgodność, że to już nieodwracalnie nadeszły inne czasy, ukorzeniła się nowa świadomość. W akademii zostały wprowadzone całodobowe dyżury, czuwania, podwyższona gotowość bojowa. Co chwila odbywały się jakieś odprawy. Szef katedry logistyki, generał Zbigniew Kamiński, z właściwą sobie bezpośredniością, pół żartem żalił mi się, iż stałe przesiadywanie w uczelni zaowocowało u niego przykrym wypadkiem.

- Ostatnio, kiedy otworzyłem drzwi do mieszkania, nie zostałem rozpoznany przez własnego psa.

Nie jest moim zamiarem usprawiedliwiać siebie, ani moich wojskowych kolegów za to wszystko w czym uczestniczyliśmy. Postępowaliśmy zawsze z myślą o dobru Ojczyzny. Zachowywaliśmy lojalność wobec naczelnego dowódcy, wierząc w jego czyste intencje i pełne rozeznanie w sytuacji. W tamtych czasach, żadnemu z nas nawet się nie śniło, że potężna socjalistyczna machina, z jej dufnymi sternikami, jednego dnia zaprzestanie istnieć. Jakby strącona w przepaść. Osobiście byłem przekonany, że rozpoczęty proces jej reformowania rozwijać się będzie aż do osiągnięcia pełnej demokratyzacji. Jednocześnie, stale byłem podminowany pragnieniem, aby zmiany zachodziły szybciej, abym jeszcze za własnego życia mógł oglądać ich owoce. **Ale jak widać, wszystko wymaga czasu na dojrzewanie. Dotyczy to także władzy, której ewolucyjna inercja jest zawsze spowalniana, chociażby z tego tytułu, że nie łatwo jest rozstawać się z amokiem rządzenia.**

Na szczęście, ani oficerowie kadry dydaktycznej, ani ich młodszy koledzy studenci, będący przeważnie w stopniach kapitanów i majorów, nie byli wyizolowani z sytuacji własnego państwa. Wszyscy razem i ja z nimi, boleśnie odczuwaliśmy upadek jego prestiżu i staczanie się w przepaść niemocy gospodarczej.

Na naszych oczach, jak w ponurym filmie, zmieniały się „ekipy panujących”. Każda nowa oskarżała poprzednią o nieudolność, o błędy woluntaryzmu, płodziła kolejne uchwały, apelowała do uczuć patriotycznych poniżanego w kolejkach społeczeństwa i oddalała Polskę od nowoczesnej Europy. Każdą z ekip wspierał rozbudowany system represji i potężny aparat ideologiczno-propagandowy. Potrafił on wszystko wyjaśnić, wskazać winowajców i udowodnić, że teraz już będzie dobrze.

Chociaż oficerowie byli wychowywani w duchu bezwzględności i bezkrytycznego posłuszeństwa, jednak w każdym tliła się tęsknota za prawdą, za swobodą wyrażania swoich myśli, za niezafałszowaną historią własnego kraju. Wreszcie, pragnęli sprawnego rządu, zdolnego przybliżyć życie Polaków do standardów europejskich.

Codziennosc oficera obarczała katechizm ideologiczny: „Bez przewodniej roli partii zginie socjalizm, a wraz z nim przepadnie Ojczyzna”. Trudno uwierzyć, iż

pomimo tak skonstruowanej maszynery urabiania, w oficerskiej masie zachował się jeszcze zdrowy rozsądek. Złożyły się na to ważne przyczyny. Oficerowie byli częścią boleśnie doświadczonego narodu, wiekami walczącego o wolność i swoją człowieczą godność. Historia raz po raz odsłaniała prawdziwy obraz władzy. Stąd rodził się krytycyzm do aktualnie „panujących” i nawet do własnego ministerstwa obrony narodowej.

Na szczęście, wśród oficerów i generałów wojska znajdowały się osobowości wrażliwe, zachowujące się wiarygodnie i odważnie. Znałem ich wielu także w akademii sztabu generalnego. Byli moimi przełożonymi, kolegami, często podwładnymi, ludzie obdarzeni wielkimi wartościami duchowymi: godnością, bogactwem wiedzy, skromnością, tryskający humorem, aspirujący do własnej narodowej sztuki wojennej.

Na mojej drodze wspomnień, w pierwszym szeregu stoi generał brygady **Tadeusz Urbańczyk**. Jaka szkoda, że nie ma go już wśród żywych. Wyraziście pamiętam nasze rozmowy. Był patriotą, bolejącym nad sytuacją wojska. Cechowała go nieprzeciętna inteligencja, i wszechstronne odczytanie. Tacy jak On, krytycznie nastawieni do ministerstwa, nie mieli szans do awansu.

- Wiesz – mówił do mnie – mają prawdziwego „hopla” na punkcie przepisywania radzieckich regulaminów. Są wyprani z własnych ambicji.

Teraz kiedy odszedł w nieznane, skłonny jestem wierzyć, że generał Urbańczyk znalazł sobie ciekawe otoczenie. Z zainteresowaniem obserwują gigantyczny trójwymiarowy ekran z bieżącą sytuacją w swojej ziemskiej Ojczyźnie. Nie potrzebują się martwić o wyniki emerytalnej dyskusji w sejmie. Chciałoby się cynicznie powiedzieć: „takim to dobrze”.

Nie mogę też nie wspomnieć – z racji odważnego wyrażania swoich opinii - pułkownika profesora Andrzeja Madejskiego, kolejnej wybitnej osobowości akademickiej. Publicznie głosił, że „do władzy dochodzą miernoty z partyjnego klucza. Wykształciła się obłuda, cwaniactwo, lizusostwo, układy osobiste. Króluje zasada: kto nie zgadza się z kierownictwem, ten jest wrogiem. Walka „z religianctwem” upodabnia się do polowania na czarownice.”

W październiku, ministerstwo obrony narodowej wysłało w teren tysiące oficerów, w celu skontrolowania pracy władz administracyjnych, zakładów

produkcyjnych, państwowych gospodarstw rolnych. Z samej akademii wyjechało kilkudziesięciu wykładowców. Wszyscy w „bojowych” nastrojach”, przekonani o doniosłości otrzymanych zadań. Niektórzy decydenci przypuszczali, że najazd grup inspekcyjnych – wzorem wojskowych doświadczeń – dokona psychologicznego wstrząsu, wyciszy wzburzone nastroje, udroźni produkcyjne „zatory”, przywróci „normalność”. Tylko przeoczyli, że w Polakach dokonały się nieodwracalne zmiany, nie akceptujące „starej normalności”.

18 października, ku ogólnemu zaskoczeniu, Stanisław Kania podał się do dymisji, a na jego miejsce został wybrany generał Wojciech Jaruzelski, który jednocześnie zachował zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi. Wybór generała Jaruzelskiego na pierwszego sekretarza partii, budził nadzieje, że zdoła on nawiązać współpracę z Solidarnością i uspokoi sytuację wewnętrzną oraz „ociepli” groźnie napięte stosunki ze wschodnim sąsiadem. I co najważniejsze, oczekiwano się skutecznego pobudzenia gospodarki.

Po zmianach na wierzchołkach polskiej władzy, prasa zamieściła telegram gratulacyjny od Leonida Breżniewa. Wyrażał przekonanie, że polski przywódca „użyje całego swojego autorytetu, aby zewrzeć szeregi Zjednoczonej Partii Robotniczej na bazie marksizmu – leninizmu, w interesie obrony socjalistycznych osiągnięć polskiej klasy robotniczej, przeciwko zakusom kontrrewolucji”. Brzmiało to jednocześnie „przyjaźnie i ostrzegawczo”. Sytuacja polska obserwowana była w Moskwie nadzwyczaj uważnie i podejrzliwie.

28 października, dziesięciu szefów katedr składało meldunki o działalności swoich oficerów w terenowych grupach operacyjnych. Z treści słów nie wiało entuzjazmem. Często, starsi oficerowie w stopniach pełnych pułkowników miotali się w sieciach lokalnych intryg, wzajemnych pretensji, na które centralna władza latami nie reagowała. Z reguły, próbowano wojskowych wciągać w podejrzane rozgrywki personalne, mamieć cennymi podarkami.

Patrzyłem na zaszępienie twarze moich współpracowników. Słowa pułkownika Kazimierza Patkowskiego – błyskotliwy szef katedry łączności – wypowiedziane stanowczym tonem, ujawniały świadectwo najbliższe prawdzie: „Już przeminęła epidemia optymizmu. To co oficerowie w terenie zobaczyli, jest w istocie lodowatym prysznicem i pouczającą lekcją. Nie mogą sobie poradzić z większością spraw dla

nich obcych, będących w gestii rządu. Morał z tego taki, że myśmy w tym po prostu ugrzęźli i pogrzebali swoje marzenia o naprawie państwa”.

Pułkownik docent Stanisław Lewandowski, zdolny i inteligentny dydaktyk, wzór nowoczesnego oficera, sformułował opinię, iż jedynym rezultatem pozostawiania pedagogów w terenie, będzie spadek autorytetu wojska w sfrustrowanym społeczeństwie. Mówił bez ogródek: - Oficerowie wzięli na swoje barki moralne koszta tej „zabagnionej imprezy”, a jednocześnie w uczelni cierpi dydaktyka. Szefami katedr targały niedobre przeczucia,

W listopadzie, odnosiło się wrażenie, że niepokoje przycichają. Tu i ówdzie „pomrukiwały” jeszcze strajki, ale poszerzała się szczelina nadziei pojednania. Spotkanie generała Jaruzelskiego z Wałęsą i kardynałem Józefem Glempem roztoczyło dodatkowy „aromat” wokół tych nadziei.

Na początku grudnia, odbyło się doroczne rozliczanie katedr z działalności dydaktycznej i naukowej. Przełożonym wydawało się, że uroczysty meldunek podwładnych, o stanie wykonania rocznych zadań, poparty kolorowymi planszami, daje obiektywny obraz sytuacji. Gwoli prawdy trzeba jednak przyznać, że w owym trudnym czasie, akademia sztabu generalnego miała wybitnych szefów katedr. Ich naukowe dysputy zawsze wywoływały twórczą atmosferę, zmierzały do racjonalnych wniosków. Liczyły się tylko uzasadnione argumenty, poparte solidną wiedzą.

5 grudnia zawitałem służbowo do Jeleniej Góry, aby spotkać się z akademickimi oficerami, pracującymi w operacyjnych grupach terenowych. Meldunki były pesymistyczne, przeczucia niedobre. Jeden z wykładowców, niedwuznacznie dał do zrozumienia, iż razem z władzą weszliśmy na wyjątkowo śliski grunt. Każdy z oficerów podkreślał ogromne kłopoty produkcyjne w kontrolowanych zakładach. Wyczuwało się, iż państwu grozi zapaść gospodarcza. Do akademii powróciłem w minorowym nastroju.

11 grudnia, radziecka agencja prasowa TASS, oskarżyła siły kontrrewolucyjne w Polsce o nasilanie walki z partią. Cytowała fakty, które wywoływały „sprawiedliwy gniew narodu radzieckiego”. Tego samego dnia w akademii, zostało zarządzane dodatkowe szkolenie z osiagania wyższych stanów gotowości bojowej. Po obiedzie odbył się wiec, zaimprovizowany przez wydział polityczny, w celu ostrzeżenia „wrogów socjalizmu” i wyrażenia poparcia rządowi.

Nie ulega wątpliwości, że narastająca fala strajków i wystąpień antyrządowych dezorganizowały słabą gospodarkę państwa i potęgowały prawdopodobieństwo ingerencji militarnej wschodniego sąsiada. Mając bolesne doświadczenia z drugiej wojny światowej i tragiczne w skutkach „przywracanie” zagrożonego socjalizmu na Węgrzech i Czechosłowacji, tego się najbardziej obawiałem. **Nie miałem żadnych złudzeń, że zachodnie mocarstwa – zapatrzone we własne interesy - pozostawałyby biernym obserwatorem polskiego nieszczęścia.** Z wewnętrzną trwogą słuchałem wypowiedzi szefów katedr. Byliśmy zgodni, że skutki takiej sytuacji okazałyby się tragiczne nie tylko dla wojska polskiego. Straszliwie ucierpiałyby Solidarność i cały naród polski. Rozwój państwa – podobnie jak po każdej agresji – zostałby wyhamowany na kolejne kilkadziesiąt lat. Pamiętam jak dziś spotkanie ze słuchaczami i rzucające do mnie pytania:

- Obywatelu generale! Co mamy zrobić, gdyby do Polski wkroczyły armie radzieckie?

- Nie mają prawa – odpowiadałem wymijająco. W wypadku naruszenia naszej suwerenności, obowiązkiem wojska jest obrona Ojczyzny.

I to były ostatnie epizody pokojowego życia w Akademii Sztabu Generalnego. Trzynastego grudnia obudziliśmy się w stanie wojennym.

Z ręką na sercu trzeba przyznać, że w wojsku napięcie przed trzynastym grudnia osiągnęło stan krańcowy. W zasadzie, wiedzieliśmy to co nam się pozwalało wiedzieć, a z tego układał się ponury obraz. Niepodobna było spokojnie myśleć ani o wewnętrznym chaosie, ani o ewentualnej „bratniej pomocy krajów socjalistycznych”. Jedno i drugie, stawały pod znakiem zapytania niepodległość państwa. Nie tylko dla mnie osobiście, niewyobrażalna była powtórka tragedii z września 1939 roku. Zapewne dlatego właśnie kadra oficerska z ulgą zaaprobowała wprowadzenie stanu wojennego. Jak dziś widzę przed sobą szefa katedry wojsk chemicznych pułkownika Rabana, który mówił o nadarzających się szansach: usunięcia z różnych miejsc zasiedziały klik, zdemokratyzowania partii, otwarcia drogi dla ludzi prawych, przywrócenia szacunku dla pracy i zasiania ziarna społecznej zgody.

21 grudnia cała kadra dydaktyczna akademii wysłuchała informacji generała Ludwika Sobieraja, zastępcy komendanta do spraw politycznych. Szanowałem go za

odwagę wypowiedzenia trzeźwych sądów i za kulturę osobistą. Oto jak scharakteryzował sytuację: „Sierpień roku 1980, w odróżnieniu od kryzysów z lat 1956, 1968 i 1970 był zjawiskiem masowym. Autorytet państwa i władzy zostały generalnie zanegowane, bowiem charakteryzowały je: bezprawie, pazerność, grabież dóbr społecznych i woluntaryzm gospodarczy. Wpędzono kraj w pętlę zadłużenia. A wszystko przykrywała pozorna jedność moralno-polityczna narodu. Solidarność powstała jako zdrowy odruch sprzeciwu klasy robotniczej. Swoją siłę czerpała z poparcia autorytetu kościoła. Partia schowała się za plecami wojska. Nawet w telewizji nie widać członków biura politycznego”.

Sala przyjęła z aprobatą taką szczerą, klarowną ocenę sytuacji, w której nie było ani optymistycznych wniosków, ani prób pocieszania nas. Na dworze, ołowiane chmury wisiały nad Rembertowem i pojedyncze ciężkie krople deszczu uderzały o szyby.

1.6. W Ministerstwie Spraw Zagranicznych

23 grudnia otrzymałem rozkaz zameldowania się w Komitecie Obrony Kraju, gdzie z rąk przystojnego i sprężystego generała Mieczysława Dembickiego otrzymałem dokument, powołujący mnie na stanowisko pełnomocnika Komitetu Obrony Kraju w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Do mojej dyspozycji oddelegowanych było siedmiu oficerów, solidnie wykształconych, o bogatym doświadczeniu służbowym. Z Akademii Sztabu Generalnego: płk dr Stanisław Wójcik i ppłk dr Konstanty Sołtykiewicz – wieloletni dydaktycy, znawcy taktyki i sztuki operacyjnej. Z Zarządu II Sztabu Generalnego: płk dypl. Wacław Jagielnicki, płk dr Jerzy Jackiewicz, płk dypl. Sternal (od marca do lipca 1982 roku płk dypl. Eugeniusz Nosowski) – dobrze obeznani ze specyfiką służby zagranicznej. Z Departamentu Kadr Ministerstwa Obrony Narodowej płk dypl. Kazimierz Soborski – w pełni zorientowany w zasadach wojskowej polityki kadrowej i płk mgr Kazimierz Stefanowicz – prawnik z wojskowej służby wewnętrznej.

Żadnemu z nas, skierowanych do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nawet się nie śniło, że w jego militarnym życiorysie pojawi się rozkaz nadzorowania najwyższej dyplomatycznej instytucji państwa. Wiedzieliśmy, że jest to igraszka historii, spowodowana jednak nadzwyczajnymi wydarzeniami. Mieliśmy świadomość,

że znajdziemy się na terenie państwowego urzędu o dużym autorytecie i wyjątkowym wymiarze. Chociaż skrycie myślałem o tym nie bez pewnej wewnętrznej chętności, zdecydowany byłem działać rozważnie i sprawiedliwie.

Historia się więcej nie powtórzy – powiedziałem swoim podwładnym i kolegom. – Jesteśmy pierwszą i ostatnią „brygadą”, która znajduje się w gmachu Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Musimy po sobie pozostawić godne wojska polskiego wspomnienie. Oczekuję od was lojalności i dyskrecji.

Rozumiałem, że jeśli poczynania moje mają się zakończyć sukcesem, to muszę szanować swoich oficerów. Wiedziałem, że moim najważniejszym zadaniem będzie wypracowywanie koncepcji działania grupy.

24 grudnia odbyła się wzajemna prezentacja – wojskowych i głównych pracowników MSZ. Po raz pierwszy siedziałem w pięknej reprezentacyjnej sali resortu. Rzucił mi się w oczy olbrzymi gobelin, zajmujący całą boczną ścianę sali posiedzeń, który zmieniał swoje barwy od ciemnych do jasnych, zależnie od oświetlenia. A kiedy ujrzałem na nim, w stonowanych zielonych kolorach, konny zaprzęg artyleryjski, pasjonujący ekspresją, od razu ociepliły się moje uczucia do całego ministerstwa. Przypominał mi fragment mojej własnej „armatniej” przeszłości, która stale się sunie za człowiekiem jak cień.

Gdy tylko zakończyła się ceremonia wzajemnej prezentacji, czas zaczął szybko odliczać dni naszej obecności w pokoju numer sto szesnaście i w zasadzie pracował na naszą korzyść. Coraz bardziej wnikaliśmy w kłębowisko problemów ministerstwa spraw zagranicznych. Z akademii wyniosłem nawyk, aby nie żałować czasu na ostrą wymianę poglądów w samej grupie. Często zapraszałem na nie wybranych dyrektorów departamentów i o uznanej renomie dyplomatów. Zawsze miałem przeświadczenie, że spojeni patriotyzmem i wiarą we własny naród, potrafimy podejść racjonalnie do każdej najtrudniejszej sprawy. Niezależnie od obaw i niechęci, jakie musiała rodzić nasza obecność w ministerstwie, wiedziałem, że mundur budzi respekt i zaufanie. Oficerowie polscy nigdy nie splamili się biernością w obliczu zagrożenia Ojczyzny. Nie byliśmy powiązani z żadną kliką, ani pojedynczymi „gwiazdorami”.

W naszym „ministerialnym życiu”, jak przelotne ptaki mijały dzień za dniem i sobota za sobotą. W grupie byliśmy zgodni, że nie powinniśmy się wtrącać do

funkcji polityczno-dyplomatycznych resortu. Natomiast, w pełni czuliśmy się partnerami w innych sprawach, bardziej przyziemnych. Ostatecznie, zdecydowałem skoncentrować wysiłek oficerów w sferze: skuteczności zarządzania, struktury organizacyjnej ministerstwa i jego placówek, kontroli i koordynacyjnej roli ministerstwa w działalności zagranicznej państwa. Moi podwładni rwali się do pracy. Było coś podniosłego w ich patriotycznym uniesieniu i chęci aktywnego zaistnienia w ministerstwie.

4 stycznia 1982 roku uczestniczyłem w koronnej odprawie pełnomocników Komitetu Obrony Kraju u szefa sztabu generalnego. Kiedy rozejrzałem się po obszernej sali, co tu gadać, wydało mi się, że otacza mnie morze osiwiąłych głów. I pomyślałem sobie, jak w tym wschodnim przysłowiu, że rdza zjada wszystko oprócz smutku. A przecież nie tak dawno, bo w latach pięćdziesiątych, zaliczaliśmy się do najmłodszej kadry w Europie.

Po wysłuchaniu szefa sztabu generalnego i jeszcze kilku wysokiego szczebla mówców, uświadomiłem sobie, że aktualne kierownictwo państwa, ukryte chwilowo pod szyldem wojskowej rady ocalenia narodowego, w pierwszym rządzie pragnie uporządkować kadry, aby zapewnić sobie ich pełną dyspozycyjność. Marginalnie poruszane były sprawy gospodarcze, co odczułem jako zły omen. Obawiałem się, iżby nie powtórzyła się historia poprzednich kryzysowych „zakrętów”. Władza na jakiś czas się ratowała, ale klucząc po bezdrożach zataczała koło i doprowadzała państwo do tego samego ciemnego miejsca.

W każdym bądź razie, byłem spokojniejszy kiedy usłyszałem, iż moi przełożeni dostrzegają niebezpieczeństwo zaistnienia prymitywnych „odwetów” i zdecydowanie przeciwstawiali się temu.

W ministerstwie przeżywałem ciekawe czasy. Niewyczerpane strumienie informacji spływały do departamentów, gdzie były analizowane i uogólniane. Stanowiły one ważny element ocen, z których powstawały decyzje polityczne. Szybko się zorientowałem, że znaczna część depesz zawiera wiadomości plotkarskie, niemiłosiernie rozwlekłe, zagęszczające szum informacyjny. Nieodżałowanej pamięci Pułkownik Wacław Jagielnicki określał je dosadnie mianem „sieczki”. Podłożem tego przeważnie była sztuczna aktywność niektórych ambasadorów, sygnalizujących swoją „pracowitość”.

Myślę, że podobne zjawisko towarzyszy nie tylko polskiej służbie dyplomatycznej. I nie ma się temu co dziwić. Siłą napędową słodkiego życia dyplomatów, jest nieustanne dążenie do zaspokojenia informacyjnego głodu swojego ministerstwa. Tam przecież budują sobie opinie, decydujące o kolejnych zagranicznych posadach. Czyli, ambasadorzy zachowują się racjonalnie. Trzeba tylko, jak mawiają artylerzyści, brać poprawkę „na derywację”, a w tym wypadku na wyrafinowaną nadgorliwość. Inaczej to interpretował **wiceminister Henryk Jaroszek, człowiek jasnego umysłu i ogromnych zasług dla ministerstwa. Był zdania, że pewna część ambasadorów „tak kraje jak im głowy staje”.**

Ilekróć jednak, co zdarza się często, nawracam pamięcią do stanu wojennego, mam pełne przekonanie, że w tym szczególnym czasie, ministerstwo spraw zagranicznych dysponowało kompetentną i ambitną kadrami. Z wewnętrznym szacunkiem obserwowałem jej zaangażowanie, perfekcyjną znajomość obcych języków, umiejętność zwięzłego wyrażania swoich myśli i generalnie rzecz ujmując – wyraźną troskę o polską rację stanu. Miałem świadomość, że ukształtowanie takiego zespołu wymagało wielu lat pracy i doświadczeń.

Wiceministrowie: Marian Dmochowski, Henryk Jaroszek, Józef Wiejaczki Tadeusz Olechowski byli doświadczonymi dyplomatami, wymagającymi od siebie i swoich podwładnych. Podobne zdanie mam o dyrektorach departamentów. Stanisław Matosek, Sławomir Dąbrowa, Włodzimierz Konarski, Witold Sędziwy, Eugeniusz Wyzner, Eugeniusz Noworyta, Jan Kinast, Tadeusz Mulicki, Stanisław Turbański i Tadeusz Kohorewicz to profesjonalni dyplomaci i wielkie osobowości. Ale cóż oni mogli zmienić w sytuacji kraju, którego gospodarka znajdowała się w stanie „agonalnym”.

Całą mocą wojskowej grupy, starałem się unikać działań bezmyślnie radykalnych, kolidujących z interesem kraju. Wiedziałem, że nie powinniśmy budować naszej polskiej egzystencji na przemocy i politycznym terrorze. Jednocześnie, większość dyrektorów departamentów nie kryła się z opinią, że nie pomoże nam najbardziej konstruktywna polityka zagraniczna, jeśli nie będzie wspierana siłą materialną własnego państwa. Pani Maria Dębowska, rzetelna światła osoba o długiej praktyce dyplomatycznej, celnie zauważała, iż „słabemu wszystko ciężko”.

21 lipca 1983 roku, na posiedzeniu sejmu zapadła decyzja o zniesieniu stanu wojennego. Sam fakt, że przez drobny wycinek czasu uczestniczyliśmy w życiu wewnętrznym Ministerstwa Spraw Zagranicznych, napawał nas dumą. W podsumowującym sprawozdaniu, znalazły się obszerne dane, z których wynika, że wojskowa grupa oddała się bez reszty wspomaganie wysiłków resortu w jego politycznych zmaganiach, o umacnianie międzynarodowej pozycji naszej Ojczyzny. Grupa zainspirowała Departament Studiów i programowania, do opracowania projektu „konceptji intensyfikacji polskiej polityki zagraniczne”. Wojskowa grupa starała się koncentrować swój wysiłek na działaniach systemowych i aktywnie współdziałała z resortem w opracowaniu kilku ważnych dokumentów, jak chociażby: zasad przeglądów kadrowych; zasad naboru szkolenia i doskonalenia kadr; instrukcji o zasadach prowadzenia akt osobowych; zasad planowania sprawozdawczości w resorcie i wreszcie koordynacyjnej roli Ministerstwa Spraw Zagranicznych w stosunku do działań za granicą państwa.

W podsumowującym dokumencie sprawozdawczym, bardzo wyraźnie zaznaczyliśmy, że na terenie ministerstwa koncentrują się sprzeczne interesy wielu instytucji: partii i stronnictw politycznych; urzędu rady ministrów; komisji planowania gospodarczego; ministerstwa handlu zagranicznego; ministerstwa nauki, szkolnictwa wyższego i techniki; ministerstwa kultury i sztuki; ministerstwa zdrowia i opieki społecznej; ministerstwa rolnictwa i gospodarki żywnościowej oraz służb specjalnych (MSW, MON) i związków zawodowych. Taka sytuacja powoduje rozrost placówek zagranicznych, wywołuje dużą fluktuację kadr, rzutuje ujemnie na proces ich szkolenia i zawodowego doskonalenia. Cierpi na tym jakość pracy polskiej służby zagranicznej i jej autorytet.

Przy pożegnalnej kawie, wszyscy cieszyliśmy się z zawieszenia stanu wojennego. Smętnie zgadzaliśmy się, że państwo nadal stoi w obliczu tych samych problemów, które zrodziły stan wojenny. Wymiana zdań była burzliwa i nasycona goryczą. **Kwint esencję wypowiedział pułkownik dr Konstanty Sołtykiewicz. Mówił o sobie, ale jak gdyby z myślą o nas wszystkich. „Jako żołnierz wierzę, iż mój najwyższy przełożony zmuszony został do wprowadzenia stanu wojennego, aby ratować Polskę przed rozkładem wewnętrznym i utratą niepodległości. Zachowałem się wobec niego lojalnie i uczciwie, chociaż często odnosiłem wrażenie, iż zostałem zaangażowany do działań pozornych”.**

W ten sposób nastąpiło jakby rozliczenie z „wojenną” przeszłością, która pozostawiała w nas osad zwątpienia i wiele pytań bez odpowiedzi. Wkrótce po tym, do pokoju numer 116 weszli pracownicy cywilni ministerstwa spraw zagranicznych.

W końcówce lat osiemdziesiątych, wojsko było nie tylko „obserwatorem” narastającego rozgoryczenia społecznego i degradacji gospodarczej państwa. Wśród kadry – wbrew doraźnej propagandzie - narastały nastroje poparcia dla ruchu Solidarności, uosabiającego nadzieję odnowy politycznej i moralnej oraz uniezależnienia się od wpływów radzieckich. W wyborach do sejmu w roku 1989, garnizony wojskowe – ku zaskoczeniu ekipy rządzącej – gremialnie oddały swoje głosy na reprezentantów Solidarności. Kadra oficerska i większość świątłych generałów, nie chcieli dłużej spełniać w ręku polityków haniebną rolę karnego „narzędzia” do przeciwstawiania się własnemu narodowi. Pamięć każdego z nas, boleśnie raniły wspomnienia uwikłania wojska przez władze partyjne i państwowe w dramatyczne wydarzenia poznańskie w roku 1956, w przeciwstawianie się rozruchom studenckim w roku 1968, w zwalczanie wystąpień robotniczych w miastach wybrzeża w roku 1970. Rozkazy zmuszały kadrę do postępowania wbrew własnym przekonaniom i sumieniu. Kadra miała świadomość, że w wypadkach groźnych napięć społecznych, wojsko jest traktowane jako siła policyjna, a to było sprzeczne z wielowiekową tradycją wojska polskiego. A jakżeż celnie to „podsumował” Zenon Trejnis pisząc, że „Użycie sił zbrojnych do rozwiązywania wewnętrznego konfliktu, jest równoznaczne z ogłoszeniem bankructwa ustroju danego państwa”⁴⁵. Kończąc ten rozdział o oficerach okresu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – do których i ja się zaliczam – chciałbym go podsumować następująco.

Kadra wojskowa tego szczególnego czasu w historii państwa polskiego, przeszła trudną i powikłaną drogę życia. Oficerowie, których młodość zahaczała jeszcze o drugą Rzeczpospolitą i została przeorana przez wojnę, wbrew własnym nadziejom znaleźli się w całkowicie innym państwie, niż to, które znali z lat dzieciństwa. Powstała w wyniku jałtańskich porozumień Polska, została „przesunięta” ze wschodu na zachód. Większości z nich, bezpowrotnie utraciła rodzinne „gniazda”. Tylko w sercach tkwił skrywany sentyment do swojej Wileńszczyzny, do poleskich

⁴⁵ Z. Trejnis, *Siły Zbrojne w państwie demokratycznym i autorytarnym*, Wyd. Adam Marszałek, Warszawa 1997, s.108.

rzek i lasów, do wołyńskich pagórków. Tam były wrośnięte ich wielowiekowe korzenie. Systematycznie poddawani propagandowej i ideologicznej obróbce, starali się wierzyć, że nowa socjalistyczna Polska stanie się lepszą, bardziej sprawiedliwą matką dla wszystkich Polaków, bez względu na ich status społeczny.

Bieg lat zaciemniał te nadzieje. Często byli świadkami nieuzasadnionych represji stosowanych wobec swoich starszych przedwojennych kolegów, a potem, nim się zdążyli zorientować, wielu z nich znalazło się w trybach politycznej maszyny, która rzucała siły zbrojne – jako dodatkową policję - do konfrontacji z własnym narodem, a nawet do tłumienia aspiracji naszych południowych sąsiadów.

Kadra, kultywowała przedwojenne tradycje Wojska Polskiego, podświadomie szukała w nich recepty na życie. Dojrzewając w ciężkiej pracy nad podnoszeniem swoich zawodowych kwalifikacji i sprawności operacyjnej wojska, „obrastała” w poczucie wartości profesjonalnej i dumy narodowej. Wyzbywała się wszelkich kompleksów wobec oficerów wschodniego sojusznika. W takim duchu oficerowie wychowywali swoich podwładnych.

Rozpad Układu Warszawskiego stał się nieoczekiwanym zaskoczeniem dla całej kadry, ale został przyjęty z ogromną ulgą i nową nadzieją na zakończenie powojennego narodowego dramatu i demokratyczny rozwój państwa. Nadzieją, że Polska znów stanie się krajem niezależnym i już nigdy nie powrócą permanentnie powtarzające się okresy „błędów i wypaczeń”.

Starsza kadra wojskowa PRL wniosła ogromne zasługi w przekształcaniu armii w nowoczesną i patriotyczną siłę zbrojną. Ona „zdążyła jeszcze” wprowadzić wojsko polskie w świat współczesnej elektroniki, przetwarzania i analizy danych, modelowania i prognozowania. W elitach naukowych akademii wyższych szkół oficerskich wyrosła świadomość o olbrzymim wpływie rewolucji naukowo - technicznej na sprawność bojową sił zbrojnych. Wyniki prac badawczych Wojskowej Akademii Technicznej zdobywały pozycje międzynarodowe i znajdowały zastosowania zarówno w obszarach cywilnych, jak i militarnych. Pod koniec lat osiemdziesiątych, kadra oficerska będąc u szczytu życiowej drogi, charakteryzowała się dobrą znajomością wojskowego rzemiosła i wysokim poziomem intelektualnym. Dawały temu świadectwo, z rozmachem prowadzone doroczne ćwiczenia operacyjne i bogactwo wydanych publikacji książkowych. Ta oficerska społeczność „utkana

była” ze szlachetnej sentymentalnej młodzieży, której główny cel życia stanowiła walka o wolność Ojczyzny i odbudowa jej międzynarodowego prestiżu⁴⁶. A kiedy przekraczała próg wiekowego zaawansowania - pod koniec lat osiemdziesiątych - i przechodziła w stan „emerytalnego spoczynku”, pokoleniową pochodnię przekazała w godne ręce swoich młodszych wychowanków – kolegów. Ze wzruszeniem przeczytałem opinię wystawioną wojsku tamtego czasu, przez Mariana Podkowińskiego, żołnierza kampanii wrześniowej i Armii Krajowej, uczestnika Powstania Warszawskiego, głębokiego człowieka, wspaniałego dziennikarza. Zamieszczam ją bez komentarza - „A epitety o polskojęzycznej formacji... To obraźliwa bzdura. Chcę powiedzieć, że nasza armia, której byłem bardzo blisko, przyjęła postawę, jak na ówczesne okoliczności, mimo wszystko pełną dystansu. Zachowała tożsamość narodową, kultywowała tradycje, nie dała się oderwać od społeczeństwa. I dlatego wyszła w czystej koszuli”⁴⁷.

2. Wyzwania i szanse. Lata 1989-1999

2.1. Okres przejściowy (1989 – 1999)

W ostatniej dekadzie mijającego tysiąclecia, głównym strategicznym wyzwaniem państwa polskiego było przeprowadzenie transformacji ustrojowej. Niepowodzenie tego procesu, wykluczałoby możliwość bezbolesnego „wtopienia się”

⁴⁶ Sięgam do „pierwszych z brzegu” nazwisk oficerów, których w życiu miałem zaszczyt poznać, jako walecznych żołnierzy i ambitnych mądrych Polaków. **Z mojej gimnazjalnej klasy:** Roman Wandałowski, Sulima Gillow, Mikołaj Kałłaur, Bazyl Kulińczyk, Marian Elias, Jan Adamski, Roman Jędrzejczak, Andrzej Michajłow, Henryk Popow.

Z partyzanckiej epopei Zgrupowania im. „Jeszcze Polska nie Zginęła”: Robert Satanowski, Zofia Dróżdż-Satanowska, Czesław Baczyński, Wincenty Rożkowski, Henryk Garbowski, Jerzy Marczyk, Władysław Pawłow, Mieczysław Osłoński, Edmund Sakwiński, Wanda Kraszewska, Julian Czuba, Danuta Walczak, Jan Koziński, Kazimierz Hanuszewicz, Józef Garbowski, Michał Skokowski, Stanisław Orzeł, Bohdan Daniel, Kazimierz Mocior, Eugeniusz Borkowski, Edmund Filipowicz, Kazimierz Turowski, Leonard La Pourbe, Jan Zaorski, Bolesław Gawdziński, Dymitri Puż, Zbigniew Jurecki, Bronisław Pakuła.

Z frontowych żołnierzy II Armii Wojska Polskiego: Witold Krzyśków, Władysław i Stanisław Mackiewicz, Władysław Przemyski, Kazimierz Zabłocki, Zenon Sobolewski, Eugeniusz Singer, Harry Gram, Mieczysław Lachowski, Romuald Ertel, Piotr Zalewski.

Na powojennym szlaku: gen. dyw. Jan Raczkowski, gen. bryg. prof. Zdzisław Żarski, gen. dyw. Antoni Jasiński, gen. bryg. Stanisław Koziej, prof. dr inż. Wojciech Oszywa, płk dr inż. Tadeusz Pedrycz, płk prof. inż. Karol Jach, płk prof. Eugeniusz Zabłocki, płk prof. Wojciech Michalak, płk dr hab. Julian Babuła, płk dr Mariusz Wiatr, płk prof. Leszek Oleksyn, płk dr hab. inż. Franciszek Mroczko, płk dr Adam Radziński, płk dypl. Edward Karwowski, płk Edward Besen, płk Mieczysław Góralski, płk Marian Wołoszczak, płk Bolesław Morawski, płk Kazimierz Chodelski.

⁴⁷ Rozmowa z Marianem Podkowińskim, Polska Zbrojna nr 17, Kwiecień 1999.

w istniejące struktury Zachodu i jego strefę bezpieczeństwa. Na ogół, polscy politycy wykrzesali w sobie świadomość, że wzmocnienie sytuacji geostrategicznej kraju wymaga, aby bezwzględnym priorytetem okresu przejściowego było przyspieszenie tempa wzrostu gospodarczego i reform politycznych. Historyczny wymiar tego zadania był oczywisty. Stąd, ten kierunek ogniskował uwagę najważniejszych sił politycznych i decydentów państwa polskiego. Niepokojące jednak było to, że sprawy militarne zostały odsunięte na dalszy plan w polskiej myśli politycznej. Wbrew patriotycznej retoryce i górnolotnym sloganom, obronność de facto znalazła się w niełasce. Często niedoświadczonym i zadufanym w sobie politykom, którym ślepy los powierzył odpowiedzialność za sprawy militarne, wydawało się, że rozpad mocarstwa radzieckiego i rosnąca integracja Europy, niejako automatycznie zapewniają Polsce bezpieczeństwo.

Nie bacząc na bolesne doświadczenia własnej historii – ponad stuletnia niewola, krwawe zrywy powstańcze, przegrana wojna 1939 roku i jej wyniszczające skutki – prawie każdy z dotychczasowych szefów resortu przyglądał się beznamiętnie postępującej degradacji technologicznej wojska i całą swoją energię skupiał na usilnym poszukiwaniu kolejnych odmian kosztownych restrukturyzacji. Sprowadzały się one głównie do tworzenia organizacyjnych dziwołagów personalnych zawirowań.

Oczywiście, na krótką metę – chociaż prawie cała dekada została zaprzepaszczona – taki proces można w końcu jakoś usprawiedliwić, ale w dłuższym horyzoncie czasowym, nie da się uciec od odpowiedzialności za bezpieczeństwo kraju i uwiarygodniania swojego partnerstwa w NATO. A to wymaga ogromnego wysiłku w dziedzinie operacyjnego szkolenia kadry, modernizacji uzbrojenia armii, jej systemów dowodzenia, rozpoznania i logistyki. Zaniedbanie jednego z tych wzajemnie komplementarnych elementów wojskowego organizmu naczyń połączonych, de facto, czyni go niewydolnym. Karygodnym błędem tego długiego okresu przechodzenia w strefę innej jakości, była „mętna polityka kadrowa” – brak jasnych reguł.

Wchodząc w koalicję strategiczną ze stabilnym zachodnim światem, nie możemy tam wnosić w formie „wiana” technologicznie zacofanych, operacyjnie niedoszkolonych i organizacyjnie rozchwianych sił zbrojnych. Jest to prosta droga do marginalnego miejsca wśród kilkunastu partnerów. Wystarczy przyrzeć się polityce

militarnej, Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii – próba kopiowania rozwiązań globalnego mocarstwa, jakim są Stany Zjednoczone, byłaby wręcz groteskowym pomysłem – aby odnotować, iż każde w tych silnych państwach, nie pozwala sobie na eksperymenty mogące osłabić ich potencjał militarny.

Podzielam troskę, wyrażaną w tej sprawie przez moich szanownych kolegów, oficerów najwyższej warstwy intelektualnej wojska – płk prof. Witold Pokruszyński, płk prof. Julian Skrzyp, płk prof. Wojciech Łepkowski, płk prof. Henryk Piekarski, płk prof. Tadeusz Krzemień – iż jest zbyt dużo ostrzegawczych sygnałów o ślamazarnym i chaotycznym dostosowywaniu sił zbrojnych do wykonywania zobowiązań sojuszniczych i zapewnienia bezpieczeństwa własnemu państwu. **Nie można gubić lat, trwając w wahaniach i bezdecyzyjności.** Trudno się doszukać strategicznej myśli rozwoju wojska i koncentracji na technologiach skierowanych w przyszłość. Działania kolejnych decydentów układały się w długie pasmo zamulonych szans. Dziesięcioletnia „szarpanina”, nadwerężyła – mówiąc oględnie - kondycję kadry w obszarze psychicznym, etycznym i moralnym. Bardzo często rozmawiam z młodzieżą oficerską, słucham ich zatroskanych refleksji nad swoją niepewną przyszłością – dokładnie wiedzą co się stało z ich wieloma kolegami – i czuję się zażenowany. Poczucie zagrożenia dla stabilizacji życia rodzinnego i niskie pensje, spowodowały masową „emigrację” zdolnych informatyków wojskowych do cywilnych firm, a przecież głównie od nich, zależeć będzie oblicze i pozycja naszej armii w następnym stuleciu.

Wśród tego młodego pokolenia nie zrealizowanych nadziei, znalazł się też wspaniały oficer, o wyobraźni komputerowej, pan pułkownik Krzysztof Fila Dźwigając brzemień odpowiedzialności za rodzinę – kształcenie dzieci wymaga dużych nakładów – pożegnał się z wojskiem, bo cywilni „łowcy talentów”, zapewнили mu nieporównywalne warunki finansowe i ciekawą analityczną pracę. Obecnie, jeździ służbową „limuzyną” i radzi sobie wspaniale. A, kiedykolwiek z nim rozmawiam o „informatycznej polityce wojska, demon smutku ogarnia nas bez reszty”.

Nie zostały stworzone warunki do radykalnej poprawy losu „zabiedzonej” kadry podoficerskiej. Przypadkowe, „wycinkowe” decyzje, przeważnie wywoływały gromadę nowych skomplikowanych problemów, wynikających – teoria Jeffreya

Sachsa, profesora handlu międzynarodowego na Uniwersytecie Harvarda – z prawa niezamierzonych konsekwencji.

Cywilni decydenci, powinni z większą pokorą słuchać głosu niezależnych doradców wojskowych, tych którzy są profesjonalistami. Tylko oni noszą w swoich „plecakach życiowych doświadczeń”, dogłębną znajomość skomplikowanych spraw instytucjonalnych, strukturalno-funkcyjnych i systemowych. Siły zbrojne mają złożoną strukturę, której elementy składowe pozostają w różnych stosunkach wzajemnych.

2.2. NATO – wyzwanie i szansa dla Wojska Polskiego

Generalnie rzecz ujmując, oficerowie tej wyjątkowej dekady, która zdołała wprowadzić wojsko polskie do NATO, mieli świadomość doniosłości tego faktu. Wiedzieli, że muszą stanąć twarzą w twarz z barierą nowych wyzwań. Z całą ostrością uwidoczniła im się rola języka angielskiego, kompetabilnych systemów dowodzenia, głębokich zmian w myśleniu taktyczno-operacyjnym. Niestety, bardziej mgliście widzieli w tym swoją życiową szansę.

Kiedykolwiek przebywam w Akademii Obrony Narodowej, z radością i dumą obserwuję, jakie niewiarygodne postępy czynią oficerowie kadry dydaktycznej, w dostosowywaniu się do nowej ery. Ilekroć się stykam z komendą Wydziału Wojsk Lądowych i szefami katedr – panowie pułkownicy profesorowie: Adam Tomaszewski, Zbigniew Ścibiorek, Bogdan Szulc, Czesław Jarecki, Leopold Ciborowski, Eugeniusz Nowak, Cezary Rutkowski – podziwiam ich znajomość języka angielskiego i niemieckiego. Banalną codziennością jest wykorzystywanie techniki komputerowej w dydaktyce i swobodne poruszanie się w informatycznej dżungli. Z przyjemnością słucham ich wrażeń, zabawnych drobiazgów z podróży do innych armii. Każdy trafiał na to samo. Początkowo był traktowany z przesadną „opiekuńczością”, otrzymywał górę naiwnych pytań, ale już po pierwszym oficjalnym wystąpieniu zaczynał się partnerski dialog. Są to silne osobowości, o dużej odwadze intelektualnej, budujące wiarę w przyszłość wojska polskiego.

Inną „paczkę” błyskotliwych oficerów poznałem, recenzując wspaniałe rozprawy doktorskie i habilitacyjne. Kilka ostatnich, oceniam jako prawdziwe perły naukowe, a wszystkie razem są wynikiem żmudnych różnokierunkowych badań

symultanicznych. Zapoznając się z nimi, odnosiłem wrażenie, jakbym z wiekiem stawał się młodszy i silniejszy intelektualnie.

Ze smutkiem odnotowuję, że większość z nich skrywa cień bibliotecznych półek.

Szanowny czytelnik byłby niedoinformowany o możliwościach obecnej kadry oficerskiej, gdybym nie powołał się na pana pułkownika prof. Leopolda Ciborowskiego, autora książki o „Walce informacyjnej”⁴⁸. Zaliczam go do grona wyjątkowo utalentowanych oficerów, od lat zajmujących się teorią informacji i jej transformacjami na grunt walki zbrojnej. Kogoż trzeba przekonywać, że podstawą podejmowania wszelkich decyzji są informacje.

Niewątpliwie, cienka warstwa intelektualna oficerów obecnego czasu, nasączona pasją i odwagą, poradzi sobie z pokonywaniem barier będących w orbicie problemów natowskich. Daleko gorzej będzie tej podstawowej masie tysięcy oficerów, których losem jest odgrywanie swoich „małych ról” i przemijanie. A wobec nich, brak jest przejrzystej polityki personalnej, modelu kariery wojskowej, powszechnych i nie pozorowanych kursów językowych oraz bodźców materialnych. Większość z nich została zdezorientowana i „wystraszona” ciągłą restrukturyzacją. Natomiast wszechpotężne media, też nie sprzyjają wojsku [poza kompanią honorową]. Najczęściej lubują się w tworzeniu pozornego, fałszywego wizerunku ludzi wielkiego trudu, służących wiernie Ojczyźnie.

Znakomity znawca historii wojskowości, pułkownik Jan Orzechowski⁴⁹, podsuwa wszystkim polskim ministrom obrony narodowej, proste rozwiązanie: „aby nie grzęznąć w świecie złudnych marzeń i własnego zadufania, powinni na czas swojego dowodzenia powoływać grupy wybitnych, niezależnych ekspertów, będących nawet w stanie spoczynku, którzy służyliby im radą w najważniejszych kwestiach wojskowych”. Rzeka historii płynie nieobliczalnie prędko i jest nader ważne, abyśmy nadążali mądrze dostrajając się do zachodnioeuropejskich uwarunkowań, podejmując decyzje racjonalne i merytorycznie spójne.

Stawiając kropkę nad „i”, w głównym wątku tematycznym mojej książki pragnę stwierdzić, że aby mieć nowoczesną armię, trzeba w miarę szybko

⁴⁸ L. Ciborowski, *Walka informacyjna*, Wyd. Europejskie Centrum Edukacyjne, Toruń 1999.

⁴⁹ Jan Orzechowski, *Dowodzenie i sztaby*, MON, Warszawa 1975.

wpracować odpowiedni model kształcenia, promowania i godnego opłacania kadry oficerskiej i podoficerskiej. Warto przy tym pamiętać, że w II Rzeczypospolitej, w państwie, które zaledwie wydobyło się ze stuletniej niewoli, przy rządach marszałka Józefa Piłsudskiego, kadra wojska polskiego znajdowała się w grupie trzech najlepiej opłacanych armii europejskich. W swoich pismach marszałek wielokrotnie wyrażał zdanie, że kadra „buduje” ducha podwładnych.

Jest kilka „jaskółek” w tym przyciemnionym obrazie, ale nie czynią one wiosny. Na przykładzie słynnej toruńskiej uczelni artylerzystów – odwiedzałem ją kilkakrotnie z grupą emerytowanych wojskowych – widać, że szkolnictwo oficerskie coraz lepiej przygotowuje nie tylko specjalistów wojskowych, ale także prężnych przywódców. Niestety, ich dalsza kariera jest często przypadkowa, jednostronna i biegnie według negatywnego schodkowego modelu⁵⁰, bo nie ma jasnych reguł polityki kadrowej.

Zastrzykiem optymizmu, do tego trudnego okresu dla sił zbrojnych, była zdecydowanie dobra sytuacja obydwu najważniejszych filarów wyższego szkolnictwa wojskowego - Akademii Obrony Narodowej i Wojskowej Akademii Technicznej. Obie te zasłużone uczelnie cechowała nowoczesna efektywność merytoryczna i wychowawcza. Obie, stosunkowo bezboleśnie, dostosowały się do zaistniałych zmian politycznych i restrukturyzacyjnych. W gruncie rzeczy, zbierały owoce dojrzałości intelektualnej, wytworzonej wieloletnią pracą ambitnej kadry dydaktyczno – naukowej. Dzięki ich mądrości i sile napędowej, oficerowie wojska polskiego mają szansę – podobnie jak w minionych dziesięcioleciach - sprostać potrzebom bezpieczeństwa narodowego i polskim sojuszniczym zobowiązaniom militarnym.

Nasz wybitny prakseolog, profesor Tadeusz Kotarbiński wyraził zdanie, że każda reorganizacja przechodzi niezawodnie przez fazę dezorganizacji. Można sobie tylko „dośpiewać”, że dla wojska, permanentna reorganizacja stanowiłaby groźne niebezpieczeństwo. Politykom – często słabo opierzonym - oszołomionym niespodziewaną władzą, którzy nigdy nie mieli styczności ze złożoną materią militarną i sami nie służyli w wojsku, trudno jest sobie nawet wyobrazić, ile wiedzy i doświadczenia wymaga precyzyjne zgranie manewru i ognia w obszarze zaledwie

⁵⁰ M. Jędrzejko, Kariera po schodkach, Polska Zbrojna nr 22, Maj 1999.

kilku związków taktycznych, a cóż dopiero dowodzenie armią w stanie wojennym. Jak ułał pasuje tu zdanie niemieckiego myśliciela i aforysty: "niewiedza jest źródłem wszelkiego błędu⁵¹".

Na usta ciśnie się „kwaśny” wniosek, że w ostatniej dekadzie dwudziestego wieku, słaba okazała się kondycja elit decydujących o rozwoju wojska. Skutkiem tego, militarna myśl strategiczna w Polsce nie nadążała za zmieniającą się sytuacją polityczną państwa. Wśród wielu moich znajomych oficerów panuje zgoda, że chociaż aktualnie wokół polskich granic nie ma lawiny groźnych wydarzeń, to jednak nadał trzeba pamiętać o mądrości zawartej w przysłowiu: „Si vis pacem, para bellum”. I potwierdza się jeszcze jedna opinia, że w ostatniej dekadzie dwudziestego wieku, nasze wojskowe ośrodki decyzyjne zachowywały się niemrawo i zmarnowały wiele szans, aby Wojsko Polskie bez żadnych kompleksów znalazło się w pierwszym szeregu armii Paktu Północnoatlantyckiego. Niedobrym zbiegiem okoliczności, w okresie tym panowała susza – poza kilkoma wyjątkami – na wielkie osobowości ze szlifami generalskimi, które by swoim wzorcem imponowały podwładnym i umacniały autorytet wojska polskiego w gronie armii sojuszniczych. W dużym stopniu i na nich spada odpowiedzialność za to, że wśród cywilnych przełożonych brak było szacunku dla sił zbrojnych i nie traktowali armii jako ważnego stabilnego filaru konstrukcji ustrojowej państwa.

Wymieniając opinie z moimi kolegami w stanie spoczynku, ludźmi wielkiego formatu, zasłużonymi dla wojska pedagogami – pułkownikami: Mieczysław Respondek, Jerzy Machura, Waldemar Kieszkowski, Władysław Mastej, Włodzimierz Kostrzewski, Jan Uchański – byliśmy zgodni, że ścisłe powiązanie naszych sił zbrojnych z systemem naczyń połączonych armii NATO, przyspieszy ich wchodzenie w nowoczesność. Przed wojskiem otworzyła się szansa i obecnie wszystko zależy od tego jak zostanie wykorzystana.

⁵¹ B. M. Szulc, O wojnie wojsku i żołnierzach – dla żołnierzy, Wydawnictwo A. Marszałek, Toruń 1995.

3. Oficerowie na progu XXI wieku

3.1. Efekty transformacji

Kiedy rozmyślam nad minionym czasem własnego życia i mojego tragicznego pokolenia, dziwię się, że od tego nie dostaję zawrotu głowy. Odnoszę wrażenie, jakbym wspominał dawno temu oglądany sensacyjny film. Bo naprawdę, w ciągu tego krótkiego czasu – zaledwie siedemdziesięciu lat – świat zmieniał się jak w szalonym kalejdoskopie. W moim dzieciństwie na Polesiu, poszukiwałem raszyńskiej radiostacji trafiając drucikiem w kryształek detektora. Wydawało się to niezwykle tajemnicze i fascynujące. W okresie międzywojennym wykonany został milowy krok w kierunku dzisiejszej eksplozji elektronicznej.

A kiedy nadeszła okrutna wojna, moje dalsze życie zostało podporządkowane sprawom militarnym; początkowo partyzantce, a potem wojsku. Uczestniczyłem w fascynującym postępie technologicznym.

Jako partyzant miner, nie rozstawałem się z trotylem i zapalnikami. Była to technika niskiego rzędu, ale dla linii komunikacyjnych nieprzyjaciela bardzo „dokuczliwa”. Jednak, dopiero w wojsku znalazłem się w swoim artyleryjskim żywiole. Na froncie, strzelało się głównie do celów obserwowanych wzrokowo, czyli sposobem uproszczonym „na oko”. **W latach sześćdziesiątych – mając za sobą akademię artylerii i przeszkolenie raketowe – zostałem wywindowany na cudowne stanowisko dowódcy rakiet operacyjno – taktycznych w Bolesławcu. Precyzyjne strzelania (starty) – na odległości prawie dwustu kilometrów, dawały ogromną profesjonalną satysfakcję i dumę z umiejętności Wojska Polskiego.**

Pod koniec lat sześćdziesiątych, obleczony w piękny mundur lotniczy, znalazłem się w wojskach Obrony Powietrznej Kraju. W ówczesnym czasie, stanowiły one technologicznie zaawansowany organizm sił zbrojnych. Wystarczyło zasiąść przed wielkim ekranem, na centralnym stanowisku dowodzenia, aby nabrać szacunku do oficerów, którzy potrafili swobodnie panować nad zgraniem wysiłku jednostek radiotechnicznych, rakiet przeciwlotniczych i pułków lotnictwa myśliwskiego. Z sentymentem wspominam tamten czas i swój skromny udział w wypracowywaniu zasad – wspólnie z wielkim naukowcem i patriotą gen. dyw. prof.

Sylwestrem Kaliskim – realizacji programu automatyzacji dowodzenia warszawskim Korpusem Wojsk Obrony Powietrznej Kraju.

W latach siedemdziesiątych, zostałem „przeplancowany” do Akademii Sztabu Generalnego, w społeczność mądrych i ambitnych pedagogów, z którymi brałem udział w wielu interesujących ćwiczeniach wojskowych. Tam zetknąłem się z tajnikami zastosowaniem komputerów do tworzenia symulowanych sytuacji bojowych i artyleryjskich strzelań. Po raz pierwszy ujrzałem komputerową mapę numeryczną. Wielokrotnie obserwowałem skuteczność użycia przeciwpancernych pocisków kierowanych. Powoli „napelniałem się świadomością”, że nauka wojskowa z jej wnętrzem coraz bardziej upodabnia się do literatury „science fiction”, a elektronika staje się najważniejszym spoiwem i wykładnikiem zdolności bojowej wojska. Nie bez kozery, w armii amerykańskiej uznaje się elektronikę za „mnożnik siły bojowej”.

Wystarczy trochę pogrzebać w bibliografii obronnej, aby zorientować się, co nas otacza i ku czemu zmierzamy.

Znamieniem naszych czasów jest stała niepewność, wynikająca z szybko zachodzących zmian we wszystkich przejawach życia i działalności człowieka. W takim otoczeniu, wyzwaniem dla sił zbrojnych jest ciągle przystosowywanie się do tych zmian pod względem: szkoleniowym, uzbrojenia, dowodzenia, sposobu myślenia.

Państwa, które potrafią oprzeć swoje siły zbrojne na nowoczesnej technologii, preferując jakość nad ilością, zapewnią sobie lepszą pozycję militarną w „jutrzejszym” świecie. Stąd każdy „dzisiejszy oficer” Wojska Polskiego powinien dostrzegać tę tendencję i wyciągać z niej odpowiednie wnioski. Inspirować swoje otoczenie, do perspektywicznego myślenia o problematyce obronnej. Radziłbym im wnikliwie zapoznać się z bibliografią traktującą o wojnie w Zatoce Perskiej, interwencji zbrojnej NATO na Bałkanach i działaniach bojowych w Afganistanie. Znajdą w niej znacznie uchylone drzwi do wielu dotychczasowych tajemnic i odpowiedzi na trudne pytania, dotyczące przyszłego obrazu wojska.

Z horyzontu doświadczeń mojego życia, które mocno zahaczyło o drugą wojnę światową i dotrwało do końcówki dwudziestego wieku, to wszystko przed czym staje „do walki” obecny oficer, określiłbym jako wielkie wyzwanie w całości „innym

świecie" technologicznym i społeczno-politycznym. Miałbym wielką satysfakcję, gdyby młoda kadra zechciała się chwilę zastanowić, a nawet podumać nad syntezą moich przemyśleń, ocen i wniosków.

Szybko postępuje proces tworzenia się nowej cywilizacji o charakterze globalnym. Wszystkie armie świata są uczestnikami tego procesu. Przedmiotem troski decydentów powinny być starania, aby na próg nowego tysiąclecia wojsko polskie weszło w dobrej kondycji.

Oficer zafascynowany własną profesjonalną ścieżką służby, nie może gubić z pola widzenia szerszych zjawisk na zatłoczonej drodze rozwoju, po której ku przyszłości zmierzają obecne uzbrojenie i pole walki. „Miłość do swojej armaty”, nie może mu przesłaniać potrzeby działania w ścisłej synergetyce z innymi rodzajami uzbrojenia. Maksymą każdego oficera winno być „**działanie lokalne a myślenie globalne**”.

Większość ludzi nauki jest zgodna, że obecna wiedza podwaja się co 10-20 lat. Często, czynnikiem decydującym stają się zaskakujące odkrycia, niekiedy zwane jakościowymi przełomami. Jak nagłe błyskawice rozświetlające przed nauką horyzonty w nieoczekiwanych miejscach Tak było z pojawieniem się: radiolokacji, broni jądrowej, rakiet, komputerów, sztucznej inteligencji, laserów, środków bezpilotowych, amunicji samonaprowadzającej się w cele. Każdy z tych „przypadków”, dawał wzrostowe bodźce różnorodnym gałęziom nauki.

Po rozpadzie ZSRR, zostały wzmocnione pokojowe trendy globalnego rozwoju świata. Ukształtowały się nowe – „spokojniejsze” uwarunkowania polityczne, gospodarcze i militarne. W następnych dwudziestu latach (do roku 2020), nieprawdopodobny jest wybuch kolejnej wojny światowej. Narasta powszechne zrozumienie, że tylko pokój daje ludzkości szansę poprawy człowieczego losu. Sprzyja temu również wzrastająca ekonomiczna współzależność świata.

Wielu narodom nadal będą zagrażać konflikty etniczne, religijne, ekonomiczne, polityczne lub będące skutkiem szowinizmu nacjonalistycznego. Zostanie ugruntowane pojęcie wojny subkonwencjonalnej, opartej na terroryzmie, szantażu, dywersji informatycznej, działaniach partyzanckich.

Na pierwszy plan, w skali globalnej, wysunie się udział wojska w misjach pokojowych pod egidą Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ich celem, podobnie jak w czasie dzisiejszym, pozostanie „ratowanie” pokoju i zapewnienie bezpieczeństwa.

Szanowni koledzy oficerowie. Wydaje mi się jakby to było wczoraj, kiedy wchodziłem do swojego gabinetu jako komendant wydziału wojsk lądowych w Akademii Sztabu Generalnego. Pamiętam, że wielokrotnie „grzebałem” w bibliografii i zastanawiałem się nad dwudziestoletnim horyzontem prognoz dla sił zbrojnych. Któregoś dnia, zaprosiłem do siebie na kawę dwie osoby: generała Janusza Gumulińskiego i szefa katedry łączności pułkownika inż. Kazimierza Patkowskiego. Byli to otwarci ludzie, tęgie umysły. Dyskusja z nimi zawsze była ciekawa i zapładniająca. Właśnie myśli z tamtego popołudnia, znalazły odbicie w tym: co poniżej formułuję. Jestem zdania, że gdyby rok 2020 zastał Was oficerowie na stanowisku równorzędnym dowódcy pułku – po wykształceniu akademickim - to mielibyście wiedzę i świadomość, że:

⇒ do waszej dyspozycji jest infrastruktura teleinformatyczna, będącą częścią globalnych sieci komputerowych;

⇒ zintegrowany proces informatyczny, tworzący jeden zwarty „supersystem”, o wydolności zdolnej zapewnić bieżącą informację każdemu dowódcy związku taktycznego lub operacyjnego, jest de facto skokiem w zupełnie nowy wymiar dowodzenia. A przewaga w jakości dowodzenia, to najprostsza droga do sukcesu;

⇒ wszelkie ćwiczenia operacyjno-taktyczne muszą uwzględniać głębokie, trójwymiarowe pole walki, z dominacją działań powietrzno - lądowych, prowadzonych „szybko, daleko, wysoko”;

⇒ następuje powszechny, skokowy wzrost manewrowości wojsk, ich sprawności ogniowej i uderzeniowej oraz będących w ich dyspozycji systemów rozpoznawczo-uderzeniowych;

⇒ przestrzeń kosmiczna, stała się największą areną militarnego wyścigu wielkich mocarstw;

⇒ nieprzerwanie postępuje elektronizacja (ucyfrowienie) techniki bojowej, dowodzenia, zbioru i przetwarzania informacji. Jak nigdy dotąd został rozwiązany

„stary dylemat” bogactwa i selekcji informacji. Już „na progu” czekają sieci (trzeciej generacji) do multimedialnego komunikowania się;

⇒ rozpoznanie pozostało jednym z najważniejszych czynników decydujących o losach operacji bojowych i wojen, a jego sprzężenie z elektronicznym przetwarzaniem danych, stało się motorem szybkich reakcji ogniowych i racjonalności pobieranych decyzji;

⇒ w czołówce środków rozpoznania, na stałe „usadowiły się” bezzałogowe aparaty latające, zdolne do wyszukiwania celów, ich oceny i ogniowego zwalczania. Gdyby wreszcie zostały dostrzeżone, mogą stanowić wielką szansę dla wojska polskiego;

⇒ do dyspozycji dowódców są oddane „Inteligentne” i precyzyjne środki rażenia ogniowego – rakiety, artyleria raketowa i lufowa, działa elektromagnetyczne, broń laserowa – dysponujące ogromną skutecznością;

⇒ związki pancerne, jako uzbrojenie najlepiej przystosowane do działania na „utechnicznionym” polu walki - opancerzenie niewykrywalne oraz zaawansowane systemy aktywnej obrony - utrzymały „wysokie notowania”, chociaż się im przeciwstawia obronę w formie głębokiej i wielowarstwowej bariery, nasyconej środkami przeciwpancernymi;

⇒ potrzebna jest stała troska o przygotowanie systemów dowodzenia, rozpoznania, logistyki i specjalistów, do przeciwdziałania „sabotażowi” komputerowemu;

⇒ narzutowe pola minowe, „nafaszerowane” czujnikami, zdolnymi do nieustannego śledzenia otoczenia i „pobierania decyzji”, mogą zdecydowanie wzmocnić obronę;

⇒ słuszne jest traktowanie różnych odmian „inteligentnej” amunicji, jako czynnika rozwojowego artylerii i rakiet;

⇒ logistyka to życiodajny „układ krążenia” całych sił zbrojnych. Jakiegokolwiek jej niedomagania, wymagają szybkiej interwencji, aby nie doprowadzać do sytuacji krytycznych - „zawałowych”. Wojska, we wszystkich sytuacjach, niezależnie od miejsca, w którym się znajdują, muszą dostawać pełny strumień zaopatrzenia;

⇒ istnieją potrzeby przyspieszania rozwoju robotyzacji, pozwalającej ograniczać udział żołnierzy w najbardziej niebezpiecznych dla ich życia funkcjach. Taka technologia jest w zasięgu ręki;

⇒ **zaangażowanie jednostek wojska polskiego w międzynarodowych misjach pokojowych, jest najtańszym świadczeniem na rzecz bezpieczeństwa własnego kraju i jego autorytetu.**

Do roku 2020, wymagania wobec oficerów zostaną „wywindowane” jak nigdy dotąd. W ramach bezpośredniej współpracy lub międzysojuszniczego współdziałania, każdy będzie musiał odznaczać się umiejętnością efektywnego wykorzystywania informatyki i techniki bojowej, oraz perfekcyjną znajomością języka angielskiego.

Wśród decydentów ugruntuje się wreszcie świadomość, iż uzyskanie nad przeciwnikiem przewagi w dziedzinie techniczno - operacyjnej, wymaga nie tylko zasilania armii nowoczesnym sprzętem, ale przede wszystkim posiadania wyselekcjonowanej kadry, zdolnej do podjęcia wojennej konfrontacji na płaszczyźnie intelektu i fizycznej sprawności. **Ugruntuje się też świadomość, iż rozwój wojska, podobnie jak innych dziedzin życia cywilnego, zmierza w kierunku jakościowym.**

Pod koniec drugiej dekady dwutysięcznego roku, zaistnieje pełna zgodność polskiej strategii narodowej z sojuszniczą strategią NATO, jako podstawowy warunek jej skuteczności i wiarygodności. **Udział Wojska Polskiego w NATO, to w dalszym ciągu uczestnictwo w żmudnym procesie budowy – u siebie - wyższych standardów technicznych i cywilizacyjnych.**

Trwająca nieprzerwanie rewolucja informatyczna i stały postęp technologiczny, wywierają głęboki wpływ na kształtowanie się nauk wojskowych, inspirując je do poszukiwania nowych treści dla strategii, sztuki operacyjnej i taktyki.

3.2. Nowe struktury - NATO

Dlaczego chcieliśmy się dostać do NATO? Dla wielu czytelników to pytanie może wydawać się banalne. Jednak przed udzieleniem na nie odpowiedzi, trudno mi się oprzeć przed chociażby krótką historyczną retrospekcją z mojego własnego życiowego doświadczenia.

Dokładnie pamiętam czas poprzedzający i sam wybuch wojny w 1939 roku. Moje gimnazjalne otoczenie rozpierało patriotyczne uniesienie i żądza czynu. Pińskie społeczeństwo, zdezorientowane wydarzeniami, zachowywało podziwu godny spokój i zaskakujący optymizm. Dosłownie wszyscy wierzyli zachodnim aliantom, że wydobędą nas z opresji. I potem przyszedł 17 września, perfidne uderzenie od wschodu i tragiczna w skutkach klęska, po której nastąpiła sześciolatnia okupacja.

Ja i obszerne grono znajomych, nadal trwaliśmy w przekonaniu, że z zachodu nadejdzie szybkie wyzwolenie. Nawet wtedy, kiedy stałem przed bydłymi wagonami i żegnałem swoich profesorów i kolegów w zatłoczonych transportach odjeżdżających na Syberię, ze wszystkich stron rozlegały się okrzyki nadziei: „Nie damy się. Za rok powrócimy”. Potem, w 1941 roku przyszli hitlerowcy, zaczęły się łapanki i wypchane ludźmi transporty ruszyły w kierunku Niemiec. Nieubłagany czas dostarczył przykrych dowodów, iż uroczyste podpisy z Francją i Wielką Brytanią dwustronne umowy sojusznicze, zostały potraktowane instrumentalnie i bez sentymentów podporządkowane własnym interesom narodowym.

Druga wojna światowa, w gorszym stopniu niż pierwsza i wszystkie powstania narodowe, straszliwie Polskę okaleczyła. Ale, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, po 60 latach oczekiwań, dobry los wydobyl Ją z groźnej zapaści i dał zaskakującą szansę zjednoczenia się z Zachodnią Europą. Zakrawa „na cud”, że ten smutny prolog zakończył się tak wyraźnie zarysowanym „happy endem”, w postaci polskiego członkostwa w NATO. Wreszcie, też zaczęliśmy „chłodno” kalkulować i wzorem sąsiadów pobierać strategiczne decyzje, podporządkowane naszej racji stanu.

Jak nigdy dotąd, zaistniała pełna zbieżność interesów Europy Zachodniej, Stanów Zjednoczonych i bezpieczeństwa narodowego Polski. Łatwo to wyłowić z treści raportu, opracowanego przez: „Commission on America`s National

Interests – ciało grupujące wybitnych twórców i praktyków amerykańskiej polityki zagranicznej. Powołam się tylko na pojedyncze jego zdanie: „NATO leży w strefie żywotnych i najważniejszych interesów amerykańskich i całego Zachodu”.

W maju 1999 roku, na spotkaniu Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych⁵² – emerytowanych artylerzystów, siedziałem w gronie trzech osób, wybitnie zasłużonych dla artylerii. Pierwszy, uczestnik wojny 1939 roku, przedwojenny porucznik – prof. dr hab. Józef Jodłowski; drugi, żołnierz pierwszej armii wojska polskiego, uczestnika bitwy pod Lenino pułkownika Stanisław Marzecki i trzeci, błyskotliwy raketowiec, który swego czasu brylował w „brygadzie bolesławieckiej”, pułkownik Kazimierz Gorczyca. Każdy z nich miał ciekawe i twarde życie. Popijając kawę i sącząc z kieliszka po kropli winiaku, skierowałem rozmowę na tematykę naszego udziału w NATO. W nastroju refleksji i zadumy, doszliśmy do zgodnych opinii.

W obecnym świecie, tylko NATO jest w stanie zapewnić Polsce realne gwarancje bezpieczeństwa i wyrwać ją z wysoce niekorzystnej sytuacji „lawiranta” pomiędzy dwoma wielkimi układami politycznymi i wojskowymi – NATO na Zachodzie, a Rosja na Wschodzie. Inne rozwiązanie, w postaci jakiegoś statusu neutralności – o czym przebąkiwało się w niektórych „najbardziej patriotycznych” kręgach – byłoby nawrotem do koncepcji niebezpiecznych złudzeń. Tylko w ramach europejskiej wspólnoty militarnej i gospodarczej, możemy sprostać niebezpiecznym wyzwaniom obronnym i nadchodzącej globalizacji. NATO jest naszą bezprecedensową szansą. Nadzieją na równorzędny współudział, a więc na zasadę „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Każdy z nas Polaków powinien mieć odrobinę wyobraźni, aby mu podpowiedziała, że będąc w NATO, uzyskaliśmy inny wymiar osobistej pewności jutra, a wojsko polskie stało się uczestnikiem nowych, demokratycznych reguł międzynarodowej gry. Znajdując się na wschodniej pomostowej flance, powinniśmy zawsze pozostawać krajem życzliwym, partnerskim dla naszych sąsiadów.

Profesor Jodłowski miał wiele racji twierdząc, że w NATO jak w „tyglu” postępować będzie unifikacja dowodzenia, uzbrojenia, wyszkolenia i nawet umundurowania. Natomiast wyróżnikiem tożsamości narodowej wojska pozostaną:

⁵² Spotkaniom o niepowtarzalnym, wciągającym klimacie przewodniczy i nadaje ton płk Krzysztof Aleksandruk.

tradycje, zwyczaje, zachowania w sytuacjach bojowych, procesy logistyczne, szkoleniowe i życie towarzyskie. Uzupełniłbym tą opinię dodatkowym komentarzem, pułkownika Marzeńskiego, iż w tym militarnym wycinku europejskiej globalizacji, wojsko polskie zdobędzie silny doping, aby się dopasowywać do zachodnich wyższych standardów koszarowego życia i stosunków międzyludzkich. Natomiast służbowe zbliżenie różnych armii, oczyszczać je będzie z narodowych uprzedzeń, a często wręcz z obrzydliwych, narosłych wiekami szowinizmów.

Z moich osobistych obserwacji armii zachodnich wnoszę – angielskiej, amerykańskiej, niemieckiej – iż bezpośrednia współpraca z nimi, będzie dla wojska polskiego wielkim awansem cywilizacyjnym i przyspieszy jego wchodzenie w nowoczesność. Używając lapidarnej metafory, określiłbym zaistniałą sytuację jako wejście wojska polskiego na wydłużony most, poza którym rozpościera się inny „nowy świat”. Nie popadając w iluzję, trzeba zachowywać rozsądek, bo na tym „moście” i poza nim może być jeszcze wiele „pułapek”.

Historia Polski jest bogata w bolesne doświadczenia narodowych zrywów do wolności i podpowiada nam, że w obecnej sytuacji europejskiej, pozostawanie Polski poza układem NATO, byłoby rozwiązaniem najgorszym – wręcz samobójczym. A ponieważ już jesteśmy w NATO, więc szanujmy to mądre rozwiązanie. Jest to długofalowa dobra inwestycja polityczna, która powinna uwzględniać wysiłek finansowy państwa na potrzeby sił zbrojnych. Wojsko polskie musi zawsze zachowywać w sojuszu dobrą „kondycję”, aby je traktowano godnie i partnersko.

Wspaniałą szansę dla integracyjnego przeformowania naszego wojska na zachodnie wzorce, daje wielonarodowy korpus – Duńczycy, Niemcy, Polacy – usytuowany w Szczecinie. Najważniejsze, iż jest to duży związek operacyjny, który powinien zapoczątkować stały, płynny proces przeszkalania dowódców i wielkich polskich jednostek.

3.3. Profesjonalizm w służbie

W mojej urozmaiconej służbie wojskowej, miałem szczęście pracować z całą plejadą wspaniałych oficerów, których niekwestionowany **autorytet zawsze wywodził się z ich profesjonalizmu**. Niekoniecznie zajmowali eksponowane stanowiska, ale potrafili wzbudzać entuzjazm i chęć do pracy wśród podwładnych.

Zacznę od bardzo odległego roku 1946. Codziennie rano, wychodząc z kasyna Centrum Wyszukolenia Artylerii w Toruniu, gdzie znajdowałem się na kursie dywizjonowym, przed gmachem szkolenia stał przedwojenny oficer, pułkownik Orzeszko. Omiatał nas wzrokiem i oczekiwał na komendanta. Zajmował stanowisko dyrektora nauk. Ten znawca regulaminów, operował piękną polszczyzną. Pod jego ręką – bez pomocy komputerów – idealnie funkcjonowała szkoleniowa machina, to wszystko co programowo działo się w klasach i zachodziło na ćwiczeniach poligonowych. Kiedy dokonywał podsumowań okresów szkolenia, zawsze miały one charakter prawdziwych popisów intelektualnych. Dzisiaj, kiedy „przyglądam mu się” z dystansu pięćdziesięciu lat wiem, że motywacją jego służby było dążenie do spełnienia patriotycznej życiowej misji – nasączenia polskością regulaminów artylerii i przywrócenie im ducha narodowego. Pod koniec 1951 roku, został wezwany do departamentu kadr w Warszawie i podstępnie zwolniony. Była to haniebna decyzja. Obecnie, kiedykolwiek przejeżdżam przez Toruń, stoję przed parkanem byłego Centrum i wydaje mi się, że w powietrzu unosi się niezniszczalny „zapach” autorytetu pułkownika Orzeszko. Oficera, który pozostał naszym wzorcem.

A oto inny przykład, który nie opuszcza mojej pamięć. W roku 1955, byłem komendantem fakultetu artylerii w Akademii Sztabu Generalnego. Pracował tam nieprzeciętny człowiek, pułkownik artylerii Ignacy Sitnicki. Miałem zaszczyt być jego przełożonym. Los sprawił, że w roku 1995 – pięćdziesiąt lat od naszego zapoznania – stałem nad jego trumną. Urodził się w 1919 roku na wschodniej Ukrainie, w rodzinie uczestników polskich powstań narodowych – zesańców syberyjskich. Potem wstąpił do pierwszej armii Wojska Polskiego. Walczył pod Lenino, na Wale Pomorskim, przy zdobywaniu Kołobrzegu i w operacji berlińskiej. Swój udział w wojnie okupił trzema ciężkimi ranami i kontuzją.

Po zakończeniu działań bojowych zajmował różne stanowiska dowódcze w wojskach i Akademii Sztabu Generalnego. W 1955 roku – apogeum czystek

stalinowskich w armii Polskiej – mimo, że był Polakiem z terenów radzieckich, kiedy wystąpił o obywatelstwo polskie, natychmiast został zwolniony. Wiem, że go to boleśnie dotknęło, ale nie załamał się. Jako ambitny i zdolny oficer, zdążył jeszcze ukończyć studia cywilne, obronić doktorat z nauk ekonomicznych i stać się cenionym autorytetem w dziedzinie statystyki matematycznej.

W tej mojej życiowej retrospekcji, nie może zabraknąć oficerów o mocno zakorzenionym profesjonalizmie z 18 brygady raketowej w Bolesławcu. Z nimi przeżyłem dni swojej „chwały”. Gdzieś, kiedyś wyczytałem zdanie Eliana Kazana, amerykańskiego pisarza greckiego pochodzenia, iż „człowiek jest tym, co robi, i co robi dobrze”. Otóż dowodziłem takimi żołnierzami. Nigdy nie obawiałem się inspekcji, ani startów poligonowych. Gotowi byli podjąć każde wyzwanie.

W Wojskach Obrony Powietrznej wpadł mi w oko oficer, którego profesjonalizm zawsze podziwiałem, wywodził się z lotniczej „gałęzi”. Wówczas, przez trzy lata zajmowałem stanowisko zastępcy dowódcy tych wojsk. W sierpniu 1966 roku zjawiłem się na ogromnym warszawskim lotnisku Bemowa – obecnie ślad po nim zaginął, zjadły go zachłanne marketingi – gdzie oczekiwał mnie pilot mjr Stanisław Mielczarek. Z jego zachowania emanował spokój i pewność siebie. Od pierwszego lotu z Warszawy do Goleniowa, wzbudził we mnie szacunek do siebie do wszystkich polskich lotników. Uniesiony w przestworza, oderwany od ziemskiej szarzyzny, oszołomiony swobodą, zrozumiałem, że ten zawód wart jest „miłości”. Przez całe dwie godziny i całą długą trasę tego lotu, patrząc w błękit nieba jak w lustro, przeżywałem od nowa tajemniczość nieogarniętych przestworzy i piękno ziemi ojczystej

Potem, przyszła kolej na loty z wieloma innymi lotnikami. Nigdy mnie nie zawiedli, niezależnie od pory roku i pogody.

Podziwiałem lotników podczas organizacji wielu „sojuszniczych” ćwiczeń. Tylko polskie eskadry dokonywały brawurowych nocnych lotów, w najbardziej niesprzyjających warunkach. I tej profesjonalnej odwagi zawsze im dostawało. Nie tylko dla tego, że do odważnych świat należy. Oni mieli ukrytą w genach świadomość, że wywodzą się z tego samego rodzinnego pnia lotników, którzy zawsze godnie reprezentowali wojsko polskie. Podobnie jak u artylerzystów, tradycyjnie już mieli wytworzoną lojalność grupową.

Co ja mam mówić: z żalem rozstałem się z Wojskami Obrony Powietrznej Kraju. W latach siedemdziesiątych prezentowały one najbardziej skomplikowany nowoczesny rodzaj sił zbrojnych. Automatyzacja dowodzenia skorelowanym wysiłkiem lotnictwa, rakiet i wojsk radiotechnicznych to wielki sukces żołnierskiego profesjonalizmu i polskiej kultury technicznej. Jednym z tych, którzy dzień w dzień rozmyślali nad usprawnieniem tego procesu, był pułkownik mgr inż. Wiesław Wojciechowski, późniejszy generał. Popierałem jego starania, aby uniezależnienia od radzieckiej - szalenie drogiej – techniki, poszukiwać we wspieraniu finansowym badań Wojskowej Akademii Technicznej. I to dokonywało się bez rozgłosu, ale skutecznie.

Później, ciekawy odcinek życiorysu – pełne dziesięć lat – miałem osadzony w Akademii Sztabu Generalnego. Początkowo jako szef katedry wojsk raketowych i artylerii, a potem na stanowisku komendanta wydziału wojsk lądowych. Dydaktyka, kiedy się ją polubi, podobnie jak aktorstwo jest swoistą „grą” w bezpośrednim wzrokowym kontakcie z wymagającą widownią. Nie da się ukryć: na zdobycie autorytetu u młodych wojskowych studentów, trzeba się solidnie napracować.

Kadra akademicka miała świadomość poczucia swojej misyjnej roli. Było oczywiste, że od jakości jej „produkcji”, zależał poziom wojska polskiego. Mówiąc bez przesady, w akademii zawsze gromadzili się wspaniali dydaktycy. Właściwie należałoby przywołać kilkadziesiąt nazwisk, które reprezentowały oficerów najwyższego profesjonalizmu, ale ze względu na „umowę z redakcją”, muszę dokonać bardzo zawężonego, wręcz losowego wyboru. Idąc tropem terminologii Tofflerów⁵³, spróbuję wyłuskać kilka symbolicznych postaci, wywodzących się z oficerów kadry drugiej fali – z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Są to te osobowości wielkiej pracy, jasnych umysłów, które „na swoich barkach” uratowały z historycznego zamętu oficerów trzeciej fali (III Rzeczypospolitej).

Wielu z nich - razem z podopiecznymi - trzecia fala nieoczekiwanie zaniósł do historycznej przystani, zwanej NATO. Podam kilka nazwisk, reprezentujących utalentowanych teoretyków polskiej armii. Oni wytwarzają ferment intelektualny. Są to badacze i pragmatycy, umiejący przenosić swoje myśli „na papier”. Przeważnie wyrastali i dojrzewali na glebie wielkiej dydaktyki. Rozumieją, że wiedza jest główną

⁵³ Alvin i Heidi Toffler, *Wojna i Antywojna*, Wyd. MUZA S.A., Warszawa 1997.

siłą, która może wyprowadzić wojsko polskie na niezwykle dynamiczną drogę rozwoju. Oto kilku reprezentantów z tej elitarnej warstwy: gen. dyw. prof. Bolesław Balcerowicz – strategia i obronność, gen. bryg. prof. Stanisław Koziej – teoria sztuki wojennej; gen. broni pil. prof. Jerzy Gotowała – prognozy rozwoju lotnictwa; płk prof. Adam Tomaszewski – symulacje komputerowe rażenia ogniowego, płk prof. inż. Andrzej Barczak – łączność i informatyka; płk prof. Ryszard Wróblewski – wprowadzenie do strategii wojskowej; płk dr inż. Piotr Zaskórski – systemy informatyczne; płk prof. Bogdan M. Szulc – dydaktyka i tematyka obronna; płk dr hab. Jacek Pawłowski – sztuka operacyjna; płk prof. Zbigniew Ścibiorek – system obronny; płk prof. Czesław Jarecki – system rażenia ogniowego wojsk lądowych; płk prof. Leopold Ciborowski – walka informacyjna, płk prof. Eugeniusz Nowak – logistyka i wojna; płk prof. Jerzy Zieliński – zarys teorii sztuki operacyjnej wojsk lądowych.

Nieraz, na spotkaniach z młodą generacją studentów akademickich zadawałem im pytanie: co było przyczyną nie kwestionowanego autorytetu oficerów, których nazwiska wymieniłem. Otrzymywałem różne odpowiedzi, ale każda z nich „obracała się” w pobliżu „pracowitości i godnego zachowania”. Przyznawałem im rację, ale przemyciałem uzupełnienie, że jądrem autorytetu zawsze pozostaje promieniujący profesjonalizm. I sięgałem do kilku żelaznych przykładów.

Kiedy wytrawny lotnik pułkownik Marian Bondzior⁵⁴ - w latach sześćdziesiątych – siedział za sterami samolotu i przewodził „tafli” na paradzie lotniczej, całe wojsko wiedziało, że ten oficer „w każdym calu” jest profesjonalistą. Albo jemu podobni trzej kapitanowie piloci: Zygmunt Dębowski, Jerzy Figurski oraz Ryszard Grundman, wykonujący skomplikowane figury akrobacji lotniczej.

Wystarczyło mi kilkakrotnie zetknąć się z takimi reprezentantami wojskowej służby medycznej jak: płk prof. Jerzy Adamus, komandor doktor Zygmunt Chaniecki, płk Kazimierz Cieślak, płk Włodzimierz Aleksandrowicz, aby stwierdzić, że są to, wielkie rzetelne osobowości. Ledwie stawali przed pacjentem, a już „z nich wydobywały się” życzliwe gesty, uprzejmość, cierpliwość, zrozumienie. Mało co mówili, ale diagnozy były bezbłędne. Z ich twarzy naznaczonych humanizmem,

⁵⁴ Obecnie, generał brygady w stanie spoczynku.

emanowały budzące zaufanie profesjonalizm, specjalizacja i miłość do swojego zawodu.

4. Motywacje do służby i pracy

4.1. Motywacje czasu wojny

Od 1939 roku, kiedy wojna przerwała niepodległość Ojczyzny, na każdym dalszym kawałku nie tylko mojego życia – znam różne losy wielu kolegów - motywowany byłem wielkimi narodowymi celami, kierowanymi ku przyszłości. Dzisiaj, gdziekolwiek spotykam resztki frontowych przyjaciół, traktujemy siebie jako „dzieci wojny”, bo wiemy, że z nieodpartą siłą pozostają w nas jej konsekwencje i ostrzegawcze „pomruki”.

Wybuch wojny nieodwracalnie zamknął młodzińczy etap życia każdego z nas. Pisałem już o tym, że mój chrzest bojowy w ochronie polowego lotniska trwał zaledwie dziesięć dni. Doraźna warta została rozwiązana, ale utkwiała mi w pamięci na całe życie. Stała się dla mnie dodatkowym emocjonalnym ładunkiem patriotyzmu i bodźcem do trwania w wierze, że los się odwróci i wezmę udziału w obronie Ojczyzny, gdziekolwiek to będzie możliwe.

Potem, nastąpiła radziecka rzeczywistość. Ruszyła propagandowa machina do deformowania osobowości i ludzkiego myślenia. Uderzała w każdą cząstkę przedwojennej „burżuazyjnej” Polski. Starła się wytworzyć przekonanie, że to państwo już się nigdy nie odrodzi. Miasto zostało dosłownie oblepione plakatami ośmieszającymi nieudolność obronną armii polskiej i jej kapitalistycznych „krwiopijców”. Przed sklepami pojawiły się niewyobrażalne kolejki, głównie po chleb, które z czasem stały się „normalnością”. Nieraz rozgrywały się w nich dantejskie sceny, prawdziwe boje o lepszą pozycję, dającą większą szansę otrzymania upragnionego bochenka. Od czasu do czasu, głównie, w przeddzień wyborów państwowych świąt, aby podbudować nastroje „rzucano” cukierki (kanfiety). Choć o dziwo, w takiej ponurej sytuacji, ani mnie, ani nikomu z moich kolegów nie powstawała w głowie myśl, że Polska straciła niepodległość. Byliśmy nasyceni „strategią” potrzeby zdecydowanego przetrwania.

W szkole, wśród Polaków, jakby opanowanych przez gorączkę nadziei, dominowała „konspiracyjna” lojalność. Szczególnie dawała znać o sobie podczas

nauki historii i politycznej indoktrynacji. A swoistą cechą nadawały sytuacji przyjazne gesty, demonstrowane przez nauczycieli – wyrocznią dla nich była prasa - wobec Niemiec hitlerowskich.

Wielką postacią tamtego trudnego czasu, był „schowany w sobie” profesor Felicjan Śliwiński. Jeszcze z carskiej szkoły doskonale znał język rosyjski i chociaż był już w wieku emerytalnym, wykładał matematykę. Cieszył się wśród nas ogromnym autorytetem. Miał w sobie coś zdumiewająco subtelnego. Wiedzieliśmy, że w głębinie jego duszy płonie patriotyzm. Nieraz, w wąskim zaufanym gronie chłopców, nawoływał do rozwagi i prosił o cierpliwość. „Nadejdzie czas kiedy Ojczyzna was wywoła”. Ten wspaniały człowiek, został rozstrzelany przez Niemców w grupie 30 zakładników, w odwet za napad oddziału AK „Ponurego”, na więzienie w Pińsku. Bestialski mord poruszył całe miasto. Dzisiaj, kojarzy mi się z nim postać profesora Tadeusza Kotarbińskiego.

Codziennie usiłowaliśmy śledzić wojenne wiadomości. Nieczęsto się zdarzało, ale niektórym kolegom udawało się wpaść na fale Londynu i wówczas interpretowaliśmy je w „kolorowych barwach”. A z drugiej strony wiele było oznak, że kolos radziecki dysponuje ogromną siłą militarną. W rejonie miasta, od samego ranka uganiały się po niebie dziesiątki bojowych samolotów. Stale obracaliśmy się wokół totalnego upolitycznienia, podejrzliwości, poszukiwania wrogów władzy radzieckiej. Rytm mojego życia nabrał jakiegoś niespokojnego dynamizmu. Poranny czas mijał w szkole, a po południu „zasuwałem” w brygadzie robotników kolejowych. Przyzwyczailem się do twardego bytowania. Nadzorował brygadzista Kazimierz Pazera. Ubijałem kamienie pod stalowymi podkładami, męźniałem, obrastałem w muskuły i z niepokojem obserwowałem pędzące na Zachód niezliczone ilości transportów wojskowych. Odchodziliśmy na bok, kiedy obładowane czołgami, artylerią, sprzętem samochodowym, dudniły jak oszalałe. Widok ich nie napawał optymizmem, działał wręcz destrukcyjnie. Pod serce wkradał się niepokój, czy aby ktoś się odważy wydobyć nas spod skrzydeł tej zmilitaryzowanej potęgi. Potem jednak powracała pewność, że dokonają tego zachodni alianci.

Wtedy nadszedł ów lutowy dzień 1940 roku, który zapoczątkował stalinowskie wywózki na sybir. Stałem przed towarowym pociągiem, wypchanym Polakami, Żydami, Białorusinami i żegnałem ich kiedy **odjeżdżali w nastroju wiary i nadziei, że to potrwa krótko**. Rozstając się, machali dłońmi moi profesorowie,

szkolni koledzy, znajomi. A wprost imponował mi, ironicznie uśmiechnięty, kolega z jednej ławki Mikołaj Kałaur. Widziałem w jego wzroku życzenie, abym się trzymał. Obok niego dostrzegłem smutne postacie profesora geografii Józefa Obuchowskiego i Alojzego Stuska. Z wagonów dochodził płacz dzieci. W strażniczych budkach, w białych kozuchach stali czujni żołnierze NKWD, uzbrojeni w karabiny zakończone długimi bagnetami. Nie przypuszczałem, że tych co powrócą, ujrzę dopiero w 1944 roku, kiedy się zjawia w mundurach I Armii Wojska Polskiego. Starsi wiekiem profesorowie pozostali tam na zawsze. Żaden nie przetrwał. Potem, w takim samym nastroju rozpacz i nadziei odjeżdżały trzy kolejne transporty w kwietniu i czerwcu 1940 roku oraz czerwcu 1941. Zawężało się grono pozostających w mieście znajomych.

I wreszcie, niespodziewanie, rok 1940 przyniósł wojnę radziecko – fińską. Pamiętam go z niezwykłą ostrością. Mijały miesiące i o dziwo, mimo „tryumfalnej” propagandy, radziecka armia nie była w stanie złamać ducha obronnego „garstki” męжных Finów. Wówczas zrozumiałem, a nawet z pewną nonszalancją rozmyślałem nad naszymi szansami.

Potem nagle urwała się przyjaźń z Niemcami i stało się to, o co Polacy się modlili. 22 czerwca 1941 roku Hitler, całą mocą swoich armii uderzył na Wschód. Teraz nie było już kogo, kto by wątpił, że zbliża się koniec okupacji. Oczekiwaliśmy, że wojna na tyle osłabi dwóch tyranów, Hitlera i Stalina, iż droga do wolności stanie otworem. **Z niedowierzaniem obserwowałem paniczną, bezładną ucieczkę wojsk i radzieckiej administracji.** Wydawało się to nierealne, jakby zainscenizowany spektakl. Na każdej upchanej ludźmi ciężarówce (ZIS-zawod imieni Stalina), siedziały ściśnięte, skulone postacie. Co w nas rozbudzało nadzieje, ich paraliżowało strachem. Na zrytym bombami lotnisku pozostały tylko wraki myśliwców. Wyglądało na to, jakby w ogóle nie poderwały się do walki. Przejmujące sceny.

3 lipca – oczy przecierałem ze zdumienia - miasto pozostawało bezpańskie, a 4 lipca do Pińska wjechała grupa niemieckich motocyklistów. Wtargnęli do miasta właśnie w chwili, kiedy zakończyło się plądrowanie sklepów. Zawsze wзираła z nich bieda, ale teraz straszyły przeraźliwą zdemolowaną pustką.

Niemcy, na tle żołnierzy radzieckich wyglądali elegancko i jacyś rozluźnieni. Miałem wrażenie, jakbym obserwował wycieczkowiczów. Zatrzymali się na rynku spokojnie zaczęli zajadać swoje „podróźne” konserwy. Uderzyło mnie, że się nie przejmowali możliwością spotkania z przeciwnikiem. Ich dowódca, kapitan, stale rozmawiał przez radiostację. Otoczony gromadą pińczuków, jakby manifestacyjnie pokrzykiwał do słuchawki „Ja, ja, ja, ich verstehe – tak, tak, tak, rozumiem”

Po kilku latach, kiedy już stałem się oficerem, uświadomiłem sobie, że jednym z niezawodnych narzędzi, które zawsze pomagało Niemcom osiągać zaskakujące sukcesy, był sprawny system dowodzenia.

Od tego momentu, znów odrodziła się zhora nowej okupacji. Szkolnictwo średnie przestało funkcjonować. Zaczęły się wywózki na roboty „nach Deutche Reich”. Aby tego przypadku uniknąć, zebrałem się w sobie i zacząłem pracować na stoczni, jako pomocnik elektromontera. Rzeczne statki polskiej flotylli, które Polacy w 1939 roku zatopili, a Rosjanie wydobyli, wyremontowali i uciekając znów je posłali na dno, po raz trzeci zostały wydobyte przez Niemców i właśnie, pracowałem nad przywróceniem ich zdolności bojowej.

Aby nie oddalać się „niebezpiecznie” od głównej tematyki mojej książki, muszę skrócić swoje życiorysowe dywagacje. Będę się starał podawać je tylko w porcjach maksymalnie ograniczonych, aby posłużyły jako przekonywujący argument, **że każdy ruch w moim „wojennym” życiorysie, był wywoływany stale tym samym duchem, patriotycznej motywacji.** Dlatego sięgnę jeszcze, zaledwie w kilku zdaniach, do swoich partyzanckich i frontowych doświadczeń.

Z dumą wspominam moje zgrupowanie partyzanckie, noszące imię „Jeszcze Polska nie zginęła”. Dowodził nim odważy Polak i przebiegły polityk – co było niezmiernie ważne w tamtych historycznych okolicznościach – nieżyjący już pułkownik Robert Satanowski.⁵⁵ Zgrupowanie „zapisalo” piękną kartę działań bojowych na Wołyniu, Polesiu i Lubelszczyźnie. Najtrudniej było w końcówce 1943 roku i zimą 1944. Kiedy się zaczęła robić mroźna i śnieżna jesień, zgrupowanie dokonało „strategicznej” dyslokacji, z nieprzyjaznego Polakom Wołynia na Polesie. Po długich męczących przemarszach, w niewyobrażalnych warunkach terenowych,

⁵⁵ Stopień generalski otrzymał w latach osiemdziesiątych XX wieku. Po wojnie stał się sławny jako dyrygent wielu orkiestr operowych.

noc w noc zasypialiśmy jak leśne zwierzęta w naprędcie wykonywanych, prymitywnych szatach. Jednocześnie trwały walki z Niemcami, utarczki z oddziałami dobrze uzbrojonych Ukraińców, a grupy dywersyjne dokonywały dalekich wypadów w celu minowania torów kolejowych. Przyglądając się istniejącym uwarunkowaniom „z boku”, mogłoby się wydawać, że znajdujemy się na granicy wytrzymałości. Myśmy tego nie odczuwali. Wewnętrzna energia miłości do Ojczyzny wspomagała nas siłą dodatkowej motywacji, aby kontynuować walkę.

Potem, wiosną i latem 1944 roku, na Podlasiu i Lubelszczyźnie, rozpoczął się końcowy etap aktywności bojowej i dywersyjnej zgrupowania liczącego 14 oddziałów. Nieocenioną pomoc okazywało nam ściśle współdziałanie z Batalionami Chłopskimi⁵⁶. Zdumiewało mnie zorganizowanie konspiracyjne każdej wsi polskiej. Albo funkcjonowanie podchorążówki leśnej w okolicach wsi Rossosz, dowodzonej przez Juliana Czubę, legendarnego „Mariana”, człowieka o nieskazitelnym moralnym autorytecie.

Teraz, kiedy rozpamiętuję powszechne zaangażowanie w działalność „podziemną” rodzin chłopskich i naszych partyzantów - przeważnie młodych chłopców z Polesia, Wołynia, Podlasia i Lubelszczyzny - które było opłacone wieloma ofiarami życia, znowu uzmysławiam sobie, że **każdego motywowało to samo potężne pragnienie uczestniczenia w wyzwoleniu Ojczyzny**. Wszyscy – od dowódcy po „ostatniego szeregowca” byliśmy nasączeni tą ideą. Ona stała „wisiała” nad nami, uskrzydlała i promieniowała siłą napędową.

Do dnia dzisiejszego noszę w sercu bezgraniczne uznanie dla ludności wiejskiej Polesia, Podlasia i Lubelszczyzny, która żyjąc w biedzie, dawała nam schronienie, wyżywienie i poczucie bezpieczeństwa.

W 1945 roku stałem się podporucznikiem – dowódcą plutonu artylerii i w takiej funkcji uczestniczyłem w szlaku bojowym II Armii Wojska Polskiego. Szczególnie mocno tkwi w mojej pamięci krwawa konfrontacja z grupą pancerną feldmarszałka Schornera. Byliśmy już prawie pod Dreznem, kiedy nastąpiło jego zaskakujące uderzenie na tyły trzech polskich dywizji. W ciągu następnych kilku dni rozgorzała zacięta bitwa obronna. Wydawało się, że znaleźliśmy się w samym środku piekła. Dominując w powietrzu, niemieckie lotnictwo bombardowało i strzelało

⁵⁶ Edward Duda – „Konarski” dowódca oddziału BCh im. Ziemi Podlaskiej, został odkomenderowany do czwartej brygady zgrupowania im. „Jeszcze Polska nie zginęła”.

do wszystkiego „co się rusza”. Czołgi próbowały nachalnie przedostać się przez nasze zapory ogniowe. Cała artyleria została użyta do strzelania na wprost. Armia poniosła ogromne straty, ale natarcie doborowych wojsk Schornera zostało rozbite. Ja zostałem ranny i przetransportowany do szpitala.

To co przeżyłem w partyzantce i na froncie, złożyło się na dwie różne, a jednocześnie uzupełniające się szkoły mojego życia.

Partyzantka nauczyła mnie i moich kolegów samodzielności działania, wzajemnej lojalności, **odporności na trudy**, wpoila bezgraniczny szacunek do prostych ludzi, którzy stale spieszyli nam z pomocą, chociaż podlegali strasznym represjom.

Wojsko to już wyższy szczebel dojrzałości i „wtajemniczenia bojowego”. Nauczyło nas działania w wielkim systemie sprawnej organizacji, zderzyło z nowoczesnym uzbrojeniem, pokazało nadzwyczajną profesjonalną rolę dowódcy, do którego zależy rzecz najtrudniejsza - kojarzenia wysiłku broni połączonych.

Po partyzantce, kiedy stałem się normalnym żołnierzem wojska, odniosłem wrażenie, jakbym został przeniesiony w błogie warunki luksusu i rozpylonego spokoju. Czułem się niemal znużony codzienną rutynową służbą.

Pobyt w partyzantce i na froncie obnażył przede mną nieludzkie oblicze wojny. Każdego dnia przynosiła bolesne cierpienia dla niewinnej ludności cywilnej zbierała bogate żniwo śmierci wśród walczących żołnierzy. „Posłuchajmy”, co mówi o wojnie nasz wielki uczyony, filozof i profesor **Tadeusz Kotarbiński**: **„Wojna nie może być sprawiedliwa, gdyż niepodobna walczyć sprawiedliwie, nawet jeżeli się walczy o sprawiedliwość”**.

Wiele lat temu, kiedy wyszła moja książka wspomnieniowa z lat przeżywanych w lesie i na froncie, zawarłem w niej przekonanie, że wojna jest okrutna. Nie ma „ładnych wojenek”. Oparłem to na jednym drobnym epizodzie. 19 kwietnia 1945 roku, dowódca dywizjonu kapitan Kaszcejew, nakazał mi udać się z patrolem rozpoznawczym do małej miejscowości Threna, aby nawiązać utracony kontakt z dowódcą 2 batalionu 36 pułku piechoty kpt. Wacławem Wawrzyniakiem. Zabrałem ze sobą kilku doborowych żołnierzy: kpr. Jana Tyszkiewicza (po wojnie

pułkownik), kpr. Jana Wojciechowskiego, bombardiera Hodkiewicza i Mariana Ksionka oraz kanonierów Eugeniusza Pietucha i Czesława Szurpickiego. Stale posuwaliśmy się leśnymi drogami. O świcie ujrzeliśmy sporo niemieckich wraków samochodowych, pozostawioną kuchnię, rozbite działo pancerne. Wszystko wskazywało na to, że miały tu miejsce ostre starcia z niemieckimi jednostkami, które uderzały w kierunku Gross Radisch. Rzecz jasna pobudziło mnie to do zwiększenia czujności i zwolnienia tempa marszu.

Po jakimś czasie, wyszliśmy na sporą polanę leśną. Na pierwszy rzut oka, wyglądała jak każde inne miejsce w lesie, cicha i spokojna. Ale kiedy tylko rozejrzeliśmy się lepiej, w szarej mgle poranka, naszym oczom ukazał się szokujący widok: półkolem, prawie pośrodku zielonej przestrzeni, leżeli jak uśpieni polscy żołnierze. Było ich dziewięciu. Wszyscy martwi. Los musiał ich rzucić w straszną pułapkę, pod bezpośredni ogień broni maszynowej. Oddaliśmy im hołd, zdejmując nakrycia głowy. Zielone mundury zlewały się z kolorem trawy. Co za okrucieństwo losu.

A oto jeszcze jeden „obrazek” przekazany przez Augusta Gajdemskiego, żołnierza wojny niemiecko – polskiej, majora Wojska Polskiego, Kawalera Krzyża Virtuti Militari o jego rodzinnej wsi Budkach Wojtkiewickich położonej na pograniczu Wołunia i Polesia. Opowiedział mi tę tragiczną historię, którą przekażę w skrócie.

Aby odstraszyć ludność od współpracy z partyzantką, hitlerowcy nie cofali się przed najokrutniejszym terrorem. O świcie drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia 1942 r. przysypana śniegiem wieś, niczego się nie spodziewając, została otoczona kordonem Niemców. Część z nich zaczęła wypędzać z obór bydło, świnie, konie, inni zajęli się ludźmi – gonili ich pod budynek szkolny. Kobiety głośno płakały. Niemcy wyrwanymi z płotów żerdziami zmuszali ich do zachowania spokoju. Mężczyźni zaciskali pięści w bezsilnej wściekłości. Najmłodszy syn Ewy Gajdemskiej nie wytrzymał. Stojąc w ostatnim szeregu, skoczył w bok, potem na płot, ale tu dosięgła go kula. Spadł martwy na drugą stronę. Ze skraju wsi zaczęły unosić się kłęby dymu. Niemcy podkładali ogień pod obrabowane domostwa. Coraz częściej rozlegały się strzały. Przez pola tu i ówdzie próbowały uciekać pojedyncze osoby. Ginęły w krzyżowym ogniu oprawców. Klemens – starszy brat Augusta, widząc do czego Niemcy zmierzają, wypadł z szeregu i co sił w piersiach krzyknął:

- Chłopy, za łby ich!

Nie zdąży doskoczyć do najbliższego hitlerowca, kiedy dostał kulę w głowę. Kobiety, dzieci wtulone w matczyne zapaski, rozpaczliwie zawodziły. Narastała atmosfera grozy. Obok zabudowań Mateusza Siedleckiego spędzono cały inwentarz. Oficer prowadzący pacyfikację podszedł do zgromadzonej ludności i mechanicznie oddzielił grupę osób. Gajdemski znalazł się w tej grupie wraz z żoną i dwojgiem dzieci. Bez ciepłej odzieży, ot tak, jak kogo wyciągnięto z domu, popędzono ich do zrabowanego bydła i tam oświadczone, że mają je konwojować aż do Olewska.

Tymczasem obok szkoły rozgrywał się ostatni akt tragedii Budek Wojtkiewickich. Kobiety i dzieci do lat 16 wpędzono do długiego korytarza szkoły. Tu esesmani otworzyli do nich ogień z pistoletów maszynowych. W kłębowisku ciał, wśród krzyków i jęków ginęły matki i ich dzieci. Potem Niemcy wyszli z budynku i podpalili go wrzuciwszy przez okna kilkanaście granatów.

W czterech ścianach sąsiedniej stodoły mordowali mężczyzn. Sprowadzono ich trójkami z placu szkolnego. W drzwiach stodoły stali Niemcy i pakowali kule w zbity ludzki tłum. Potem podpalono również stodołę. Mateusz Siedlecki, właściciel płonącej stodoły, ugodzony pociskiem w ramię przyczaił się, przygnieciony stosem ciał, potem pod osłoną dymu wybiegł w pole. Pomimo silnego ostrzału zdołał uciec do pobliskiego lasu. Podobnie udało się ujść z życiem Józefowi Siedleckiemu, który przy wprowadzaniu go do stodoły skoczył na wysoki parkan, i chociaż został ranny, zdołał zbiec do lasu.

Na podwórku Ludwika Łoboczewskiego rozstrzeliwano grupkę w ostatniej chwili schwytanych kobiet. Młoda dziewczyna, Anastazja Suchowiecka, ranna w rękę, rzuciła się do ucieczki. Dogonił ją esesman i przywłókł za włosy na miejsce egzekucji. Błagała o darowanie życia. Wystrzelił do niej kilka razy, ale zamroczony alkoholem nie trafił. Przeczekała na stosie trupów, a potem udało się jej wraz z dwiema rannymi koleżankami uciec do lasu.

Budki Wojtkiewickie dogorywały. Po kilku godzinach pozostały z nich tylko zgliszczka, kikuty kominów, zwęglone trupy. Spośród 840 mieszkańców tylko nieliczna grupa przetrwała masakrę: ci, którzy pędzili bydło i kilka osób, które zdołały uciec. Zginęły całe duże rody Siedleckich, Suchowieckich, Ficnerów, Grzesiuków i innych. Olbrzymia polska wieś przestała istnieć, uległa zagładzie w ciągu kilku godzin.

Teraz, kiedy wszystko co przeżywałem na froncie jest już odległe w czasie, niektóre momenty nadal pozostają wyraźnie w pamięci. Nie zapominam, że skutki 2 wojny światowej okazały się szczególnie bolesne dla Polski. Wyszła z niej okropnie „okaleczona” i na długie lata wyhamowana w rozwoju. Podobnie jak wojsko, utraciła całą warstwę twórczej inteligencji. To na pewno jeszcze rzutuje na nasze dzisiejsze trudności w pogoni za stanem cywilizacyjnym i standardami życia państw zachodnioeuropejskich.

Z goryczą przyjmuję liczne informacje prasowe, szczególnie rozpowszechniane w Stanach Zjednoczonych i w państwach Europy Zachodniej o polskim antysemityzmie. Dla mnie jest całkiem niepojęte, czemu rząd polski tak nieśmiało im się przeciwstawia, czyniąc nas bez mała współodpowiedzialnych za zbrodnie dokonane przez hitlerowców na Żydach polskich. Oczywiście wiem, że podczas okupacji Polska nie była oaza samych bohaterów. W skali marginalnej miały miejsce haniebne fakty współdziałania mętów społecznych w prześladowaniu Żydów.

Pozornie jest to wątek uboczny dla książki, ale poruszam go świadomie, jako bardzo ważny problem dla każdego Polaka i oficerów polskich. Mogą się z nim spotkać w każdym miejscu służby; wśród swoich podwładnych lub w kontaktach z kolegami sojusznikami NATO. Ja w takich sytuacjach operuję dwoma argumentami. Pierwszy i najważniejszy: to nie jest przypadek, że na przestrzeni sześciu wieków największe skupisko Żydów europejskich zamieszkiwało Polskę. Po prostu w tym kraju – niezależne od gorzkich epizodów we wzajemnych relacjach – czuli się najlepiej. Wewnętrzna siłą wielonarodowej Rzeczypospolitej była tolerancja. Argument drugi: to przeogromny wkład sławnych Polaków pochodzenia żydowskiego we wszystkie dziedziny naszej historii i ich zaangażowany udział w wojnie obronnej 1939 r.

Przed wojną w Pińsku ludność tego kresowego miasta – niektórzy złośliwie nazywają go miasteczkiem – składała się w jednakowych proporcjach z Polaków, Żydów i Białorusinów. To samo zjawisko było w mojej klasie gimnazjalnej. Wszyscy żyliśmy zgodnie i traktowaliśmy się przyjaźnie.

Gwoli prawdy trzeba przyznać, że część biedniejszych Żydów z entuzjazmem powitała władzę radziecką i bez zahamowań zaangażowała się w działalność polityczną, często powiązaną ze służbami represji. W szkole średniej,

do które chodziłem, wykłady polityczne z marksizmu – leninizmu prowadzili, początkowo po polsku, sami reprezentanci narodowości żydowskiej.

Okupacja niemiecka – przed którą niewielu pińskim Żydom udało się uciec na Wschód – dla Polaków okazała się straszna, a dla ludności żydowskiej okrutna. Został na niej dokonany masowy mord w podmiejskich lasach. Dopiero wówczas wszyscy uświadomili sobie, że cele odczłowieczonej hitlerowskiej maszyny wojennej są niszczycielskie i ludobójcze. W tym czasie byłem już poza Pińskiem. Przerazający marsz do śmierci, widziała z daleka moja Matka. Opowiadała i płakała, bo w Pińsku mieliśmy wielu żydowskich sąsiadów, dobrych znajomych, bliskich ludzi, znanych lekarzy, kupców. Nigdy się nie dowiedziałem ilu w tej wspólnej mogile znalazło się moich szkolnych koleżanek i kolegów.

Muszę w tym miejscu po raz drugi wymienić nazwisko profesora Śliwińskiego. W czasie okupacji niemieckiej, będąc w wieku 75 lat, został tymczasowym burmistrzem miasta. Wiem z relacji kolegów, a to przecież można sprawdzić w archiwach, że do pólki był burmistrzem, skutecznie przeciwstawiał się zamknięciu Żydów w getcie. Publicznie wyraził protest, kiedy rozpoczęły się masowe aresztowania Żydów i rozstrzeliwania radzieckich jeńców wojennych za to właśnie w listopadzie 1942 roku został zwolniony ze stanowiska burmistrza. Jego następcą został nacjonalista ukraiński. Zaczął się terror wobec Polaków i Białorusinów. Wszystkich Żydów zamknięto w getcie, a potem zlikwidowano.

Na początku września 1943 roku, kiedy znalazłem się w zgrupowaniu partyzanckim, zastałem tam sporą grupę polskich Żydów. Byli na różnych stanowiskach sztabowych i w oddziałach liniowych. Kilku miało stopnie oficerskie. Pamiętam odważnego минера Gotliba. Wśród kobiet, też znajdowały się trzy albo cztery Żydóweczki.

Teraz, kiedy siadam obok emerytowanego pułkownika Henryka Garbowskiego, odważnego minera z tamtych czasów, albo obok szczecińskiego profesora medycyny Bohdana Daniela, wywodzącego się z naszej braci partyzanckiej, wyrażamy wspólne przekonanie, że każdy partyzant narodowości żydowskiej, który walczył razem z nami, był traktowany podobnie jak każdy z nas. Jesteśmy dumni, że w Zgrupowaniu Partyzanckim im. Jeszcze Polska nie zginęła uratowali swoje życie i dzielnie walczyli o wolną Ojczyznę. Mord dokonany na

polских Żydach, przerwał naszą wspólną historię i straszliwie osłabił potencjał dynamizmu rozwojowego Polski.

Obecnie, oba nasze narody i państwa, w imię szacunku do wielowiekowej wspólnej historii, powinny się zdobyć na mądrość, która potrafi we właściwych proporcjach dojrzeć wzajemne „grzechy”. Czasy, które mijają nie mogą wymazać z pamięci Żydów i Polaków tego bogactwa dokonań, które ich zawsze łączyły na dobrych i złych odcinkach polskiej historii.

Nie tak dawno, zajrzał do mnie gimnazjalny kolega „pińczuk”, Henryk Popow. Zawsze, kiedykolwiek go słucham, nie mogę się nadziwić, jak wyraziście przywołuje z pamięci najdrobniejsze przedwojenne fakty, osoby, ulice, barwne szczegóły. Stara się mnie namówić na turystyczne odwiedziny obecnego białoruskiego Pińska. Bez zastanowienia odmawiam, bo nie chcę ranić mojej duszy. Wiem, że to obecne miasto powita mnie obcością. Nie chcę utracić wyidealizowanych marzeń z czasów młodości. Nie miałbym odwagi wyjść na ulice Rzemieślniczą – tam gdzie mieszkałem - aby się przekonać, że jej nie poznaję, że już wszystko jest inaczej. Nie chciałbym się czuć tak, jak na krótko przed śmiercią, moja najdroższa Matka, która spokojnie oświadczyła, iż bez żalu odejdzie. „To już nie jest mój świat Czesławie – mówiła z łagodną cierpliwością. – Nawet ludzie obecnie inaczej się śmieją.”

Nie chcę też czuć się jak pewien stary niemiecki pedagog. Wołany echem z „minionego świata” i wiedziony sentymentem, przyjechał do Szczecina, aby odwiedzić swoją szkołę. Wzruszony, przestąpił jej próg i na oczach wszystkich zapłakał. Opowiadał mi o tym fakcie „zabużański” kolega partyzant Bronisław Pakuła. Stąd, nie mam zamiaru jechać do Pińska, patrzeć na moją wysłużoną „budę”, ronić łzy i cierpieć.

Tak więc drodzy oficerowie, te wynurzenia były mi potrzebne po to, abyście doszukali się w nich argumentów i odczuli moje pragnienie uczynić z Was osoby czerpiące mądrość z naszej wspólnej złożonej przeszłości historycznej. Oby te moje ostateczne rozmyślenia wyposażyły Waszą świadomość w potrzebę pełnego zrozumienia i szacunku dla polskich żołnierzy, wywodzących się z mniejszości białoruskiej, ukraińskiej, żydowskiej, niemieckiej, litewskiej. Wasz stosunek do innego człowieka zawsze winna

poprzedzać myśl, że jesteście dziećmi narodu, który przez stulecia niewoli i okupacji doświadczył morze prześladowań i nietolerancji. Więc sami bądźcie tolerancyjni dla każdej osoby odmiennej narodowości, rasy i religii. U progu nowego tysiąclecia, tylko ludzie bezwartościowi są powodowani ślepych i bezmyślnym szowinizmem narodowym.

Ostatnio, przebywając na obiedzie kombatantów w Akademii Obrony Narodowej, wśród życzliwych sobie starszych panów, z którymi połączyła mnie wieloletnia dydaktyka, z przyjemnością słuchałem wypowiedzi kolegi pułkownika Antoniego Karpińskiego. Zawsze był silnie osadzony w historii wojskowości. Teraz, wyrażał zdecydowaną opinię – w czym przyznawałem mu rację – że przebyliśmy trudne drogi, ale mamy dobrych następców. Młoda kadra, ma dostateczne siły „bojowe” i nowe myśli, aby poprowadzić wojsko ku większej dojrzałości i szerszym widnokręgom. „Dawność” odeszła z nami, a oni muszą liczyć na własną mądrość, nowe myśli i tworzyć swoje interesujące wspomnienia. Każdy oficer ma obowiązek podążać za wyzwaniem swojej epoki.

4.2. Motywacje czasu pokoju

Pokojowy czas mojego życia nakładał się na złożony okres polskiej historii. Tuż po wojnie, a właściwie przez pierwszą powojenną dekadę, w kraju wyczuwalne były nieludzkie wpływy radzieckiego stalinizmu. W wojsku, z każdego „kąta” wзираła obróbka ideologiczna. Ewidentne krzywdy dotknęły wielu wspaniałych przedwojennych oficerów. Niemal cała „starszyzna dowódcza” składała się z Rosjan. Ale, co może brzmieć mało prawdopodobne, od dołowej kadry oficerskiej, najsilniej powiązanej z masą żołnierską, niemal samoistnie izolował ich język. Stąd rosyjskie wpływy, na kształtowanie ducha wojska polskiego, były daleko mniejsze niżby się to mogło wydawać. Przypuszczam, że większość z nich zdawała sobie z tego sprawę.

Potem nastąpił „gomułkowski” rok 1956. Rosjanie wyjechali – poza kilkoma wyjątkami - i została zapoczątkowana polityczna odwilż. Jej fale nasilały się nieustannie, aż do zaskakującego przelomu z 1989 roku. Wówczas Polska uzyskała pełną niezależność od wschodniego sąsiada i weszła w orbitę demokratycznych krajów zachodniej Europy.

W tym miejscu, nie mogę się oderwać od myśli, która mi często towarzyszyła, że jakkolwiek skomplikowana była powojenna sytuacja polityczna Polski, to samo zakończenie wojny napawało mnie radością i nadzieją. Na wojnie, podobnie jak moi koledzy, nie miałem nic do zyskania, a wszystko do stracenia. Najważniejsze, wojna darowała mi życie. Wiedziałem, iż czas pokoju otwiera nowe drogi, nowe szanse przed Polską i przede mną. Zdecydowałem się pozostać żołnierzem zawodowym, bo zbyt głęboko zabrnąłem w sprawy militarne i nie miałem pewności, czy zdołam w cywilu „odnaleźć” swoje miejsce.

A teraz, jeszcze raz pośpiesznie „przebiegnę” drogę mojej służby, zatrzymując się króciutko na jej lekkich wzniesieniach, które zapewniały mi lepszą widoczność i orientację. Jak to w życiu, były to miejsca nie tylko moich sukcesów. niejednokrotnie towarzyszyły mi kłopoty, rozterki, a nawet – nie zawsze uzewnętrzniane – głębokie zwątpienia i gorzkie załamania. Jakoś to wszystko przetrwałem. Zawsze starałem się odbudowywać siły, by pozostawać wzorcem dla podwładnych i swojej rodziny.

Zaraz po wojnie, 37 pułk artylerii odbył długi marsz do Baligrodu. Nie tracąc frontowego animuszu, rozwinęliśmy działa i zaczęła się ostra „przepychanka” z bardzo aktywnymi oddziałami Ukraińców. Nie miało to frontowego charakteru, ale nieraz stwarzało srogie stany, podczas których kanonada armatnia dzwoniła w uszach. Ta mała wojenka, odebrała mi kilka miesięcy z życia i następnie zostałem przeniesiony do Dębicy. Stałem się szefem sztabu dywizjonu, prawą ręką kapitana Mieczysława Borkowskiego, który jako dowódca dywizjonu automatycznie objął funkcję dowódcy garnizonu. Największą jego pasją był porządek i dyscyplina.

W Dębicy, otoczony żołnierzami, z którymi przeszedłem chrzest bojowy, wsiąknąłem w proces nudnej stabilizacji pokojowej. Wojsko miało jeszcze ogromny autorytet i cywilne władze miasta, na każdym kroku starały się to demonstrować. Stopniowo pojąłem wszakże, iż zasługi bojowe nie zastąpią mi wojskowego wykształcenia. Wzbierała kamienna świadomość beznadziei. Ale wkrótce to przeszło, bo zostałem skierowany na półroczny kurs do Centrum Wyszkolenia Artylerii w Toruniu.

Gród Kopernika, bogaty w tradycje artyleryjskie, ulżył mi na sercu. Spory zastrzyk umiejętności, ćwiczenia poligonowe, wielokrotne strzelania, pozwoliły mi

zapuścić korzenie w profesjonalną glebę. A najważniejsze, że znalazłem się w otoczeniu promieniujących energią wykładowców, z których ponad połowę stanowili oficerowie przedwojenni. Od nich rozprzestrzeniały się pewne maniere zachowań i etykiety towarzyskiej, elegancja ubioru, nobilitacja artylerii. Wszyscy powrócili z obozów jenieckich i swoim zaangażowaniem, jakby starali się nadrobić stracony czas. Łatwo było zauważyć, że nasze doświadczenia frontowe były przez nich wysoko notowane. Centrum Wyszkozenia dało mi zastrzyk pobudzającej energii, z której czerpałem siły w ciągu całego wojskowego życia. Opuściłem Toruń w przekonaniu, że to nie koniec mojej edukacji. I tak się stało. Ale, w najśmielszej fantazji nie zakładałem, że wyższe studia czekają na mnie tuż „za płotem”.

Już po upływie dwóch miesięcy, zostałem zakwalifikowany do akademii artylerii w Moskwie. Miałem świadomość, że akademickie wrota otworzył mi pobyt w Toruniu. Nauka w renomowanej moskiewskiej akademii była trudna i wymagała wielkiej determinacji, zwłaszcza, że odjechałem z Polski jako świeżo upieczony małżonek. Wyższa matematyka i bazujące na niej inne przedmioty – balistyka, wewnętrzna i zewnętrzna, fizyka, chemia, geometria wykreślna, projektowanie sprzętu, radiotechnika – składały się na swego rodzaju politechnikę artyleryjską. Tam od samego początku wiedziałem, że osiągnięcie końcowego celu w postaci dyplomu, wymaga ode mnie wytrwałej pracy.

Podczas przeszkolenia w Toruniu, nastąpiła radykalna reorientacja w moim myśleniu. **Na drugi plan odeszły wojenne motywacje życia, a na czołową pozycję wysunęły się bodźce pokojowe.** Wynikały one z potrzeby zastanawiania się i rozmyślania nad swoim przyszłym losem. To samo było w Moskwie. Nie tylko ja, ale i moi ówczesni serdeczni koledzy – Eugeniusz Androsiuk, Stanisław Monarski, Władysław Jeżak, Leopold Sułkowski, Piotr Rogowski – staraliśmy się już koncentrować na poszukiwaniu każdej własnej drogi na przyszłość. Oczywiście, chociaż daleko poza krajem, nigdy nie opuszczał nas duch patriotyzmu i wiadomość potrzeby godnego reprezentowania wojska polskiego. To szło z nami przez wszystkie lata i przez każdą sytuację akademickiego programu. Polska grupa zawsze się odznaczała specyficzną kulturą zachowania, czerpaną z życia przedwojennych oficerskich tradycji, a kadra dydaktyczna traktowała nas z wyraźną życzliwością.

Po zdobyciu dyplomu akademickiego, powtórnie zostałem skierowany do pracy dydaktycznej w Toruniu. Tam czuło się ambitny zapał „młodzieżowej” kadry pedagogicznej, stale wspieranej siedliskiem ducha toruńskiej tradycji artyleryjskiej. Część oficerów wzmacniała swoje umiejętności na uniwersytecie „Mikołaja Kopernika”. Niesamowity nacisk był wywierany na metodykę szkolenia i przygotowanie pomocy naukowych. A świeże jeszcze doświadczenia wojenne, stale „popychały nas” w kierunku całodobowych ćwiczeń poligonowych, nasyconych dużą ilością strzelań. Nie było żadnych ograniczeń w zużyciu amunicji. Przez kilka lat dopóki była amunicja, „solidnie” pracowały dla nas niemieckie działa 105 mm.

Po Toruniu, znów zostałem przeflancowany do Akademii Sztabu Generalnego. I tu dydaktyka też opierała się na prostej, surowej i w gruncie rzeczy bardzo zdrowej zasadzie: kiedy się chce osiągać coraz wyższy poziom zajęć, trzeba solidnie nad sobą pracować. Wszystkie zajęcia klasowe tamtego czasu, kojarzą mi się z kredą, tablicą i dziesiątkami wyrysowanych na brystolu pomocy naukowych. Na przerwach, dziesiątki wykładowców obładowanych rulonami brystolu, snuło się po korytarzach zmierzając do swoich klas, aby na czas i w odpowiedniej kolejności rozwiesić je przed audytorium. Nikomu się nawet nie śniły małe komputerowe dyskietki.

Każdy nowy rok szkolenia, wzmacniał ambicje zespołów katedralnych i całych wydziałów. Grupka Rosjan, usadowionych na kilku kierowniczych stanowiskach administracyjnych i dydaktycznych zachowywała się bezkonfliktowo, i jak przypuszczam, zainteresowana była w maksymalnym wydłużeniu pobytu na „ciepłych posadach” w Polsce.

Na początku lat sześćdziesiątych – dzięki przychylności losu – zostałem dowódcą brygady raketowej w Bolesławcu. Był to silny motor napędowy mojego życia. W najśmielszej fantazji nie wyobrażałem sobie, że „pewnego dnia” zacznę dowodzić jednostką, uzbrojoną w raketowe kolosy, nasycone elektroniką. Od pierwszego dnia uprzytamniałem sobie, że mój sukces całkowicie będzie uzależniony od tego, czy potrafię wykrzesać u swoich podwładnych siłę emocjonalną w postaci wielkich zawodowych marzeń i ducha „bojowego”. Z perspektywy czasu sądzę, że mi się to udało. Kogokolwiek z nich spotykam, z łezką wspominamy naszą bolesławiecką „raketówkę”.

Potem, kiedy odbywałem służbę w Śląskim Okręgu Wojskowym i w Wojskach Obrony Powietrznej Kraju (OPK), poznałem wielu wspaniałych generałów i oficerów o różnych charakterologicznych odcieniach, ale o wielkim patriotyzmie „lokalnym”. Oficerowie z dumą zaznaczali, że są ze Śląskiego Okręgu albo z Wojsk OPK. Zawsze starałem się zdobywać ich zaufanie, abyśmy wspólnymi siłami dbali o renomę wojska polskiego. Zawsze to było połączone z dbałością o wysoki profesjonalizm, w którym nie spoczywało się na laurach. Jednocześnie, na tych wysokich szczeblach dowodzenia, wymagana była znajomość sztuki operacyjnej i bardzo sprawna praca sztabów. Na wszystkich ćwiczeniach, mimo woli dochodziło do współzawodnictwa z dowództwami radzieckimi i tu bezsprzecznie grały już motywacje narodowe. Każdy sukces wzmacniał dobre samopoczucie.

Na początku lat siedemdziesiątych zostałem wyrwany z Wojsk Obrony Powietrznej Kraju i powtórnie przesadzony do Akademii Sztaby Generalnego. Z żalem rozstawałem się z granatowym lotniczym umundurowaniem. Miało w sobie więcej zewnętrznej elegancji niż ubiór lądowy.

Akademię zastałem już w innym stanie jakościowym. Coraz wyraźniej wyczuwało się w niej zrozumienie dla ważności pracy naukowo - badawczej. Pojawili się pierwsi polscy profesorowie, co tuż po wojnie trudno było sobie nawet wyobrazić. Może to zabrzmieć mało przekonywująco, ale w akademii kadra znajdowała duże pole do zaspakajania własnych życiowych pasji. Z nadzwyczajnym sentymentem, nieraz sięgam do swojej domowej biblioteki i mimo woli wyciągam z niej unikalne dzieła, prawdziwe klejnoty polskiej myśli militarnej. A przecież jest to dorobek nauczycieli akademickich i ewidentne świadectwo poziomu uczelni, która taką kadrami dysponowała. „Dowodzenie i sztaby – Jana Orzechowskiego”, „Artyleria lądowa – Stefana Pataja”, „Artyleria w II wojnie światowej – Igora Błagwieszczańskiego,” albo „Wojna powietrzna w Europie – Czesława Kamińskiego”, to są zaledwie przykładowe, „pierwsze z brzegu” pozycje osób wielkiego talentu, pracowitych, ambitnych i bezgranicznie oddanych wojsku. W akademii czuło się narastanie fermentu myślowego i ugruntowaną świadomość, że tu w Rembertowie jest odżywcze źródło oddziaływania na los wojska polskiego i jego przyszłość. Tam rozwijał się maraton intelektualny.

Kolejne, bodajże najważniejsze „wzniesienie” na drodze mojego życia, napotkałem w roku 1981, podczas stanu wojennego. Pisałem już tym, ale z racji

nadzwyczajności tej daty, jeszcze raz pragnę zaakcentować, iż kadra oficerska – chociaż darzyła ogromną sympatią ruch „Solidarności” – z przerażeniem obserwowała postępujący rozkład państwa polskiego i narastającą groźbę interwencji radzieckiej. Miała świadomość konsekwencji takiego bardzo prawdopodobnego – „czarnego scenariusza”. Stąd, z ulgą przyjęła decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego. Do dzisiaj, nie mam najmniejszych wątpliwości, że w ówczesnej sytuacji, zastosowane rozwiązanie, chociaż bolesne, było najbardziej racjonalne dla nadrzędnej racji Państwa Polskiego.

Mój szanowny kolega, oficer szerokich horyzontów, płk dypl. Walenty Romanowski – dziesiątki lat pracował w dowództwie wojsk raketowych i artylerii – z ogromnym przejęciem opowiadał mi o „ostatnich godzinach” przed ogłoszeniem stanu wojennego. To wówczas był mimowolnym świadkiem rozmów wśród wysokiej rangi generałów radzieckich. Po przybyciu do Warszawy, rozlatywali się helikopterami w różne strony Polski, w celu wyboru stanowisk dowodzenia.

Tym, młodym osobom „podpalonym emocjonalnie”, którzy głoszą swoje teorie na ten temat, radzę sięgnąć do słownika wojskowego i zastanowić nad słowami „stanowiska dowodzenia”. Będąc na froncie, wielokrotnie je wybierałem na szczeblu pułku artyleryjskiego. Zawsze po ich zajęciu, następowało uderzenie „ogniem i manewrem”. Radzieccy generałowie – tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego - przygotowywali to samo, tylko na szczeblu państwowym - strategicznym.

Szkoda, że polscy historycy nie zdołali do tej pory, dokonać wszechstronnej – z chłodnym dystansem i pozbawionej subiektywnych politycznych emocji – analiz sytuacji tamtych brzemiennej czasów. Rzecz nie pojęta, aby nikogo nie interesowały wspomnienia „resztek” osób”, bezpośrednich świadków tego co wokół nich zachodziło. Z mojego rozeznania, opartego na własnej obserwacji i intuicji - od 1939 roku tragiczna historia Polski rozgrywała się na moich oczach - oraz na podstawie wymiany opinii z wieloma oficerami i generałami, nasuwa mi się tylko jeden wniosek, że nasza Ojczyzna, znajdowała się wówczas na krawędzi strasznego nieszczęścia, z którego „cudem” wyszła obronną ręką.

Końcowym etapem mojej służby było stanowisko ambasadora na Kubie. Zajmując je, miałem poczucie ogromnego wyróżnienia i odpowiedzialności. Polska stale była obecna w moich myślach. Już pierwszego dnia, po uroczystym złożeniu listów uwierzytelniających, postanowiłem sobie, że w ciągu krótkiego czasu, muszę „uwolnić się” od tłumacza i opanować język hiszpański. Angielski w tym regionie zajmował pozycję marginalną. Całe życie dyplomatyczne, w gronie ponad stu przedstawicielstw zagranicznych, bazowało na języku hiszpańskim. Motywacja we mnie „aż bulgotała”. I to dało wyniki, które napawały mnie dumą. Pomocne okazało się doświadczenie nauki języka francuskiego (w gimnazjum), niemieckiego, rosyjskiego i angielskiego. W każdym bądź razie, moja nauczycielka seniora dr Berta Castillo, prawdziwa dama i ognista kobieta, która wzmacniała językowo wielu polskich ambasadorów, była zadowolona z moich postępów. Już na pierwszej lekcji zdobyła moją sympatię, kiedy usłyszałem: - Mucho gusto en conocerla (bardzo mi miło, że mogłam pana poznać).

Po upływie sześciu miesięcy, w każdych okolicznościach – wizyty w MSZ, w szkołach, zakładach pracy, na przyjęciach, w rozmowach z innymi ambasadorami – poruszałem się o „własnych siłach”, co wytwarzało dobry klimat wokół osoby polskiego ambasadora.

Starłem się zawsze, aby moje informacje do kraju, niezależnie od ciepłych układów politycznych w relacji Warszawa – Hawana, były rzetelne i obiektywne. Stale koncentrowałem się na stosunkach gospodarczych i kulturalnych. Zazdrościłem Kubańczykom potężnego ośrodka biotechnologii i inżynierii genetycznej, w którym pracowało ponad pięciuset młodych naukowców. Lokował on Kubę w czołówce światowej biotechnologii. Zazdrościłem sprawnej i dla każdego dostępnej służby zdrowia Pisałem o tym wielokrotnie, aby u polskich decydentów wywoływać pozytywne reakcje myślowe.

Każdego miesiąca, na terenie ambasady odbywały się imprezy kulturalne; koncerty Szopenowskie, występy artystów, spotkania dyskusyjne. Do dnia dzisiejszego czuję wdzięczność wobec Pani radcy Marii Dembowskiej, osobowości promieniującej energią i ciekawymi pomysłami. Stale mam w oczach liczne grono wiernych przyjaciół naszego kraju – muzyków, inżynierów – absolwentów polskich uczelni, którzy wspierali każdą inicjatywę ambasady, zmierzającą do wzmocnienia

uczuciowych więzów pomiędzy naszymi dwoma narodami. Na Kubie żyłem bardzo intensywnie i ciekawie.

Kuba jest wyjątkowym miejscem „pod słońcem”. Nie dziwię się, że Krzysztof Kolumb (Cristobal Colon), - 27 października 1492 roku - kiedy po raz pierwszy ujrzał wybrzeże kubańskiej wyspy, wykrzyknął: „To jest najpiękniejsza ziemia jaką ludzkie oczy oglądały”⁵⁷. I taką pozostała. A ludzie zamieszkujący tę bajeczną krainę, - mieszanina Indian, murzynów, białych i mulatów - podobnie jak wszyscy „Latynosi”, mają w sobie całe pokłady dumy, naturalną życzliwość i łatwość nawiązywania kontaktu. Etykieta, zawsze jest na drugim planie. Kultura kubańska – jak to pięknie określił Antonio Nunez Jimenez – „Jest mutacją nieba i temperamentu regionów (Ameryki Łacińskiej – dop. autora)”⁵⁸. W każdym miejscu tej wyspy i o każdej porze doby można się przekonać, że tańce i zabawy są pasją Kubańczyków.

Polska, podobnie jak w wielu innych miejscach świata, ma na Kubie swojego historycznego reprezentanta, generała Carlos Roloffa – Miałowskiego, który uznawany jest za jednego z bohaterów narodowych wyspy. Był emigrantem z Mazur, uczestnikiem wojny wyzwolenczej 1868 roku z Hiszpanami. Każdego roku, w asyście wojskowej, z wielką satysfakcją brałem udział w uroczystym składaniu wieńców na jego grobie.

Czas ambasadorowania, traktowałem jako nadzwyczajne wyróżnienie, szansę i wyzwanie mojego życia. Wewnętrzna motywacja mobilizowała mnie do godnego reprezentowania racji stanu Ojczyzny i jej sił zbrojnych. Sądzę, że nawet zdołałem się zmieścić w normach maksymy Napoleona, która zakłada, że „Najważniejszą cechą, jakiej wymaga od przedstawiciela dyplomatycznego charakter jego funkcji, jest to, aby nie przyjmował on punktu widzenia kraju, w którym przebywa, lecz zachowywał punkt widzenia kraju, który reprezentuje”⁵⁹.

Pomimo stanu wojennego w Polsce, udawało mi się utrzymywać bardzo bliskie, wręcz serdeczne stosunki ze wszystkimi ambasadorami. Łatwo było odcyfrować, że nie wynikało to z pozorowanej powierzchownej grzeczności. Kiedy nadeszła pora powrotu do kraju, codziennie z małżonką dosłownie „zliczaliśmy” po kilka pożegnalnych obiadów. Niektórzy ambasadorzy wręcz zaskakiwali mnie

⁵⁷ Historia de Cuba, Primera Parte, Instituto Cubano del libro, 1971, La Habana.

⁵⁸ A. N. Jimenez, Kuba, Printed in Mexico, 1984.

⁵⁹ Napoleon, Maksymy, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1983, s. 72.

demonstrowaną sympatią do Polski, znajomością naszej literatury, historii, muzyki. Wielokrotnie jak dźwięczny refren, nawraca myśl do tych wspaniałych przyjaciół, reprezentantów: Argentyny - Pana Luisa Claraso de la Vega; Japonii - Pana Rio Kawade, Meksyku - Pana senatora Enrique Olivaresa Santana, Włoch - Pana Vincenzo Manno; Szwajcarii - Pana Petera Hollenwegera, których z ciekawością „podglądałem”, z jaką swobodą i godnością zachowywali się ci rasowi dyplomaci w obcowaniu z różnymi osobistościami i napotykanymi sytuacjami.

Za ogromne szczęście poczytuję sobie, że w trakcie tych długich i skomplikowanych lat, w jakich upływało moje życie, często w stresach i przepracowaniu, **zawsze wspierała mnie żona, zawsze otaczał mnie krąg ambitnych, życzliwych ludzi. Wspólnie z nimi dokonywałem oceny otaczającego nas horyzontu, wytyczałem „strategię” działania i odnajdywałem motywacje do jej realizacji.**

W roku 1989 - po czteroletnim okresie dyplomacji - powróciłem do kraju. Zjawiłem się w Warszawie jak raz w historycznym czasie, kiedy runął mur berliński i Polska otrząsnęła się spod radzieckiego nadzoru. Jako leciwy generał, stałem się zasłużonym emerytem. Z domowego zacisza, jakiś czas przyglądałem się trudnym narodzinom nowej demokracji rynkowej, jej przekształceniowym kontekstom w siłach zbrojnych, aż zrozumiałem, że emerytalna bezczynność nie bawi i właściwie „prowadzi do nikąd”.

Wywodząc się z wojennej generacji „twardych facetów”, postanowiłem uaktywnić się zawodowo. I tak odnalazłem kolejny odcinek życiowej drogi, na której znów napotkałem Akademię Obrony Narodowej, jej zasoby biblioteczne oraz trwałe „siedlisko” za biurkiem przy domowym komputerze. Jak nigdy dotąd, z trudem udaje mi się poruszać w warunkach multimedialnego zalewu przeróżnych informacji i wydobywać z nich dostatecznie jasny obraz rzeczywistości.

Całe szczęście, że na każdym kroku napotykam innych zapracowanych emerytów, dawnych swoich przełożonych, podwładnych, znajomych, ludzi twórczego talentu, którzy stale napętlają moją wolę nowymi zasobami motywacji. Jednym z nich okazał się skromny oficer pan płk profesor Czesław Gozdecki, z którym przypadkowo zetknąłem się na 24 piętrze pałacu kultury i nauki w Centralnej Komisji Do spraw Tytułów i Stopni Naukowych. Ponad dwadzieścia lat temu, w Akademii

Sztabu Generalnego, miałem przyjemność być jego pośrednim przełożonym. Okazało się, że po przejściu w stan spoczynku, zgodnie z żołnierską filozofią nie poprzestał na laurach i stał się szanowanym dydaktykiem, szefem katedry i mocnym filarem uczelni cywilnej. Wykłada matematykę i fizykę. Nie kryje, że istnieje tam ostre współzawodnictwo i coraz bardziej wyrazista bezpardonowa selekcja kadry pedagogicznej, ale jako zahartowany w pracy ambitny oficer, nie czuje się zagrożony. Wielki amerykański filozof, Emerson powiedział: „Człowiek jest sumą tego, o czym pomyślał w trakcie dnia”. Nie mam wątpliwości, że wachlarz myśli pana pułkownika profesora Gozdeckiego jest bogaty i ciekawy⁶⁰.

Mnie osobiście napawa dumą fakt, iż większość emerytowanych profesorów wojskowych – każdy liczy sobie grubo ponad 70 lat - noszących ogromny potencjał możliwości, szybko podjęła ryzyko dostosowania się do odmiennych warunków nowego czasu i zapaściła korzenie w dydaktyce cywilnej. Pozostali - podobnie jak w moim wypadku - nadał się na usługach akademii wojskowych: opiekują się doktorantami, recenzują prace naukowe, piszą książki o tematyce wojskowej. Jest to z pewnością fascynujący fenomen nowych czasów, że myślący człowiek nie potrafi pozostawać w bezczynności i pomimo ciężaru lat „chce iść dalej”.

4.3. Szturm młodych

Niezależne od smętnych myśli, jakie mnie osaczały, kiedy obserwowałem ostatnie dziesięciolecie (1981-2000) „eksperymentów”, dokonywanych na siłach zbrojnych⁶¹, nie tracę ostrożnego optymizmu. Zbyt wielu faktów jeszcze nie znam. Mając częste kontakty z wojskową „młodzieżą”, nabieram wiary, że zbliża się czas ich „szturmu” na pozycje zajmowane aktualnie przez obecną warstwę kierowniczą.

W swoich dalszych wywodach na ten temat, powołam się tylko wybiórczo na grupę oficerów, z którymi w ostatnich trzech latach, miałem ogromną przyjemność spotykać się, podczas pisania recenzji naukowych. Z tej militarnej inteligencji, Wojsko Polskie będzie czerpać siły, do rozwiązywania swoich trudnych, zakotwiczonych w dzisiejszej historii problemów. Niestety, wśród tych utalentowanych zapaleńców, też spotykałem osoby pozbawione wiary w przyszłość,

⁶⁰ N. B. Enkelmann, *Die Macht der Motivation*, Wyd. MVG – Monachium 1995 r., s. 29.

⁶¹ Stała degradacja technologiczna, słabości systemu operacyjnego dowodzenia i zatrwajaający stan rozpoznania.

przytłoczone brzemieniem pesymizmu. Każdy z nich dysponował dowodem na to, że polityka personalna w wojsku – do roku 2001 - była przypadkowa i irracjonalna. Nie dawała pierwszeństwa oficerom wybitnie zdolnym i pracowitym. Starłem się wyciszyć ich wewnętrzne wzburzenie, wyrażając przekonanie, że powoli wojsko polskie zacznie stosować natowskie zasady polityki personalnej, w której wpływ „znajomości” albo tak zwanych „chodów” zostanie radykalnie ograniczony.

Szczególnie przykro było mi słuchać „zwierzenia” jednego z oficerów – nazwijmy go „Kowalskim” - który szkołę oficerską ukończył jako prymus i następnie dwukrotnie był w czołówce najlepszych słuchaczy na kilkumiesięcznych kursach doskonalących.

Panie profesorze – rzucił mi bardzo długie spojrzenie – To mi w niczym nie pomogło. Raczej zaszkodziło.

Patrzyłem na majora „Kowalskiego” przez stół, a zegar na ścianie tykał i nie mogłem się oprzeć złej myśli. Nasłuchałem się dostatecznie dużo takich historii. Właściwie niczego bardziej nie pragnąłem niż, aby On się wreszcie doczekał sprawiedliwości, która zmyje te wszystkie brzemienne w skutki „gnilne pleśnie”.

A teraz znów do rzeczy. Posłużę się przykładem „pierwszych z brzegu” kilku moich recenzji. Niektóre z nich dotyczą oficerów bardzo młodych, będących u podnóża kariery, a inne „zahaczają” o osobowości trochę starsze, silnie osadzone na średnich szczeblach drogi rozwojowej. W każdej z nich wyczuwa się, że w pracy umysłowej autor odnajduje cel i sens życia.

Zacznę od ostatnio recenzowanej rozprawy doktorskiej, Pana majora dyplomowanego Leszka Ziółkowskiwego, traktującej o dowodzeniu artylerią na szczeblach taktycznych. Temat rozprawy podjęty został w newralgicznym dla polskiej artylerii czasie. Przebija z niej zawodowa dojrzałość i troska, aby słaby stan dowodzenia artylerii – na podstawowych i najważniejszych szczeblach taktycznych – nie stał się pejoratywnym wyróżnikiem naszego wojska w NATO.

Prezentowane w pracy rozwiązania, będące wynikiem badań porównawczych systemów dowodzenia artylerią armii Stanów Zjednoczonych, Bundeswhery i Polski, spełniają kryterium wiarygodności. Wśród metod badawczych, Pan major Ziółkowski – jako pierwszy oficer Wojska Polskiego – zastosował badanie opinii w sektorze oficerów pięciu sojuszniczych armii. Oceniam to jako początek

nowego „fenomenu”, który otwiera drogi różnym badaniom na tym ważnym forum. Znaczenie takiej inicjatywy – jeżeli za nią pójda inne – może się okazać szczególnie nośne, dla budowy międzynarodowego autorytetu naszej armii.

Analiza stanu dowodzenia artylerią, dokonana w obszarze dwóch świetnie zorganizowanych armii NATO, dostarcza solidną argumentację dla polskich decydentów, ponoszących odpowiedzialność za wkomponowanie naszej artylerii w sojusznicze struktury. Szczególnie wartościowym materiałem naukowym jest zbiór załączników, zawierających wyniki badań dokumentów amerykańskich i niemieckich oraz ich organów dowodzenia. We wszystkich sytuacjach doktorant zachowuje bezstronny krytycyzm, doszukuje się wad i zalet. Wśród końcowych wniosków są konkretne propozycje przekształceń w dziedzinie dowodzenia, struktur organizacyjnych i kierowania ogniem, skierowane do artylerii polskiej. Jest to wyjątkowa praca, nadająca czytelne sygnały do osób odpowiedzialnych za losy polskiej artylerii.

Następna moja recenzja „znęcała się” nad rozprawą doktorską Pana majora magistra Zygmunta Domańskiego na temat: „Wojskowe aspekty bezpieczeństwa Polski w środowisku międzynarodowym”. Czytałem ją z narastającym zainteresowaniem. Jej treści uznałem o kapitalnym znaczeniu nie tylko dla kadry dowódczej Wojska Polskiego, lecz także dla wysoko usytuowanych osób w hierarchii kierowania państwem. Dzięki spojrzeniu na temat w skali makroi rzetelności podejścia, autor wprowadził znaczny ład w tak trudny i powiedzialbym „zagmatwany” jeszcze – na danym etapie historycznym – problem bezpieczeństwa Polski w środowisku międzynarodowym. Dokonana interpretacja „zbiorowiska faktów” nie była sprawą łatwą. Autor słusznie poszedł drogą rozumowania ponad narodowego, wyrażając opinię, że obecnie, umacnianie naszego bezpieczeństwa coraz ściślej wiąże się z rozwojem międzynarodowej pokojowej współpracy.

Podzieliłem pogląd majora Domańskiego, że europejski proces pokojowy wciąż jeszcze ma do przebycia długą drogę, najeżoną trudnościami. **Przyznałem mu rację, kiedy stwierdza, że współcześnie, zagrożenie bezpieczeństwa państwa ma nie tylko wymiar militarny lecz także ekonomiczny, który tworzy nową kategorię stosunków międzynarodowych.** Wynika to z faktu, że obecne więzi między narodami, opierają się w głównej mierze na interesach gospodarczych. A ekonomia i siła militarna ściśle się ze sobą splatają.

Ciekawie została pokazana historyczna ewolucja systemu bezpieczeństwa militarnego w Europie i płynące stąd wyzwania wobec Polski, nasze zależności od kierunku zachodniego i wschodniego. Prowokująca do myślenia i podejmowania dyskusji z autorem, jest próba prognostycznego spojrzenia na zewnętrzne bezpieczeństwo Polski w latach dziewięćdziesiątych i na przełomie wieków.

Całość rozprawy uznałem za unikalne zjawisko wśród wojskowej tematyki operacyjno-taktycznej. Militaria, osadzone w kręgu stosunków międzynarodowych mają charakter interdyscyplinarny.

Major Domański – obecnie już podpułkownik – zaskoczył mnie kilkakrotnie, przysyłając pocztą swoje wiersze. Okazuje się, że część z nich zamieszcza w wydawnictwach literackich. Natomiast, te które zdecydowałem się udostępnić moim czytelnikom, mają charakter współczesnych „zórawiejek”⁶². Dopatruję się w nich podobieństwa do stylu mojego ulubionego autora Jerzego Kerna. Jest w nich coś aktualnego z nastrojowej i ciepłej satyry żołnierskiej. Pan podpułkownik, oficer o nieprzeciętnej osobowości, będąc bystrym obserwatorem, opisuje podróż, pobyt o nieprzeciętnej osobowości, będąc bystrym obserwatorem, opisuje podróż, pobyt powrót z bazy piechoty morskiej w Quantico. Sądzę, iż te trzy wierszyki ubarwią monotonię moich rozważań.

PODRÓŻE KSZTAŁCĄ!

Dziś opowiem co widziałem, gdy leciałem z Generałem,

Do Quantico, samolotem.

(O pobycie powiem potem).

Siedzi delegacja cała pod dowództwem Generała,

- oczywiście w „business class”.

Nagle słyszę: „zapiąć pas”

Niech się stanie wola Boża ...

- Już samolot mknie w przestworzach.

Pan Generał whisky prosi,

Stewardesa wnet przynosi,

⁶² Wierszowane piosenki (przyśpiewki), charakterystyczne dla przedwojennych pułków kawalerii.

*I za zdrowie Generała pije nasza grupa cała
 Gdzieś w połowie długiej drogi,
 Wstaję rozprostować nogi.
 I co widzę? Jan Budlarek już z blondynką tworzą parę.
 Pan Kazimierz pasażerce widać zawojował serce.
 Swą sąsiadkę ściska Tomasz ,
 Wprost Gomora & Sodomia!
 (Będę z tego się spowiadać ...)
 Czas lądować ..., - szkoda gadać.
 - To dopiero podrywacze!
 My z Generałem inaczej.
 Generał przegląda prasę,
 Ja ucinam drzemkę czasem
 Tylko obok dwie dziewczyny mają czemuś smutne miny?
 Z tej historii bardzo krótkiej, dwa morały sobie płyną:
 Nie trać czasu na drzemanie, kiedy siedzisz gdzieś z dziewczyną!
 Myślę także, że w ślad za tym drugi morał się nasuwa;
 Nie siadaj przy Generale, bo Generał zawsze czuwa.*

SPOTKANIE	DO WIDZENIA!
<p> <i>Spotkałem tutaj dziewczynę, Mary, Mańkę czy Marynę? Jej korzenie gdzieś z Podhaja. Niezła z tej Marysi lala. Dziadek przez zrządzenie nieba,</i> </p>	<p> <i>Do widzenia! Ameryko! Waszyngtonie i Quantico! Dziś nas żegna baza cała. Delegację!, Generała! Bacność!, Spocznij!</i> </p>

Emigrował tu – „dla chleba”.

Po polsku jej ojca chował.

Lecz Marysia, - ani słowa.

(Ja kumałem o co chodzi,

wszak na kursie byłem w Łodzi).

Zresztą problem wnet był z głowy,

bo znała język migowy.

Już zaraz po pierwszym dniu,

Powiedziała „I love you”.

- „Zygmunt, z ciebie chłop O.K.”.

Musisz zostać! – („Have to stay!”)

„Z ciebie Zygmunt zdrowa chłop.

I will find for you good job”.

No i teraz myślę sobie:

- Co ja z takim fantem zrobię?

Wszystko od nowa zaczynać?

W imię Ojca, Ducha, Syna

Mam zostawić pracę, żonę?

- Nie mogę – kurcze pieczone!

Rzucić tyle fajnych bab?

Departament oraz Sztab?

Mam to wszystko puścić kantem

I zostać tu emigrantem?

Nigdy! Never! Never! Never!

Poland only and forever!

Patrz na prawo !

My idziemy. Biją brawo!

Pięknie gra orkiestra dęta!

Ocierają łzy dziewczęta!

Panny w strojach krakowianek!

(jedna jeszcze miała wianek!)

Wielka pompa! Zawrót głowy!

Ognia!!! – salut honorowy.

„Vivat Poland!” – krzyk, owacje!

Tak żegnają delegację!

Przodem Pan Generał kroczy.

Dumny, - w dal wpatrzone oczy

Trzy kroki za Generałem,

Ja z Kaziem maszerowałem.

Zaś Jan z Tomkiem w drugiej parze,

mieli uśmiechnięte twarze.

- Mówię Wam – co za przeżycie!

- (mam nadzieję, że wierzycie)?

Znika w dali gdzieś Quantico.

Żegnaj, żegnaj Ameryko!

Oficer o takim poczuciu humoru przydałby się w każdym ponurym sztabie wojskowym.

Następną rozprawę doktorską Pana podpułkownika Jerzego Wojtana na temat: „Planowanie wsparcia ogniowego w operacji obronnej”, recenzowałem w marcu 1999 roku. Czytałem ją dwukrotnie, jako swego rodzaju odkrycie. Nie twierdzę, że nie zawiera ona pewnych słabości, ale generalnie rzecz ujmując, uznałem ją za wzorową od strony warsztatowej i merytorycznej.

Pan podpułkownik Wojtan, wyszedł ze słusznego założenia, że na wojnie w rejonie Zatoki Perskiej, sprawdzony został nowy rodzaj „operacji połączonej” w działaniach powietrzno-lądowych. Stąd muszą zostać poddane weryfikacji ciągle jeszcze obowiązujące metody wsparcia ogniowego wojsk.

Po przeprowadzonej analizie wieloaspektowej oceny wojsk i przestrzennego zagrożenia, autor sformułował propozycje: „wydzielania głębokich uderzeń ogniowych, jako szczególnej formy wsparcia oraz operacyjnego uderzenia ogniowego i zaliczenia ich do autonomicznego zadania operacyjno-taktycznego”. Nie znalazłem kontrargumentów dla tej ciekawej idei.

Końcowy rozdział rozprawy, będący jej syntezą, wskazuje kierunki doskonalenia planowania wsparcia ogniowego wojsk, w aspekcie unifikacji ze standardami NATO.

Pisarskie ujęcie, a zwłaszcza bogata strona graficzno-poglądowa, poparta kalkulacjami, obliczeniami, analizą porównawczą, lokują tę pracę na wysokim poziomie jakościowym. Z każdego zdania przebija zaangażowanie i duża motywacja zawodowa autora.

Kolejna praca też zawiera silny ładunek zapładniający myślenie. Propozycję jej zrecenzowania otrzymałem w kwietniu 1999r. Była to rozprawa habilitacyjna Pana podpułkownika doktora Mariusza Wiatra na temat: „Dowodzenie operacyjne w sztuce wojennej”. Początkowo temat wydał mi się „nabrzmiały”, lecz po wstępnym pobieżnym zapoznaniu się z jej zawartością, z ulgą mogłem stwierdzić, że jest ona esencjonalna i utrzymana we właściwych ramach dyscypliny naukowej.

Przed powtórным czytaniem, przewertowałem dane z życiorysu habilitanta i ujrzałem w nim człowieka „z charakterem”, utalentowanego oficera. Dwukrotnie

studiował w Niemczech, co mu pozwoliło przez pryzmat Bundeswhery, poznać sztukę wojenną NATO. Horyzont poznawczy habilitanta został dodatkowo poszerzony jego kilkakrotnym uczestnictwem w ćwiczeniach Bundeswhery. Nie muszę dodawać, że właśnie ten „wątek niemiecki” procentuje w rozwoju naukowym Pana pułkownika Wiatra i jest zbieżny – zajmuje się dydaktyką w Katedrze Sztuki Operacyjnej - z intereselem Akademii Obrony Narodowej.

Za nowe wartości, wniesione do tej trudnej tematyki uznałem wnioski poświęcone operacjom wojsk lądowych, zasady dowodzenia operacyjnego oraz współczesne czynniki operacyjne. Praca inspiruje do dalszych badań tego fundamentalnego tematu. Są w niej wyraźne oznaki dążenia, do zharmonizowania naszych narodowych aspiracji z zasadami NATO.

Pamiętam, że podczas kolokwium habilitacyjnego, życzyłem panu pułkownikowi Wiatrowi, aby się nadal doskonalił w sztuce operacyjnej i z uporem szukał swojego miejsca w nauce wojskowej.

W grudniu 1998 roku miałem przyjemność recenzować rozprawę doktorską Pana kapitana magistra Andrzeja Dawidczyka na temat: „Rola sił zbrojnych wobec współczesnych wyzwań cywilizacyjnych”.

Po jej przestudiowaniu, utwierdziło się we mnie przekonanie, że obecnie, kiedy polska zgodnie ze swoim intereselem narodowym, reorientuje się na Zachód ciągle poszukuje racjonalnych rozwiązań dla swoich sił zbrojnych w tym historycznym procesie, rozprawa poddaje politykom wiele argumentów na rzecz traktowania wojska, jako niezwykle istotnego środka narodowej polityki bezpieczeństwa.

Podstawowe rozważania w rozprawie prowadzą do wniosku, iż dominująca dotychczas w bezpieczeństwie sfera militarna, została wzbogacona o aspekty polityczne, ekonomiczne i społeczne. A, obok zagrożeń typu militarnego, pojawiły się gospodarcze, ekologiczne, polityczne, religijne, ideowe. Jednocześnie, siły zbrojne, obok obrony terytorium państwa, zostały obciążone dodatkowymi zadaniami, jak chociażby uczestnictwem w operacjach pokojowych.

Obok wielu interesujących i uzasadnionych sformułowań, dwie myśli wydały mi się szczególnie godne zapamiętania: 1. Po demontażu sowieckiego imperium, Stany Zjednoczone pozostały jedynym dominantem, będącym w stanie odgrywać rolę stabilizatora międzynarodowych stosunków politycznych i militarnych; 2. Obecny

niekonfrontacyjny układ stosunków międzynarodowych, charakteryzujący się złożonością i nieprzewidywalnością, uniemożliwia egzekwowanie bezpieczeństwa wyłącznie przy pomocy czynnika siłowego.

W świetle przeprowadzonych badań autor sformułował tezę, że wyrastająca na mocarstwo Zjednoczona Europa, podobnie jak Stany Zjednoczone i Federacja Rosyjska, stanie się w dalszej perspektywie nowym centrum siły. Praca tego młodego oficera, doprawdy stanowi wsparcie intelektualne wojska.

W październiku 1998 r. Miałem przyjemność recenzować rozprawę habilitacyjną Pana pułkownika doktora Cezarego Rutkowskiego – kierownika katedry Strategii Akademii Obrony Narodowej. Temat: „Prakseologiczne aspekty strategii wojskowej”, okazał się z pogranicza militarnych rozważań filozoficznych, frapujących i godnych dojrzałego naukowca. Pod wpływem tej pracy jeszcze bardziej wzmocniłem swoją wiarę w ogromne możliwości kadry akademickiej.

Już pobieżne zapoznanie się z dorobkiem pisarskim habilitanta, pozwoliło mi się zorientować, jak głęboka jest jego wiedza w strategicznej problematyce, z obronności państwa. Mam rozeznanie, że w Wojsku Polskim tylko mała grupka generałów i oficerów starszych, jest w stanie - ze względu na dojrzałość operacyjną - podjąć temat o tak dużej skali trudności.

Jego wydawnictwa z dziedziny militarno-obronnej, reprezentują materiał „wagi państwowej” i idą w sukurs najżywotniejszym potrzebom sił zbrojnych. Szereg opracowań, w których habilitant był wiodącym współautorem, zostały zlecane przez Sztab Generalny lub Ministerstwo Obrony Narodowej. Pogłębiają one dotychczasową wiedzę z teorii organizacji, teorii działania sił zbrojnych, polityki militarnej i zarządzania. Dają teoretyczne podstawy do racjonalnego wypracowywania koncepcji systemu obronnego państwa.

Kumulując swoje przemyślenia, autor formułuje kilka odkrywczych wniosków, prezentujących wizję „długiego dystansu”. **Za najciekawszy uznaję ten, który „stawia kropkę nad i” głosząc, iż „planowanie i projektowanie strategii wojskowej jest tylko szczególnym przypadkiem planowania i projektowania strategii działania. Jest to wkomponowanie strategii wojskowej w panoramę współczesnego stanu wiedzy o tym przedmiocie”.** W habilitacji odbija się wizerunek zdolnego oficera, nie żałującego czasu na solidne przemyślenia.

W styczniu 1997 r. miałem przyjemność recenzować kolejną rozprawę habilitacyjną Pana pułkownika doktora inżyniera Franciszka Mroczko pod tytułem: „Żywotność bojowa sił powietrznych i metoda jej oceny”. Oficer o gruntownym wykształceniu techniczno – operacyjnym (WAT, AON i półroczny kurs w zakresie obiektów zautomatyzowanych). Jego dorobek naukowy jest bogaty i ukierunkowany głównie na problematykę skupioną wokół efektywnego wykorzystania wojsk radiotechnicznych oraz tworzenia jednolitego, żywotnego systemu obrony powietrznej kraju. Jest to obszar naukowych dociekań bardzo trudny i ważny dla skuteczności obronnej państwa, wymagający rozległej wiedzy specjalistycznej.

Sądząc z wielokrotnych wyróżnień i awansów, przełożeni go szanują i wysoko oceniają. Jest niekwestionowanym autorytetem w dziedzinie radiotechniki i żywotności bojowej sił powietrznych. O jego możliwościach świadczy wygrany konkurs na stanowisko szefa katedry eksploatacji systemów radiotechnicznych wydziału elektroniki WAT.

Wnioski wypływające z wojny w Zatoce Perskiej podpowiadają, że podjęty w rozprawie problem, posiada pierwszoplanową wartość teoretyczną i aplikacyjną dla obronności państwa. Dowodzą one, iż „normalnym” początkiem współczesnej wojny staje się bezwzględna walka o zdobycie przewagi w powietrzu.

W literaturze państw przynależnych do NATO i w piśmiennictwie rosyjskim, wyrażane są jednoznaczne sądy, iż obecnie, silna obrona powietrza staje się jednym z podstawowych kryteriów ceny przygotowania kraju do prowadzenia działań wojennych.

W rozprawie, główny wysiłek badawczy został skupiony na znalezieniu takiej zależności matematycznej, która opisywałaby aktualny stan żywotności bojowej sił powietrznych. Jest to spójne z ogólną tendencją do matematycznego formalizowania wybranych problemów sztuki operacyjnej. W sumie habilitant wykonał ogromną pracę twórczą. Jego zasługą jest całościowe ujęcie trudnego - o dużym stopniu nieprzewidywalności – tematu oceny żywotności sił powietrznych, opracowanie metody i poddanie jej weryfikacji. Jest to zachęta i ważny krok na drodze do powstawania podobnych rozwiązań w innych „organizmach” sił zbrojnych.

Jako przedostatnią, pragnę zaprezentować rozprawę doktorską Pana podpułkownika dyplomowanego inżyniera Bogdana Bezonina na temat: Model

rozpoznania i zakłóceń radiowych związku operacyjnego. Ważność tematyki rozprawy, dla założeń obronnych naszego wojska jest tak oczywista, iż wszelkie argumenty dla poparcia takiego stwierdzenia, wydają się zbędne. Wystarczy tylko sobie uświadomić, iż podmiotem rozpoznania i zakłóceń radiowych jest system dowodzenia i kierowania środkami walki. **Wszystkie nowoczesne armie poszukują „klucza” do zdominowania swoich ewentualnych przeciwników w potencjale rozpoznania i zakłóceń. A jakie to może mieć skutki praktyczne, zademonstrowały działania wojenne w Zatoce Perskiej.** Siła „obezwładniająca” zakłóceń amerykańskich była na tyle skuteczna, że w pewnym momencie, naczelne dowództwo armii irackiej straciło kontakt ze swoimi wojskami.

Rozprawa, mająca charakter teoretyczny, stanowi solidny fundament do kolejnego etapu badań, w celu podjęcia działań aplikacyjnych, niezmiernie ważnych, dla wzmocnienia osłabionego potencjału obronnego sił zbrojnych. Bez uników, pokazuje ona niedobłą rzeczywistość wojska w dziedzinie rozpoznania i zakłóceń radiowych, a jednocześnie poszukuje dla niej racjonalnych rozwiązań.

Autor uświadamia czytelnika, że u naszych sąsiadów na zachodzie i na wschodzie, w zasadzie nastąpiła przebudowa systemów łączności na emisje cyfrowe z widmem rozproszonym i wykorzystaniem komputerów do sterowania i kontroli w sieciach łączności. Transmisja danych odbywa się z zastosowaniem techniki pakietowej. A przed wojskiem polskim nadal piętrzą się groźne bariery technologiczne.

W ostatecznym rozrachunku, autor osiągnął zakładany cel. Jednocześnie wydobył na światło dzienne problematykę do dalszych badań i weryfikacji. Wynika ona z rzetelnej znajomości potrzeb i tendencji rozwojowych w nowoczesnych armiach zachodnich.

I ostatnia, recenzowana przeze mnie rozprawa – prawdziwy rodzynek – została opracowana przez Pana ppłk dypl. Peer Schwana, oficera Bundeswhery. Powiem otwarcie, że w moim życiu, potraktowałem ją bez mała jako zjawisko „historyczne”. Ucieszyła mnie z tego względu, że – wreszcie dożyłem chwili – kiedy oficer naszego zachodniego sąsiada uznał za normalne, iż jego promotorem będzie profesor Wojska Polskiego i obrona odbędzie się w polskiej Akademii Obrony Narodowej. „Dumaliśmy” nad tym siedząc w Centralnej Przychodni Lekarskiej – obaj

podekscytowani – z panem pułkownikiem Respondkiem, oficerem wysokiej kultury. I, jakżeż przypadło mi do gustu Jego określenie, że ta rozprawa stanowi coś w rodzaju linii granicznej, od której zacznie się „odliczanie” lat nowych stosunków, w nauce wojskowej Niemców i Polaków.

W rozprawie mamy przeprowadzoną wszechstronną analizę roli rozpoznania w międzynarodowych operacjach pokojowych. Uznałem ją o kapitalnym znaczeniu dla tych kręgów Organizacji Narodów Zjednoczonych, które od lat głowią się nad poprawą skuteczności międzynarodowych działań polityczno – militarnych. Rozprawa idzie w sukurs poszukiwaniom koncepcji racjonalnego modelu międzynarodowego bezpieczeństwa.

Nasze przykre doświadczenia z okresu II wojny światowej też podpowiadają, że wówczas, kiedy zawodziło rozpoznanie – osobiście tego doświadczyłem w partyzantce i w czasie działań II armii na kierunku drezdeńskim – wojska ponosiły ogromne straty. A świeże jeszcze konflikty szczególnie na obszarach byłej Jugosławii (1992/1999) przypominają, że ogromny wysiłek ONZ w dziedzinach militarnej i finansowej był niewspółmiernie duży do osiągniętych rezultatów. Jedną z ważnych przyczyn tego stanu rzeczy, autor rozprawy - na podstawie 45 wypadków użycia sił pokojowych - doszukuje się w słabości rozpoznania, co uważam za słuszne.

Rozprawa odzwierciedla rozwiniętą osobowość człowieka o ugruntowanym profesjonalizmie, swobodnie poruszającego się w trudnym obszarze operacji pokojowych i procedur NATO. W mojej praktyce recenzenta, jest to jedna z wyróżniających się rozpraw. Może być z niej także dumny promotor Pan płk prof. Leopold Ciborowski.

Szanowni koledzy oficerowie. Prawdę mówiąc, w pierwszym odruchu miałem chęci zaprezentować jeszcze kilka innych ciekawych prac doktorskich i habilitacyjnych, które napełniają moje myśli szacunkiem dla ich autorów⁶³. Ale powstrzymałem się, aby nie wydłużać tego samego wątku. Dzięki zasobom nagromadzonym w pamięci komputera, **wydobyłem na zewnątrz ślady działalności umysłowej zaledwie dziewięciu „z was”**. Ocalone od zapomnienia, **rzucą światło nie tylko na życiorysy, ale również na rewelacyjne aspekty**

⁶³ Płk dr inż. Jan Majkut, płk pil. dr Janusz Karpowicz, płk dr hab. Andrzej Ostrokólski, mjr dr inż. Leszek Fedrau.

dokonań wielu reprezentantów polskiej powojennej kadry. W niej zawarta jest niewyczerpalna rezerwa optymizmu i niespożytej siły, niezbędnych do odrobienia przez nasze wojsko zapóźnień technologicznych. Duża reprezentacja kadry jest do tego przygotowana i motywowana przez dumę profesjonalną.

Ich prace pogłębiają dotychczasową wiedzę o teorii organizacji i działalności sił zbrojnych. Dają głęboko uzasadnione podstawy do racjonalnego wypracowywania koncepcji systemu obronnego państwa. Każda z nich – gdyby uzyskały odpowiednie wsparcie promocyjne – mogłaby stanowić wydawniczą wizytówkę polskiego wojska wśród armii natowskich.

Zasygnalizowane przeze mnie rozprawy naukowe stwarzają dla sił zbrojnych niezwykle możliwości, ale myślę z niepokojem, aby nie zostały zaprzepaszczone.

Patrząc w dalszą przyszłość – bez naiwnego przekonania, że jakoś to będzie – przemysłany interes wojska polskiego wymaga, aby powstała sprzyjająca atmosfera do wspierania twórczości naukowej także motywacjami materialnymi.

Obecnie, nasze wojsko – podobnie jak państwo polskie – stoi na progu nowego tysiąclecia. Jego pozycja wśród zachodnich armii sojuszniczych, zależeć będzie li tylko od stanu wiedzy kadry i stanu technologii w dowodzeniu i uzbrojeniu oraz logistyce. Jeżeli to nie dotrze szybko do świadomości decydentów, będziemy świadkami degradacji wojska, z ogromną szkodą dla pozycji całego państwa. Wierzę, iż tak się nie stanie.

5. Wartości intelektualne kadry

5.1. *Wszystko musi być ćwiczone*

Jak zdobyć miano oficera wybitnego i powszechnie poważanego? Odpowiedź nie jest prosta. Ale, przede wszystkim, trzeba ukończyć studia w swoim zawodzie i bez przerwy dokształcać się. Prawdziwy profesjonalizm rodzi się z kapitału intelektualnego, z codziennej kreatywności, a nie z pozorowanej – nawet błyskotliwie – fasady.

Pamiętam jak dzisiaj ten czerwcowy dzień – był rok 1963 w Bolesławcu – kiedy to w pobliskich lasach, stała zgrupowana do przeglądu „moja” 18 brygada

rakiet operacyjno-taktycznych. Oczekiwaliśmy z dreszczykiem na grupę kontrolną, która jako jedyna w wojsku polskim miała uprawnienia dopuszczenia brygady do poligonowych startów. Wszyscy wówczas wiedzieliśmy, że w tej kontrolnej grupie są same „raketowe asy”⁶⁴, czystej wody profesjonaliści. Po ich pozytywnej ocenie, można było spokojnie aspirować do sukcesu.

Obecny profesjonalizm wykracza poza ramy dawnego pojęcia, kiedy to życie oficera – przy wszystkich ujemnych uwarunkowaniach powojennego czasu - upływało w „spokojniejszej” atmosferze. Przede wszystkim oficer posiadał duże uprawnienia dyscyplinarne, a żołnierze poczuli się do karności. Teraz jego służba przebiega w ostrzejszym rytmie. Wojska sposobią się do całodobowych zaskakujących działań manewrowych, o charakterze powietrzno-ładowym. Od dowódców wymagają one szybkich decyzji i prawie natychmiastowych reakcji ogniowych. Nawet misje pokojowe też stanowią dla oficerów specyficzne i bardzo trudne wyzwanie. A cóż dopiero dla poborowych, skleconych z młodzieży słabo wykształconej, często agresywnej, nie mającej żadnych motywacji, aby się oblec w mundur „obrońcy Ojczyzny”. Przykład idzie od „patriotycznej góry”. Któż w wojsku doszuka się synalków pochodzących z rodzin „parlamentarnych” albo z tak zwanych elit administracji państwowej.

Przygotowanie służby czynnej „skurczyło się” do jednego roku. Elementarna logika nakazuje, aby – oszczędzając bardzo drogą technikę bojową - przejść do powszechnego korzystania z symulatorów, wirtualnych ośrodków szkolenia dowódców i żołnierzy oraz technologii teleinformatycznych. Niestety i w tej materii brak pieniędzy zawęży możliwości.

W prowadzonych przez dowództwa i sztaby grach wojennych, modele matematyczne odwzorowują rzeczywiste obrazy wojenne⁶⁵. Zdaniem płk. prof. Andrzeja Barczaka – czołówka zaplecza naukowego wojska - gry te pozwalają symulować działania bojowe nawet 60 tysięcy pojazdów, wielu samolotów

⁶⁴ Ppłk Marian Nafalski – dowódca (od 1964 roku – ppłk Krzysztof Aleksandruk); mjr Władysław Szewczyk - układ kieowania; ppłk Bogumił Szaraniec – układ napędowy; kpt. Zygmunt Jabłoński – operator; mjr Tadeusz Jasiński – wycelowanie rakiet; ppłk Jan Węgrzyn – topografia; kpt. Eugeniusz Waligóra – określenie nastaw do startu rakiety; kpt. Jan Nowicki – napełnianie rakiet. Baterię techniczną kontrolowali: ppłk Jan Bobrowicz – układ kierowania; mjr Jerzy Fisz – operator stacji pomiarowej; mjr Marian Orbidan – przeładowanie rakiet.

⁶⁵ Abrahamsson, B. 1972. Military professionalization and political power. Beverly Hills, Calif.: Sage.

żołnierzy⁶⁶. Aktualnie, każdego oficera otacza całkowicie nowe środowisko technologiczne⁶⁷. Na szczęście mamy swoją Wojskową Akademię Techniczną. Ta wspaniała uczelnia jest w stanie sprostać potrzebom naszej armii w każdej wyrafinowanej dziedzinie⁶⁸, jeżeli tylko znajdzie poparcie i zrozumienie u przełożonych. Dla pełni obrazu, warto sobie jeszcze uzmysłwić, że w obecnych demokratycznych czasach, kiedy służba kadry oficerskiej jest nadzorowana przez cywilnych przełożonych, powinni oni wykazywać dużo zrozumienia i przychylności wobec trudu żołnierskiego. W przeciwnym wypadku byłaby to krótkowzroczność, całkowicie sprzeczna z polską racją stanu.

W życiorysy oficerów „wpisana jest” konieczność nieustannego pogłębiania swojej wiedzy, bez względu na wiek i doświadczenie. Ci, którzy nie potraktują swojej służby jako szczególnej misji, a nawet powołania, skazują się na smutne męczące życie”.

Aby utrzymać w wojsku doborową kadrę, trzeba jej zapewnić godziwe warunki egzystencji i tworzyć klimat poszanowania dla umysłowości jednostki. Anglicy mówią o tym jako „Investing in People”, czyli inwestowanie w ludzi. Mnie osobiście odpowiada pogląd, człowieka wielkich zasług dla wojska, pana płk Mikołaja Michałowskiego że polskim decydom – w tej sferze – potrzeba więcej myślenia refleksyjnego nad przyszłością.

Obecne możliwości oficera, uzbrojonego w „tajemną magię” komputerów, są ogromne. Nie może tylko zapominać, że jego działalność jest zaledwie mikroelementem skomplikowanego systemu całej maszyny wojskowej.

Profesjonalizm winien być dewizą służby, jako że toruje nam drogę do autorytetu wśród innych armii sojuszniczych, z którymi w NATO przychodzi nam współpracować. Wysokiej klasy profesjonalista – we wszystkich armiach świata jednakowo szanowany – potrafi dokonywać wyborów właściwych preferencji. Ich gradacja zawsze należała do rzeczy najtrudniejszych.

W październiku 1999 roku, w Akademii Obrony Narodowej – jako gość zaproszony przez komendanta uczelni – miałem przyjemność być uczestnikiem

⁶⁶ Włodzimierz Kaleta, Symulowana wojna, Polska Zbrojna nr 50, Grudzień 1999.

⁶⁷ Keegan. J. 1987. The mask of command. New York: Viking.

⁶⁸ Wypowiedź płk. Jana Marcza, szefa zespołu konstruktorów Optoelektroniki WAT.

niezwykle interesującego seminarium polsko–niemieckiego. Obie reprezentacje składały się z „wyselekcjonowanych” generałów i oficerów akademii wojskowych. Kilku Niemców przyleciało wprost ze sztabu NATO⁶⁹. Strony prezentowały swoje punkty widzenia na różne aspekty bezpieczeństwa europejskiego, nowej strategii NATO, kooperacji polsko-niemieckiej i operacji pokojowych.

Kiedy rozkręciły się wystąpienia i dyskusja – od początku byłem przekonany, że strona niemiecka potraktuje swój udział prestiżowo – uspokoilem się, bo poczułem „swoją wartość”. Polacy okazywali się elegancko przygotowani i widać było, że to wszystko odbywa się w atmosferze partnerstwa. A kiedy wysłuchałem referatu płk dr hab. Jacka Pawłowskiego, pracownika ministerstwa obrony narodowej – pamiętałem go od najlepszej strony, jako szefa katedry sztuki operacyjnej w Akademii Sztabu Generalnego – na temat „Założeń polskiej polityki i strategii bezpieczeństwa, w świetle nowej koncepcji strategicznej NATO”, zrozumiałem, że na historycznej scenie obecnych czasów, występuje nowa zdolna generacyjna zmiana oficerów. Zwięzły język, ładna polszczyzna i swoboda poruszania się po „śliskiej” tematyce militarno-strategicznej, warte były miana „wielkiej dyplomacji”. Ba, ale tego można było oczekiwać tylko od wysokiej klasy profesjonalisty, człowieka ambitnego, stale zapładniającego swoje szare komórki. On i jemu podobni oficerowie śmiało wkraczają w trudną teraźniejszość, w jej częste jakościowe zmiany. W zamian otrzymują satysfakcję zawodową.

Osobiście znam dużą grupę takich oficerów, którym tytuły naukowe pozwalają podejmować najtrudniejsze nawet wyzwania międzysojusznicze, wynikające z autentycznych potrzeb wojska. Oni wygrali swój czas i żyją na pełnych obrotach.

Jednym z tej elitarnej czołówki jest generał brygady prof. dr hab. Stanisław Koziej, płodny autor, mocno zakorzeniony w aktualnej problematyce militarnej, piszący z odwagą intelektualną. Spotkania z nim zawsze sprawiają mi wyjątkową przyjemność.

⁶⁹ Przewodniczyli na zmianę: płk Andrzej Podkowski i ze strony niemieckiej kmd dr Souchon.

5.2. Informatyka

Pierwszy elektroniczny komputer, ENIAC, zainstalowany w 1945 roku w Filadelfii w Stanach Zjednoczonych, „wypełniony” był 18 tysiącami lamp próżniowych. Nie pamiętam dokładnej daty, ale chyba na początku lat osiemdziesiątych, w Akademii Sztabu Generalnego, nieżyjący już pułkownik Marian Szczepaniak, „fanatyczny” entuzjasta informatyki, zaprowadził mnie do akademickiego ośrodka obliczeniowego. W dużej, sterylnej czystej sali, wokół białych ścian ustawione były estetyczne metalowe szafy. Wyjawił mi tajemniczo, iż mamy przed sobą francuski komputer „IRYS”, подарowany przez Polską Akademię Nauk. Uśmiechając się dodał, że jest to generacja maszyn o niebo nowocześniejszych. od przodujących radzieckich „MIŃSK 32”, w które akademia dotychczas była „uzbrojona”. Następnie wprowadzając mnie w szczegóły z dumą informował o zawrotnej liczbie tranzystorów, o szybkości operacyjnej, o możliwościach pamięci. I tak się to rozwijało.

Potem uważnie obserwowałem, jak lawinowo toczyły się zmiany w tej komputerowej „rodzinie”. Jednym skokiem – w czasie niecałych dwóch dekad – została dokonana rewolucja informatyczna, w efekcie czego, na naszych oczach wyłoniło się globalne społeczeństwo informatyczne.

W końcówce mijającego stulecia⁷⁰, zapoznałem się z kilkoma ciekawymi artykułami, wybitnych polskich wojskowych informatyków⁷¹. Byłem zbudowany ich głęboką wiedzą o osiągnięciach informatyki światowej, o drogach jej dalszego rozwoju i o potrzebach – w tej niedocenianej dziedzinie – polskiej armii. Zanim jednak przekażę szanownym czytelnikom ich opinie, dopowiem, że ostatecznie, w pierwszych dniach 2000 roku, udało mi się przy dobrej mocnej kawie, zgrupować trójkę tych błyskotliwych oficerów wokół siebie. Kiedy się rozpoczęła dyskusja, miałem wrażenie, iż wraz z nimi: panowie pułkownicy Barczak, Sienkiewicz Zaskórski – używając popularnego obecnie słownictwa Tofflerów⁷² - znalazłem się na najwyższej „fali”, którą otaczał fascynujący horyzont „informatyczny”. Nie wdając

⁷⁰ Centrum Informatyki Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, Biuletyn jubileuszowy, Październik 1999.

⁷¹ Płk prof. dr hab. inż. Andrzej Barczak; płk prof. dr hab. inż. Andrzej Stokalski; płk prof. dr hab. inż. Piotr Sienkiewicz; płk dr inż. Piotr Zaskórski; płk dr hab. inż. Edward Kołodziński; płk dr inż. Tadeusz Pietkiewicz.

⁷² Alvin i Heidi Toffler, *Wojna i Antywojna*, MUZA S.A., Warszawa 1997.

się w szczegóły, zastanawialiśmy się, dlaczego oficerowie polscy – to samo może być odniesione do innych zawodów mundurowych - w dobie obecnej, powinni być sprawni informatycznie? Odpowiedzi ustawię pod jednym myślowym mianownikiem.

Zacznę od osobistej refleksji. Trzeba mieć świadomość, – o czym na swoich wykładach w akademii zawsze oficerom przypominałem – że druga wojna światowa przerwała i zniszczyła zrodzony w Polsce duży „rozruch” intelektualny i technologiczny. Wyrazem tego były sukcesy na polu lotnictwa, łączności, artylerii, topografii. Eksportowy szlagier do wielu krajów Europy, Afryki i Ameryki Południowej stanowiły polskie samoloty „Łoś” i odbiorniki radiowe wileńskiej fabryki Elektrit⁷³. Pozytywnie wypadły badania poligonowe 155-milimetrowej armaty, o donośności 27 kilometrów, mającej lepsze parametry od francuskiego działa podobnego wzorca Schneidera⁷⁴. W zasięgu ręki był nowoczesny moździerz. A czyż można zapomnieć - z dziedziny elektroniki - o przekazanej aliantom maszynie deszyfrującej „Enigma”, o tym zaskakującym wynalazku polskich „hackerów”, ludzi wielkiego intelektu (Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygalski)?⁷⁵.

Być może, jest „szczypta przesady” w sformułowaniu znanego historyka II wojny światowej, D. Kahna, który w jednej z publikacji ocenił, że fakt złamania niemieckiego systemu szyfrowego Enigmy, stanowił największą, po bombie atomowej, tajemnicę aliantów w tej wojnie. Ale, uzmysławia nam, jaką wagę Polacy przywiązywali – już przed wojną – do „walki informatycznej”. A teraz powracam do wypowiedzi moich gości informatyków, które wzbogacam o dodatkową zawartość bibliograficzną.

Praktyka ostatnich – głęboko już nasączonych elektroniką – wojen arabsko-izraelskich i oczywiście najbardziej znamiennej z punktu widzenia prognostycznego, wojny w rejonie Zatoki Perskiej, pozwala sformułować pinię, że przyszłe wojny i każda wojenna operacja poprzedzone zostaną uderzeniem elektronicznym. Jego celem będzie sparaliżowanie wszystkich środków przeciwnika działających w eterze: systemów dowodzenia, obrony przeciwlotniczej, wsparcia ogniowego, rozpoznania, walki radioelektronicznej oraz zabezpieczenia działań bojowych.

⁷³ M. Bryx, Początki Przemysłu Radiotechnicznego (Pionierami polscy oficerowie), Rzeczpospolita, 19 maja 1997. W 1339 roku, fabryka została wywieziona w głąb Rosji.

⁷⁴ K. Wyszynski, Rozwój organizacyjny, szkolenie i zasady użycia artylerii polskiej w latach 1921-1939. Rozprawa doktorska na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, 1977, s. 159.

⁷⁵ Dr hab. Wł. Kusch, O ENIGMIE – raz jeszcze, WPT i Log., 1/1993.

Właśnie po takim elektronicznym „uderzeniu”, dowództwo irackie utraciło kontakt ze swoimi wojskami. Wbrew buńczucznym oświadczeniom Saddama Husajna, zostało „wyłączone z gry” i wówczas poszły w ruch wojska pancerne zmechanizowane aliantów⁷⁶.

Wszyscy trzej moi szanowni rozmówcy byli zgodni, że jedność rażenia elektronicznego, ogniowego i uderzenia pancerno - lotniczego, zharmonizowana w odpowiednim miejscu i czasie, stanowi fundament współczesnych sukcesów militarnych. Ale jeszcze raz chcę wyakcentować, dominującą rolę działalności radioelektronicznej, obniżającej poziom zdolności informacyjnej nieprzyjaciela.

Wojskowe uczelnie amerykańskie, szybko zareagowały na doświadczenia wojenne z Zatoki Perskiej. W lutym 1993 roku, akademia wojskowa w West Point i National Defence University przy Fort McNair w Waszyngtonie, wprowadziły nowy przedmiot: wojny informacyjne⁷⁷.

Z niepokojem myślę o tym, że gdyby teraz nieszczęśliwy los wystawił nasze siły zbrojne na próbę „ognia”, to ich zdolność do „konfrontacji radioelektronicznej” byłaby niewspółmierna do zagrożenia. Wybitny znawca tej problematyki płk prof. Henryk Piekarski z Akademii Obrony Narodowej jest zdania, że w pasie działania zaledwie jednej europejskiej armii, byłoby wykorzystywanych ponad 100 tysięcy środków elektronicznych różnego przeznaczenia. Nawet bez dużej wyobraźni, staje przed oczyma „góra” zadań i trudności z tym związanych. Byłoby łatwownym uproszczeniem, gdybyśmy zakładali – upojeni przynależnością do NATO – iż taki czarny scenariusz nas nie dotyczy. Trzeba się godzić z myślą, że walka radioelektroniczna, aczkolwiek ukryta przed ludzkim wzrokiem, będzie prowadzona z całą zaciekłością. W pełni opowiadam się za określeniem profesora Piekarskiego, ujmującym to zjawisko w plastyczną metaforę: „wyścigu mózgow i technologii, osłanianych największą tajemnicą”⁷⁸.

W mojej ostatniej książce – Uzbrojenie i pole walki wojsk lądowych do 2020 roku pisałem: „Na planszy całego widma elektromagnetycznego, większe szansę na odniesienie sukcesu zapewni sobie strona dysponująca „inteligentniejszą techniką”, reagującą w sposób zautomatyzowany. Kiedy odwiedziłem Wojskowy Instytut

⁷⁶ G. N. Schwarzkopf, Nie Trzeba Bohatera, Wyd. Ryton, Warszawa 1993, s. 346.

⁷⁷ Alvin i Heidi Toffler, op. cit., s. 204.

⁷⁸ H. Piekarski, Walka radioelektroniczna, Warszawa 1980, s. 273.

Łączności w Zegrzu i wysłuchałem informacji prof. dr inż. Wojciecha Oszywy o stanie prac polskich elektroników, uspokoiłem się. Pomyślałem sobie, że kraj, który posiada takich nieprzeciętnych naukowców-pasjonatów, o ogromnym poczuciu własnej godności, może ze spokojem myśleć o przyszłości”.

Z drugiej strony, nie mało jest wśród nas głosicieli płaczących teorii – wystarczy poszperać w codziennej prasie – że Polska jest krajem biednym i nie stać ją na kosztowne badania. Oczywiście wielką przeszkodą jest brak funduszy, ale taką samą, jak twierdzą Amerykanie, jest konserwatyzm wyższej kadry dowódczej⁷⁹. Uważam to określenie za bardzo celne. Konserwatyzm i krótkowzroczność ludzi małego kalibru, którym władza, często przypadkowo „wpada w ręce”, nie są w stanie pobierać racjonalnych decyzji. Bezduśnie „obserwują ze swoich gabinetów” narastającą frustrację kadry zawodowej, wywołującą poczucie bezsilności i beznadziei.

W tej samej informacji, autor powołuje się na wypowiedź amerykańskiego generała lotnictwa Chuck Hornera, uczestnika wojny w z Irakiem. Jego opinia wzmacnia oczywiste już argumenty, że: „środki walki radioelektronicznej muszą być wykorzystywane agresywnie. Już w pierwszym etapie działań, jeszcze przed zniszczeniem infrastruktury obrony powietrznej nieprzyjaciela, niezbędne jest zniszczenie jego systemu i potencjału teleinformatycznego, „rozpruwanie i kawałkowanie” łączności, napad za pomocą włamań do sieci komputerowej, celowe fałszowanie przekazu informatycznego, dekryptaż, podsuwanie fałszywych danych, zagłuszanie transmisji wroga”.

Jest tajemnicą poliszynela, że wzorem armii Izraela, Amerykanie i niektóre wojska państw NATO, pobrały już decyzję o powołaniu – obok wojsk walki radioelektronicznej – wojsk walki teleinformatycznej. Według różnych źródeł⁸⁰, już obecnie szkoli się wojskowych informatyków „hackerów”, zdolnych włamywać się do sieci przeciwnika, niszczyć jej oprogramowanie, zakładać w niej „miny z opóźnionym zapłonem”, powodujące – w odpowiednim czasie – całkowitą jej zagładę. Sądzę, iż wojsko polskie powinno samo – bez zewnętrznych „konsultacyjnych podpowiedzi” – uruchomić własne myślenie, wzorem przedwojennej tradycji polskich „enigmistów”. Pewne wyciszenie niepokoju powoduje we mnie wypowiedź szefa sztabu

⁷⁹ M. Mejssner, Brygady hackerskie, Polska Zbrojna nr 28 lipiec 1999, s. 20.

⁸⁰ M. Mejssner, op. cit.

generalnego wojska polskiego, że „utworzyliśmy i rozwijamy w kraju granicznym lub jak inni mówią brzegowym sojuszu, skuteczne systemy rozpoznania”⁸¹. Ale trzeba się spieszyć, bo jak sygnalizują fachowcy, za cienką ścianką jutra, już czeka następna generacja komputerów molekularnych, szybszych, mniejszych niż dzisiejsze wykorzystujące układy półprzewodnikowe.

5.3. Nowe myślenie

Amerykański departament obrony już dzisiaj uznaje elektronikę za „mnożnik siły bojowej – to czego nie widać” i przyznał jej pierwszeństwo w zastosowaniach militarnych⁸². Wyzwania ery nowych armii są trudne, bo usunięte z przedpola wzroku.

Polski oficer (tym bardziej generał), powinien aktywnie śledzić zachodzące w naszej „globalnej wiosce” technologiczne przemiany, „nasiąkać ich trendami” aby dotrzymać kroku czołówce kadry zachodnich aliantów. Trzeba stale odnawiać i rozszerzać swój profesjonalizm, jako że kwalifikacje, których zdobycie zabierało lata nauki i praktyki, ulegają erozji – a nawet potrafią zaniknąć - w wyniku innowacji technicznych, zwłaszcza informatycznych. Pięknie to wyraził w swoich rozważaniach Andrzej Targowski, człowiek głęboko osadzony w wiedzy komputerowej: „Wyzwania nowej gospodarki są o tyle trudne, że niezauważalne gołym okiem. Miasta i wioski pozornie nie przeżywają dużych zmian, podczas gdy „układ nerwowy i limfatyczny” cywilizacji, w postaci oprogramowania i sieci teleinformatycznych, są dla gołego oka niewidoczne. Każdy myśli, że świat jest taki jaki był, podczas gdy nowo powstały ład cyfrop przestrzeni przejął kontrolę nad starym łądem. Ci co umieją poruszać się po tym nowym łądzie, mają teraz szansę na sukces pierwszych kolonistów”. Jak ulał pasuje to do wojska.

Codziennie nas bombardują informacje o sukcesach technik multimedialnych i nowych, bardzo wydajnych technikach telekomunikacyjnych. Cykliczne transformacje stały się wręcz immanentną cechą tej stosunkowo młodej dziedziny. Analitycy wojskowi nie różnią się w opinii, że era multimediów dopiero jest przed nami. Technologie, które to umożliwią, już istnieją, są coraz szerzej

⁸¹ Z. Lentowicz, Rozmowa z gen. broni Henrykiem Szumskim, Rzeczpospolita, 13 stycznia 2000.

⁸² Cz. Dęga, op. cit., s. 272.

wykorzystywane, ale muszą osiągnąć pewną „masę krytyczną”, aby można było mówić o rzeczywistych usługach multimedialnych w dziedzinie potrzeb taktyczno-operacyjnych wojska. Obecnie, poza możliwością naszych przewidywań jest zagadka, po jakie sukcesy umysłowe sięgną następne generacje młodej kadry, torując drogę rozwoju taktyki i sztuki operacyjnej.

Niektórzy informatycy o uznanym autorytecie, wypowiadają opinie, że budowa, w naszych siłach zbrojnych, zautomatyzowanego systemu dowodzenia o funkcjonalności odpowiadającej zachodnim koncepcjom doktrynalnym lat 2000, może się okazać problemem nie tylko finansowym. Zlikwidowanie luki technologicznej w dziedzinie realizacji dużych, kompleksowych systemów informatycznych, wymaga zaangażowania znacznego potencjału organizacyjnego, badawczego i projektowego, a także środków finansowych⁸³.

Z doświadczeń innych armii wynika – zauważają ci sami informatycy – iż platforma aplikacyjna i usługi systemu operacyjnego stanowią najkosztowniejsze „pułapki” z punktu widzenia zapewnienia interoperacyjności systemów dowodzenia, rozumianej jako zdolności systemów do wzajemnego świadczenia usług.

Najbardziej dynamiczna w tej materii jest postawa Amerykanów. Ich nie trzeba przekonywać, bo mają „zakodowane w świadomości” - jako mocarstwo - że państwo, które dostaje zadyszki w światowym maratonie informatycznym, zostaje skazane na nędzną egzystencję we współczesnym bezlitosnym świecie. Kto potrafi gromadzić szybciej i więcej informacji, ten dominuje. I to sprowadza mnie do podstawowego pytania, które brzmi: czy damy sobie radę z naszą luką technologiczną, aby nie oderwać się od czołowej grupy „maratończyków”?

Trudno jest spokojnie myśleć o takim „zabawnym drobiazgu”, że kiedy Niemcy ściągają z zewnątrz 30 000 informatyków, a Amerykanie – jak podają środki masowego przekazu – gotowi są ich przyjąć ponad pół miliona, wojsko polskie – w ostatniej dekadzie XX wieku wyrzucało informatyków „pełnymi garściami”.

Osobiście jeszcze jestem ostrożnym optymistą. Otrzymałem drobny zastrzyk nadziei, z opinii wyrażonej przez pana Georga Metakidesa, dyrektora Komisji Europejskiej, odpowiedzialnego za technologie informatyczne: „Wasze

⁸³ Płk dr hab. inż. Edward Kołodziński; płk dr inż. Tadeusz Pietkiewicz; dr hab. Andrzej Stokalski, Automatyzacja Wojsk Lądowych – Problemy i Zagrożenia, Myśl Wojskowa, 5/1999, Warszawa, s. 53.

zapóźnienie może być szansą. Potencjalnie umożliwia przeskoczenie pewnych etapów, które kraje bardziej zaawansowane musiały przejść ramach przecierania szlaku. Powinniście uczyć się na błędach Zachodu i ich unikać, zamiast powtarzać⁸⁴”.

Oczywiście jest to kolorowa bańka poźłoty wypuszczana przez dyplomatę, który dobrze Polsce życzy i widzi obraz w skali makro. Ale w ostateczności, jak mówią Anglicy „actions speak louder than words – działania brzmią głośniejsz od słów”, czyli w tej materii wszystko zależeć będzie od polityki państwa.

Ale poza tym, trochę optymizmu przekazują mi obrazki z codziennego życia. Znowu chcę się odwołać do kręgu moich osobistych kontaktów. Kiedykolwiek jestem w Akademii Obrony Narodowej, nie mogę sobie odmówić przyjemności, aby nie gościć przez chwilę w katedrze wojsk raketowych i artylerii, albo w katedrze rozpoznania, albo u logistyków. Zawsze zderzam się z tym samym obrazem. Trzej szefowie katedr - pułkownicy profesorowie – siedzą skoncentrowani przed komputerami i przygotowują wykłady, albo wydawnictwa książkowe. Ich podwładni oficerowie – pedagodzy, czynią to samo w innych pokojach. Te ambitne środowiska, na pewno „będą budować” solidną pozycję armii polskiej wśród zachodnich aliantów.

W przerwach międzynarodowego seminarium, otoczyłem się reprezentacją oficerskiej akademickiej młodzieży – przyszłej profesury⁸⁵. Z wewnętrznym rozrzewnieniem słuchałem ich życiorysów. Droga służby każdego spleciona jest z nauki, ćwiczeń, dydaktyki, kontaktów zagranicznych, praktyk liniowych i udziału w misjach pokojowych⁸⁶. **Wywodzili się z różnych katedr, ale promieniowali tym**

⁸⁴ E. Bendyk, Rozmowa z Georgem Metakidesem, Życie, 10 – 11 grudnia 1994.

⁸⁵ Ppłk dr Krzysztof Czajka; ppłk dr Andrzej Bujak; mjr dr Janusz Kręcikij; mjr dypl. Marek Wrzosek; kpt. dypl. Marek Sołoduha; kpt. dypl. Piotr Malinowski; kpt. dypl. Przemysław Paździorek, kpt. dypl. nawig. mgr inż. Grzegorz Roslan.

⁸⁶ Oto wzorcowy przykład życiorysu majora dypl. Marka Wrzoska. Wykształcenie wojskowe: Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Zmechanizowanych (1982-86); Wyższy Kurs Doskonalenia Oficerów (7.01 – 26.06.1992); Akademia Obrony Narodowej (1993-95); Podyplomowe Studium Pedagogiki (AON – 1996); United Nations Military Observer Course (UNMOC) – Kurs Obserwatorów Wojskowych ONZ (18.11. – 6.12.1996; Operationa) Staff Officer's Course (C-45-B98) NATO School (SHAPE) – Oberamergau (16.11-4.12.1998) – Kurs Operacyjno-taktyczny dla oficerów sztabów wielonarodowych; NATO Staff Officer's Orientation Course (I-32-PL2), 18-22.01.1999, AON. Przebieg służby: dowódca plutonu rozpoznawczego; dowódca kompanii rozpoznawczej; oficer wydziału rozpoznawczego sztabu dywizji; asystent katedry rozpoznania wojskowego i armii obcych AON; asystent katedry taktyki ogólnej AON. Znajomość języków obcych; angielski (Canadian Forces Language School, Kanada, 1999 – III stopień; rosyjski). Udział w ćwiczeniach wielonarodowych: „Agile Sword” – ćwiczenie dowódczo-sztabowe 1 Korpusu Niemiecko-Holenderskiego – 1996; „Cooperative Challenge” – ćwiczenie dowódczo-sztabowe jednostek wielonarodowych, Niemcy 1998. Autor 18 publikacji.

samym duchem ambitnej oficerskiej odwagi i gotowości do „marszu w przyszłość” bez najmniejszych kompleksów wobec innych armii NATO. Jakżeż nie czuć szacunku do osób tak oddanych służbie i wiernych Ojczyźnie.

I na zakończenie tego podrozdziału – chcąc pobudzić inteligencję myślenia strategicznych decydentów – jeszcze raz powołam się na reprezentantów techniki w siłach zbrojnych USA, którzy mówią o zaawansowanych pracach nad tworzeniem „cyfrowego wojska i cyfrowego pola walki”⁸⁷. Zresztą, nie tylko u Amerykanów – to dotyczy również czołówki państw NATO – następuje powolne „wchodzenie” w jakościowo inny obszar zintegrowanych systemów informatycznych. Następuje „horyzontalna integracja” wszystkich procesów pola walki: wsparcia ogniowego, obrony przeciwlotniczej, kontroli manewru, rozpoznania i walki radioelektronicznej oraz logistyki⁸⁸ po to, aby dowódca w rzeczywistym czasie miał prawdziwy obraz sytuacji i mógł na nią szybko reagować ogniem i manewrem.

W jednym z artykułów profesora Piotra Sienkiewicza – człowieka napelnionego wizją informatyczną - znalazłem interesujący fragment lotniczych działań w wojnie z Irakiem. Sięgam do niego, by pokazać, jak obecnie systemy komputerowe wspomagają wysiłki inteligencji ludzkiej. Oto przykład: „Codziennie wczesnym rankiem dowódca wojsk lotniczych „wypuszczał” wydruk komputerowy o objętości książki telefonicznej, będący „przewodnikiem” po obiektach irackich, przeznaczonych do zniszczenia w ciągu najbliższej doby. Trudno bez systemów komputerowych wyobrazić sobie planowanie w ciągu doby prawie 2000 lotów, w których uczestniczyły 24 typy jednostek lotniczych o różnych możliwościach i przeznaczeniu. Ataki lotnicze aliantów mogły skutecznie niszczyć zaplanowane cele, ponieważ „odlatywano” ze wspólnym rozkazem wygenerowanym przez komputer w Centrum Dowodzenia w Rijadzie. **Przestrzeń powietrzna w rejonie Zatoki Perskiej była tak zatłoczona, że – jak zauważono – kontrola ruchu powietrznego na lotnisku w Chicago wydawała się dziecinną zabawką**”⁸⁹.

⁸⁷ Zbigniew Zwierzchowski, Piechota cyfrowego wojska, Rzeczpospolita, 29 kwietnia – 1 maja 1995.

⁸⁸ Jay R. Sculley, Coomputers, Military Use Of, Encyklopedia Of The AMERICAN MILITARY, Volume II.

⁸⁹ P. Sienkiewicz, op. cit., s. 18.

Wniosek stąd prosty: szybka informatyzacja, jest najlepszą inwestycją w przyszłość polskich sił zbrojnych. Trzeba się śpieszyć, bo czas dobrze wykorzystany będzie ich sprzymierzeńcem.

Napomykałem już tym, ale znów powracam do tego jak do ponadczasowego motta, że nie można rozumieć wojska, nie biorąc pod uwagę – poza informatyką – jego współczesnej logistyki. Uświadomiłem to sobie, po raz któryś, kiedy nadarzyła mi się okazja posłuchać o niej „opowieści z pierwszej ręki” od panów pułkowników Romana Szpaka i Pawła Nowaka oficerów w wielkim stylu. Mogę tylko żałować, że czas był ograniczony. Padło wówczas trafne stwierdzenie, iż „logistyka jest dla sił zbrojnych życiodajnym układem krwionośnych arterii”. Jestem przekonany, że w nowym milenium, siły zbrojne muszą mieć dobrze założone dwa fundamenty – informatykę i logistykę.

Głównodowodzący brytyjskiego lotnictwa bombowego – w czasie II wojny światowej – Artur Harris, daje wymowny przykład opinii wyrażonej przez jednego z Niemców w sprawach logistyki: „Moglibyście z pewnością wylądować na kontynencie, lecz wysoce jest wątpliwe, czy zdołalibyście tam pozostać, gdyby nasz system transportowy nie został zdruzgotany. Wszelki desant jest możliwy; problemem jest przeniesienie rezerw i materiałów we właściwej chwili we właściwe miejsce”⁹⁰.

6. Dowódcy – liderzy

6.1. Wprowadzenie

Regulaminy wszystkich armii zgodnie podkreślają, że dowodzenie winno być jednoosobowe i tylko z jednym przełożonym na każdym organizacyjnym szczeblu. Podobnie jak kiedyś Churchill wypowiedział się o demokracji – jest zła, ale ludzkość nic lepszego nie wymyśliła – amerykański generał Brehon Somervell zastosował to do wojska: „Jednoosobowe dowodzenie jest to mniejsze zło, niż rozdrabnianie odpowiedzialności na dwóch lub więcej ludzi”.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że w strukturze organizacyjnej wojska, od wieków zachowywana jest zasada odpowiedzialności każdego z podwładnych przed wyższym dowódcą za wykonanie postawionych mu zadań. Najważniejszym

⁹⁰ A. Harris, *Ofensywa Bombowa*, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 2000, s. 212.

i najtrudniejszym natomiast obowiązkiem przełożonego-dowódcy, jest podejmowanie decyzji.

Przez całe stulecia proces dowodzenia był „prosty”. Dowódca kierujący „bitwą broni połączonych”, miał bezpośredni znaczny wgląd w działania bojowe ze swego stanowiska dowodzenia, z reguły usytuowanego na wzniesieniu. Ocena położenia zarówno wojsk własnych, jak i przeciwnika była dokonywana na podstawie obserwacji bezpośredniej i ustnych meldunków oficerów łącznikowych. Środki dowodzenia obejmowały sygnalizację, często za pomocą flag – proporców oraz sygnałów akustycznych i konnych łączników.

Sądzę, że nie tylko dla nas Polaków, interesującym przykładem takiego stylu dowodzenia może być król Władysław Jagiełło. Jak opisuje Jan Długosz: „Całe rozkazodawstwo w czasie bitwy pod Grunwaldem należało do Jagiełły. Zmęczony upałem i wysiłkiem od głośnego wołania i krzyczenia w czasie bitwy, kiedy trzeba było upominać i zagrzewać rycerstwo do walki, tak był ochrypły, że i w tym dniu, i w następnym z trudnością, i ledwo z bliska można było go zrozumieć”. Inne kroniki ten opis uzupełniają, że w dowodzeniu posługiwał się gońcami, w celu należytej koordynacji działań poszczególnych ugrupowań⁹¹.

W swojej poprzedniej książce odnotowałem, że z początkiem dziewiętnastego wieku, nastąpił definitywny zmierzch starego – uproszczonego sposobu dowodzenia i wpływu dowódcy na losy bitwy. Broń maszynowa i narastający potencjał ogniowy zmusiły wojska do rozśrodkowania swych sił. Rozwój motoryzacji przyspieszył działania bojowe. Dowódca utracił możliwość zarówno bezpośredniego wglądu, jak i bezpośredniego wpływu na ich przebieg. Potrzebował coraz więcej pomocników i lepszej, sprawniejszej łączności, a więc sztabu. Upływający czas nawarstwiał trudności w dowodzeniu wojskami i w organizacji ich współdziałania.

A kiedy „wskakujemy” w okres naszego dzisiejszego życia, to dawne, tradycyjne metody dowodzenia, w zderzeniu z informatyzacją wojsk, precyzją ognia i manewrowością, stały się zmurszałym anachronizmem. Przed dowódcami wyłonił się „kryzys czasu”.

⁹¹ Powołałem się na przykład zawarty w książce, wspaniałego historyka wojskowości, nauczyciela akademickiego, pułkownika dypl. Jana Orzechowskiego, Dowodzenie i sztaby, Warszawa 1974, s. 252.

Dwie minione wojny światowe, a zwłaszcza ostatecznie militarne zmagania nad Zatoką Perską i w Afganistanie potwierdzają stałe zwiększanie się rozmachu działań bojowych i ich wzrastającej złożoności. Dowodzenie staje się procesem wyjątkowo skomplikowanym, powodującym obiektywną konieczność wzrostu wymagań od dowódców wszystkich szczebli. Do kierowania współczesnymi środkami walki jest nie tylko potrzebna, ale wręcz niezbędna głęboka wiedza specjalistyczna i pedagogiczna. Wraz z ogólnym postępowaniem demokratyzacji, ogromne zmiany zachodzą w świadomości i zachowaniu całej społeczności żołnierskiej.

W latach mojej młodości, jesienią 1943 roku, kiedy zostałem wyznaczony na dowódcę drużyny dywersyjnej – rzecz działa się w zgrupowaniu partyzanckim im. Jeszcze Polska nie Zginęła, we wschodniej części pogranicza Wołynia i Polesia – i jako kapral po raz pierwszy stanąłem przed szeregiem dwunastu wpatrzonych we mnie „Kresowiaków” wiedziałem, że są gotowi wykonać każdy mój rozkaz. Żaden z nas nie miał przygotowania wojskowego, ale w każdym drzemał kresowy duch – wzmocniony przedwojennym wychowaniem patriotycznym – gotowości do przeobrażenia się w żołnierza obrońcę Ojczyzny. Jako minerzy, uczestniczyli ze mną w wielu niebezpiecznych sytuacjach bojowych, maszerowali moimi śladami po bezdrożach zabużańskich i Lubelszczyzny i nigdy się na nich nie zawiodłem⁹².

Podobną sytuację „napotkałem” w wojsku, jesienią 1944 roku. Jako podporucznik 37 pułku artylerii, w obecności dowódcy baterii (Rosjanina)⁹³, wyprężyłem się przed plutonem, którego miałem być dowódcą. Większość stanowili obrośli w lata „wilniuki”. Każdy z nich „nosił już na plecach” około pięćdziesiąt wiosen. W tym czasie ja byłem zaledwie opierzonym dwudziestolatkiem. Przedstawiłem im się, przeleciałem wzrokiem po zaciekawionych oczach i odczułem, że mamy sobie dużo do zaoferowania. Wiedziałem, że muszę wobec nich być uczciwy i godnie reprezentować mundur oficera polskiego. A potem, przez wszystkie wspólne perypetie – włącznie z ciężkimi bojami na „drezdeńskim” szlaku - starałem się to potwierdzić. Natomiast Oni – moi żołnierze artylerzyści – imponowali mi odwagą i zdyscyplinowaniem. W każdej sytuacji byli niezawodni. Szalenie lubili, kiedy siadałem wśród nich i razem śpiewaliśmy wojskowe pieśni. Rozstanie

⁹² Z mojej pierwszej partyzanckiej dywersyjnej grupy, jeszcze żyje tylko jeden śmiały, szlachetny żołnierz Gienek Borkowski.

⁹³ Gwoli przypomnienia tamtych złożonych lat – w 37 pułku artylerii 8 Dywizji Piechoty, początkowo było zaledwie kilku oficerów Polaków. Po zakończeniu działań wojennych, sytuacja się zmieniła.

z nimi, pod koniec 1945 roku, przeżyłem boleśnie. Osłoda późniejszych lat, aż do dnia dzisiejszego, stał się nieprzerwany kontakt korespondencyjny z kilkoma podwładnymi. Do łez mnie wzruszają listy Zenona Sobolewskiego, bojowego podoficera, patriotę naszego frontowego pułku, który wybił się na pułkownika. Stale mi przypomina „chłopców z tamtych lat⁹⁴” i krwawą dobę pod Coln, gdzie wielu z nich na zawsze pozostało.

W sumie, to dawne dowodzenie, też nie należało do rzeczy łatwych, ale jego spoiwem była wojenna wspólnota losu dowodzącego i dowodzonych. Wszyscy byliśmy ofiarami okrutnej wojny, wygnani ze swoich rodzinnych ziem, walczącymi o wolność, której przyszłe kształty rysowały się bardzo mgliście. Każdego jednak uskrzydlała nadzieja.

Natomiast obecnie, wojsko „resztkami sił” broni się przed negatywnym wpływem patologii społecznych: oschłością stosunków międzyludzkich, cynizmem, powszechną brutalizacją życia, upadkiem etyki. Do wojska wciskają się nowe teorie w dziedzinie taktyki, sztuki operacyjnej i strategii. W dyspozycji oficera pojawiają się coraz bardziej wyrafinowane bronie, techniki jej wycelowania, systemy rozpoznania i dowodzenia. W takich uwarunkowaniach, rola oficera i dowódcy staje się trudniejsza, coraz bardziej stresogenna.

6.2. Nowe uwarunkowania

Być może zabrzmiało to dziwnie, ale obecny oficer – zwłaszcza na stanowisku dowódcy lub kierownika - bardziej niż kiedykolwiek, odczuwa na sobie ciężenie sytuacji wewnętrznej własnego kraju oraz zewnętrznych uwarunkowań europejskich i nawet tych odległych - ogólnoswiatowych.

Formalnie zobowiązany do apolityczności, na skutek postępującej demokratyzacji i otwartości życia państwowego, z uwagą obserwuje ojczystą drogę rozwoju, interpretuje fakty i **silnie przeżywa nieczytelną „szamotaninę przekształceń” w siłach zbrojnych, z którymi los swój związał.**

⁹⁴ Ppor. Eugeniusz Singer, bomb. Harry Gram, bomb. Mieczysław Lachowski, bracia sierżanci: Stanisław i Wacław Mackiewicz.

Będąc człowiekiem wszechstronnie wykształconym, ma świadomość, że na obecnej scenie przełomu tysiącleci, rzeczywistością staje się globalizacja wszystkich dziedzin działalności ludzkiej. Dokonują się permanentne przemiany cywilizacyjne. Rewolucja informacyjna wypiera erę rozwoju przemysłowego.

Postępuje jednoczenie się Europy i wzrasta rola NATO w strukturze bezpieczeństwa światowego. Stany Zjednoczone – po rozpadzie imperium radzieckiego – zajęły dominującą pozycję na arenie międzynarodowej.

Wśród kadry utwierdza się przeświadczenie, że po wielu bolesnych historycznych doświadczeniach, członkostwo w NATO radykalnie zmniejszy przyszłe zagrożenia dla Polski. Jednocześnie, bezpośredni udział w zachodnich strukturach sojuszniczych otwiera dostęp do nowych generacji sprzętu oraz możliwość stosowania w praktyce dowódczej najnowszych zdobyczy takich dyscyplin naukowych, jak teoria organizacji i zarządzania, socjologia czy psychologia.

Pojawiają się szanse ciekawej służby w kraju i zagranicą: w mieszanych związkach wielonarodowych, „egzotycznych” misjach pokojowych, w ćwiczeniach na terytorium bogatych państw zachodnich, w dostępie do renomowanych szkół NATO. To wszystko wzmacnia intelektualnie, otwiera niebywałe drogi rozwoju profesjonalnego, wytwarza wysoki stopień „adrenaliny motywacyjnej” do pracy i większego wysiłku.

Nadeszły czasy, kiedy warto się uczyć i doskonalić, aby osiągnąć wyższy stopień strategicznej wyobraźni, bo takie właśnie osoby uzyskują przyspieszoną promocję w hierarchii zarządzania i dowodzenia. Wiedza o wartościach rozwojowych ma olbrzymią wartość praktyczną. Im wyższy szczebel dowodzenia, tym bardziej potrzebna rozwinięta wyobraźnia. Wielki uczony profesor Jan Szczepański tak to ujmuje: „Jeżeli intelekt pozbawiony jest wyobraźni, jeżeli brak mu zdolności wyobrażania sobie sytuacji dotychczas nie spotykanej, wtedy intelekt pozbawiony jest siły twórczej. Wyobraźnia pozwala człowiekowi wyjść poza ustalone schematy, poza systemy, wnikać w światy nieznane i narzucić im porządek ludzkich kategorii⁹⁵”. W tym miejscu, nie mogę pominąć myśli wypowiedzianej przez subtelną postać, akademickiego profesora, pułkownika Kazimierza Nożko. Szczęcę się, że przed Jego śmiercią, zawsze mieliśmy bliskie kontakty koleżeńskie. Pamiętam

⁹⁵ J. Szczepański, Wyobraźnia - okno na świat, Polityka, nr 100/1044, 1977 r.

spotkanie w jego „zabałaganionym” książkami gabinecie, kiedy był zdania, że: „w kształceniu wyobraźni operacyjnej, konieczne jest umiejętne łączenie głębokiej wiedzy z elementami praktyki”. Mam podobne zdanie.

6.3. Jaki dowódca taka jednostka

W podtekst oficera dowódcy, czasami „wkładam” również inne osoby, kierujące zespołami żołnierzy, policjantów, celników. Ale jednak moim czołowym adresatem stale pozostaje wojskowy oficer. Już w poprzednich rozdziałach zaznaczyłem, że synonimem „mojego dowódcy” jest dobrze wykształcony i wyselekcjonowany oficer – jednostka wybitna. W wewnętrznym rankingu wojsk NATO, dominować będą te armie, których selekcja dowódców promować będzie ludzi najbardziej kompetentnych, ożywionych nurtem przemian cywilizacyjnych. Na progu wyzwań nowego tysiąclecia, wojskowi dowódcy muszą mieć twórcze umysły, zdolne do odczytywania „sygnałów ostrzegawczych” z otoczenia bliskiego i dalekiego.

Każdy dowódca – czy chce czy nie chce – personifikuje wojskową jednostkę. To samo dotyczy każdego kierownika, szefa, komendanta. Tak było zawsze i tak nadal pozostaje. Żołnierze, którzy kiedykolwiek pełnili służbę w jednostce, zawsze ją łączą z nazwiskiem i osobą dowódcy. Czas oddany Ojczyźnie, wspominają z rozrzewnieniem, albo z goryczą i niesmakiem, jako zmarnowany i stracony dla własnego życia. **Takie odczucia rodzą się wówczas, kiedy dowódcy w swoim myśleniu nie nadają kluczowej roli podwładnym, kiedy ich dowodzenie nie jest przychylnie zorientowane „na ludzi”.** Dowodzenie wymaga uczciwości, która sprzyja dwukierunkowej wymianie informacji między przełożonymi a podwładnymi. W tej materii nie ma żadnej różnicy pomiędzy kierownictwem cywilnym i wojskowym.

Oficer o prawdziwych predyspozycjach dowódczych, to osobowość z charyzmą, potrafiąca zaszczepiać podwładnym swój entuzjazm i pewność siebie, który ma umiejętność przekonywania ich do rzeczy „niemożliwych”. Taki oficer potrafi z pokorą myśleć o własnym ego. On rozumie, że jego podwładni żołnierze mają prawo, aby się dobrze czuli w jednostce, gdzie przebiega ich służba. De facto, ważna część życia.

Dowódca, narzuca jednostce styl kultury zachowania i reguł postępowania. Jeśli jednak nie przestrzega ich sam, podwładni nie będą traktowali ich poważnie. Nie można wymagać, by byli powściągliwi w wulgarnym słownictwie, kiedy dowódca, w sytuacjach „napiętych”, nie jest w stanie utrzymać nerwy na wodzy i folguje sobie prymitywnymi wulgaryzmami. W wymogach i zachowaniu dowódcy, nie może być pozornej kultury. Bardzo szybko zostanie „zdemaskowany”. Tylko od niego zależy kondycja – profesjonalna, kulturalna i fizyczna - dowodzonej jednostki. On stale zdaje swoisty egzamin godności.

Jednym z wyzwań dowódcy, jest umiejętność formułowania rocznych celów „strategicznych” i zadań pośrednich oraz delegowanie decyzji na swoich podwładnych. Aby podwładni byli pozytywnie motywowani, bardzo ważne są okresowe odprawy (spotkania) z podwładnym, podczas których dowódca występuje z informacją „zwrotną”. Dokonuje oceny wykonania zadań, nie unikając pochwał i napomnień oraz wskazań w jakich dziedzinach jego podwładni powinni się doskonalić. Kreśli następny horyzont perspektywy.

Autorytet dowódcy zależy od sukcesów jednostki. Sukcesy utwierdzają wiarę w „swojego dowódcę – lidera” i motywują żołnierską społeczność do zwiększonych wysiłków. Za „wyrazistym” dowódcą, wymagającym ale życzliwym dla ludzi, podwładni pójdą wszędzie „jak w dym”; nawet – gdyby Ojczyzna ich wezwała – na pola wojennych zmagania. Dowódca pomaga każdemu osiągnąć to, do czego jest zdolny, inspiruje jakąś wizją przyszłości. Zawsze okazuje podwładnym szacunek, bo to wprawia ich w dobry nastrój, zaspakaja człowiecze potrzeby.

Z doświadczeń mojego służbowego życia, w pamięci są osadzone jak filary mocne postacie, które swoją kulturą zachowania i człowieczą życzliwością, uskrzydlały mnie do niewzruszonej wiary w celowość ambitnego działania. Oto niektóre z nich.

Pierwszy, to dowódca zgrupowania partyzanckiego, późniejszy generał brygady Robert Satanowski⁹⁶. Na terenach całkowicie zdominowanych przez wielkie oddziały radzieckie, potrafił zjednoczyć wokół siebie całe rzesze „zabużan” porwać je z nadzieją do walki o nieodległą Polskę. W sensie politycznym i militarnym,

⁹⁶ Robert Satanowski, dowódca Zgrupowania Partyzanckiego im. „Jeszcze Polska nie Zginęła”. W jego składzie był 14 oddziałów nazwanych imieniem wielkich Polaków. Walczyło na terenach Polesia, Wołynia, Podlasia i Lubelszczyzny. Po wojnie, Satanowski osiągnął sławę jako dyrygent.

był człowiekiem o myśleniu strategicznym. We wszystkich sytuacjach – niektóre wydawały się bez wyjścia – demonstrował spokój i odwagę. Nie jest przypadkiem, że operując na Lubelszczyźnie, ściśle współdziałał z Batalionami Chłopskimi i Armią Krajową. Styl Jego zachowania „rozlewał się” na podwładnych. W czasie moich spotkań z oddziałami radzieckimi – podczas wykonywania zadań dywersyjnych - zawsze odzywali się o nas z szacunkiem – „Wy Satanowcy”. To była ceniona „firma”. Pułkownika Satanowskiego charakteryzowały dwie wielkie cnoty: tolerancja szacunek dla odmienności.

Drugi, to Iwan Kaszczejew, Rosjanin, frontowy dowódca 3 dywizjonu 37 pułku artylerii. Pedagog z wykształcenia i cywilnego zawodu. Lubili go wszyscy żołnierze, za jego życzliwy stosunek do Polaków. Jako jedyny reprezentant Rosjan, szybko nauczył się mówić po polsku i czynił naciski na pozostałych podległych mu oficerów, aby poszli w jego ślady. Stale podkreślał swoje sybirskie pochodzenie. Mając ogromne doświadczenie frontowe, dawał przykład oficera odważnego, ale postępującego z rozwagą i perfekcyjnie znającego swoje ogniowe rzemiosło. Mój szczególnie ciepły stosunek do niego, wynika z faktu, że jako podporucznik byłem partyzant, „rozpaczliwie” chciałem zostać artylerzystą, tylko że nie miałem ku temu żadnego profesjonalnego przygotowania. I Kaszczejew, jako jedyny z trzech dowódców dywizjonów, dał mi szansę, a po czterech miesiącach osobiście mnie na poligonie przeegzaminował i pogratulował.

Trzeci, to dowódca Śląskiego Okręgu Wojskowego, dystyngowany generał dywizji Czesław Waryszak. Kiedy po raz pierwszy zameldowałem się u niego we Wrocławiu, jako pułkownik, nowo mianowany dowódca brygady raketowej w Bolesławcu, przeprowadził ze mną bardzo otwartą, życzliwą rozmowę. Ujął mnie serdecznością i zrozumieniem trudów jakie się piętrzą przed „formującą się jednostką”, która za kilka miesięcy powinna potwierdzić na poligonie swoją bojową gotowość. Jedno zdanie z tej rozmowy chodziło za mną każdego dnia: „Obywatelu pułkowniku – wypowiadał jękając się lekko niczym charyzmatyczny Jurek Owsiak – proszę stale mieć świadomość, że Waryszak ma ambicje, aby Śląski Okręg zajmował czołową pozycję w Wojsku Polskim. Podał mi rękę i powiedział, że ufa w moją pomoc. Rozmowa z Nim ośmielała mnie i zachęcała. Od tej pory już nigdy więcej nie powracał do tej rozmowy, ale czyniłem wszystko, co tylko możliwe, by nie zawieść swojego dowódcy. Prawego człowieka, o silnej osobowości.

Czwarty, to generał dywizji Wiktor Ziemiński. Naczelnny Kwatermistrz Wojska Polskiego, waleczny żołnierz wojny 1939 roku, kawaler krzyża wirtuti militari. Zetknąłem się z nim kilkakrotnie. Pierwszy raz w roku 1958, kiedy przyjechał na kilka dni do Londynu – gdzie byłem attache wojskowym – dla poddania się badaniom serca. A potem, obserwowałem go podczas ćwiczeń, odpraw i oficjalnych wizyt w brygadzie raketowej. Ten skromny człowiek dobrych obyczajów, zawsze otwarty i elegancki w zachowaniu, miał w sobie „to coś”, co budziło do niego zaufanie i szacunek.

Po raz ostatni, odwiedziłem go we wrześniu 1970 roku, kiedy ze względu na stan zdrowia, był już prezesem Zarządu Głównego Związku Inwalidów Wojennych. Wypiliśmy po „małej czarnej” i podczas rozmowy, pokazał mi swoje przedwojenne zdjęcie w mundurze podchorążego. Po chwili, wyraźnie wzruszony powiedział: „z podchorążówki wyniosłem dwie proste zasady, które starałem się stosować w życiu. Pierwsza - dla każdego przełożonego, dobro żołnierza powinno być dobrem najwyższym i druga - nie czyni drugiemu co tobie nie miłe”. Nie przypuszczałem, że w listopadzie będę na jego pogrzebie. Czuję, że łzy mi same płyną. Wojsko straciło nieprzeciętnego żołnierza.

Piąty, to generał dywizji Bolesław Chocha, komendant rektor Akademii Sztabu Generalnego. Pod jego „panowaniem” byłem szefem katedry wojsk raketowych i artylerii, a potem komendantem wydziału wojsk lądowych. Generał Chocha imponował mi swoją wiedzą operacyjną i pokornym szacunkiem do nauki. We wszystkich dysputach na tematy naukowe i programowe, występował jako skromny partner i doradca. Zawsze dbał o rolę etyki w sferze prac naukowych. Potrafił stanowczo upominać się o przekonujące argumenty. Szczególnie cenił „dowody” z powojennej różnorodnej bibliografii. Nosił w sobie ambicje, aby akademia obrastała w „polskość” myśli wojskowej. Podczas posiedzeń senatu i rad wydziałowych, w każdym słowie i spojrzeniu wyrażał szacunek do swoich podkomendnych. Nie zdarzyło się by kogokolwiek obraził.

Każdy z tych pięciu „wielkich wspaniałych postaci”, ma dla mnie jakiś punkt odniesienia. Wszyscy posiadali znakomite umiejętności komunikowania się budowania dobrych relacji z otoczeniem. Ich osobisty kontakt z podwładnymi nigdy nie mijał bez śladu.

Gdybym chciał tak dalej demonstrować innych wspaniałych ludzi, którzy „osładzali” i wzbogacali wojskową drogę mojego życia, ich lista byłaby niezmiernie długa. Sięgnąłem zaledwie do kilku, z czasów wojny i pokoju, aby uzmysłowić oficerom, że każdy z nich był dla mnie wzorcem profesjonalisty, człowieka napelnionego humanizmem, osobą rozsiewającą wokół siebie „ogień zaraźliwego entuzjazmu”. Ich entuzjazm i codzienne zachowania motywowały podwładnych.

Nie wstydzę się tego, nieraz wspominam z łezką w oku – może nawet cieplej niż przełożonych – swoich podkomendnych. Wszystkie moje „sukcesy” im zawdzięczałem. I chociaż czas zaciera w pamięci ich nazwiska i twarze, powracają kiedy myślę o tym czego dokonywali. Ot chociażby trzej pułkownicy: Mieczysław Donhofner, Jan Bieniek i Edmund Andersz, którzy tworzyli moją sztabową mądrość szefostwa Wojsk Rakietowych i Artylerii Śląskiego Okręgu Wojskowego. Zawsze skromni, całkowicie identyfikowali się z całym środowiskiem oficerów tego okręgu. Albo pułkownik Zygmunt Wnuk dowódca pułku artylerii w Pleszewie. Oficer dobrych manier. Kiedykolwiek wjeżdżałem na teren tej wzorowej jednostki, albo kontrolowałem ją na poligonie, tam „pachniało” porządkiem i dyscypliną. Jego oficerowie strzelali celnie i szybko, jak na prawdziwej wojnie.

Albo pułkownik lotnik Henryk Michałowski – obecnie emerytowany generał – dowódca wrocławskiego korpusu Wojsk Obrony Powietrznej Kraju. Duma z lotniczego zawodu szła za nim jak cień i znajdowała ujście w jego codziennym zachowaniu. Kiedyś „wzniósł mnie” w przestworza i uśmiechnięty wskazywał dłonią wielką kulę zachodzącego słońca, pomalowane czerwienią chmury i przedziwne tajemnicze ich kształty. Z niedowierzaniem patrzyłem w powietrzną przestrzeń nabrzmiąły od emocji. Hobby „mojego pilota” stanowiły malarstwo i rzeźba. Pułkownik Michałowski to rasowy lotnik z fantazją, humanista, szanowany naśladowany przez podwładnych. Wiem, że gdyby tych ludzi „odmłodzić przesadzić” na glebę obecnych sił zbrojnych, efekt byłby wspaniały.

We wstępie do regulaminu z końca lat osiemdziesiątych, amerykański generał John A. Wickman, w trzech punktach nakreśla cele dowódców: zapewniać płynną realizację programów szkolenia; zdobywać dla wojska przychylność narodu amerykańskiego i jego władz politycznych oraz gwarantować naszym wspaniałym

żołnierzom, najwyższy standard etycznego dowodzenia i dobre warunki życia⁹⁷. I nie jest to tylko propagandowy slogan. Przez pół roku obserwowałem Amerykanów na terenie Korei Południowej w Pusan. Byłem wówczas uczestnikiem misji pokojowej. Z zazdrością patrzyłem na wysportowane sylwetki generałów i wysokich stopniem oficerów, na „komfortowe” warunki życia szeregowych żołnierzy. Bez wielkiej spostrzegawczości, na każdym kroku dostrzegało się autorytet dowódców i zdyscyplinowanie podwładnych oraz „przejrzyste reguły gry” pomiędzy nimi. Stąd mój wniosek: **autorytet wojska polskiego też zależeć będzie nie tylko od stanu uzbrojenia, ale przede wszystkim od mądrości jego kierownictwa i dowódców.** Jedyna droga do tego prowadzi przez dokładne określenie i przestrzeganie w praktyce „ostrych” kryteriów wyznaczania na wyższe stanowiska służbowe.

Obserwując zachowanie wielu polskich oficerów na posiedzeniach gremiów międzynarodowych, w misjach pokojowych, w trudnym życiu jednostek, napełniam się optymizmem. Oni mają wszelkie predyspozycje, aby wprowadzić wojsko polskie w nową, nie zawsze dla nas – emerytowanych żołnierzy – zrozumiałą erę informatycznej globalizacji.

6.4. Drogi do sukcesów

Wojny prowadzone w końcu dwudziestego wieku – w rejonie Zatoki Perskiej, na Bałkanach, w Czeczenii, w Afganistanie – odkryły jakościowy „skok” w rozwoju technologii uzbrojenia. A jeśli wynikające z nich wnioski osadzić na erze globalizacji i informatyzacji, to przed dowódcami staje pilna potrzeba przestawienia się na tory nowego myślenia⁹⁸. **W tych nowych „szalonych” czasach, nie można dowodzić bez świadomości o decydującej roli stosunków między ludźmi, które są podwaliną sukcesów.**

„Podglądając” zachodnie armie NATO, łatwo zauważyć, że obecnie nie wystarczy być dobrym organizatorem, mieć wizję i profesjonalizm. Obecnie wysuwa się na czoło ten, kto buduje jednostkę stale się doskonalącą i umiejącą zespołowo realizować postawione cele. Dlatego współczesny dowódca lider, to człowiek tworzący atmosferę wewnętrznej współpracy i zewnętrznego współdziałania. Iluż

⁹⁷ FM 100-1, Part One – The ARMY, August 1986, s. XII.

⁹⁸ Encyklopedia of the AMERICA MILITARY, op. cit. s. 501.

znałem dowódców – nie śmiem wytykać ich palcem – zadufanych w sobie, chętnych despotów, nie rozumiejących, że do swojego stanowiska powinni dołożyć szacunek dla podwładnych. Obawiam się, że w polskim wojsku nie łatwo będzie wypenić takich osobników, „płytkich pozorantów”, często agresywnych, odczuwających satysfakcję z poniżania podwładnych. Przeważnie wspinali się w górę nie po szczeblach selekcji.

Ogromna złożoność procesu dowodzenia sprawia, że muszą w nim występować wyspecjalizowane sztaby. One nie osłabiają zasady jednoosobowego dowodzenia, natomiast pomagają w gromadzeniu informacji, niezbędnej do powzięcia dowódczej decyzji. Im wyższy szczebel dowodzenia, tym większy jest udział sztabu w procesie wypracowywania decyzji. Dowódcy usytuowani na niższych szczeblach wykorzystują głównie swoje umiejętności techniczne. Dowódcy osadzeni wyżej, bardziej potrzebują umiejętności koncepcyjnych oraz szczególnej mądrości dla współpracy ze swoim sztabem i otaczającym go „światem”: podległych dowódców, sąsiadów i sojuszników. Sztab „gromadzi” informacje niezbędne do powzięcia decyzji, przetwarza je i analizuje, opracowuje warianty decyzji i po zatwierdzeniu jednej z nich, doprowadza ją do wykonawców, a następnie kontroluje jej wykonanie. Przy tym wszystkim, stale trzeba pamiętać, że obecne decyzje podejmowane są w teleinformatycznej infrastrukturze, która wpływa na zachowanie sztabów i dowódców. Olbrzymie znaczenie odgrywają tu komputerowe systemy wspomaganie decyzji i systemy ekspertowe, dysponujące bazą wiedzy i mechanizmem wnioskowania⁹⁹.

Obecnie nowoczesne systemy dowodzenia, kierowania i zobrazowania pola walki, dają możliwości optymalnego podejmowania decyzji. Kto dysponuje przewagą w informacji – nawet przy niekorzystnym stosunku sił – ten ma szansę zwycięstwa, gdyż może szybciej przemanewrować swoje siły na decydujący kierunek. Ma to swoją ostrą wymowę w sytuacji Polski. Stąd tworzenie systemów dowodzenia, zobrazowania i zarządzania polem walki powinno być traktowane priorytetowo.

Sztab wkłada wiele wysiłku w utrzymywaniu trwałych interoperacyjnych więzi wewnętrznych i zewnętrznych. Dla zapewnienia zgodności efektów działania z planem, sztab śledzi postępy i w miarę potrzeby – jeżeli nie są zgodne z intencją

⁹⁹ P. Sienkiewicz, Decyzje i komputery, Militaria, nr 2.XII. 95 – I.

dowódcy – podejmuje działania korygujące. Czyli sztab jest narzędziem, które stale pomaga dowódcy kierować, w środowisku koalicyjnym, złożoną maszyną walki broni połączonych. Sztab jest jednym z przejawów zespołowości działania na rzecz dowódcy w podejmowaniu decyzji i jej realizacji.

Jedną z najważniejszych funkcji – zwłaszcza dowódcy wysokiego szczebla – jest obowiązek organizacji współdziałania wewnątrz własnych wojsk i gotowość do interoperacyjności z sojusznikami.

Sądzę, iż wzorem dawnych brygad raketowych, gdzie funkcjonowały grupy kontrolne, warto w każdej jednostce – jako pomoc dla dowódcy i sztabu - stworzyć specjalne „Interdyscyplinarne Zespoły Mieszane”, które mogłyby służyć doradztwem różnym pododdziałom i oddziałom, a w niektórych wypadkach, odgrywać rolę organu kontrolnego. Ten sam zespół może okazać zainteresowanie życiem prywatnym żołnierzy zawodowych i tych, którzy już są na emeryturze, pomagając dowódcy w tworzeniu podwalin nowej kultury jednostki. Każdy dowódca powinien mieć świadomość, że dobry stosunek do podwładnych jest siłą, wyzwalamą pozytywne emocje, jednoczącą go ze swoim środowiskiem.

We wszystkich współczesnych armiach, przyjęta jest podobna zasada, iż cele walki (bitwy) mogą być osiągnięte tylko przy ścisłym współdziałaniu, a więc zgranym wysiłkiem zarówno związków ogólnowojskowych jak i rodzajów sił zbrojnych oraz ich środków wsparcia.

Natomiast interoperacyjność - termin wszedł w obieg po przyjęciu wojska polskiego do NATO – jest związany z działaniami koalicyjnymi. Oznacza gotowość do świadczenia i przyjmowania usług innych systemów, jednostek i związków wojskowych. Generalnie jest rozumiany jako „więzi - stosunki” z siłami aliantów, zapewniające możliwość skutecznego działania z nimi¹⁰⁰. Z narastaniem złożoności technologicznej uzbrojenia, łączności, środków wsparcia i logistyki, wzmożyły się potrzeby w dziedzinie interoperacyjności. To w szczególny sposób dotyczy również aspektów ludzkich.

Kadry wojskowe muszą sprostać narastającej złożoności w tej międzyalianckiej dziedzinie. Stąd wyłania się pilna potrzeba – wojsko polskie odczuwa to bardzo silnie – ujednoczenia szkolenia, wypracowywania doktryn,

¹⁰⁰ International Military and Defense Encyclopedia, Volume 2, Brassey's (US), Inc. s.1670.

prowadzenia wspólnych zgrzywających ćwiczeń, aby osiągnąć sojuszniczą zdolność do ewentualnych działań wojennych.

Każdy oficer, a szczególnie na stanowisku dowódczym, powinien mieć rozbudzoną twórczą wyobraźnię, zwaną wizją, pozwalającą mu uzmysławiać sobie prawdopodobne obrazy – w różnych uwarunkowaniach – sytuacji podległych mu sił [oddziałów, związków]. Niejako w tle swoich zamiarów powinien dostrzegać to „czego nie widać”, a może się zdarzyć. Idąc dalej drogą tego samego myślenia, dowódcy potrzebny jest zdrowy rozsądek w umiejscowieniu własnych zadań „lokalnych” na tle otoczenia „globalnego”, które może mieć charakter narodowy i sojuszniczy.

7. Uczestnicy misji (operacji) pokojowych¹⁰¹

7.1. Koreańska lekcja

Udział żołnierzy wojska polskiego w powojennych misjach pokojowych trwa nieprzerwanie od 1953 roku. Stały się one prawdziwym znamieniem czasu naszej skomplikowanej epoki i jej trudnych ogólnoludzkich problemów. Smutną prawdą jest że równoległe z niebywałym postępem technologicznym i naukowym, trwają działania wojenne w różnych punktach globu ziemskiego i brutalnie się deprecze prawo międzynarodowe. Nie ma to już wymiaru globalnego, jak w czasach dwóch wojen światowych, tym niemniej nadal kryje w sobie ogrom ludzkich nieszczęść. Wystarczy tylko powołać się na wymuszone migracje całych narodów Afryki, na los narodu czeczeńskiego, na krwawe konflikty w Jugosławii.

Mimo tych bolesnych zjawisk i napięć w jakich żyjemy – będących następstwem skrajnie irracjonalnych zachowań człowieka - nie pozbywamy się nadziei, że postępujące w całym świecie demokratyczne przekształcenia, których jesteśmy uczestnikami, będą umacniać polityczno-prawne przesłanki zachowania pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego¹⁰².

Będąc uczestnikiem dwóch polskich „wypraw pokojowych” – w 1954 roku do Korei i w roku 1974/75 do Wietnamu – pragnę bez zadufania przypomnieć moim czytelnikom pewne fakty, ilustrujące nasz wysiłek narodowy w utrwalaniu

¹⁰¹ Podobnie jak w literaturze przedmiotu, używam zamiennie nazwy misje i operacje pokojowe. Tym ostatnim, często nadaje się rangę większą.

¹⁰² S. T. Possony, Peace Enforcement, Yale Law Journal, 1964.

światowego pokoju i spełniane w nim role przez oficerów wojska polskiego. Z własnych obserwacji i szerokich kontaktów z oficerami wiem – bez sztucznego ubarwiania – jak ta pokojowa służba pozytywnie zmieniała świadomość polskiej kadry, jak ją nieodwracalnie demokratyzowała i uodporniała na uproszczoną obróbkę ideologiczno-propagandową. Lekcja z zewnętrznego świata, przed którym bramy dla oficera były szczelnie zamknięte - podobnie jak dla oficera zachodniego w kierunku wschodnim – bezpośrednio wielomiesięczne kontakty z kontrpartnerami różnych armii, poszerzały horyzonty myślowe, dawały asumpt do przemyśleń, wzmacniały dumę narodową, jako że z pośród krajów byłego „obozu socjalistycznego”, tylko oficerów wojska polskiego w takim dużym wymiarze, angażowano do pokojowych działań w różnych zapalnych punktach ziemskiego globu.

Na seminarium w Akademii Obrony Narodowej, w którym uczestniczyli oficerowie Wehrmachtu, przekonałem się jakież zdziwienie u nich wywołała moja informacja, iż w każdym okresie minionej „epoki historycznej” od 1953 roku, żołnierz polski brał udział w co drugiej operacji pokojowej. Organizacji Narodów Zjednoczonych lub innych organizacji międzynarodowych. W tej wydajnej polskiej militarnej aktywności zagranicznej, poza prestiżem, krył się ogromny wysiłek organizacyjny i finansowy. A jednocześnie jest prawdą, iż w tych pokojowych wożach zawarty był solidny kontekst edukacyjny.

Na ogół, nam samym umyka z pola widzenia skala i znaczenie polskiego wkładu w dzieło utrzymania pokoju na tym „zagmatwanym świecie”. A przecież Polska obok Kanady, znajduje się w czołowej grupie państw o największym doświadczeniu w oddziaływaniu na normalizację naruszonych stosunków międzynarodowych.

Od pięćdziesięciu lat ONZ organizuje i nadzoruje działania misji pokojowych, których główną rolą, od samego ich powstania, jest utrzymanie pokoju i bezpieczeństwa. **W uznaniu zasług na tym polu, w 1998 roku uczestnicy misji pokojowych ONZ otrzymali Pokojową Nagrodę Nobla. Odbyło się to ze szczególnym wyróżnieniem Polski, jako że nagrodę odbierał, w imieniu wszystkich uczestników Operacji Pokojowych chorąży Edward Ziobro, żołnierz polskiego kontyngentu w Syrii.**

Przeciwdziałanie wojnom i lokalnym konfliktom zbrojnym, zajmują coraz wyższą pozycję w międzynarodowej polityce. Ale, w tej sferze, ciągle jeszcze świat żyje pod groźbą przeróżnych niebezpieczeństw. I to wyjaśnia dlaczego sławni uczeni, osobistości o wielkim autorytecie moralnym, ostrzegają ludzkość przed katastrofalnymi skutkami nawet wojen konwencjonalnych, a cóż dopiero przed horrorem użycia broni jądrowych¹⁰³. Na szczęście utrwała się przekonanie, że różne odmiany operacji pokojowych, skutecznie wspierają bezpieczeństwo międzynarodowe.

Jak już uprzednio nadmieniałem, udział Polski w powojennym trudzie pokojowym trwa nieprzerwanie od 1953 roku. Właśnie wówczas Polska Czechosłowacja, jako pierwsze państwa bloku wschodniego, zostały zaproszone do uczestnictwa w nadzorowaniu rozejmu w Korei.

Po drugiej wojnie światowej, konflikt koreański był najgroźniejszym zjawiskiem militarnym, z jakim ludzkość miała do czynienia. Występowała w nim bezpośrednia konfrontacja dwóch wrogich wobec siebie systemów społeczno-politycznych. Lekko upraszczając, z jednej strony walczyły Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, a z drugiej Chiny i w sposób zamaskowany Związek Radziecki. W porównaniu z wojną koreańską, poprzedzające go konflikty zbrojne w Palestynie, Indonezji i Kaszmirze miały wymiar „miniaturowy”. Korea doznała ogromnych zniszczeń. Liczbę śmiertelnych ofiar szacuje się na 4 miliony cywilów wojskowych¹⁰⁴. Groźba wojny jądrowej wisiła na włosku. Zakończenie konfliktu zbrojnego na Dalekim Wschodzie zostało przyjęte z ulgą przez społeczność całego świata¹⁰⁵.

Nadzór nad przestrzeganiem postanowień układu pokojowego, powierzono przedstawicielom czterech państw: Czechosłowacji, Polski, Szwajcarii i Szwecji pod sztandarem Międzynarodowej Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych. Dominował w niej personel wojskowy, ale kierownicze stanowiska polityczno-dyplomatyczne, sprawowały osoby cywilne.

Pierwsza zmiana delegacji polskiej do komisji w Korei liczyła 301 osób, w tym 259 wojskowych. Przed wyjazdem, odbył się intensywny dwumiesięczny kurs przygotowawczy. Kiedy zostaliśmy skonfrontowani z wielością przeróżnych sytuacji,

¹⁰³ D. Senghas, *Armament Dynamics and Disarmament*, Berlin, November 1973.

¹⁰⁴ Ch. Bartlett, *Konflikt Globalny*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1997, s. 324.

¹⁰⁵ Welzer, *Just and Unjust Wars*, New York: Basic Books, 1977, s.199 – 120.

na terenie Korei zdaliśmy sobie sprawę, że pełne zaangażowanie ministerstwa spraw zagranicznych, odegrało fundamentalną rolę w naszym sukcesie. Wykłady prowadzili dyrektorzy departamentów i byli ambasadorzy. Zostaliśmy zapoznani i przeegzaminowani ze znajomości: układu pokojowego oraz jego aspektów prawnych i politycznych; treścią mandatu i współpracy w wielonarodowej grupie; wybranymi zagadnieniami prawa międzynarodowego, dotyczącego jeńców wojennych; sytuacją społeczno-polityczną w Korei, a także z prawem i porządkiem lokalnym. Przez cały tok szkolenia, główna uwaga była skupiona na przyswojeniu zadań mandatowych i podstawowych zasadach pracy dyplomatycznej.

Profesorowie uniwersyteccy udzielali informacji o ludności, geografii i warunkach klimatycznych Półwyspu Koreańskiego. Lekarze różnych specjalności badali nas i informowali o zagrożeniach epidemiologicznych. Stratą energii i czasu, okazała się nauka języka koreańskiego, z którego kilka zdań pozostało mi w pamięci do dnia dzisiejszego. Niestety okazał się nieprzydatny ani tam, ani w Polsce. Namiastka ćwiczeń praktycznych, podczas których były pozorowane sytuacje konfliktowe, odbywała się w lasach obok Jabłonnej, pod Warszawą. Wszystko to razem było ciekawe i ekscytujące, dające „sygnały”, że otwiera się przed nami droga do wielkiej życiowej przygody.

W końcu czerwca 1953 roku, pod przewodnictwem szefa misji generała brygady Mieczysława Wągrowskiego odleciała do Korei grupa rekonesansowa w liczbie 30 osób. Dwa tygodnie po niej, pod moim dowództwem ruszył pierwszy transport kolejowy, a w odstępie jednego dnia drugi, dowodzony przez pułkownika Jana Śliwińskiego.

Była to prawdziwa ekspedycja w nieznane. Dwa obciążone transporty wiozły to wszystko, co kierownictwo uznało jako niezbędne dla samodzielnego i autonomicznego działania w warunkach Korei. Czegoż tam nie było: zapasy żywności na 6-9 miesięcy, samochody terenowe ze sprzętem łączności, góry skrzyń z zaopatrzeniem medycznym, transport samochodowy, kuchnie polowe. Można sobie tylko wyobrazić, ile to Polskę kosztowało.

Moim zastępcą był wspaniały inteligentny oficer – podpułkownik Mikołaj Michałowski. Już przed wyjazdem zorganizował chór złożony z elegancko umundurowanych tłumaczek, oficerów i podoficerów łączności. Na każdej stacji, od

Brześcia, poprzez Smoleńsk, Moskwę, Irkuck i na dziesiątkach pomniejszych zapyziałych stacyjkach odbywały się prawdziwe „koncerty”. Niby samorzutnie zaczynały się zespołowe śpiewy, wzmocnione harmonią i gitarą. Trzeba było nie lada „wódczanego wysiłku”, aby zneutralizować dąsy radzieckiego oficera łącznikowego, którego stale gnębiły wątpliwości w słuszność naszej propagandowej inicjatywy. Bo rzeczywiście, tłumy ciekawskich Rosjan nie mogły się nadziwić „kac charaszo Polaczki wygladiat i pajut – jak ładnie Polacy się prezentują i śpiewają”.

Najdłuższy „koncert” daliśmy w Irkucku. Ku naszemu kompletnemu zaskoczeniu, na stacji pojawiła się duża grupa ludzi, potomków powstańczych zesłańców na sybir. Już po pierwszej piosence, starsze kobiety zaczęły popłakiwać. Nam też trudno się było opanować. Zrozumieliśmy, że to co oglądamy, wiąże się ze straszną, brzemienną w skutkach, polską narodową tragedią.

Gdy teraz myślami przebiegam tamte dwa tygodnie, spędzone w turlającym się pociągu po bezkresnych przestrzeniach Rosji, wiem że ta nasza peronowa działalność wynikała z najgłębszych patriotycznych pobudek. Być może nawet z podświadomej chęci zademonstrowania swojej odrębności, bo wiedzieliśmy, że wśród wielu Rosjan panowało przekonanie, że „Polsza” - podobnie jak pozostałe kraje socjalistyczne - jest prawie częścią Związku Radzieckiego. Nie zapominajmy, że chociaż Stalin już nie żył – zmarł na początku 1953 roku – jego duch jeszcze się panoszył i trwała intensyfikacja zimnej wojny.

W następnych trzech dniach „przeskoczyliśmy” odcinek ziemi chińskiej, a potem, po rozchybotanych torowiskach – leje po bombardowaniach widoczne były na każdym kroku – i połatanych mostach Północnej Korei, powoli dobrnęliśmy do Panmunjonu. Tam zastaliśmy jedynie okazałą pagodę do posiedzeń komisji, barak żywnościowy i budki wartownicze po obydwu stronach 38 równoleżnika. Generał Wąrowski wyznaczył mnie komendantem obozu, więc z marszu przystąpiłem do rozstawiania namiotów. We wszystkich kłopotach wspomagał mnie dzielnie pułkownik Michałowski. On też był inicjatorem ułożenia z kamieni, na zboczu najbliższego wzgórza, olbrzymiego orła, który wywoływał szczególny zachwyty u koreańskiego oficera łącznikowego. Stale się nam przypodchlebiał mówiąc, że tylko polska delegacja ma taki wielki swój symbol. I to była prawda.

Dla potrzeb polskiej misji zorganizowany został autonomiczny system łączności. Nadzorowała go kompania łączności o stanie osobowym 110 oficerów, podoficerów i żołnierzy służby czynnej. Byli to wysokiej klasy specjaliści. Zapewniali kierownictwu misji polskiej łączność z grupami inspekcyjnymi i z Warszawą. Z polskiej łączności – podobnie jak z usług medycznych - korzystała także misja czechosłowacka.

Pierwsze inauguracyjne posiedzenie plenarne Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych w Korei odbyło się w dniu 1 sierpnia 1953 roku. Wzięły w nim udział kierownictwa czterech misji. Jako jeden z wielu zaproszonych gości, z przejęciem obserwowałem dyplomatyczny rytuał tego spotkania.

W dniu 18 sierpnia, do 10 portów wejściowych w północnej i południowej części Korei, zostały wysłane stałe grypy operacyjne w celu nadzoru i kontroli ruchu personelu wojskowego i sprzęty bojowego.

23 sierpnia, na wniosek Komisji Rozejmowej, do trzech obozów jenieckich: Kojedo, Yong Dong Po i Imjin River Bridge, wyjechały Rezerwowe Ruchome Grupy Inspekcyjne, w celu zbadania zasadność zarzutów strony koreańsko – chińskiej o utrudnieniach w pracy czynionych Mieszanym Grupom Czerwonego Krzyża. Ku mojemu zaskoczeniu, generał Wągrowski wyznaczył mnie dowódcą grupy wyjeżdżającej na wyspę Kojedo. W sumie, była to fascynująca wyprawa lądowo – morska i niebywale ciekawe doświadczenie. Po raz pierwszy ruszałem na szeroki bezpośredni „styk” ze światem Zachodu. A ileż to otrzymałem żelaznych wskazówek: życiorysy każdego z nas są tajne; sprawy wojskowe są tajne; sytuacja w kraju jest wspaniała; cały blok państw socjalistycznych, w odróżnieniu od świata kapitalistycznego, rozwija się dynamicznie i planowo; we wszystkich pomieszczeniach będą zainstalowane podsłuchy, więc pomiędzy sobą rozmawiać tylko na zewnątrz. Jednym słowem czujność, czujność i jeszcze raz czujność.

Na terenie górzystej, malowniczej wyspy, w idealnym porządku, rozbudowane były baraki, w których znajdowało się kilkadziesiąt tysięcy chińskich jeńców wojennych. Ponad tydzień trwały przesłuchania reprezentantów czerwonego krzyża i jeńców. Komendant obozu, mocno podenerwowany pułkownik Richardson, odrzucał wszelkie oskarżenia pod adresem strony amerykańskiej. Któregoś wieczoru, kiedy wszyscy wojskowi zostaliśmy zaproszeni do kina, porucznik armii

amerykańskiej zaproponował mojej tłumaczce Annie Bratkowskiej azyl polityczny. Równocześnie kusił ją dużym plikiem dolarów i gotowym już paszportem. Kiedy spotkał się ze zdecydowaną odmową – jak przystało na oficera wywiadu – zniknął jak kamfora. Po otrzymanym meldunku od przystojnej pani Anny Bratkowskiej, złożyłem na ręce pułkownika Richardsona protest i dalej kontynuowaliśmy naszą misję.

Ostateczne wyniki naszej pracy nie były rewelacyjne. Grupa zachowując wszelkie pozory neutralności, de facto dzieliła się na dwa różne „ideologicznie obozy”. Oba, zgodnie ze swoimi instrukcjami, sympatyzowały z przeciwstawnymi częściami Korei. Ale sporządzone dokumenty, spotkały się w Panmunjonie z pozytywną oceną Komisji. Ich treści zawierały sporo obiektywizmu i nasycone były opiniami kompromisowymi. Już wówczas zaczynałem rozumieć, że skrajna nieustępliwość, - zwłaszcza w kwestiach międzynarodowych - na ogół prowadzi „do nikąd”.

Zgodnie z moim oczekiwaniem, otrzymałem pochwałę za godną postawę całej grupy. Byłem dumny i usatysfakcjonowany. Ale, po tygodniu, „kierownictwo” się rozmyśliło i wystąpiło wobec mnie z groźnym zarzutem, iż dostęp wrogich elementów do tłumaczki, mógł nastąpić tylko w warunkach braku odpowiedniej czujności z mojej strony. Gwałtownie się temu przeciwstawiłem, ale sprawa przybierała coraz to groźniejszy obrót. Zacząłem się poważnie liczyć z możliwością karnego powrotu do kraju. Dopiero zdecydowane poparcie kilku wiernych kolegów, reprezentujących zarząd drugi sztabu generalnego – była to „firma” z którą się liczone - pozwoliły mi kontynuować pracę w misji koreańskiej.

Przez następne cztery miesiące nadal sprawowałem funkcję dowódcy obozu. Odpowiadałem za dyscyplinę, porządek i szkolenie wojskowe¹⁰⁶. Podziwiałem roboczą kompanię chińską, jak sprawnie i „bezszelestnie” budowała dla nas baraki mieszkalne. Nigdy nie widziałem pijanego ani wrzeszczącego Chińczyka. Ich „delikatne” zachowanie i pracowitość, wzbudzały podziw.

Wreszcie na początku stycznia 1954 roku otrzymałem „posadę” kierownika stałej grupy, w najbardziej na południe wysuniętym porcie Pusan. W tym czasie mieliśmy ogromne uprawnienia kontrolne, z prawem dostępu do każdego samolotu i transportu morskiego. Przez cały czas żywiliśmy się w baraku amerykańskiego kasyna oficerskiego. Jadłospis był urozmaicony i zawierał duże ilości warzyw

owoców. Kadra oficerska miała do swojej dyspozycji urządzenia sportowe, korty tenisowe i piękny basen. „Nadwagowych” oficerów – to co decydenci Wojsk Polskiego tolerują latami – nie spotykało się. Pułkownik Wacław Jagielnicki, z którym nieraz rozmawialiśmy na ten przykry temat, był zdania, że jest to dla nas kompromitujące. Zastanawiał się, z jakim skutkiem korpulentny „tłuscioszek” może uczestniczyć w trudach nowoczesnej wojny i bronić Ojczyzny.

- A dlaczego przełożeni tego nie widzą? – wycedziłem naiwne pytanie. – Jagielnicki roześmiał się z odcieniem drwiny.

- Nie warto się oszukiwać. Widzą i tolerują, bo sami żyją w błogim lenistwie. Ryba pachnie od głowy – odparł i natychmiast umilkł.

Każdy amerykański oficer miał samodzielny pokój. Ich pensje były niewyobrażalnie wysokie. Mogłem tylko wzdychać. A na zakończenie tych smętnych rozmyślań, zawsze sobie powracałem myślami do wojennej gehenny mojej Ojczyzny i narodu polskiego, który zdołał przebrnąć przez „górną nieszczęść”, jakich Amerykanie nigdy nie doznali i nie doznają. Miałem też gorzką świadomość, że chociaż prezydent Stanów Zjednoczonych, w imię nadrzędnych interesów, bez wahania „podarował” Polskę Stalinowi, nikt go za to nigdy nie będzie „rozliczać”.

Po sześciu miesiącach pobytu w Phusanie, w odwiedziny do misji przyleciał pułkownik [późniejszy generał] Tadeusz Jedynek¹⁰⁷. Z nim właśnie powracałem amerykańską terenówką do Panmundżonu. Byłem zadowolony z jego towarzystwa, bo należał do osób tryskających humorem, głęboko refleksyjnych. Przez całą Południową Koreę Amerykanie wybudowali szeroką strategiczną drogę o idealnej nawierzchni. W zależności od ukształtowania terenu, szosa przebiegała nadbrzeżem lub kluczyła równinami. Z zachwytem obserwowaliśmy piękno krajobrazów, soczystą zielenią ryżowisk, poszarpane grzebienie górskich szczytów, bazaltowe skały wyłaniające się wprost z głębin morskich, niskopienne rzadko ugałęzione sosny.

Straszliwe zniszczenia wojenne zakłócały ogólny obraz idylli. Rozciągnięte wzdłuż naszej trasy wioski, pochowały się w skalistych pieczarach i nie łatwo było znaleźć w sobie odwagę, aby patrzeć na bezmiar ludzkiej tragedii. Czarny amerykański kierowca, pędził brawurowo jak rasowy kawalerzysta. Nie zważał na przydrożne znaki, ograniczające prędkość. Nie przerażały go olbrzymie napisy,

¹⁰⁷ Człowiek wielkiego serca. Zmarł w 1987 roku.

umieszczone na białych planszach, dosadnie nawołujące kierowców do rozsądku: „nie bądź durniem, dureń umiera co minutę”.

Długi czas jechaliśmy przygaszeni, w ponurej ciszy. Wydawało się, że ten okaleczony kraj, ma nikłą szansę wydobycia się na powierzchnię pokojowego rozwoju. A teraz, kiedy spotykam się z moimi kolegami, z podziwem komentujemy ofensywę potężnych koreańskich firm samochodowych na polskim rynku. Jest zastanawiające, jak wiele Koreańczycy dokonali w ciągu zaledwie jednego pokolenia.

W Pusanie zrozumiałem, jakim kalectwem każdego z nas, była nieznajomość języka angielskiego. Wśród zaufanych kolegów krążyły przypuszczenia, że to mogło mieścić się w polityce naszego „kierownictwa”. Bez tłumacza – świadka, oficer nie był w stanie nawiązać żadnego ubocznego kontaktu. To często utrudniało konwersację i wprowadzało unerwienia, wynikające ze słabości językowych „przybocznego cywila”.

Udział wojska w misji koreańskiej, wymusił w Warszawie powstanie specjalnej jednostki 2000, która przejęła wszelkie funkcje koordynacyjne, szkoleniowe i medyczne na rzecz „wypraw” pokojowych. W niej były gromadzone i dokumentowane doświadczenia. Czas udowodnił, że była to mądre rozwiązanie. Z Korei powróciłem na ojczyście łono innym człowiekiem. Wbrew intencjom „czynników partyjno-rządowych”, każdy z misyjnych weteranów, pozostając patriotą socjalistycznej Ojczyzny, zaczynał trzeźwiej patrzeć na świat. Powracając z Korei, zahaczyliśmy o Pekin. Pałace cesarskie, historyczne pagody, muzea, pobyt w operze chińskiej uświadamiały, że wobec tej starej, sięgającej w głąb kilku tysięcy lat kultury, nasze tysiąclecie, trzeba oczyścić z pychy i megalomanii.

Udział w koreańskiej misji pokojowej, nie tylko dla mnie, stanowił ważną życiową lekcję. Wszyscy z dumą reprezentowaliśmy Wojsko Polskie w układach międzynarodowych, a jednocześnie pobyt poza granicami kraju nie pozostawał bez wpływu na naszą świadomość. W normalnych warunkach, żaden wojskowy nie miał szans wojażować po świecie. Jednocześnie pragnę zauważyć, że przy ewidentnych zewnętrznych pokusach, oficerowie dochowywali wierność swojej Ojczyźnie i do Niej powracali. Owszem, nieśli w sobie postanie, że Polska musi się szybko zmieniać i „cywilizować”, aby nie pozostać pariasem bogatego świata zachodniego.

Służba w pierwszej misji pokojowej, zapoczątkowała długą ewolucję narastania krytycyzmu wobec ideologicznych formułek obowiązujących w wojsku. Następne misje pogłębiały i przyspieszały to zjawisko. Kilka tysięcy oficerów „falami odpływało” i w innym stanie ducha powracało do swoich macierzystych jednostek. Żadna z armii państw bloku wschodniego nie była tak otwarta na udział w życiu międzynarodowym jak Wojsko Polskie i nie doświadczyła na sobie powiewu demokratyzacji. Skutki tego, wybuchowo dały znać o sobie w czasie przełomowych dni stanu wojennego. Obserwowałem to w Akademii Sztabu Generalnego. Reprezentanci naczelnego dowództwa ciągle jeszcze przemawiali „drętym” językiem, całkowicie różnym od świadomości podległej im kadry. Ona już wyczuwała pęknięcie w szwach socjalistycznej formacji w wydaniu radzieckim i nie bała się o tym głośno mówić.

Korea i Chiny, przez które wiodła droga powrotu, zetknęły nas z innym światem kultury, odrębnej, ale jakże bogatej i oddziaływującej na wyobraźnię, zakorzenionej w zamglonej głębi historycznej.

W trans-syberyjskim pociągu, który dniami i nocami, jednostajnie dudniąc, przybliżał nas do kraju, obserwowaliśmy smętną jednostajność bezmiernych przestrzeni Rosji. Graliśmy w brydża i rozpamiętywaliśmy koreańską przygodę. Gdybym próbował najkrócej zsyntetyzować wielogodzinne dysputy nie tylko kadry oficerskiej, ale także podoficerów i szeregowych żołnierzy, to powinienem się odwołać do toastu wzniesionego żenszeniówką przez nieodżałowanej pamięci kolegę, lwowskiego baciara, pułkownika – późniejszego generała – Tadeusza Jedynaka: „Wypijmy za nasz szczęśliwy los, który dał nam to wszystko zobaczyć i przeżyć”. Nic ująć, nic dodać.

7.2. Wietnamskie doświadczenia

W kraju, lata służby uciekały bardzo szybko. Zmieniały się stanowiska – Akademia Sztabu Generalnego, Attachał wojskowy w Londynie, brygada raketowa w Bolesławcu, Szefostwo Wojsk Raketowych i Artylerii we Wrocławiu, Wojska Obrony Powietrznej Kraju, Akademia Sztabu Generalnego – i każde było coraz ciekawsze. Aż nagle, po dwudziestu latach, na przełomie roku 1974 i 75, dobry los

znów skierował mnie do kolejnej pokojowej misji w Wietnamie. W tym czasie mówiłem już po angielsku i właściwie czułem się jak prawdziwy dyplomata.

Ostatnie dni w kraju były niezwykle gorączkowe. Finał pożegnania z Akademią Sztabu Generalnego miał miejsce w gabinecie komendanta. Generał dywizji Bolesław Chochy – wielkiej klasy żołnierz - zaprosił mnie na dłuższą pożegnalną rozmowę. Wyrażał przekonanie, że wyjazd na Daleki Wschód wzbogaci moją wiedzę wojskową i powróci mnie w lepszej kondycji na dydaktyczne „łono” akademii.

Zdażyłem jeszcze wpaść do generała brygady pilota profesora Zdzisław Żarskiego komendanta Wydziału Lotniczego. Ten wypróbowany przyjaciel, „od dnia urodzin fanatyk lotnictwa”, poprosił najpierw sekretarkę o podanie mocnej kawy i po małym – dwukrotnie to podkreślił – kieliszku koniaku. Szła za nim fama, że nie lubił tracić czasu i energii na puste słowa.

- Słuchaj Czesławie – mówił, patrząc mi w oczy – staraj się przede wszystkim dobrze zorganizować pracę sztabu i zastępców. Druga moja rada – uśmiechnął się zagadkowo – bądź odporny na wdzięki Wietnamek.

Znałem go ze skłonności do żartów, ale nie przypuszczałem, że utrafił w dziesiątkę¹⁰⁸.

W Sajgonie, polska delegacja w otoczeniu Węgrów, Indonezyjczyków i Irańczyków, zachowywała się jak ryba w wodzie. Procentował ogromny zasób doświadczeń, zdobytych w różnych zapalnych miejscach świata. Ponadto wszyscy przeszli intensywne szkolenie z języka angielskiego, prawa międzynarodowego, protokołu dyplomatycznego, struktury organizacyjnej i metod pracy międzynarodowej komisji.

W Wietnamie szybko się zaaklimatyzowałem i każdy dzień pobytu w tym umęczonym wojną kraju, wytwarzał we mnie coraz większy szacunek do Wietnamczyków i ich ojczystej ziemi. Byłem dumny, że porównanie z innymi delegacjami narodowymi wypadło dla nas korzystnie. **Szczególnie cieszyła mnie postawa młodych oficerów. Obserwowałem, jak się rozwijali, jak dojrzewali w tych niecodziennych warunkach. Okazywali odporność na trudy, opanowywali**

¹⁰⁸ Cz. Dęga, W pokojowej misji, Wyd. MON, Warszawa, 1977.

język angielski, z zapałem wykonywali swoje obowiązki. W kraju niełatwo było wyobrazić sobie, jak odpowiedzialne i wielorakie obowiązki spoczywają na każdym członku polskiej delegacji – od wielkiej dyplomacji do kancelaryjnej „biurokracji”. Kierownicy grup regionalnych, a nawet lokalnych, musieli przynajmniej raz w tygodniu występować i precyzyjnie formułować swoje stanowiska na „międzynarodowym forum”. Wymagało to dużego opanowania i taktu wobec każdej z delegacji. Reprezentacja munduru i kraju ojczystego narzucały styl postępowania: w kasynie, w biurze, podczas oficjalnych spotkań, w trakcie rozrywek sportowych, czyli zawsze i wszędzie. Wietnamska misja rozszerzała horyzonty myślowe i dosłownie „szlifowała” oficerów. Z drugiej strony otworem stał ciekawy egzotyczny kraj, ofiarujący wiele niepowtarzalnych przeżyć.

Każdego dnia stykaliśmy się z okrucieństwem wojny. Powszechnym zjawiskiem była bieda, okaleczeni młodzi chłopcy i niekończące się „procesje” żołnierskich pogrzebów. 28 września, na koktajlu zorganizowanym przez generała Csapo, z okazji dnia armii węgierskiej, zawarłem znajomość z attache wojskowym Australii pułkownikiem Raymondem Burnardem. Po raz trzeci pełnił służbę w Wietnamie Południowym. Dwukrotnie walczył w australijskich oddziałach u boku Amerykanów. Perfekcyjnie opanował język wietnamski i był zafascynowany Wietnamczykami. „Proroczo” twierdził, że za kilka miesięcy muszą nastąpić rozstrzygające wydarzenia. Tego rodzaju śmiały wniosek formułował na podstawie wielu zjawisk obserwowanych podczas wyjazdów w teren i rozmów prowadzonych z przedstawicielami różnych jednostek wojskowych i sztabów. Był pod wrażeniem opinii wyrażanych przez dowódcę pierwszego okręgu wojskowego. Ten bitny generał rozpaczał nad losem podległych mu żołnierzy, których codziennie ginęło ponad stu czterdziestu. Nie widział żadnych szans na zakończenie tej krwawej wojny domowej. Twierdził, że „defetyzm i ogólne zmęczenie rozprzestrzeniają się jak ogień”.

Znamienne dla tamtych czasów były słowa Daniela Ellsberga, które wyczytałem w „Papers on the War”¹⁰⁹: „Wojna weszła w ślepią uliczkę. Dwa lata przebyte w polu odarły mnie z wszelkiej nadziei na sukces naszych poczynań

¹⁰⁹ D.Ellsberg, Papers on the War, The Secret History on the Vietnam War, New York, July 1971, s. 2.

i jakąkolwiek zmianę". Przedstawiona przez autora sytuacja z końca lat sześćdziesiątych, pasowała bez zastrzeżeń do obrazu przez nas obserwowanego.

W podobnym tonie brzmiała wypowiedź Hausona Baldwina, znanego autora książek wojskowych¹¹⁰. Oto jego refleksyjna myśl: „Doświadczenie Wietnamu uczy, że zanim zapadnie decyzja o zaangażowaniu się w sprawy jakiegoś kraju, należy dokładnie zbadać koszty, jakie to za sobą pociągnie i zastanowić się, czy gra jest warta świeczki. Czy rzeczywiście życiowe interesy Stanów Zjednoczonych wymagały zaangażowania w wojnę wietnamską”.

W rozmowach z Amerykanami wyczuwało się, że niepowodzenia wojennej konfrontacji z biednym i prymitywnym Wietnamem wręcz ich szokowały. Admirał Noel Gayler, naczelny dowódca amerykańskich sił zbrojnych na Pacyfiku, tak podsumował przegraną „wyprawy wietnamskiej”: „Naprawdę chcieliśmy im pomóc i ustabilizować sytuację, ale w wielu wypadkach czyniliśmy na opak”.

Dwadzieścia terenowych grup funkcjonowały jak sprawny mechanizm. Wojskowa służba zdrowia miała w tym swój chwalebny udział¹¹¹. Polscy kierownicy byli oficerami z akademickim wykształceniem, bogatą praktyką służbową, a wielu posiadało nawet doświadczenia wojenne¹¹². Dowodząc 120 oficerami, podlegałem szefowi misji w randze ambasadora¹¹³. Raz w tygodniu odbywały się posiedzenia komitetu wojskowego. Naturalnie życie stale podrzucało sporne problemy, jednak zawsze były rozwiązywane w wyniku uargumentowanych polemik i wzajemnych ustępstw. Nawet najbardziej ostry w sądach Irańczyk gen. mjr Rassul Sadajfy szedł na „ugodę”, kiedy się przekonywał, że z naszej strony dominowała dobra wola. To już nie był ten czas naszpikowanych propagandą, początkowych lat pięćdziesiątych, kiedy to nawet „butelka Coca Coli parzyła w gardle”. Teraz mieliśmy „zakodowane”, że dla zachowania obiektywizmu, Komisja musi działać z dużą rozwagą i nie może stać się instrumentem żadnej ze stron. Ministerstwo Spraw Zagranicznych – poprzez ambasadora i jego cywilnych współpracowników – oddziaływało tonująco na wszelkie zagrożenia w strefie międzynarodowej polityki i dyplomacji.

¹¹⁰H. W. Baldwin, *Strategy for Tomorrow*, New York 1970, s. 11.

¹¹¹ Lekarze: Jerzy Adamus – obecnie profesor; Kazimierz Kowalczyk; Ludwik Rozen; Jan Czernicki.

¹¹² Pułkownicy: Aleksander Majchrzak, Stefan Rutkowski, Zygfryd Drozd, Czesław Zabięto, Franciszek Miernicki, Walenty Nowicki, Franciszek Czyżowicz, Mieczysław Szyszka, Mieczysław Kurek.

¹¹³ Ambasador Ryszard Fijałkowski – poliglota, sprawny dyplomata i zapalony tenisista.

W Sajgonie nie miałem żadnych zahamowań, aby korzystać z usług amerykańskiej biblioteki wojskowej. Z zazdrością przeglądałem kompletne opracowania o każdej dywizji, które walczyły w Wietnamie. Z osadem goryczy myślałem sobie, dlaczegoż to w polskich siłach zbrojnych – prawie 60 lat po wojnie – znajdują się tylko bardzo ogólne dane o naszym udziale w walkach na froncie wschodnim. Nie można się nawet doszukać grobów ofiarnych żołnierzy, którzy tyle trudu i poświęcenia dla Ojczyzny z siebie wydobyli.

W amerykańskich materiałach zawarte były arcyciekawe wnioski z przebytej kampanii wietnamskiej. Ukazywały trendy w rozwoju uzbrojenia i myśli operacyjno-strategicznej. Starłem się je dokładnie zgłębić, bo chciałem, aby stanowiły podkład dla mojej przyszłej pracy dydaktycznej i pisarskiej. Zawsze odczuwałem dumę, że udało mi się część z tych zamiarów urzeczywistnić i przez to wzbogacać „zawartość szarych komórek” oficerów wojska polskiego¹¹⁴.

Od marca 1975 roku, kiedy zaczęła postępować ofensywa wojsk Wietnamu Północnego, zaczęliśmy powoli „zwijać” terenowe grupy i przerzucać je do Sajgonu. Potem, kiedy wypadki potoczyły się lawinowo, my też musieliśmy przyspieszyć proces ewakuacji. Pomimo narastających trudności i niebezpieczeństw – w Pleiku, zrozpaczony tłum uciekinierów, przez kilka dni zatrzymywał międzynarodową grupę jako zakładników – udało się „planowo” ściągnąć wszystkich oficerów i podoficerów do sztabu. Nie zawiodłem się na żadnym z podległych mi żołnierzy. Wojenny rozgardiasz, ma swoje niepisane prawa i zagrożenia. Jednak we wszystkich sytuacjach zachowywali się odważnie, z godnością i zręcznie, jak przystało na dyplomatów. Na piątkę zdał egzamin mój sztab, jako że wykazał nieprzeciętną sprawność organizacyjną.

W pierwszych dniach kwietnia, zaprosiłem na obiad pułkownika Johna Medisona, amerykańskiego przewodniczącego delegacji do Czterostronnej Wojskowej Komisji Mieszanej. Zналиśmy się z wielu spotkań. Ceniłem go za bojową przeszłość – dwa lata walczył na Płaskowyżu Centralnym – usportowienie i spokojną rozagę. Podobało mi się jego globalne patrzenie na amerykańską przegraną. Dawał do zrozumienia – z nutką żalu - że rezygnując z Wietnamu, Stany Zjednoczone muszą zachować siły, aby lepiej zadbać o swoje ważniejsze interesy

¹¹⁴ Zasiliłem akademię sporą ilością bibliografii i własnych notatek, a na zajęciach zawsze sięgałem do wielorakich doświadczeń z wojny „wietnamskiej”.

narodowe, jak chociażby strategiczne stosunki z Japonią. „Najwyższy czas, abyśmy stąd odeszli, bo mam uczucie, jakby się dostały motyle do mego żołądka” – zaśmiał się na pożegnanie. Jest to prawie podobny dyskomfort do tego, który czuje Polak, kiedy mówi o połknięciu żaby.

Na podstawie osobistego doświadczenia – częściowo z Korei, a głównie z Wietnamu – mogę stwierdzić, że panował tam dobry klimat współpracy pomiędzy wszystkimi partnerami, uczestnikami misji pokojowych i Amerykanami. W styczniu 1975 roku, odznaczyłem medalem pamiątkowym Wojska Polskiego dwóch Amerykanów, managerów firmy logistycznej z Plejku i Da Nangu, za ofiarną pracę gospodarczą na rzecz polskich grup terenowych. Kilka dni przed upadkiem Wietnamu Południowego, podjąłem ich obiadem pożegnaniem. Jeden z nich, o nazwisku Moomaw – podoficer piechoty morskiej z czasów drugiej wojny światowej – szczyił się, że z Plejku zdołał uratować tylko kasę firmy i medal żołnierza polskiego. Ze wzruszeniem przyjąłem jego słowa.

Aby uświadomić moim drogim czytelnikom przyczyny „wietnamskiego kompleksu”, od którego Amerykanie nie mogli się otrząsnąć przez wiele lat, chciałbym im przypomnieć odcinek sajgońskiego obrazu z 29 kwietnia 1975 roku. Wojska Wietnamu Północnego stały na przedmieściach miasta, a od rana, pierwsze pociski spadały na główną bazę i port lotniczy w Sajgonie.

Samoloty transportowe nie mogły już lądować. Ewakuacja lotnicza została przerwana. Amerykanie zdążyli wywieźć drogą powietrzną około 24 tysiące bogatych Wietnamczyków. Na liście „zagrożonych” pozostawało ciągle jeszcze 140 tysięcy Wietnamczyków i 1500 Amerykanów.

29 kwietnia byliśmy świadkami ostatniej historycznej odsłony amerykańskiego zaangażowania militarnego w Wietnamie. O godzinie 10.45 prezydent Ford podjął decyzję o wprowadzeniu w życie - środkami czterdziestu okrętów wojennych - alarmowego planu ewakuacji „Option Four”. Obywatele amerykańscy od tygodnia mieli zapowiedzianą pełną gotowość. 29 kwietnia od godziny 11.00, co 15 minut radio nadawało umówiony sygnał: melodię „Białe Boże Narodzenie” i komunikat meteorologiczny – „temperatura w Sajgonie wynosi 105 stopni i stała wzrasta”. 1500 Amerykanów ruszyło na punkty zbiórek lub bezpośrednio na lądowiska śmigłowców. Zamykała się ostaną stroną historii

amerykańskiego zaangażowania militarnego w Wietnamie. Ponad 60 ogromnych śmigłowców utworzyło most powietrzny pomiędzy lądowiskami w Sajgonie a pływającą armadą.

Przed amerykańską ambasadą kłębiły się tłumy przerażonych: obwieszeni orderami generałowie, byli dyplomaci, biznesmeni, ministerialni urzędnicy, policjanci i prostytutki. Do któregoś śmigłowca wsiadł ostatni ambasador amerykański w Wietnamie Południowym Martin Graham. Kiedy zszedł na pokład okrętu, nie zdobył się na nic innego, jak tylko zakomunikowanie, że „jest głodny”.

30 kwietnia o godzinie 8.00 ewakuacja została przerwana. Według danych departamentu obrony helikoptery przetransportowały 1373 Amerykanów i 5680 Wietnamczyków. Podczas tej operacji zanotowano ostatnie straty Amerykanów w Wietnamie: zginęło dwóch żołnierzy piechoty morskiej i dwóch pilotów.

W jednej z gazet amerykańskich – mam to w dzienniku - znalazłem zdanie, które wydało mi się bliskie prawdy. „Upadek reżimu sajgońskiego, jakkolwiek przykry dla amerykańskich sfer rządowych, został przyjęty z ulgą przez cały naród amerykański, albowiem przerywał pasmo udręki moralnej, zrzucał kamień obciążający sumienie społeczne”.

Okres wietnamskiej wojny rodził permanentne stany napięć w Stanach Zjednoczonych. A jak to się odbijało w nastrojach wojska, pokazał to w swoich wspomnieniach generał Schwarzkopf: „My wojskowi, nie wybieraliśmy wroga ani nie wypowiedaliśmy wojen: robili to wybrani przez naród przywódcy. Tymczasem część hańby spływa również na nas. My żołnierze, marynarze, lotnicy, byliśmy wszak synami i córkami Ameryki, utrata poparcia społecznego była więc podobna do odrzucenia przez własnych rodziców¹¹⁵”. Zacytowałem to dosłownie, bo przypomina mi „jak ulał” sytuację żołnierza polskiego, który nie z własnych wyborów walczył na Wschodzie czy na Zachodzie.

Niejednokrotnie miałem kontakt z wieloma krajami Europy i Azji, ale żaden z nich nie wywarł na mnie tak głębokiego wrażenia jak Wietnam. Szlachetność, duma narodowa przeciętnych ludzi, niezapomniane piękno ziemi, fascynujące kobiety i odrębność kulturowa – wszystko to składało się na niezapomniane przeżycia. W sumie, przez dwadzieścia lat, 1360 Oficerów i podoficerów armii

¹¹⁵ General Schwarzkopf, Nie Trzeba Bohatera, Wydawnictwo Ryton, Warszawa 1993, s. 200.

polskiej wywiozło stamtąd olbrzymie doświadczenia natury politycznej, dyplomatycznej, wojskowej i filologicznej, które wzbogaciły dorobek profesjonalny i myślowy polskich sił zbrojnych. A jeżeli uwzględnić cały okres „socjalizmu”, aż do roku 1989, to w Korei, Indochinach, Egipcie i Syrii – największy udział Polaków – nie było wypadku zaistnienia przemocy fizycznej, ani innego rodzaju znieważenia żołnierza polskiego. W kontekście 17 tysięcy zatrudnionych widać, że zaangażowane strony szanowały przywileje i immunitety międzynarodowe.

Podział świata na antagonistyczne bloki – NATO i Pakt Warszawski – ujemnie oddziaływał na bezstronność pracy misji pokojowych. Ale nawet w tamtych niesprzyjających uwarunkowaniach, polscy oficerowie budzili zaufanie u skłóconych stron. Mając w pamięci własną historię, szczerze kierowali się chęcią przeciwdziałania wojnie i przemocy. Autorytet tworzył nam wojskowy profesjonalizm, życzliwość, cierpliwe świadczenie dobrych usług i świadomość, że jesteśmy reprezentantami społeczności międzynarodowej. Znaczną przeszkodę w „militarnej dyplomacji”, stanowiła słaba znajomość języka angielskiego wśród oficerów. **Na sukces polskich misji pokojowych składało się wiele czynników, ale ważne miejsce wśród nich zawsze zajmowała ofiarna praca służby zdrowia.**

Z wielkim sentymentem wspominam wszystkich oficerów i podoficerów, którymi miałem zaszczyt w misjach pokojowych dowodzić. Swoją postawą, poczuciem godności narodowej, szacunkiem dla cierpiącej ludności Korei i Wietnamu dawali najlepsze świadectwo polskim siłom zbrojnym.

Nam, wojskowym, pobyt w Wietnamie, w kulminacyjnym punkcie jego nowożytnej historii, pozwolił poczynić wiele interesujących spostrzeżeń, wzbogacić wiedzę i wyobraźnię, uwrażliwić się „antywojennie”. Nieprzypadkowo Irańczycy zaliczali oficerom okres służby w MKKiN, jako przebyty kurs doskonalenia. Rotacja, w której miałem zaszczyt pracować, mogłaby dostarczyć materiału do ciekawego studium. Podstawowa kadra cywilna, ponosząca odpowiedzialność za stronę polityczno – dyplomatyczną, składała się z osób młodej generacji - średni wiek 35 lat – świetnie przygotowanych i doskonale zorientowanych w problemach dalekowschodnich.

Kierowniczą kadre wojskowych stanowili oficerowie, którzy całe życie oddali wiernej służbie Ojczyźnie. Hartowała ich walka na froncie i w partyzantce. Przykładowo wymienię tylko kilka osób z całej plejady „wielkich nazwisk”: Aleksander Majchrzak, Walenty Nowicki, Władysław Rybacki, Stefan Rutkowski, Mieczysław Szyszka, Mieczysław Kurek i reprezentanci młodego pokolenia lekarz – obecnie profesor med. Jerzy Adamus oraz chorąży sztabowy Stefan Konieczny.

Pod koniec 1975 roku, Wietnam będący ważną lekcją mojego życia, usunął się w cień zaszłości, a treścią dnia codziennego znów stała się dydaktyka w Akademii Sztabu Generalnego. Akademia zawsze mi odtwarza siłę napędową.

7.3. Rodzaje operacji pokojowych

Aktualnie można wyodrębnić – czas wzbogaca słownictwo – następujące rodzaje operacji pokojowych ONZ:

⇒ „Peace – making” - Przywracanie pokoju. Polega na stosowaniu mediacji, nakłanianiu do pojednania, arbitrażu. W tym mieści się dyplomacja prewencyjna [preventive diplomacy]: inicjatywy dyplomatyczne mające zapobiegać powstawaniu sporów pomiędzy stronami, przeciwdziałać przeradzaniu się istniejących sporów w konflikty zbrojne oraz ograniczać ich zasięg w przypadku zaistnienia. Dyplomacja prewencyjna może wymagać zapobiegawczego rozmieszczenia sił wojskowych;

⇒ „Peace – keeping” – Nadzorowanie pokoju. Siły pokojowe wkraczają na prośbę jakiegoś rządu lub stron zaangażowanych w spór, w celu nadzorowania porozumienia o przerwaniu ognia lub wycofania wojsk z rejonu konfliktu. Następuje ustalanie faktów i obserwacja. Pośrednictwo w wymianie jeńców i rannych [dotychczasowa, tradycyjna forma działania sił pokojowych ONZ];

⇒ „Peace – enforcing” – Wymuszanie pokoju. Siły pokojowe są wprowadzane w rejon konfliktu bez zgody zaangażowanych stron, w celu wprowadzenia w życie polityczno – militarnych decyzji podjętych przez ONZ [wyciszenie działań wojennych, przeciwdziałanie aktom agresji, czasowe administrowanie określonym terytorium]. Przykładem takiego działania była operacja „Pustynna Burza”, wykonana na zlecenie Rady Bezpieczeństwa ONZ, zgodnie

z artykułem 43 Karty Narodów Zjednoczonych i antyterrorystyczne „uderzenie” amerykańskie w Afganistanie;

⇒ „Peace – Building” – Budowanie Pokoju. Odtworzenie instytucji i infrastruktury określonego państwa, aby mu stworzyć warunki do pokojowej egzystencji. Pomoc w utrzymaniu prawa i porządku;

⇒ „Protective Engagement” – Działania Ochronne. Użycie defensywnych środków militarnych, aby zabezpieczyć osłonę przestrzeni powietrznej lub zapewnić bezpieczeństwo działalności militarnej. Pomoc w rozminowaniu terenu.

Trzeba się pogodzić z myślą, że najbardziej wydłużonej przewidywalnej przyszłości, świat nie pozbędzie się krwawych konfliktów. Społeczność międzynarodowa nadal będzie zmuszona im przeciwdziałać stosownymi rodzajami operacji pokojowych. Tymi, które wymieniłem i innymi o nowym nazewnictwie.

Po tragicznym i brzemiennym w skutkach doświadczeniu uderzenia terrorystycznego na New York (11 września 2001r.), głowa i serce podpowiadają, że każda operacja pokojowa będzie już nosiła w sobie elementy czujności i gotowości do sprawnego przeciwdziałania zamiarom terrorystów. Z upływem czasu służb pokojowa staje się coraz bardziej niebezpieczna.

Mottem obowiązującym żołnierzy „pokoju” będzie: postępuj w myśl zasad Organizacji Narodów Zjednoczonych i stale miej oczy szeroko otwarte.

7.4. Co niesie przyszłość?

Obecnie, jeszcze bardziej niż w przeszłości, Polska będąc w rodzinie zachodnich sojuszników, nadal zdobywa sobie powszechne uznanie, za aktywność w wytwarzaniu klimatu międzynarodowego zaufania, ducha de'tente i wzajemnego zrozumienia. Głównym celem misji pokojowych niezmiennie pozostanie nadzór nad przestrzeganiem – przez zwaśnione strony – postanowień rozejmu. Cierpliwy, acz stanowczy arbitraż łagodzi napięcia, prowadzi do rozsądnych kompromisów.

Przyjmując jako punkt odniesienia wnioski z przeszłości, powinno się wiele uwagi poświęcać wszechstronnemu przygotowaniu kadry oficerskiej do operacji pokojowych. Każda z nich ma swoją, odrębną specyfikę. W przyszłości też będą występować w całej złożoności różnych trudno przewidywalnych odmian. Nie wolno

ignorować doświadczeń przeszłości. Użycie wojska, zawsze pozostanie ostatnim wymuszonym krokiem w sferze wysiłków pokojowych. Jeżeli jednak dobre intencje dyplomacji pokojowej mają odnieść sukces, musi je wspierać siła militarna.

Z biegiem lat, procesowi narastającej ich złożoności, towarzyszy militarne dostosowywanie się do nowych uwarunkowań. Ale, jakie to może przybierać skrajne położenia, wskazują sygnały ostrzegawcze z Kosowa, gdzie zapiekła nienawiść Albańczyków i Serbów, szalenie komplikuje działania misji pokojowej. Dobitnie mówią o tym żołnierze 21. Brygady Strzelców Podhalańskich – major Baran, kpt. Arkadiusz Wrona - którzy powrócili do kraju z Albanii, gdzie wchodzili w skład międzynarodowych sił humanitarnych (AFOR). Znajdowali się w sytuacjach bardzo zbliżonych do wojennych. Dowódca brygady płk Roman Klecha pochlebnie się wyraża o swoich podwładnych: "Powrócili do kraju z nowymi, istotnymi dla dalszej służby doświadczeniami".

Zanim dochodzi do użycia sił pokojowych, konieczne jest wcześniejsze dogłębne rozeznanie wielorakich problemów danego regionu: politycznych, ekonomicznych, religijnych, miejscowych tradycji, przejawów terroryzmu. Należy oczekiwać, że operacje pokojowe zawsze będą traktowane jako opcja najlepsza, najbardziej racjonalna, a jednym z ich priorytetów pozostanie zapewnienie bezpieczeństwa personelowi sił pokojowych.

Gen. bryg. dr Franciszek Gągor i płk dr Krzysztof Paszkowski, dwaj wybitni znawcy tej problematyki – wielokrotnie sięgałem do ich rozprawy doktorskiej¹¹⁶ - wyrażają opinię, że operacje pokojowe nadal będą kierowane z dotychczasowych ośrodków decyzyjnych, a ze względu na potencjał militarny i finansowy, NATO pozostanie centralnym uczestnikiem najważniejszych zamierzeń pokojowych. Wcale nie marginalną rolę spełniać będą uzgodnienia amerykańsko – rosyjskie, zakładające dobrą współpracę w tej dziedzinie. I rzeczywiście, obecne globalne zagrożenie terroryzmem potwierdza taką opinię.

Obserwuję z satysfakcją, że w wielu jednostkach wojska polskiego, przygotowanie do operacji pokojowych jest wkomponowane w program szkolenia. W siłach zbrojnych innych państw, też trwają poszukiwania takich rozwiązań, aby

¹¹⁶ Gen. bryg. mgr Franciszek Gągor i płk mgr Krzysztof Paszkowski, Międzynarodowe operacje pokojowe oraz ich miejsce we współczesnej doktrynie obronnej Rzeczypospolitej Polskiej, Zespołowa rozprawa doktorska, AON, Warszawa 1998.

wielość działań pokojowych znalazła się na „ścieżce” edukacji militarnej. Dla polskich ośrodków decyzyjnych, akademia obrony narodowej jest nieocenionym źródłem inspiracji w tej dziedzinie. W naszym interesie narodowym jest, aby Polska utrzymała swoją ważną pozycję wśród państw kontrybutorów operacji pokojowych.

Dla Polaków, nowym zjawiskiem w tej materii jest przygraniczna współpraca z Ukrainą i Litwą. Po utworzeniu wspólnych batalionów, tu i ówdzie rozlegają się utyskiwania, że utrzymywanie wielonarodowych jednostek w stanie gotowości do działań pokojowych, jest przedsięwzięciem trudnym i kosztownym. I to jest prawda, jako że wymagają wspólnych ćwiczeń, treningów, językowego szkolenia kadry, wyzbycia się „skorodowanych” uprzedzeń. Warto jednak, sięgając do dziedzictwa historycznego, zdobyć się na świadomość, że jest w tym wydarzeniu dalekowzrocza mądrość polityczna. To także – wspólnie z sąsiadami – najlepsza inwestycja w przyszłość.

Ogólny rozmach i liczba operacji pokojowych stale wzrastają. Trzyście misji zaistniało w ciągu pierwszych czterdziestu lat i trzydzieści pięć – w różnych konfiguracjach – po 1988 roku. Eksplozję ich odnotowano w 1993 roku. Liczba zgrupowanych uczestników w misjach – zarówno żołnierzy jak i cywili – przekroczyła 80 tysięcy osób z 77 krajów. A w ogóle, w operacjach pokojowych ONZ, do tej pory brało udział 750 tysięcy pracowników służb cywilnych i wojskowych. Tysiąc pięćset osób straciło życie w czasie tej „misyjnej” służby¹¹⁷. W sumie, jest to międzynarodowe przedsięwzięcie bardzo „kosztowne”, ale „tańsze” niż wojna.

Nie tak dawno temu, miałem przyjemność siedzieć, przy doskonałej kawie, w gabinecie pułkownika profesora Leopolda Ciborowskiego - szefa katedry rozpoznania akademii obrony narodowej. Z tym nieprzeciętnym oficerem, autorem wielu ciekawych publikacji, doszliśmy do zgodnej opinii, że operacje pokojowe, stanowią nową „gałąź” nauki wojskowej. Nadszedł czas, aby podjąć badania nad: wypracowaniem doktryny działań pokojowych; wzmocnieniem skuteczności użycia sił pokojowych; lepszą metodologią współdziałania organów cywilnych i wojskowych; dopuszczalnym ryzykiem; spójnością strategii działania i czasem zaangażowania sił pokojowych. A kiedy weszła do gabinetu pani Alicja Falkowska, profesjonalistka w trudnej dziedzinie prowadzenia sekretariatu katedry i zorientowała się o czym tak

¹¹⁷ Press Release, United Nations Information Centre, 50 lat Misji Pokojowych ONZ.

medytujemy, wyraziła przekonanie, że chociaż żołnierz polski służy w różnych miejscach świata, to jednak być może jest to jakiś drobny wkład w nasze własne bezpieczeństwo narodowe. Byłem zaskoczony trafnością jej wypowiedzi, która okazała się puentą naszych rozważań.

Osobiście, odnajduję w misjach pokojowych nadzieję, na bezpieczniejsze jutro obecnego świata, ale przebiegają one w bardzo skomplikowanym środowisku międzynarodowym. Stawiamy wiele pytań, na które nie ma odpowiedzi. Jak wykazały badania Pana podpułkownika Schwana – oceniłem je pochlebnie w rozdziale szturm młodych - uwidoczniły się najwyraźniej potrzeby w dziedzinie wzmocnienia rozpoznania i ogromne trudności w zrealizowaniu takiego zamiaru. Stało się to następstwem dążenia ONZ do pozyskania jak największej liczby państw, wydzielających kontyngenty wojskowe i nieudolności w korelowaniu ich wysiłków rozpoznawczych.

Pan ppłk Schwan, dla scharakteryzowania występującej skali trudności dowodzenia takim wielonarodowym „monstrum”, powołał się na pikantną wypowiedź brytyjskiego generała: "To call it frustrating, would be a big understatement – Nazwać to frustracją, byłoby dużym niedomówieniem (tłumaczenie własne)".

Kończąc ten rozdział, sięgnę jeszcze do wypowiedzi generała Michaela Rose, który pełnił funkcje dowódcy sił pokojowych w Sarajewie. W jego wspomnieniach znalazło się zdanie, będące celną syntezą przeżytych doświadczeń: „**Tamta misja wymagała ode mnie odwagi godnej żołnierza, cierpliwości polityka i zręczności dyplomaty**”. Zaadresowałbym to do wszystkich polskich oficerów, których ścieżki życia zaprowadzą do zaszczytnej służby w misjach pokojowych¹¹⁸.

7.5. Przygotowani językowo

Na przykładzie własnego życia odczułem, jakie szanse otwierał przede mną nowo poznany język. Jakże zbiory biblioteczne stawał do mojej dyspozycji. Jak w wielu trudnych sytuacjach ratował mnie z opresji.

¹¹⁸ A. Gogolewska, Kariera, Polska Zbrojna nr 6 luty 2000.

Przed wojną, każdy maturzysta miał doskonale opanowany jeden obcy język, przeważnie francuski i łacinę. Stąd przedwojenni oficerowie byli świetnie przygotowani „językowo”. Z najgłębszym szacunkiem wspominam swoją profesorkę z pińskiego gimnazjum, która uczyła mnie francuskiego. Pamiętam, że pani Iwona Grecka – Rabcewicz, urocza niewiasta, żona naszego łacinisty podporucznika rezerwy, rokrocznie spędzała wakacje w Paryżu. Nie wiem jak to się stało, ale po dwóch latach – wojna 1939 roku przerwała moją naukę w gimnazjum – cała klasa dość swobodnie pisała i mówiła po francusku. Z błyskiem entuzjazmu umiała rozbudzić nasze zainteresowania kulturą Francji, jej literaturą, historią tak, aby każdy z nas odnalazł swoje motywacje do intensywnej nauki. Na jej lekcjach, nie słyszało się ani jednego słowa polskiego. Przekonała nas, że poznając obcy język, pokonujemy poważną barierę na drogach naszego życia.

Potem przyszli Rosjanie, i trzeba było „z marszu” opanować język rosyjski, aby kontynuować naukę w szkole średniej. Po nich, w 1941 roku zjawili się Niemcy. Wówczas zacząłem gwałtownie uczyć się Niemieckiego. Szkoły były nieczynne, ale znajomość języka okazała mi nieocenioną pomoc w pracy na stoczni pińskiej a potem Petrykowskiej. Raz, kiedy zostałem aresztowany, pomogła mi dosłownie ująć z życiem. Natomiast na froncie, kiedy już walczyliśmy na kierunku drezdeńskim, wielokrotnie kontaktowałem się z niemiecką ludnością, aby zdobyć rozeznanie w zagnatwanej sytuacji.

W czasach Polski Ludowej, znajomość rosyjskiego pomogła mi ukończyć akademię artylerii w Moskwie, a potem bez żadnych zahamowań - wobec oficerów i generałów radzieckich - reprezentować Wojsko Polskie w czasie wspólnych ćwiczeń, strzelań poligonowych i układowych kontroli.

Pod koniec lat pięćdziesiątych – jako attache wojskowy – poznałem język angielski, a potem w końcówce służby, jako już zawansowany wiekowo ambasador, nauczyłem się języka hiszpańskiego.

Sięgnąłem do tych „migawek” z drogi mojego życia, nie po to, aby się przypodobać kolegom oficerom. Chciałem im uzmysłwić - nosząc w pamięci słowa szlachetnego pedagoga pani Greckiej - Rabcewicz - że z pełną determinacją uczyłem się nowych języków, aby zapewnić sobie komfort psychiczny i śmiałoj pełnić żołnierską służbę, najeżoną wieloma przeszkodami, co sami odczuwacie.

Podczas koreańskiej misji – nie okazywałem tego – czułem w sercu kompleks wobec oficerów Szwedów i Szwajcarów. Każdy z nich swobodnie korzystał z angielskiego, zaskakiwał nas pytaniami, serwował zawile wypowiedzi, a my, jak niemowły, nadstawialiśmy uszu na przekaz urokliwej – tylko takie były – tłumaczki lub „młokosa” płci męskiej. Nasz rosyjski, okazywał się w sprawach międzynarodowych prawie nieprzydatny.

Potem, kiedy poznałem angielski i hiszpański, przekonałem się ile mi mogą wyświadczyć „dobrych usług”. Otworzyły przede mną „wrota” do bezcennej bibliografii, ukrytej w książkach i czasopismach. Pozwoliły uczestniczyć w międzynarodowych sympozjach naukowych, wypowiadać się w sprawach profesjonalnych, dyskutować, przewodniczyć posiedzeniom wojskowych komitetów, występować przed dużymi gremiami reprezentantów wielu państw z różnych kontynentów.

Zdawałem sobie sprawę, że czasami wysyłany byłem w różne „zapalne miejsca” nie z miłości przełożonych, lecz z racji znajomości angielskiego. Pisałem już o tym, jakież to było dla mnie zaskoczenie, kiedy we wrześniu 1963 roku – tuż po „strzelaniach” raketowych w Kazachstanie – dowódca okręgu przekazał mi rozkaz ministra obrony narodowe, nakazujący oddelegowany mnie do irańskiej delegacji szacha Rezy Pachlavięgo. Moja „angielszczyzna” podarowała mi siedem bajecznych dni, spędzonych wśród cesarskiej świty w Warszawie, Krakowie i Gdańsku. Wychodziłem z siebie, aby godnie prezentować interesy wojska polskiego, ojczystą kulturę i problemy ekonomiczne.

W dniu pożegnania Irańczyków, znalazłem się wśród kilku osób, którym cesarz wręczył piękny order „TADI” – odpowiednik Krzyża Komandorskiego. Z dumą chwaliłem się nim przed wnukami.

Wielokrotnie reprezentowałem polskie siły zbrojne na dużych konferencjach międzynarodowych. Najsilniej emocjonalnie przeżyłem dwie. Pierwsza, odbyła się w listopadzie 1975 roku w Paryżu, w formie europejskiego sympozjum kombatantów, uczestników ruchu oporu, jeńców i ofiar wojny na rzecz rozbrojenia. Polskiej delegacji przewodniczył Włodzimierz Lechowicz, żołnierz Armii Krajowej, człowiek wielkiej kultury i patriota.

W nowoczesnym pałacu UNESCO, dużą grupę stanowili umundurowani wojskowi w stopniach od generałów, admirałów, aż po młodszych oficerów. Ja

występowałem też w mundurze. Moje „antywojenne” przemówienie, oparte na faktografii i własnych doświadczeniach frontowych, zostało przyjęte bardzo życzliwie. Przeprowadziłem wiele ciekawych rozmów, uczestniczyłem w uroczystości złożenia wieńca na grobie nieznanego żołnierza pod łukiem triumfalnym w Paryżu. A przed wyjazdem do kraju, francuskie stowarzyszenie kombatantów zorganizowało nam wycieczkę do kilku zamków nad Loarą.

Druga konferencja, niemniej interesująca, miała miejsce pod koniec lutego 1978 roku w Genewie. Ogromne międzynarodowe forum, zainstalowane w genewskim pałacu narodów, zajmowało się problematyką rozbrojenia. Naszej delegacji przewodniczył Józef Cyrankiewicz. O dziwo, pamiętał moją „przygodę z ćwiczeń na poligonie biedruskim, kiedy to jedno z dział błędnie strzelało, ale traktował to z uśmiechem jako niezamierzony, złośliwy chochlik.

W moim wystąpieniu – podobnie jak w Paryżu – unikałem akcentów politycznych i propagandowych. Koncentrowałem się na ewentualnych następstwach wojny jądrowej. Chociaż nie było jeszcze okropnego doświadczenia „Czernobylskiego”, miałem już wystarczającą wiedzę, aby przekonywująco mówić o bezsensie wyścigu i konfrontacji nuklearnej. W wielkim skupieniu sala wysłuchiwała posłania papieskiego. A w sumie, siedzieliśmy pełne trzy dni zastłuchani w mowach reprezentantów wielu państw, organizacji i najróżniejszych stowarzyszeń „walczących o pokój”. Przed opuszczeniem Genewy, Cyrankiewicz zaprosił nas do malutkiej restauracyjki – jest ich setki, jedna obok drugiej – gdzie zostaliśmy poczęstowani winem i darami morza. Zabawiał nas wojennymi wspomnieniami i wesołymi przygodami ze swojego premierowskiego życia.

Bardzo miłe wspomnienia, z moich językowych przygód, zachowuję z maja 1979 roku. Byłem wówczas głównym opiekunem kombatantów angielskich, wizytujących Związek Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBOWID). Na jej czele stał H. B. Whitehead - wiceprzewodniczący Królewskiego Legionu Brytyjskiego. Stale zachowywana była „angielska etykieta”. Odbyło się spotkanie u premiera, składanie wieńców na grobie nieznanego żołnierza i cała masa rozmów, aby wzmocnić współdziałanie obu kombatanckich organizacji.

Mógłbym jeszcze sięgać do dalszych zakamarków mojej „przyćmionej” pamięci, ale muszę siebie dyscyplinować, aby nie być posądzonym o próżność.

Jednocześnie sędzę, iż zdołałem przekona nie tylko oficerów, że język angielski stał się dla mnie kluczem do uatrakcyjnienia i wzmocnienia jakości własnego życia. Byłbym szczęśliwy, gdyby moja książka zainspirowała drogich mi oficerów do śmiałego podejmowania „językowych wyzwań”. Każdy poznany obcy język to wielka wartość.

Teraz, kiedy już jesteśmy w przyjaznym gronie wojsk NATO, ścieżki wielu oficerów będą zahaczać o Brukselę, o mieszane związki operacyjne, o przeróżne wspólne ćwiczenia doskonalące i wiele akademii wojskowych. A jeżeli ten front wzajemnych relacji, poszerzyć jeszcze o misje pokojowe i w niedalekiej przyszłości o wojska Unii Zachodnio-Europejskiej, to każdy oficer z dobrą znajomością angielskiego, a dwóch obcych języków tym bardziej, powinien mieć potężny ładunek wewnętrznej motywacji – w granicach mocy konwencjonalnych – do nauki języków. One go wspomogą w budowaniu atrakcyjnego „domu życia” dla siebie i rodziny.

W mojej filozofii wychodzę z założenia – co wielokrotnie już zaznaczałem – że w polskich siłach zbrojnych, wreszcie zaistnieją jasne reguły gry personalnej, promujące tylko oficerów najlepszych. Jedynym bezstronnym i sprawiedliwym narzędziem, powinny stać się okresowe bariery egzaminacyjne, a nie kaprys „szaro strefowych układów”.

Żałuję, iż nie dysponuję wynikami gruntownych badań, nad rzeczywistym stanem znajomości języka angielskiego wśród kadry oficerskiej. Ale, śledząc prasę wojskową i uważnie obserwując to co się dzieje w Akademii Obrony Narodowej, śmiem wnioskować, że narasta poziom motywacji i – sięgając do słownictwa dyplomatycznego - wszystko zmierza w dobrym kierunku. Akademia na pewno jest w czołówce. Kiedykolwiek mam okazję wdepnąć do profesorów - szefów katedr, zastaję ich przed komputerami, a na biurkach piętrzą się góry obcojęzycznych słowników i książek o tematyce militarnej. Każdy z nich ma wizję długookresowego rozwoju naszego wojska. Zachowując ten styl „wewnętrznego napięcia”, akademia pozostanie silnym źródłem pozytywnego oddziaływania na całą kadrę wojska.

Jestem zbudowany, że w prasie znajduję sporo wypowiedzi młodych „rozpalonych” oficerów – mjr Waldemar Janiak i ppor. Przemysław Krzyżykowski - którzy mają świadomość, że tylko „globalny język” umożliwi im wejść do międzynarodowych zespołów militarnych, realizować służbowe aspiracje i tam

prezentować profesjonalizm wojska polskiego¹¹⁹. Wiem, że narasta skala tego zjawiska, ale droga do osiągnięcia poziomu zachodnich armii NATO, jest jeszcze długa i wymaga ciężkiej pracy. Natomiast strategiczni decydenci wojska, powinni zapewniać oficerom – podobnie jak u sojuszników – godny status materialny, aby wzmocnić w nich motywacyjne „pobudzacze” językowe.

8. Ranga tradycji w kształtowaniu osobowości oficerów

8.1. Tradycje oficerskie w wybranych armiach

Tuż po wojnie, w latach pięćdziesiątych, kiedy pełniłem funkcje attache wojskowego w Londynie, z dużą uwagą obserwowałem wyjątkowe przywiązanie Anglików do swoich narodowych tradycji. Nadzwyczajna otoczka szacunku rozpostarta była nad królową i jej rodziną. I to się wyczuwało w rozmowach z najbardziej przyziemnymi ludźmi. Gwardia królewska, od niepamiętnych czasów, pełni rolę w tych samych mundurach i czarnych „niedźwiedzich czapach”. Anglicy są mocno zakorzenieni w swojej arcybogatej imperialnej historii.

W dniu urodzin królowej, londyńczycy z nieskrywanym entuzjazmem zjawiają się tłumnie, aby obserwować wykonywane na cześć monarchini popisy szkockiej orkiestry i jej gwardii. Jest to kolorowe widowisko, na które zawsze są zapraszani akredytowani w Wielkiej Brytanii dyplomaci.

Wieczorem, ta sama dyplomacja, plus „śmietanka” brytyjskiej arystokracji i elit rządowych, przedstawiciele generalicji, uczestniczą w przyjęciu, w królewskich salonach pałacowych. Jedyny raz, podczas mojej czteroletniej dyplomatycznej kadencji „mundurowej”, udało mi się zetknąć z legendarnym Winstonem Churchillem. Tę scenę ciągle mam w oczach. Działo się to w 1958 roku. Churchill był już „emerytowanym premierem”. Przechodząc z jednej sali do drugiej, w poszukiwaniu ciekawego towarzystwa, ujrzałem go siedzącego samotnie, z cygarem w ustach, na kanapie obok kominka. Widać było, że nie rozsadza go już energia. Raczej zdradzał człowieka obojętnego na wszystko. Pomimo starych stężonych rysów, widziałem w nim sławną osobę nasyconą prestiżem historii.

Ponieważ był sam i nikt z zatłoczonej sali – w tym momencie – nie decydował się podejść do niego, zorientowałem się, że mam niebywałą szansę!!!

¹¹⁹ Ppłk R. Preciszewski, Cienie na splendorze, Polska Zbrojna nr 3, Styczeń 2000.

Byłem w galowym mundurze, więc dość energicznie zbliżyłem się i głośno się przedstawiłem.

- I am colonel Dęga, polish military attache. From two years in Great Britain. I took part in the second world war. – Churchill nadstawił uszu, z ciekawością się uśmiechnął i nie wstając podał mi rękę.

- Sir! – zwróciłem się z zapytaniem. – Jakie ma Pan wspomnienia o polskim wojsku z okresu wojny?

- O yes, yes – pokiwał głową. Dobrzy żołnierze i wspaniali piloci. Dużo nam pomogli. – Potem pyknął kilkakrotnie cygarem i zastanowił się, krzyżując ze mną spojrzenie – Polska straszliwie ucierpiała w tej wojnie.

I na tym mój kontakt z Churchillem się urwał. Podszedł do nas jakiś starszy jegomość we fraku, bąknął do mnie „Sory” i już wiedziałem, że moje „pięć minut minęło”. **Churchill jeszcze raz dał mi znak głową, że mnie żegna. Zasalutowałem i „odpłynąłem”.**

Ambasador Milnikiel, gratulował mi tego spotkania.

- Panie pułkowniku – żartował – nie jeden ambasador chciałby mieć w życiorysie taką „pogawędkę” z Winstonem Churchilem. Mnie się to, do tej pory nie udało – uśmiechnął się.

W Anglii, każda jednostka wojskowa zachowuje „imiona” kolonialnych oddziałów, które wstawiły się na bitewnych polach różnych kontynentów, gdzie tylko były zagrożone interesy korony brytyjskiej. A w dzień święta „pułkowego”, wszyscy żołnierze zjeżdżają się do swoich „rodzinnych” koszar, aby wspominać czas służby. Są gośćmi dowódcy jednostki. Występują w jednakowo oznakowanych krawatach. Panuje rozluźniona koleżeńska atmosfera, jaką się obserwuje w angielskich „pabach”. Jest głośno, rozlegają się śpiewy i niema pijanych.

Kilkakrotnie uczestniczyłem – jako honorowy gość – w uroczystych obiadach „pułkowych”, organizowanych każdego miesiąca dla kadry oficerskiej. Nie mogłem wyjść z podziwu, jak to było elegancko zorganizowane. Stosując podobny styl – nie wspominając ani słowem skąd zaczerpnąłem wzorzec, bo to mogłoby się dla mnie marnie skończyć – z niezłym skutkiem nadawałem splendoru „mojej” drogiej osiemnastej brygadzie raketowej w Bolesławcu. Oczywiście, w brygadzie odbywało się to z połykiem, ale na poziomie polskich możliwości lat sześćdziesiątych.

U Anglików, wstępem do obiadu, był jednakowy rytuał. Przy napełnionych kieliszkach, dowódca prosił oficerów o powstanie i pierwszy toast zawsze wznosił za królową – „To the Queen”. Następnie, po krótkim słowie wstępnym, ubarwionym okolicznościową humoreską, przekazywał pełną karafkę alkoholu sąsiadowi z lewa. Ten napełniał sobie kieliszek, wznosił kolejny „wesół” toast i znów karafkę oddawał lewostronnemu koledze. I tak to trwało do ostatniego oficera. Swobodna atmosfera jednoczyła kadrę i jak się zorientowałem, nie miała żadnego ujemnego wpływu na dyscyplinę, którą w armii brytyjskiej nazwałbym wręcz „żelazną”. W takim dniu, obiad serwowano na historycznych nakryciach, przeważnie srebrnych. Nigdy nie widziałem „bełkoczącego” oficera. Tak to się odbywało, zgodnie z głęboką niezmienną tradycją. W jednym z artyleryjskich pułków – o tym już pisałem wcześniej - miałem wielką przyjemność spotkać się i rozmawiać z synem generała Kopańskiego¹²⁰. Jak sam przyznawał, został brytyjskim oficerem tylko ze względu na wojenne zasługi ojca.

Bardzo krótki i „powierzchowny” styk miałem z oficerami Bundeswhery. Nie wiem, jakie zwyczaje panują u nich w garnizonach, ale na seminariach w Akademii Obrony Narodowej, podczas prezentacji każdego z nas, co drugi oficer niemiecki szczylił się swoją długą, wielopokoleniową tradycją oficerską. Byli dumni, że niezmiennie, od czasów feldmarszałka Helmutha Moltkego – on taką zasadę wprowadził – rotacja oficerów na stanowiskach w Bundeswherze, odbywa się co trzy lata. A kiedy zadałem mu pytanie; - ile czasu na nowym stanowisku, oficer oczekuje na mieszkanie? Ze zdziwieniem stwierdził iż, to nie jest żaden problem. Wszystko odbywa się na bieżąco – uśmiechnął się zaintrygowany. Przytaknąłem mu z aprobatą, a w piersi poczułem ścisk serca, kiedy pomyślałem o tysiącach oficerów polskich, oczekujących na mieszkania.

Armia francuska, od wielu pokoleń, utrzymuje ukształtowane obyczaje i niezmiennie zasady postępowania w oddziałach legii cudzoziemskiej. Panuje w nich bezwzględny rygor i „anonimowość”. Liczą się nie „życiorysowe zaszczyty i pochodzenie”, lecz zasługi osiągnięte w służbie legii.

Amerykanie – znam to z opowiadań polskich oficerów, którzy studiowali w Stanach Zjednoczonych – z pietyzmem i rozmachem sięgają do swoich krótkich, ale intensywnych doświadczeń bojowych. Tworzą szacunek do zasłużonych osób, do

¹²⁰ Od V 1969: Generalny Inspektor PSZ na Zachodzie. Zmarł 23.III.1976 w Londynie.

sztandarów i broni, eksponując to w odpowiednich miejscach i salach. Uroczysty regulaminowy ceremoniał, zawsze nawiązuje do przeszłości.

W obecnej armii rosyjskiej – podobnie jak to zawsze tam było praktykowane – tradycja, opiera się głównie na szacunku do sławnych dowódców i naukowców, którzy wnieśli swój wkład do sukcesów mocarstwowej potęgi państwa. Znam to z autopsji. W akademii artyleryjskiej w Leningradzie i akademii rakiet strategicznych w Moskwie, istnieją sale historii uczelni, które de facto mają charakter wielkich muzeum, z rozbudowanym zapleczem naukowym. Pracownicy tych sal „pamięci”, prowadzą wykłady o historii akademii i jej wkładzie w rozwój nauki wojskowej i uzbrojenia. Naukowcy akademii są „sprzężeni” z ośrodkami badawczymi przemysłu zbrojeniowego. Jest to swoiste „sanktuarium” artylerii rosyjskiej.

Kilka lat temu, obserwowałem uroczyste pożegnanie absolwentów akademii w Moskwie. Odbywało się to z całym regulaminowym rytuałem, przed frontem baterii omszałych dział, które uczestniczyły w bitwie z Napoleonem pod Borodino. Wypożyczone na ten dzień z muzeum, stały cierpliwie na lawetach i kiedy padła komenda baczność (smirno), huknęły salwą – ślepej amunicji – aż wokół szyby zadrżały. Można sobie „dośpiewać”, jaki to jest emocjonalny zastrzyk dla młodego oficera.

Tradycje każdej armii, odzwierciedlają minione karty wielkich i małych wydarzeń z historii własnego narodu, jego kultury i zwyczajów. Wojsko przyswaja sobie to, co w dziedzinie bojowej osiągnęli jego poprzednicy.

8.2. Polskie militarne tradycje

W okresie przedrozbiorowym, kiedy państwo polskie pod względem terytorialnym i militarnym zaliczane było do kręgu potęg europejskich, w jego wojskach, panowały - jak na ówczesne czasy - bardzo postępowe tradycje. Armia funkcjonowała sprawnie, chociaż jej potencjał tworzyły wojska dwóch narodów - Polski i Litwy, będąc często wzmacniane siłami Tatarów, Kozaków i Rusinów.

Wystarczy sięgnąć do regulaminów z tamtych czasów polskiej świetności, aby przekonać się, ile w nich jest „demokratycznej” mądrości i wyrażanej troski o żołnierza. Pod ręką mam: „Regulamen Exercerunku dla Brygad Kawaleryi Narodowej i Pułków Przedniej Straży Woyska Obojga Narodów”, z lutego 1786

Roku¹²¹. Regulamin „firmowali” swoim autorytetem: „Hetmani Koronni y Litewscy wraz z Departamentem Woyskowym Obojga Narodów”. Zatwierdził go „JEGO KRÓLEWSKA Mość Pan Nasz Miłościwy. Słowem wstępny opatrzył Ludwik Tyszkiewicz Hetman Polny Wielkiego Xięstwa Litewskiego”. Oto kilka jego paragrafów.

- §1. s.2 „Zaprzysiężone Artykuły Woyskowe, powinien Szeregowy stale y niezmiennie dochować, w niczym onych nie natuszając. Wierność i posłuszeństwo Najjaśniejszemu Panu i Rzeczypospolitey, mieć za cel naypierwszy (co jest fundamentem w całej służbie) tudzież uszanowanie Przełożonym powinno, które od naymłodszego do naystarszego ma być zachowane”.

- §2. s.2 „W koleżeństwie z Swemi Kamratami, jakiegokolwiek Imienia Żołnierzem Rzeczpospolitey, w Chorągwi, lub Szwadronie, w Brygadzie lub w Pułku, tudzież innych Regimentów i Pułków tak Jazdy, jako i piechoty, także z Sprzymierzonym z Rzeczpospolitą Woyskiem, gdy w tym zaydzie ogłoszenie, zachować się w harmonii, miłości i zgodzie powinien, niedając nigdy okazji do zwady y kłótni”.

- § 3. s.2 „To się ma ścierać do Obywatelów Kraju naszego, albo nam sprzymierzonego, którym obowiązany podług każdego urodzenia, godności y stanu czynić upoważanie, zachowując obyczajność przyzwoitą, a przez to zasłużyć sobie na miłość u wszystkich dobrocią, przeciwnie zaś nie narażać onych na nienawiść ku sobie”.

- § 7. s.144 „Pułkownik, podpułkownikowi przykaże, aby przynajmniej raz w tydzień Lazaret rewidował, a przeto, aby chorym nie zbywało na wygodzie i lekarstwach: sam zaś Osobą Swoją naymniej co dwie niedziele tenże Lazaret zrewidować powinien, co się ma rozumieć y o chorych na kwaterach leżących”.

- § 1. s.215 „Xsiądz Kapelan ze wszystkim dependować ma od Komendanta Brygady czyli Pułku, Mszą Świętą gdy rozkaże miewać, Żołnierzy spowiadać y Komunikować, mianowicie na Wielkanoc, chorych w Święte Sakramenta opatrywać, przy Spowiedzi zagrzewać ludzi do pełnienia obowiązków,

¹²¹ Wydany w Warszawie w drukarni Nadworney JK. Mci y pp. Kom: Eduk: Narod: Roku 1786.

y wierność poprzysiężoną Najjaśniejszemu Królowi Jmci y Rzeczypospolitey, za jedną z najpierwszych powinności stawiać im przed oczyma będzie”.

Z każdego zdania tych paragrafów, przebija stała troska o dyscyplinę i równoległe o kulturalne zachowanie przełożonych wobec podwładnych oraz sprawiedliwe ich traktowanie. Z regulaminu „przemawia” mądrość polityczna ówczesnego państwa polskiego, które za cel nadrzędny stawiało – przed każdym żołnierzem – takie zachowanie wobec „koalicjanta”, aby nie naruszało spójności „Obojga Narodów”.

W okresie przedwojennym, który trwał zaledwie lat dwadzieścia, tradycjom wojskowym nadawano najwyższą rangę. Słusznie, dopatrywano się w nich siły motorycznej, przyspieszającej scalanie wojska polskiego, złożonego z żołnierzy trzech zaborów: austriackiego, niemieckiego i rosyjskiego.

Przede wszystkim szukano wzorce w głębokich wolnościowych tradycjach, kiedy to oficerów polskich wyróżniały: patriotyzm, rycerskość, tolerancja, osobista kultura, charakterystyczny „fason” oraz dobra znajomość swojego „rzemiosła”. Oczywiście, w dużym stopniu dom, a głównie szkoły oficerskie i wyższa szkoła wojenna, formowały charaktery i „ubierały” młodych zapaleńców w oficerskie maniery.

W moim „banku” pamięci utrwalał przedwojenny świat Pińska, w którym stacjonował – jak już o tym wspominałem - 84 pułk piechoty i marynarze flotylli rzecznej. Każdego roku, na początku września, w centrum miasta na obszernym placu 3 Maja, odbywało się uroczyste powitanie pułku powracającego z manewrów. Kiedy naciskam klawisz pamięci z 1938 roku, a byłem wówczas uczniem drugiej klasy gimnazjum i sztandarowym – obok Janka Adamskiego, po wojnie znanego aktora krakowskiego – wówczas widzę jak na ekranie defilujące pododdziały. Wszystkie roczniki naszej „budy”, entuzjastycznie witały swoich żołnierzy. To stało się naturalną tradycją kresowego Pińska. Wojsko cieszyło się ogromnym autorytetem. Nie wyobrażałem sobie także naszego miasta bez zawadiackich marynarzy i święta marynarki wojennej.

Przed wojną, we wszystkich garnizonowych miastach, z całą pompą obchodzone były dni pułkowe i apele poległych. A w stolicy, wielkie uroczystości państwowe zawsze miały swój centralny akcent przed grobem nieznanego żołnierza.

Ponad to, szkoły opiekowały się cmentarzami wojskowymi i w programach miały zaplanowane spotkania z oficerami. A wszystko po to, aby od najmłodszych lat rozbudzać w młodych sercach miłość do kraju, a pośrednio i do ludzi w mundurach, którzy już oddali swoje życie w walkach o wolność lub byli gotowi go poświęcić.

Potem wojna i koszmarne lata okupacji potwierdziły, że patriotyczne wychowanie zdało egzamin. Młodzież, podobnie jak wojsko, nie wahała się w obronie Ojczyzny stawiać swoje życie na jedną kartę. Z mojej gimnazjalnej pińskiej klasy, wszyscy chłopcy brali udział w walkach frontowych lub w działaniach konspiracyjnych¹²².

Zgrupowanie partyzanckie imieniem Jeszcze Polska nie Zginęła, z którym los mnie złączył, było dużą formacją zbrojną, liczącą 14 oddziałów bojowych, nazwanych głównie imieniem wielkich Polaków. Panujący w zgrupowaniu duch miłości do Ojczyzny, wyniesiony z rodzinnych domów, potęgowany był świadomością czerpaną z tradycji zawołania „jeszcze Polska nie zginęła”. Nie bez znaczenia były też nazwy oddziałów, odwołujące się do osób, które nigdy nie chciały się pogodzić z rozbiorami Polski. Do dnia dzisiejszego moi koledzy „leśni chłopcy” – każdy już dawno przekroczył siedemdziesiątkę – wciąż szczycą się swoimi oddziałami: Kościuszki, Puławskiego, księdza Brzózki, Emilii Plater... I każdy wydaje się bardziej bojowy od pozostałych¹²³. Wielkim wsparciem były dla nas pieśni wojskowe, partyzanckie, ludowe, a w święta kolędy. Leśna brać była rozkochana w śpiewie.

Szczególną rolę spełniał sztandar, który zawsze był symbolem najwyższych wartości. Z jego udziałem odbywały się różne patriotyczne uroczystości i towarzyszył

¹²² W marcu 2000 r. spotkałem się z kolegą szkolnym Henrykiem Popowem i ten z zadziwiającą pamięcią odtworzył historię każdego kolegi.

¹²³ Stany liczebne partyzantów, którzy weszli w skład 1 AWP:

1. Oddział im. Tadeusza Kościuszki – 176;
2. Oddział im. Romualda Traugutta – 98;
3. Oddział im. Emilii Plater – 84;
4. Oddział im. Zawiszy Czarnego (część) – 158;
5. Oddział im. Bartosza Głowackiego – 107;
6. Oddział im. Stanisława Żółkiewskiego – 38;
7. Oddział im. Kazimierza Puławskiego – 65;
8. Oddział im. Jana Henryka Dąbrowskiego – 84;
9. Oddział im. Adama Mickiewicza – 87;
10. Oddział im. Jana Kilińskiego – 145;
11. Oddział im. Stefana Czarnieckiego (część) – 80;

Zwiad Główny

- 31

Razem: 1153

Sprawozdanie Sztabu. Centr. Arch. WP, sygn. 229/62/53.

nam we wszystkich sytuacjach bojowych, udanych i mniej udanych. A my też byliśmy mu wierni na bezdrożach Polesia, Wołynia, Podlasia i Lubelszczyzny. Teraz odpoczywa w centralnym muzeum wojska polskiego Ostatnio odwiedził go partyzant Janek Koziński. Kiedy mi opowiadał o tym „spotkaniu”, uśmiechnął się figlarnie, a potem rzekł.

- Stałem przed nim wyblakłym jak my wszyscy i na pewno rozmyślającym nad swoją „wojenną awanturą”, którą pokrywa coraz ściślejsza mgła zapomnienia. Na pewno, podobnie jak nam, wydaje mu się nieprawdopodobne, że w tym wszystkim uczestniczył.

W szeregach drugiej armii wojska polskiego, jako podporucznik, pełniłem funkcje dowódcy plutonu artylerii. Czas przygotowań do frontu i potem ciężkie walki z wojskami korpusu pancernego „Grossdeutschland” a następnie feldmarszałka Schornera, nie sprzyjały rozmyślaniom nad tradycją. W pułku była garstka oficerów Polaków „zatopiona” w morzu Rosjan. Wszyscy byli w polskich mundurach, walczyli dzielnie i pozostają w mojej pamięci jako dobrzy koledzy i profesjonalni dowódcy. Wielu z nich oddało życie walcząc o naszą wolność. Natomiast brudną politykę strategiczną, prowadzili ich wysocy przełożeni i kremlowscy decydenci. Już wówczas zdawaliśmy sobie sprawę, że Zachód nie przejmuje się Polską i bez emocji pozostawił nas swojemu losowi. W takiej sytuacji, zgodnie z tradycją zrywów powstańczych i czynów zbrojnych żołnierzy o wolność Ojczyzny, poszliśmy walczyć u boku wschodniego sojusznika, święcie wierząc, iż jest to konieczne dla dobra Polski.

Podczas kombatanckich posiedzeń wyrażamy zgodną opinię, że nasz udział – żołnierzy 1 i 2 armii Wojska Polskiego – w krwawych bitwach na wschodnim froncie, wywarł decydujący wpływ na korzystne ukształtowanie polskich powojennych granic. Chociaż de facto zależały one tylko od „kaprysów” Stalina, jednak zachowując pozory sojuszniczej wdzięczności wobec polskiego wkładu militarnego, wykreślił na mapie linię graniczną przesuniętą kilkanaście centymetrów na zachód.

W przeciwnym wypadku, moglibyśmy się ostać drugorzędnym, karłowatym państwem. Naiwnym jest myślenie, że londyński rząd emigracyjny mógłby to samo „wytargować”. Tamten czas decydował o kwestii naszego narodowego przetrwania.

Kiedykolwiek spotykamy się w naszej drogiej szkole w Łęczycy – imieniem Zgrupowania Jeszcze Polska nie Zginęła – razem z żołnierzami Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich, z oburzeniem przeciwstawiamy się wszelkim prymitywnym politycznym insynuacjom, że jedni z nas oddawali swoje życie na „lepszych” a drudzy, na „gorszych” frontach. Przy każdej okazji wyrażamy wdzięczność kadrze dydaktycznej, kierownictwu szkoły¹²⁴ i kuratorium, że tyle serca wkładają w patriotyczne wychowanie młodzieży.

Po wojnie, z upływem lat, na wszystkich szczeblach mojej wojskowej służby obserwowałem coraz śmielsze odradzanie się przedwojennych tradycji jak: święta jednostek, rocznice walk, pogrzeby w żołnierskiej oprawie, szacunek do sztandaru, zjazdy rodzinne na przysięgi żołnierskie, mianowania na oficerów. W Akademii Sztabu Generalnego – jak daleko sięga moja pamięć – katedra artylerii bardzo dostojnie obchodziła dzień swojej broni w dniu Świętej Barbary 4 grudnia. Uroczysty obiad jednoczył „armatnio-rakietową” społeczność, nastrajał do wspominków, oddalał brzemień codziennych kłopotów, mobilizował do dalszej służb. Z każdym toastem wzrastała tonacja żartobliwych pochwał kierowanych pod adresem ukochanej artylerii.

Od lat sześćdziesiątych, pozytywne przekształcenia obserwuje się w treściach regulaminów, w wypowiedziach na łamach myśli wojskowej i w dydaktyce akademii sztabu generalnego. Z drugiej strony, do końca lat osiemdziesiątych, w tradycji „personalnej” wojska – na skutek czujności aparatu politycznego – następowała bardzo powolna ewolucja w uznawaniu zasług przedwojennych wybitnych dowódców i teoretyków wojskowych. Zawsze zazdrościłem lotnikom, którzy wykazywali więcej śmiałości w uzewnętrznianiu swoich tradycji. Akademia sztabu generalnego będąc nadzwyczaj postępową w dydaktyce, nie miała jednak „w sobie odwagi”, aby – podobnie jak to czynią Amerykanie i Rosjanie – na korytarzach i w salach rad naukowych czy senatu, umieszczać portrety wielkich synów wojska i uczelni. Oni byliby „naocznymi” łącznikami ciągłości naszej militarnej tradycji.

Kiedy jesteśmy już w NATO, kultywowanie własnych tradycji godne jest potraktowania z najwyższą uwagą. W interesie polskiej racji stanu jest, aby nasze

¹²⁴ Magistrzy: Piotr Guz, Elżbieta Guz, Jacek Zgierski, Marta Jachymek, Jolanta Szymańska, Jan Zaorski (były pracownik kuratorium w Lublinie).

wojsko trwało mocno przy swoich korzeniach i utrzymywało swoją narodową tożsamość. Naród nie szanujący swojej historii i tradycji, nie ma przyszłości.

Procesy restrukturyzacyjne, zachodzące w wojsku polskim, pozwalają mieć nadzieję, że w okresie pierwszej dekady nadchodzącego tysiąclecia, zostanie ono sprowadzone do stosunkowo małej, lecz jakościowo odmiennej siły militarnej.

Wstępując do NATO, nasze wojsko „weszło” w zachodnioeuropejski świat, wyprzedzając nas daleko pod względem standardów życia, osiągnięć technologicznych i przeciętnego poziomu cywilizacyjnego.

Osobiście nie mam wobec „zachodu” żadnych kompleksów, bo łaskawy los dał mi w życiu szansę poznać go z różnych stron. Jednocześnie zawsze miałem świadomość, iż nasze „zacołanie” stało się wynikiem wielu złożonych przyczyn historycznych, z których my Polacy powinniśmy wyciągnąć odpowiednie wnioski. Uznaję za zgodną z moim poglądem myśl przyjaciela pułkownika Stanisława Lewandowskiego, zasłużonego dla akademii dydaktyka docenta, zachowującego zawsze racjonalny optymizm, który wyraża pogląd że: „czterdziestomilionowy naród polski, ze swoją tysiącletnią kulturą, centralnie umiejscowiony w Europie, jest w stanie względnie szybko nadrobić „zaległości” materialne i technologiczne. Natomiast może też wzbogacić unurzane w konsumpcji społeczności zachodnie, swoją bogatą kulturową „innością” i większym uduchowieniem”.

Kondycja tożsamości wojska polskiego w NATO i jego zdolność do zachowywania swoich tradycji - by nie było skazane tylko na spożywanie globalnej „papki” zachodnich sojuszników - zależeć będzie od poziomu intelektualnego i profesjonalnego politycznych decydentów. Oni muszą mieć wizję i świadomość kierunku, w którym podąża Europa i świat. Od nich zależeć będzie, w jakim stopniu rozbudzą oficerskie potrzeby ambitnego rozwoju, bo sukcesy uskrzydłają.

Z drugiej strony, dbając o tradycje, Polacy nie mogą wyróżniać się spośród swoich układowych kolegów – zwłaszcza w rozmowach - cierpięciznym nurzaniem w historii, ani nadużywaniem rycerskiego etosu i skrzydeł husarskich. Dominować powinien zdrowy rozsądek w poszukiwaniu dla nas najlepszych dróg ku europejskiej przyszłości. Znaczną inspirację dla moich myśli, czerpię z polemicznych artykułów generała profesora Stanisława Kozieja zamieszczanych w prasie wojskowej. Ten głęboki człowiek, z benedyktyńską cierpliwością i dociekliwością,

zapładnia środowisko oficerów tematyką teorii sztuki wojennej i obronności. Tylko nowoczesne wojsko, sprawne informatycznie, dysponujące wykształconą kadrami, może wpływać na zmianę istniejącego w Europie „podskórnego”, negatywnego stereotypu Polaka. Jak by to nie było przykre, cudzoziemcom nasz kraj kojarzy się z klerykalizmem, biurokracją, korupcją i życzliwością¹²⁵.

Spełniając rolę opiniotwórczą każdy oficer powinien „utrzymywać husarię” w głębokim odwodzie. Radziłbym często sięgać do czasów drugiej wojny światowej, kiedy byliśmy wobec zachodu lojalnym sojusznikiem ponoszącym ogromne ofiary. Może szczyć się całą paletą polskich technologicznych osiągnięć okresu międzywojennego i powojennego, w którym wybitną rolę odegrała wojskowa akademia techniczna. Mając solidne wsparcie pięknych tradycji i świadomość, że nasz historyczny bilans dwudziestego wieku jest na pewno dodatni, polscy oficerowie w NATO mogą stale chodzić z podniesioną głową.

Rozwijając w sobie wizję historyczną, nie możemy zapominać, że polskich oficerów zawsze cechowały – chociaż nie były im obce liczne przywary – odwaga i rycerskość, osobista kultura i charakterystyczny „fason” raz dobra znajomość swojego „rzemiosła”. Oczywiście, w dużym stopniu dom, a w największym szkoły oficerskie i akademie formułują charaktery i „ubierają” młodych zapaleńców w oficerskie maniere.

Ze smutkiem trzeba skonstatować, iż w kilkudziesięciu powojennych latach – w ramach „pozbywania się burżuazyjnych naleciałości” – kadra oficerska, a w dużym stopniu i generalska, zostały pozbawione „połysku”. Stąd, szkolnictwo wojskowe musi mozolnie nadrabiać zaległości. Wiem, że będzie to proces długi, jako że dobrych wzorców w tej materii jest za mało.

9. Oficerowie dyplomaci

9.1. Różne odcienie dyplomacji

W 1954 roku, kiedy już na dobre zacząłem się zakorzeniać jako dydaktyk w Centrum Wyszkożenia Artylerii w Toruniu, wezwał mnie do siebie komendant – generał Eugeniusz Laszko i tajemniczym głosem poinformował, że departament

¹²⁵ M. Ostrowski, *Polonia na Wydaniu*, *Polityka* nr 32 (2257), 5 sierpnia 2000.

kadr proponuje mi „wyjazd do Korei na misję dyplomatyczną”. Całkowicie mnie zaskoczył i zdezorientował. Dopiero w Warszawie wyjaśniło się, że chodzi o udział w pokojowej misji, pod auspicjami ONZ.

Jakiś czas, sformułowanie generała Laszki, wydawało mi się „podszyte humorem”, ale już na pierwszym wykładzie dyrektora departamentu MSZ – podczas kursu przygotowawczego – usłyszałem zdanie o podobnej treści:

- Obywatele oficerowie – zaakcentował. - Wraz z oficerami Czechosłowacji, Szwajcarii i Szwecji utworzycie Międzynarodową Komisję Kontroli i Nadzoru, w której znaczna część waszej pracy będzie miała charakter działań dyplomatycznych.

Potem, kiedy zacząłem uczestniczyć w posiedzeniach komisji, w pracach stałych i wyjazdowych grup kontrolnych, zacząłem sobie powoli uświadamiać, na czym polega rola spełnianej przez nas dyplomacji. Było to skrócone „abecadło dyplomacji”, ale z biegiem lat mojego życia, wzbogacało się o coraz szerszy zestaw liter. Jednak już tam w Korei, zorientowałem się, że dyplomacja nie jest czarną magią, lecz realizacją określonych celów, przede wszystkim w interesie własnego państwa.

Dyplomacja, jako forma realizacji polityki zagranicznej, występuje na różnych poziomach władzy państwowej: prezydenta, premiera, ministerstw oraz w niezliczonych gremiach i organizacjach międzynarodowych. Od wieków, pojęcie dyplomacji kojarzy się z ambasadorem – przedstawicielem akredytowanym przy obcym rządzie i osobami wchodzącymi w skład placówki dyplomatycznej. Z zasady, w takiej reprezentacji, występuje także attache wojskowy, chociaż formalnie jest usytuowany na niższej „półce” - (radcy).

Oczywiście, najbardziej „rasową dyplomację”, reprezentuje ambasador podporządkowany bezpośrednio ministerstwu spraw zagranicznych i osoby z kręgu najbliższego jego otoczenia [radcy, konsulowie, sekretarze]. Działają oni zgodnie prawem i protokołem dyplomatycznym, regulowanymi konwencjami międzynarodowymi. Osoby te korzystają z określonych przez prawo międzynarodowe przywilejów dyplomatycznych.

Obecnie, wszystkie liczące się w świecie państwa, mają stworzony system edukacji, uwzględniający potrzeby nowoczesnej dyplomacji.

9.2. Dyplomacja „oficerska”

Reprezentantem kadry oficerskiej, na stałe „zakotwiczonym” w dyplomacji, jest attache wojskowy, który może pełnić funkcję także attache do spraw morskich i lotniczych. Jego zadania uzależnione są od państwa do którego został akredytowany. Jeżeli znajduje się w kraju przynależnym do NATO, z którym nas łączą szczególne stosunki sojusznicze, to koncentruje się na problemach usprawniających więzi współdziałania. To może dotyczyć zamierzeń w dziedzinach operacyjno – strategicznych, technologicznych, szkoleniowych, wzajemnych wizyt, wymiany informacji.

Natomiast, kiedy pracuje w ambasadzie położonej w innym kraju, jego pole zainteresowania skupione jest na siłach zbrojne danego państwa, kierunkach ich rozwoju i w jakim stopniu ewentualnie mogą zagrażać bezpieczeństwu własnej Ojczyzny. Powinien czynić starania, aby relacje pomiędzy dwoma armiami – naszą i kraju przebywania - rozwijały się w duchu wzajemnego szacunku i przyjaźni.

Szanowni moi czytelnicy. Wątek dyplomacji attache wojskowych, jest dla mnie w założeniach książki, tematem ubocznym. Dotyczy on tylko pojedynczych, specyficznie szkolonych – nie w znaczeniu pejoratywnym - oficerów.

Natomiast w obecnych czasach „ery globalnej”, świat się szalenie zmienił. Znaleźliśmy się w przyspieszonym ciągu zaskakujących odkryć. Szeroko się otworzyły granice przed tysiącami polskich oficerów, którzy „gromadnie” występują poza ojczystym krajem. Często nie zdają sobie sprawy, że przebywają w środowisku zbliżonym do dyplomacji i muszą się do niego odpowiednio dostosowywać. Wreszcie, w ich żołnierskiej służbie spełniają się najskrytsze marzenia mojego wojennego i powojennego pokolenia. Chciało by się to nazwać wielkim zadośćuczynieniem.

W przeciwieństwie do stanu rzeczy sprzed rozpadu Związku Radzieckiego, teraz całe „strumienie” oficerów płyną do misji pokojowych, do sztabów NATO, na długo i krótkookresowe szkolenia w uczelniach państw sojuszniczych, na ćwiczenia, konferencje naukowe, konsultacje i któż wie dokąd jeszcze. A każdy z nich, w zależności od usytuowania służbowego, walorów rozumu i walorów serca, mógłby de facto stanowić, mniejszą lub większą „częstką” polskiej dyplomacji. Wypada teraz odpowiedzieć na pytanie, w czym to się właściwie powinno przejawiać?

Często, bardzo często sam się nad tym zastanawiałem i kiedy już – na podstawie własnych doświadczeń – wypunktowałem sobie zarys odpowiedzi na to zawile „pytanie”, umówiłem się w kameralnej kawiarni – przy restauracji „Ambasador” - z doświadczonym dyplomata dużego kalibru Stanisławem Matoskiem. Przy filiżance kawy i tradycyjnej lampce dobrego trunku, wyłuszczyłem mu swój problem. Jak przystało na rasowego wielokrotnego ambasadora, mój przyjaciel podjął wyzwanie. Zastanowił się dłuższą chwilę i stwierdził, iż tego nie da się ująć w jednym zdaniu. Był przekonany, że „dyplomacja oficerska”, pomijając attache wojskowych, ma sporo swojej specyfiki, zabarwionej zadaniami militarnymi.

W sprzyjającej inscenizacji, dyskusja była długa, ale wreszcie doszliśmy do wspólnych następujących wniosków.

- Oficerowie, stanowiąc podstawową warstwę inteligencji wojska polskiego, są predysponowani do kreowania dobrego wizerunku Polski w świecie. Służba w różnych punktach globu ziemskiego, daje im szansę pozytywnego oddziaływania na rozległą opinię publiczną. Wyjeżdżając z kraju, powinni być do takiej roli przygotowywani, aby stale mieć „na oku” dbałość o interesy narodowe i sojusznicze.
- Naturalnie, każdy oficer w pierwszym rzędzie, jest kompetentnym żołnierzem – profesjonalistą, który wzorowo wypełnia swoje obowiązki zawodowe. W sytuacjach ekstremalnych – obserwowanych na Bałkanach – zachowuje się odważnie, ale z rozwagą. Często sięga do środków dyplomatycznych – negocjuje, perswaduje, ale jako dowódca, zdecydowanie stara się panować nad rozwojem sytuacji.
- Oficerowie, wychowywani w duchu patriotyzmu, muszą podjąć wyzwanie budowania autorytetu i umacniania pozycji polskiego wojska w NATO. Będzie to długi proces, zależny nie tylko od postępowania samych oficerów. Ich „zapleczem” powinna być nowoczesna, operatywna i mobilna armia. Dopiero jakość tych dwóch filarów, oficerów i armii, tworzyć będą autorytet i miejsce Polski wśród sojuszników.
- Podstawową zasadą postępowania każdego dyplomaty, a więc i oficera, jest szacunek dla kraju przebywania, dla narodu, panujących zwyczajów. Już przed wyjazdem zapoznaje się z jego historią, kulturą, sytuacją ekonomiczno-

-polityczną. Powinien mieć dobre rozeznanie, w jakim stanie są stosunki danego kraju (regionu) z Polską i w jakim kierunku należałoby je uaktywniać.

- We wszelkich wymianach poglądów, należy szanować partnerów i ich kraje. Zachowywać powściągliwość w ocenach, ale nie bać się wyrażać własnych sądów i opinii. W zasadzie, wypowiedzi polityczne, powinny być zbieżne z oficjalną wykładnią prezentowaną przez ministerstwo spraw zagranicznych. Trzeba jak ognia unikać formułowania uproszczonych „wziętych z sufitu” prognoz. To podrywa zaufanie do oficera. Lepiej odważnie przyznać się do swojej niewiedzy w omawianym przedmiocie. Normalną zasadą jest stosowanie wzajemnej dyskrecji.

- Bardzo ważną cechą „oficera dyplomaty” jest jego moralny autorytet. Zdobywa go profesjonalną wiedzą, honorowym zachowaniem, umiejętnością formułowania swoich myśli, prawdomównością. Codzienną postawą potwierdza lojalność wobec własnej Ojczyzny i Sojuszu. Prawość i szlachetność oficera są źródłem ogromnej siły. Opinia o takiej osobowości, jak fale na jeziorze, rozprzestrzenia się w międzynarodowym środowisku, w którym wykonuje obowiązki służbowe i przysparza chwały nie tylko armii. Podobnie jak w wojsku polskim, w sztabach i międzynarodowych związkach NATO istnieje „nieformalna giełda” oficerów duże formatu.

- Dobrą zasadą oficera dyplomaty, jest stale „bycie sobą”. Nie odgrywanie sztucznej roli, należnej komu innemu. Będąc człowiekiem inteligentnym, wszechstronnie odczytanym i pewnym zawodowo, potrafi się „dopasować” do każdego otoczenia, nosząc stale w pamięci reprezentowane wojsko i swoją Ojczyznę. Elegancki w zachowaniu, kompetentny oficer, gdziekolwiek przebywa, sugestywnie tworzy pozytywny obraz swojej armii. **Ambasador Stanisław Matosek radziłby oficerom uwzględniać w swoim postępowaniu angielskie przysłowie: „Honesty is the best policy – Uczciwość (rzetelność) jest najlepszą polityką”.** I kolejna rada: „dyplomaci planują swoje działania”.

- Oficer i jego małżonka, muszą być dobrze zorientowani w elementarnych regułach „Savoir-Vivre’u”, polegających na respektowaniu zasady wzajemności (re’ciprocite’) i umiaru. Odpowiada się na zaproszenia; przestrzega się obowiązujących strojów; potrawy winny uwzględniać tradycje kulinarne gości; podaje się odpowiednie do potraw alkohole; nie zmusza się gości do

picia lub jedzenia; zachowanie punktualności; starsi stopniem i wiekiem pierwsi wyciągają ręce na powitanie.

- Jakby to nie było przykre, częstym zjawiskiem wśród polskich oficerów, jest tendencja do popisywania się swoją alkoholową „pojemnością”. Zjawisko to występuje pod byle pretekstem: imienin, urodzin, państwowych i kościelnych świąt, odznaczeń, awansów. Przeważnie, ta „pojemność” jest daleko mniejsza, niż „obleczony” w wojskowy stopień „dyplomata” sądzi. Wówczas nieuchronnie następuje blamaż. Zachodni oficerowie nie mają takich pseudo tradycji.

W moich wieloletnich kontaktach z niezliczoną ilością: Anglików, Amerykanów, Niemców, Francuzów, Hindusów, Indonezyjczyków i reprezentantów innych narodowości, nie zetknąłem się z oficerem zamroczonym, bez sensu bełkotliwym, kompromitującym siebie, swoich kolegów i wszystkich rodaków. A na dodatek, w finale takiego ponurego „spektaklu”, przełożeni naszego oficera przeważnie wykazują wiele tolerancji i wielkodusznej tolerancji. Jak widać, sami nie rozumieją, że świat już się zmienił i powinno się inwestować tylko w osoby dysponujące sprawnymi „hamulcami” antyalkoholowymi.

- Dyplomacja jest także sztuką zachowania się. Oficerowie, którym w zagranicznym życiu służbowym towarzyszą małżonki, mają dodatkowe szanse zdobywać „punkty” dla siebie i wojska polskiego. Aby tak się stało, małżonka powinna być do takiej trudnej roli przygotowywana. Z oczywistych powodów, najważniejszym warunkiem do wspólnego sukcesu, jest dobre opanowanie języka angielskiego. Wszystkie inne, są pochodną tego pierwszego. Zaliczyłbym do nich: dobrą znajomość protokołu towarzyskiego (spotkania, przyjęcia, pożegnania); umiejętność gry w brydża; ciekawe zainteresowania – zwłaszcza literackie i przeróżne hobby – byle na poziomie swojego statusu społecznego. Oficerska rodzina, zaznaczona wielostronną żywotnością, świadczy o bogactwie jej wewnętrznego życia. Taki stan będzie prawdziwym fermentem korzystnego oddziaływania na środowisko polskie i zagraniczne. Z moich obserwacji wynika, iż żony mają w sobie dużo wrodzonego talentu do naturalnego obracania się w świecie „dyplomatycznych manier”.

- Oficer – a wielce pożądane, aby to dotyczyło także jego szanownej małżonki – z racji swojego militarne go zawodu, powinien nie żałować czasu na sport.

Polecałbym szczególnie tenis. W moim życiu, pomagał mi obracać się wśród ciekawych ludzi. Kontakty towarzyskie, nieraz przeradzały się w długotrwałe przyjaźnie. Tylko sport pozwala utrzymywać własne ciało w odpowiednich ryzach i nadawać oficerowi piękną sylwetkę. Ze wstydem i boleścią, nieraz mój wzrok zatrzymuje się na prasowych zdjęciach. Patrząc na uśmiechnięte twarze, wysokich rangą, „ottuszczonych” polskich żołnierzy, stojących u boku swoich „żylastych”, sprawnych fizycznie aliantów. Widzę w tym, nie tylko kontrast „cielesny”. To także dystans kulturowy i świadectwo innego traktowania „gotowości bojowej”. Nieraz pomijam milczeniem uwagi cywilnych sąsiadów, wyrażające niepokój: - jakim wzorcem, tacy zaokrągleni „panowie”, mogą służyć swoim podwładnym i czy będą w stanie sprostać wymogom prawdziwej wojny? - Przeważnie „uciekam” od dyskusji na ten śliski temat, bo dręczy mnie identyczny niepokój.

Swego czasu w Sajgonie, dość często spotykałem się na kortach z Indonezyjczykami i Irańczykami. Wszyscy oni – pod wpływem szkoły angielskiej - co miesiąc kontrolowali swoją wagę. Tłumaczyli mi, że utrzymywana w ciągu trzech miesięcy nadwaga, eliminuje ich ze służby i kariery liniowej. Każdy z nich uprawiał intensywnie biegi. Na szczęście, wówczas nie miałem powodów do kompleksów, bo moi podwładni oficerowie, też nie stronili od „pracy” nad swoją kondycją fizyczną.

Szanowni panowie oficerowie. Aby dobrze odgrywać rolę „wojskowych dyplomatów”, trzeba stale mieć oczy otwarte. Nie wstyďte się uczyć od lepszych „aktorów” i pamiętajcie o swoich narodowych korzeniach. Miejcie mądrość, aby wykrzesać w sobie i u małżonek wielki ładunek motywacji do pracy w niezmiernie ciekawym zagranicznym środowisku. To wielkie wyzwanie być reprezentantem swojego wojska poza terenem kraju. I warto sobie też uświadamiać – twierdzenie rosyjskiego myśliciela Wasilij Razanowa – że „człowiek wchodzi w świat, ale i świat wchodzi w człowieka”.

10. Rola kobiet w siłach zbrojnych

Nie dysponuję pełnymi danymi o udziale kobiet w służbie wojskowej poszczególnych państw świata, ale są one wystarczające, aby wyrazić opinię, iż nasza armia w tym względzie jest niepokojąco „zacofana”.

Pewnym usprawiedliwieniem może być bardzo ograniczony stan własnych tradycji i aktualnych doświadczeń. Ciągłe jeszcze kołacze się zmurszały pogląd, że kobiety reprezentują piękną płęć słabszą, którą ród męski powinien otaczać jakąś wymagowaną opieką. I to dominuje jeszcze do dnia dzisiejszego. Niestety, w wielu miejscach, ta wydumana „słabość” jest wygodnym pretekstem do spychania roli kobiet na pozycje drugorzędne. Wojsko też jeszcze jest pod ciśnieniem takiej „opiekuńczej” atmosfery i w zasadzie, powodowane „dobrymi intencjami”, ustawia przed Paniami kolczasty płótek dyskryminacji.

Osobiście obserwowałem sporo kobiet zaangażowanych w sprawy militarne, z różnych pagórków mojej życiowej drogi. We wszystkich wypadkach, swoim zachowaniem i solidnym traktowaniem obowiązków, zdobywały moje uznanie i szacunek.

Już w odległych czasach partyzanckich, w zgrupowaniu im. Jeszcze Polska nie Zginęła – na Wołyniu, Polesiu, Podlasiu i Lubelszczyźnie – znajdowało się kilkadziesiąt dziewcząt, rozrzuconych po różnych oddziałach, które w niczym nie ustępowały swoim męskim kolegom¹²⁶. Żadne słowa nie są w stanie oddać ich zasług. Były patriotyczne, ofiarne, urodziwe. Wrosły nierozzerwalnie w nasze leśne życie, dzieliły z nami jego trudy i radości, służyły przykładem poświęcenia. Pełniły funkcje liniowych „żołnierek”, zwiadowców, kucharek, sanitariuszek, maszerowały setki kilometrów szlakiem partyzanckiej doli. Uczestniczyły w wielu akcjach bojowych. Każda była inna, ale wszystkie zawsze pogodne, dbałe o swój wygląd. Weźmy dla przykładu dwie z nich. Jako pierwsza, niech będzie Stasia Gaczyńska z oddziału im. Tadeusza Kościuszki. Dzielna dziewczyna, wyjątkowej urody, niejednemu z nas zawróciła w głowie. Albo Stasia Lech – smukła, dobrze zbudowana, o ciemnych lśniących włosach spiętych z tyłu, trzymała się na koniu jak prawdziwa amazonka. Szczególną odwagą odznaczyła się w bitwie pod Lutyńskiem. Zawsze byliśmy dumni z naszych dziewcząt.

¹²⁶ Zofia Drózd–Satanowska; Stanisława Lech (Kasperczak); Stanisława Pająk; Stanisława Szafarczyk (Surma); Wanda Kraszewska (Baczyńska); Jadwiga Rożkowska; Józefa Mikołajczyk; Marysia Boczkowska; Halina Bielecka (Kunicka); Wanda Czerska; Janina Husarek; Kazimiera Lehan; Helena Łobaczewska; Antosia Polak; Krystyna Poseł; Danuta Walczak; Anna – Wanda Lisinkiewicz; Helena Lemiesz; Stanisława Gaczyńska; Stanisława Dolata; Żydóweczka „Rózia”. Inne niech mi wybaczą, bo odeszły z pamięci.

Na Podlasiu i Lubelszczyźnie, zgrupowanie ściśle współdziałało z Batalionami Chłopskimi. Dopiero tam się przekonałem, w jakiej skali były zaangażowane w bojowej konspiracji dziewczęta wiejskie. A na podstawie dość płytkiej znajomości bibliografii wojennej, wyobrażam sobie, jakie ogromne rzesze Polek działało w Armii Krajowej. Dla uzupełnienia obrazu, trzeba jeszcze uwzględnić bezgraniczną ofiarność dziewcząt walczących w szeregach 1 i 2 armii na froncie wschodnim, w powstaniu warszawskim oraz ich udział w armii generała Andersa.

Jesienią 1944 r., kiedy stałem się dowódcą plutonu artylerii, dziewcząt w pułku nie widziałem. W odróżnieniu od pierwszej armii, gdzie udział kobiet był mocno zaznaczony, w drugiej armii – nie wiem z jakich powodów – formowanej przecież na wyzwolonych terenach polskich, dowództwo nie zdobyło się na podobne rozwiązanie. A jednak na froncie, kiedy zostałem ranny i przetransportowany do radzieckiego szpitala polowego, codzienną opiekę nade mną sprawowały Rosjanki. Tam przekonałem się, z jakim poświęceniem i troskliwością wykonywały swoje obowiązki. W morzu żołnierskich cierpień, wśród młodych ludzi z amputowanymi kończynami, z potwornymi ranami twarzy, wśród pozbawionych wzroku, uwijały się dniem i nocą. Mam wobec nich zaciągnięty dług wielkiej wdzięczności.

Podobne niespłacone, powojenne długi, mam wobec sanitariuszek Polek. Jako obrośnięty w lata żołnierz, nieraz odbywałem „staż” w warszawskim szpitalu wojskowym. Przekonałem się, że natura uzbroiła „słabe” kobiety w nieograniczone pokłady cierpliwości i gotowości niesienia pomocy dla każdego z nas, postępujących, zadufanych w sobie „rycerzy”.

W roku 1954, kiedy po raz pierwszy zdobywałem ostrogi w służbie misji pokojowej w Korei, stale mnie podniecały nasze umundurowane tłumaczki. Urodziwe absolwentki Uniwersytetu warszawskiego. Anna Bratkowska i Jadwiga Pastecka, - pozostałe były takiej samej klasy - mogłyby z powodzeniem uwodzić najbardziej wybrednych „chłopaków”. Gdziekolwiek się pokazywały, cały męski ród międzynarodowej komisji – Polacy, Czechosłowacy, Szwajcarzy i Szwedzi – zwilżał zasuszone wargi i jak na komendę, skręcał głowy w kierunku polskich żołnierek. A one, zawsze miały swój „dobry dzień” i prezentowały się jak prawdziwe modelki. Ponad to, były pracowite i promieniujące patriotyzmem. Pod ich spojrzeniem, każdy z oficerów wypinał zasłużoną pierś i chodził sprężysto jak na defiladzie.

Czterdziestoletni okres socjalizmu, utrzymywał siły zbrojne w „twardym” męskim wydaniu. Tu i ówdzie zdarzały się mikro odstępstwa od tej zasady, głównie w służbie medycznej. W tamtym czasie, nie bez znaczenia był „promieniujący” przykład armii radzieckiej i w skali globalnej, permanentnie dający znać o sobie, stan napiętej konfrontacji pomiędzy światem socjalizmu i kapitalizmu. Oba te czynniki nie sprzyjały śmielszym eksperymentom z kobietami w wojsku.

Wreszcie, kiedy nastąpił rozpad bloku wschodniego i Polska stała się członkiem NATO, powiały „nowe wiatry”. Decydenci – mam na względzie kolejne „ekipy” ministerstwa obrony narodowej – wielokrotnie „przepychając” wojsko przez chybotałe pomosty restrukturyzacji, zaczęli uświadamiać sobie, że kobiety w armiach zachodnich, z każdym rokiem powiększają swoją reprezentację. Ze smutkiem trzeba odnotować, że nasze rodzime doświadczenia wojenne – o skali nie spotykanej na świecie – zostały zapomniane.

W armii amerykańskiej, już na początku lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, zgromadzono sporo doświadczeń, aby wysnuć wniosek, że umundurowane kobiety mogą radykalnie wzmocnić ich nowoczesny potencjał militarny. Jednocześnie, ogólnonarodowy ruch kobiet na rzecz pełnego równouprawnienia, też stanowczo upominał się, o uwzględnienie ich wojskowych aspiracji.

Ze zdumieniem przeczytałem krótką notkę w encyklopedii, z której wynika, iż pomiędzy rokiem 1972 i 1990, reprezentacja kobiet w amerykańskich siłach zbrojnych wzrosła z 1 do 11 procent. Jest to najwyższy wskaźnik ze wszystkich armii świata. W 1990 roku, 230 000 kobiet służyło w różnych rodzajach wojsk podległych departamentowi obrony. Ponad to 2700 znajdowały się ochronie wybrzeża (Coast Guard), a 147 000 kobiet w oddziałach rezerwy. W sumie tworzyło to potężną siłę liczącą 380 000 kobiet. I ten wzrostowy trend utrzymuje się do dnia dzisiejszego, bo kobiety wniosły do amerykańskich sił zbrojnych nowego ducha i nowe pokłady jakości¹²⁷.

Amerykanie szczególnie uważnie przeanalizowali udział swoich „żołnierek” w wojnie z Irakiem i nie doszukai się najmniejszych argumentów podważających celowość takiego rozwiązania. Wręcz odwrotnie. Okazuje się, że kobiety całkowicie

¹²⁷ Encyclopedia of the American Military, Volume II, Charles Scribner's Sons, New York, s. 469.

zaakceptowały wojenne trudy włącznie z niebezpieczeństwem, fizycznym wysiłkiem i stałym napięciem psychicznym. W mieszanych pododdziałach, żołnierze płci męskiej zachowywali się kulturalniej i lepiej wykonywali swoje obowiązki. Tam gdzie występował „zintegrowany wysiłek”, zawsze wyzwały się dodatkowe pozytywne bodźce i dominowała chęć najlepszego wykonywania zadań. Odmienność płci miała znaczenie drugorzędne.

10.1. Kobiety w wojsku „jutra”

Na progu nowego tysiąclecia, które nasz wybitny futurolog Stanisław Len obdarzył nazwą kwantotechnologii, wszelkie przewidywania są trudne¹²⁸. To w pełni dotyczy także wojska: jego uzbrojenia, sposobów działania, dowodzenia i naturalnie „wnętrza ludzkiego”. Jednak, kiedy się obserwuje globalne „przetrasowania” socjalne w społeczności cywilnej, zmierzające do pełnego równouprawnienia kobiet w każdej dziedzinie życia, to nawet lekko odczytany laik pojmie, że fala tego procesu rozprzestrzeni się także na wojsko.

Amerykanie, znani ze swego pragmatyzmu, jako pierwsi – o czym już sygnalizowałem – zdecydowali się na oryginalne i śmiałe rozwiązanie, w postaci szerokiego włączenia kobiet do wojska. Jedną z takich pań, w stopniu kapitana, miałem przyjemność poznać w Akademii Obrony Narodowej, gdzie odbywała szkolenie. Pół żartem mi się „zaliła”, iż w wielu sytuacjach upominała się, aby – z racji kobiecości – przestano ją traktować wśród mężczyzn z uprzywilejowaniem.

Z jej ostrości zachowania wnioskowałem, że była przygotowana do śmiałego podejmowania wyzwań. Nie omieszkała opowiedzieć mi jako humoreskę, iż przed wyjazdem do Polski została uprzedzona, aby całowanie w rękę – zwyczaj w tym kraju powszechny – nie traktowała jako molestowania seksualnego. Oczywiście wprawiła mnie w dobry nastrój, a przy rozstaniu pożegnaliśmy się, jak przystało na żołnierzy, obustronnie energicznym uściskiem dłoni.

Inną, ale też znamienne obserwację poczyniłem, podczas seminarium polskich i niemieckich oficerów (25-29. X. 1999) w Akademii Obrony Narodowej. W grupie „militarnej” naszego zachodniego sąsiada, znajdowała się przystojna

¹²⁸ S. Lem, U progu kwantotechnologii, Rzeczpospolita, 30 marca 2000.

młoda politolog – nie odważam się operować nazwiskiem – której błyskotliwe wystąpienie zostało wysłuchane niemal w nabożnym skupieniu. Widać było, że rozsadza ją energia. W ciągu całego seminarium, kilkakrotnie występowała z kompetentną i rzeczową polemiką. Znakomicie dopełniała oschłe referaty swoich męskich kolegów.

Wówczas zrozumiałem, że armia niemiecka, podobnie jak amerykańska – chociaż w mniejszej skali – śmiało podjęła grę z tradycją. W ich mentalności była to prawdziwa rewolucja. W Niemczech od wieków, kobiety znajdowały się „na zapleczu” spraw męskich. Ich rola sprowadzała się do macierzyństwa i odpowiedzialności za prowadzenie kuchni.

Kilka miesięcy później przeczytałem wywiad z gen. broni Helmutem Willmannem, generalnym inspektorem Bundeswhery. Utwierdził mnie w przekonaniu, że Niemcy postępując z rozwagą, nie wahają się już otwierać drzwi koszar przed swoimi kobietami. Oto dosłowna wypowiedź generała Helmuta Willmanna: „Z paniami w mundurach zetknąłem się, gdy dowodziłem ze Strasburga Eurokorpusem. Kobieta – Francuzka – była pilotem mojego służbowego samolotu. Panie służyły też w sztabach jednostek hiszpańskich, które wchodziły w skład Eurokorpusu. Nie zauważyłem, by wywiązywały się ze swych służbowych obowiązków gorzej od mężczyzn. Dlatego należy stwarzać im warunki do robienia kariery także w siłach zbrojnych, co dla armii może tylko wyjść na dobre¹²⁹.”

U nas, sądząc z moich własnych obserwacji i wycinkowych reportaży prasowych, można dojść do wniosku, że pozytywny proces też został „uruchomiony”. Skala jego na razie jest w fazie słabo zarysowanej, ale – jak zwykli mawiać politycy – wszystko wskazuje na to, że czynniki zewnętrzne i wewnętrzne nadadzą mu przyspieszenia. Już teraz młode Panie, działając z konsekwentnym uporem, zdołały opanować kilka mocnych przyczółków. Dotyczą one głównie wojskowych służb medycznych i psychologii. Jest to niewiele, jednak porównanie dwóch kolejnych lat podpowiada, że dobra tendencja już się zaznaczyła. Jeszcze jesienią 1999 roku w polskiej armii służyło niewiele ponad 180 kobiet, a w oku 2000 było ich prawie 240.

¹²⁹ Od polityki do poligonu, Polska Zbrojna nr 10, Marzec 2000.

W roku szkolnym 2000, na wyższych uczelniach wojskowych i w szkołach chorążych zaczęło naukę blisko 140 dziewcząt. Prawie połowę z tego stanowią indeksy Wojskowej Akademii Technicznej¹³⁰. Sprawia mi radość, że 10 dziewcząt dostały się na studia w Wyższej Szkole Wojsk rakietowych i artylerii, z którą miasto Kopernika zrośnięte jest „od wieków”. Artyleria w każdej armii cieszy się szczególnym prestiżem.

Sądzę, że przyspieszenia tego pozytywnego zjawiska można oczekiwać w kilku najbliższych latach. Pod wpływem „nacisków” NATO, wojsko zacznie się stabilizować i pojawi się perspektywa normalnej kariery dla kadry oficerskiej i podoficerskiej. Wówczas, młode inteligentne Polki, dostrzegą w takiej armii interesującą drogę do własnego celu i sensu życia.

Śmiem przepowiadać, że za lat dwadzieścia, w kadrze wojskowej znajdzie się kilkanaście procent kobiet, które bez kompleksów będą się wspinały po szczeblach służby. Warto myśleć o takiej „inwestycji”, chociaż na pierwszy rzut oka, może się wydawać trudna do udźwignięcia. We wszystkich armiach obowiązują podobne zasady, jakby żywcem wyjęte z przysłowia: „Kto nigdy nie był poddanym, rzadko bywa dobrym panem”. A obecnie, no cóż, ze smutkiem i zrozumieniem czytam „zawiedzioną” opinię Pani kpt. Beaty Laszczak: - Nie da się powiedzieć, że armia jako miejsce robienia zawodowej kariery jest wśród kobiet szczególnie popularna¹³¹.

Ponieważ od kilku lat mam przyjemność prowadzić wykłady dla kadr cywilnych, na Podyplomowym Studium Strategiczno – Obronnym Akademii, zawsze z uwagą odnotowuję obecność kilku pań. Sądząc z własnych obserwacji, a także opinii dyrektora studium pana profesora Witolda Pokruszyńskiego, są to osoby bardzo odpowiedzialne. Przeważnie wywodzą się z wysokich urzędów państwowych i mają świadomość, że nauka obejmująca swoim obszarem strategię obronną i bezpieczeństwo państwa, umacnia je zawodowo.

Nie wiem czemu to przypisać, ale w konfrontacji z grupą, w której obserwuję zaciekawiony wzrok choćby jednej pani, mobilizuje się do maksymalizacji belferskiego wysiłku i bardziej kontrolowanego zachowania. Mogę sobie wyobrazić, jak „pęcznieje” korzystny duch przyszłych pilotów szkoły demblińskiej, w której

¹³⁰ Kobiet Siła, Rzeczpospolita, 15 marca 2000.

¹³¹ Tamże.

rozpoczęła studia pani Katarzyna Lambert. Albo jakie korzystne przeobrażenia zajdą w toruńskiej szkole wosk raketowych i artylerii, gdzie studiuje szer. pchor. Agnieszka Śmiechowska¹³². Łatwo przewidzieć, iż obecność pań w wojsku, ucywilizuje zachowanie i język otoczenia męskiego¹³³. Wojsko różnić się będzie innymi zaletami swoich żołnierzy.

Przed rokiem wpadłem na kilka dni do Londynu, aby odwiedzić ukochaną córę Grażynę, zatrudnioną w brytyjskich liniach lotniczych. Stojąc w kolejce do kontroli celnej, nie tylko mój wzrok zatrzymał się na dwu paniach w zielonych oficerskich mundurach Brytyjek, które z gracją maszerowały ku wyjściu. Córka uzupełniła moje zainteresowanie komentarzem, iż codziennie przewija się tu międzynarodowa plejada żołnierek. A kiedy też odnotowałem dominującą ilość młodych kobiet – takie odniosłem wrażenie – pracujących w obsłudze lotniska, usłyszałem od swojej Grażyny jedno stwierdzenie, wypowiedziane z dostrzegalnym uśmiechem: Tato, naprawdę jesteśmy dobre.

11. Jakie szkolnictwo, tacy oficerowie

11.1. Dorobek przeszłości

W okresie międzywojennym, polskie szkolnictwo wojskowe oparło się głównie na wzorcach francuskich. Odległe czasy przedrozbiorowe, zbyt „zacołane”, w stosunku do potrzeb dwudziestego wieku, nie nadawały się do naśladowania. Była to rozsądna decyzja. Francja, kraj o dużym potencjale przemysłowym i militarnym, życzliwie ustosunkowana do Polski – powodowana względami strategicznymi – gwarantowała szybkie przygotowanie profesjonalne nowocześnie myślącej kadry.

Odtworzony system szkolny, stał się skutecznym instrumentem do wpajania kadrze jednolitej myśli taktyczno – operacyjnej, wolnej od rozbiorowych naleciałości. Wojsko musiało podjąć to ogromne wyzwanie. Nie bez znaczenia było także bezpośrednie zaangażowanie instruktorów i wykładowców francuskich w przygotowywaniu programów nauczania i ich udział w dydaktyce.

¹³² A. Szkoła, *Wojska Lądowe*, Nr 14 z 1-15 listopada 2000r. s.12.

¹³³ Goldman, Nancy L., *Female Soldiers – Combatants or Noncombatants? Historical and Contemporary Perspectives* (1982).

W Akademii Obrony Narodowej, żywym przypomnieniem tamtych czasów, jest jedna z auli imieniem generała Charles'a de Gaulle'a. Jako młody kapitan – wykładowca przekazywał Polakom swoją wiedzę.

W ostatnich latach przed wybuchem wojny, polskie szkolnictwo wojskowe zasługiwało na duże uznanie. Ukierunkowanych profesjonalistów przygotowywały szkoły działające na użytek rodzajów wojsk, natomiast kadre dowódczą o walorach taktyczno-operacyjnych promowała wyższa szkoła wojenna. Wspominałem już o tym w jednym z poprzednich rozdziałów, iż ci przedwojenni oficerowie, których napotykałem na drodze służby, byli ludźmi z wyobraźnią, kulturalni i świetnie przygotowani pod względem fachowym.

Ze szkół międzywojennego dwudziestolecia wyszli światli teoretycy, których prace w dziejach polskiej myśli wojskowej, mają zapewnione trwałe miejsce: płk Stanisław Rola-Arciszewski, płk pil. Sergiusz Abrzułowski, ppłk pil. Marian Romeyko, generał Władysław Sikorski, generał Stefan Mossor, generał Tadeusz Kutrzeba, płk Marian Porwit, generał Franciszek Skibiński, generał Jerzy Kirchmayer, generał Marian Kukiel.

Jakimś zbiegiem nadzwyczajnego przypadku, ostatni akapit pisałem w momencie, kiedy telewizja prezentowała sprawozdanie z podniosłej uroczystości, obchodów sześćdziesięciolecia katyńskiej „zagłady”. Przerwałem pracę i w uczuciowym napięciu wysłuchałem przemówienia Pana Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Szklistym wzrokiem patrzyłem na pomarszczone twarze starszych Pań, malutką reprezentację żon, które całe dziesięciolecie z nadzieją oczekiwały na powrót swoich mężów. Stalinizm, zadał wojsku straszliwą ranę, pozbawił go życiodajnego potencjału intelektualnego. Wartościową kadre oficerską i generalską, przygotowuje się dziesiątkami lat.

Czym bardziej obrastam w lata, tym dogłębniej odczuwam ogrom nieszczęścia, jakie dotknęło każdego z tych dwudziestu kilku tysięcy niewinnych patriotów: oficerów wojska polskiego, straży granicznej, policji państwowej, więziennictwa i kapelanów różnych wyznań. Szczególną „gałąź” tej siły militarnej, stanowili oficerowie rezerwy – elita intelektualna społeczeństwa: profesorowie, lekarze, inżynierowie. **Nie możemy zapominać, że przedwojenne państwo polskie było wielonarodowe, stąd w „katyńskich grobach”, obok Polaków leżą Żydzi,**

Białorusini, Rosjanie – pochodzący z armii carskiej, Tatarzy i na pewno Ukraińcy.

Pomimo całego tragizmu zawartego w tej rocznicy, bronię się przed nienawiścią do narodu rosyjskiego, bo w latach wojny widziałem jakie spustoszenie czynił stalinizm nie tylko wśród Polaków, ale i w środowiskach rdzennych Rosjan. A tych z 37 pułku artylerii, dowódców plutonów, baterii i dywizjonów, ubranych w polskie mundury, którzy obok mnie dzielnie walczyli i ginęli na froncie, albo tamtych z akademii artylerii, którzy byli moimi nauczycielami, nie mogę inaczej nazwać, jak tylko wspaniałymi ludźmi. Jestem przekonany, że w imię najwyższych racji stanu, powinniśmy znaleźć drogę do wybaczenia i pojednania z naszym wielkim sąsiadem. Inne stanowisko, byłoby groźną oznaką naszej zaściankowej, zacierzwionej płycizny, która niejednokrotnie wywiodła nas na manowce. **Mądre narody, na próg 21 wieku wkraczają z wyważoną kalkulacją swoich interesów i ze wzrokiem skierowanym w przyszłość.**

W pierwszych latach po II Wojnie Światowej, szkolnictwo wojskowe zostało zorganizowane według wzorców sojusznika radzieckiego i nasączone sporym stężeniem upolitycznienia. Pod względem profesjonalnym było bez zarzutu. Wśród artylerzystów, na pierwszym miejscu liczyła się „gotowość ogniowa”. Nie pomagały żadne uboczne względy. Jeżeli oficer nie miał dostatecznych umiejętności, aby z „chłodną głową” wejść na punkt obserwacyjny i w instrukcyjnym czasie wykonać ogień skuteczny, pozbawiony był szans na „karierę artyleryjską”. A jeszcze bardziej wymagania wzrosły wobec tych, którzy znaleźli się w wojskach raketowych.

Po roku 1956, kiedy wojsko zostało prawie oczyszczone z Rosjan, szkoły zaczęły coraz „odważniej” wprowadzać do programów własne pomysły, sięgające do tradycji narodowych. Najśmielsze decyzje zapadały w Wojskowej Akademii Technicznej. **Generał Kaliski – naukowiec, wizjoner o wielkiej osobowości i ambicjach narodowych, doprowadził do współdziałania akademii ze szkolnictwem cywilnym, a prace naukowo – badawcze podporządkował potrzebom armii i przemysłu, który je finansował.**

Akademia Sztabu Generalnego, postępowała ostrożnej. Miała bardziej ograniczone pole manewru, zwłaszcza w obszarze taktyki i sztuki operacyjnej. Tym niemniej, wielkim i zdecydowanym reformatorem tamtego czasu, okazał się

generał Józef Kuropieska. Za jego komendy radykalne zmiany zaszły – pogłębił je potem generał Bolesław Chocha - w sposobach prowadzenia ćwiczeń, w zastosowaniu nowoczesnej pedagogiki i w czerpaniu wzorców z polskiej historii sztuki wojennej¹³⁴.

Akademia odeszła całkowicie od programów akademii radzieckich i jako jedyna w całym obozie socjalistycznym, podążała własną oryginalną drogą. Wszystkie katedry specjalistyczne, miały pogłębiony program ze swoich dziedzin, natomiast uczestnicząc w wielkich ćwiczeniach akademickich – sztabowych i terenowych – bardzo pozytywnie oddziaływały na dowódców i sztaby ogólnowojskowe. Tak więc, na przykład, **z akademii wychodzili artylerzyści mocno osadzeni w taktyce i sztuce operacyjnej – pułkownicy: Hieronim Kieszkoowski, Apolinary Prokop, Jan Falkowski - rozumiejący wagę współdziałania i jednocześnie pozostający profesjonalistami w swoim rodzaju broni.** Wywarzone były proporcje pomiędzy praktyką i teorią. Nie było w tym żadnego uproszczenia, lecz rozumne poszukiwanie własnej ambitnej koncepcji szkolenia, na miarę wojska polskiego, a nie kolosalnej armii radzieckiej. Ta „polityka” sprawdzała się i zapewniała wojsku wyraźne korzyści, w postaci sprawnego korpusu oficerskiego. Dowodem na to, że kadry specjalistyczne [artyleryjskie] wnosiły z akademii szeroki horyzont i umiejętność operowania siłą „broni połączonych”, były ich dalsze kariery zawodowe, w wielu wypadkach zakotwiczone w sztabie generalnym¹³⁵.

Generał Kuropieska, rozumiejąc potrzebę ścisłego kontaktu akademii z wojskami, integrował doroczne ćwiczenia akademickie z podobnymi działaniami okręgowymi. Przykłady można by mnożyć. Jednym słowem, szkolnictwo wojskowe miało założony solidny fundament i w dobrej kondycji dotrwało do rozpadu Układu Warszawskiego.

W przejściowej dekadzie lat osiemdziesiątych, kolejne restrukturyzacje wojska, nieznacznie odbiły się na systemie szkolnym. Z programów usunięto wszystkie polityczne naleciałości i na szczęście, została zachowana kadra

¹³⁴ Obaj komendanci mieli szczęście, bo dysponowali wybitną kadrami pedagogów, którzy wlot rozumieli ich intencje. Oto ci pułkownicy – późniejsi profesorowie: Jakub Broch, Jerzy Zakrzewski, Emil Jadziak, Andrzej Madejski, Jan Kurniewicz, Felicjan Wiśniewski, Józef Stachowski, Józef Dac.

¹³⁵ Generałowie: Tadeusz Tuczapski, Leon Sulima, Władysław Mróz, Stanisław Żak, Stanisław Skalski, Zbigniew Jurewicz.

pedagogiczna, o ogromnym doświadczeniu i wiedzy. Jej kontakty z uczelniami zachodnimi – zwłaszcza niemieckimi i amerykańskimi – pozwoliły się utwierdzić we własnej wartości, a tu i ówdzie otrząsnąć się z kompleksów. Instynkt mądrości podpowiadał, że znajomość języka angielskiego jest niezbędną inwestycją w wymiarze personalnym i „globalnym”. A jak skutecznie ten bodziec motywacyjny działał, z satysfakcją to obserwowałem na terenie Akademii Obrony Narodowej. Któregoś jesiennego popołudnia 1999 roku, zaplanowałem sobie „konsultacyjny” kontakt z czterema szefami katedr. Niestety, improwizacja – bez uprzedniego uzgodnienia – nie powiodła się. Na drzwiach każdego gabinetu wisały podobne tabliczki: „do godziny 16.00 jestem na angielskim”. Jak nie pyszny, musiałem zmienić adresatów.

Ta zdecydowana „mobilizacja” dała świetne wyniki. Tuż po wstąpieniu do NATO, akademia bardzo sprawnie zdołała wprowadzić procedury obowiązujące w krwiobiegu aliantów. A ponad 150 delegacji zagranicznych, które rocznie wizytują polską uczelnię, z szacunkiem żegnają się „z Rembertowem”. Kilkakrotnie miałem okazję uczestniczyć w wielostronnych spotkaniach. Z uznaniem słuchałem, mocno podbudowanych naukową argumentacją wystąpień pułkowników profesorów: Adama Tomaszewskiego, Wojciecha Michalaka, Eugeniusza Zabłockiego, Zbigniewa Ścibiorka, Bogdana Szulca, Stanisława Śladkowskiego, które w niczym nie ustępowały zachodnim kolegom, a wręcz na ich tle wypadały błyskotliwie.

Wojskowa Akademia Techniczna, weszła w tę wyjątkową dekadę dla przyszłości wojska, bez żadnych zahamowań. Jej naukowe sukcesy – wystarczy przypomnieć o wynalazkach w technice laserowej - były dobrze znane w armiach NATO. Fakty świadczą, że ta zasłużona uczelnia, ma wielką szansę, aby partnersko współpracować z wojskową nauką zachodu i dynamicznie kreować obraz polskich oficerów wśród alianckich środowisk.

11.2. Dylematy przyszłości

Szkolnictwo wojskowe na progu XXI wieku staje przed podobnymi problemami jak uczelnie cywilne. W wielkim przyspieszeniu rozwoju technologicznego na świecie, na dobre rozbudzonym w latach siedemdziesiątych,

znalazło się w samym gąszczu rewolucji nowych technologii, z pośród których systemy informatyczne przybrały wymiar strategiczny.

Wojny w Zatoce Perskiej i Afganistanie odsłoniły wiele „tajemnic”, z dziedziny sztuki operacyjnej i uzbrojenia, które legły u podstaw druzgoczących zwycięstw nad potężną armią Iraku i siłami Talibów. Uświadomiła wszystkim ośrodkom myśli wojskowej, sztabom generalnym i dowództwom, dysponującymi wielkimi potencjałami militarnymi, że o doświadczeniach drugiej wojny światowej, czas już „zapominać”. Jednocześnie wskazała na trendy, po jakich drogach zmierza ku przyszłości „machina kosmiczna” Stanów Zjednoczonych. A ponieważ są mocarstwem numer jeden, to – analogicznie jak w wypadku giełdy nowojorskiej – wszystkie „podmocarstwa,” o numeracji dalszej (2,3,4,5....), starają się podążać tym samym szlakiem. A gdzie się uplasuje każdy z uczestników tego bezpardonowego maratonu, łatwo przewidzieć po wydolności gospodarczej państwa.

Polska, gdyby nawet dysponowała świadomością zaistniałej sytuacji i posiadała decydentów na miarę „współczesnych Napoleonów”, długo jeszcze nie będzie miała szans uplasowania się na przyzwoitym miejscu tego morderczego „biegu” wysoko rozwiniętych technologicznie krajów. A skoro szwankuje świadomość – cała dekada „mętnej” restrukturyzacji na to wskazuje – i nie wyłonił się do tej pory żaden narodowy „Napoleon”, a gospodarka z trudem łapie „drugi oddech”, to wydają mi się usprawiedliwione niezbyt obiecujące „krótkoterminowe prognozy”.

Ale jak pociesza staropolskie przysłowie: „Czasem szczęście samo w ręce lezie”. I to się wreszcie nam przydarzyło. A przecież - z naszej winy - omijało nas w ciągu ostatnich dwustu lat. I nagle, końcowa dekada minionego wieku, podarowała nam zaskakującą szansę. **Staliśmy się pełnoprawnym członkiem ekskluzywnego klubu państw uczestników Paktu Północnoatlantyckiego (NATO).** Podobnie jak wielu kolegów mojego pokolenia, pamiętających gwałtowne narastanie widma klęski 1939 roku, mam nadzieję, że NATO rzeczywiście uchroni nas przed takim ostatecznym „kataklizmem”. Pod jednym wszakże warunkiem, iż w sprawach bezpieczeństwa wreszcie nastąpi zmiana sposobu myślenia polityków. Tylko od nich zależy czy wojsko polskie okaże się godnym partnerem pozostałych armii alianckich i to w kategoriach jakościowych.

Prawda jest taka, że szczególnym elementem tego partnerstwa, jest szkolnictwo wojskowe. Na szczęście, w wojsku polskim – niezależnie od wieloletnich perturbacji politycznych – wyrósł i dojrzał silny potencjał dydaktyczno naukowy. Jeżeli tylko zostanie właściwie doceniony i uszanowany, to jego wiedza i motywacje, w szybkim czasie będą się rozprzestrzeniać na cały korpus oficerski. Z moich obserwacji poczynionych w Akademii Obrony Narodowej (AON) i w Wojskowej Akademii Technicznej (WAT) wnioskuję, że to się już dokonuje. Oba te silne filary polskiej nauki wojskowej już są stymulatorami rozwoju i zmierzają we właściwym kierunku .

AON rozwija myśl taktyczno-operacyjną w sferze praktyki i głębokiej teorii. Pierwszoplanową rangę nadaje systemom: dowodzenia, rozpoznania, walki radioelektronicznej, wsparcia ogniowego i logistyki. Większość kadry opanowała język angielski, co stworzyło dobre przesłanki do organizacji wspólnych ćwiczeń i naukowych konferencji z uczelniami sojuszniczymi. W tych samych relacjach następuje wymiana wykładowców. Ilekroć w tym jest cudownej symboliki „nowych czasów”, kiedy młodzi polscy oficerowie pedagogzy: mjr dr Leszek Ziółkowski albo ppłk dr Andrzej Bujak albo kpt. dypl. Przemysław Paździorek albo wreszcie mjr dr Janusz Kręcikij jadą służbowo do hamburskiej akademii Bundeswhery i piękną angielszczyzną prowadzą zajęcia z trudnej tematyki wsparcia ogniowego, taktyki broni połączonych lub użycia wojsk w operacjach wymuszania pokoju.

Podążając tropem starszych kolegów mistrzów profesorów promieniujących mądrością, zdobywają kolejne stopnie naukowe i co kilka lat udają się na praktyki do wojsk. Z takiego „tworzywa” wyrastają silne osobowości, wszechstronnie odczytane, zapoznane z bibliografią światową, nie oderwane od realizmu szarej codziennej problematyki jednostek terenowych. Oni są już przekonani, że w obecnych czasach koniecznością stało się nieustanne, aktywne pogłębianie wiedzy przez wszystkich oficerów, bez względu na wiek i doświadczenie.

W obliczu trudnego kontaktu z zachodnim audytorium, nie deprymują się pytaniami. Ich potencjał intelektualny jest silniej naładowany niż wykładowców – de facto instruktorów – każdej armii zachodniej. Nie wpadając w zadufanie – mam to rozeznanie od moich młodych przyjaciół - wielu zagranicznych gości z uznaniem i zazdrością wypowiada się o polskiej drodze rozwoju kadry akademickiej. Było już

wiele okazji, aby zaobserwować, że przygotowanie tych sprawnych zachodnich oficerów mieści się w bardziej zawężonych ramach. Obyśmy tylko potrafili swój dorobek uszanować i dalej go rozwijać. **Czas wreszcie się „zaszczepić” przeciwko nawrotom złośliwych kompleksów, które powodują, że „cudze chwalimy, a swego nie znamy”.** W tej samej konwencji myślowej, ukryta jest także moja intencja, aby oficerowie wszystkich promocji byli zapoznawani z zawartością militarnego dorobku II Rzeczypospolitej. Dokonania okresu międzywojennego – nie tylko w dziedzinie lotnictwa – stawiały Polskę w rzędzie krajów o wysokim stopniu rozwoju myśli naukowo-technicznej.

Przyszłość wymaga, aby Akademia Obrony Narodowej coraz śmielej otwierała się na szeroki świat zewnętrzny; z jednej strony na cywilną naukę polską, a z drugiej na kontakty z najlepszymi uczelniami aliantów. W akademii musi stałe fermentować duch współpracy, aby z różnorodnych źródeł sphywało do niej bogactwo twórczych myśli, wiedzy, spostrzeżeń i doświadczeń. Innymi słowy, kadra powinna w sobie hołubić świadomość, że jej wspólny potencjał mądrości trzeba ciągle odnawiać i wzbogacać, aby nie stracić zajmowanej pozycji. Inni, bogatsi od nas, też „nie zasypiają gruszek w popiele” i poszukują dróg do wzmocnienia swoich dokonań. W ten sposób, przyjaźnie rywalizując, uczynimy nasz wspólny „europejski” potencjał jeszcze bogatszym.

Aby pogłębić swoje rozeznanie o stanie akademii i jej zamiarach, odbyłem gabinetową rozmowę – początek roku 2000 - z generałem broni profesorem Tadeuszem Jemioło, rektorem uczelni. Choć był to już dla niego czas zbliżającego się pożegnania i przejścia na emeryturę, stale jeszcze rozpały go sprawy akademii. Z dumą i wyczuwalną nutą nostalgii – nie łatwo jest rozstawać się z miejscem zaangażowanej pracy i sukcesów - mówił o minionych ośmiu latach, podczas których stosunkowo bezboleśnie zdołał wprowadzić i przystosować uczelnię do nowych historycznych uwarunkowań ustrojowych. Zgadzałem się z nim, że było to możliwe tylko dzięki dojrzałości i patriotyzmowi kadry dydaktycznej.

A kiedy opisywał mi różne „barwy” bieżących spraw, to nie musiał szukać argumentów, aby mnie przekonać, iż pobyt w Rembertowie stałego przedstawiciela Akademii Dowodzenia z Hamburga, oficera o bogatym doświadczeniu natowskim,

jest ważnym instrumentem integracji ze szkolnictwem zachodnich aliantów. Przez trzy lata będzie etatowym wykładowcą polskiej akademii. Wkrótce z podobną misją przybywa oficer francuski.

Ale w tej przyjemnej rozmowie pojawił się też „cierpki odczyn”. Okazuje się, że Niemcy chcieliby polskiego wykładowcę umieścić na etacie hamburskiej uczelni – co jest w żywotnym interesie wojska polskiego – tylko że przeszkodą są problemy finansowe. Bundeswehra swojemu przedstawicielowi opłaca apartament w Warszawie, a nasi decydenci, ciągle jeszcze pozostają na pozycjach „najlepszych intencji”. Przymuszczalnie byliby usatysfakcjonowani, gdyby pojawił się kandydat „napelniony patriotyzmem”, z gotowością do usadowienia się w jednym pokoiku internatu akademii hamburskiej. Powinien godnie reprezentować akademię polską, mając pensję niemieckiego kaprała. Jego rodzina, także „napelniona patriotyzmem” powinna cierpliwie oczekiwać w kraju „na powrót taty”. Przed rozstaniem, obaj kiwaliśmy głowami wyrażając nadzieję, że ostatecznie, te z pozoru „drobne sprawy” finansowe, znajdą właściwe rozwiązanie.

A teraz ciąg dalszy moich rozważań. **Nowym kanonem nauczania, powinien być udział najświetniejszych polskich profesorów cywilnych – pedagogów, historyków, filozofów, znawców problematyki międzynarodowej i od spraw bezpieczeństwa – w zajęciach akademii. Kontakt z nimi, wzbudzać będzie u młodzieży entuzjazm i chęć do pracy. Ci „wielcy” zaszczepią potrzebę refleksji do nowych czasów, o właściwościach globalnych, podczas których trzeba wykazywać szczególną dbałość o intelektualny rozwój oficerów – przyszłych decydentów.**

Po jednym z kolejnych, roboczych kontaktów w akademii, utkwilo mi w pamięci zdanie kmdr dr Marka Ilnickiego¹³⁶. Zawierało w sobie, odpowiadającą mi refleksję filozoficzną. Ni mnie ni więcej wyraził opinię, iż niejednokrotnie staje przed koniecznością uczyć swoich oficerów - studentów odpowiadać na pytania, na które sam nie zna odpowiedzi. To jest to. W mojej praktyce dydaktycznej, też nieraz „uczyłem się” od swoich dociekliwych studentów. I nie wstydzę się tego.

¹³⁶ Pracownik naukowy Instytutu Dowódczo-Sztabowego Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni, współpracujący od lat z Akademią Obrony Narodowej.

Do tych myśli dołączę jeszcze jedną, zasłyszana od Pani Ewy Dobieckiej Jodłowskiej, na zebraniu Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych Artylerii – honorowy bombardier, za zasługi dla artylerii – skierowaną do „profesury” szkół oficerskich: „Muszą zawsze mieć czas dla swoich studentów, nie na połajanki i mentorstwo, lecz by pozostawać dla nich najwyższym autorytetem naukowym i etycznym”. Podobało mi się takie celne ujęcie, bo dotyczyło zasadniczych standardów moralnych.

Kiedy już sfinalizowałem pisanie książki, nowym rektorem Akademii Obrony Narodowej stał się gen. dyw. prof. dr hab. Bolesław Balcerowicz. Znam Go od dawna jako wspaniałego żołnierza. Wierzę, iż będąc osobą silnego charakteru i o bogatej nowoczesnej wiedzy, przyczyni się do sukcesów uczelni, na miarę wyzwań XXI wieku.

WAT – drugi mocny filar naszej nauki wojskowej – miał łatwiejsze warunki do wejścia w nową sytuację, wytworzoną przyjęciem Polski do NATO. Ta wielce zasłużona dla wojska uczelnia, w najbardziej niesprzyjających latach politycznych, śmiało rozwijała badania naukowe i potrafiła wzbudzać respekt u przeróżnych wścibskich delegacji radzieckich. Apogeum jej niezależności obserwowałem podczas „rządów” generała Sylwestra Kaliskiego. Potrafiła też „hołubić” współpracę z szerokim kręgiem politechnik krajowych i nie stroniła od kontaktów z uczelniami technicznymi innych krajów.

Jest bardzo ważne, iż dzisiejsza uczelnia jest w dobrych rękach. Po rozmowie z gen. bryg. prof. dr hab. inż. Andrzejem Ameliańczykiem rektorem Wojskowej Akademii Technicznej, „ujrzałem” korzystną perspektywę dla rozwoju WAT. Uczelnia, uskrzydłona piękną tradycją sukcesów naukowych i dydaktycznych, wytyczyła przed sobą wieloletni „strategiczny” plan działania. Na 9 kierunkach, w ponad 40 specjalnościach studiuje około 2500 osób – cywili i wojskowych.

Generał profesor Ameliańczyk z dumą akcentował, że przez pięćdziesiąt lat działalności, naukowcy z WAT zgromadzili wiele doświadczeń i wytworzyli tu swoisty styl pracy, odpowiadający zarówno wymogom najnowocześniejszych armii, jak również najbardziej „markowych” politechnik, o uznanej renomie w kraju i na świecie.

Sukcesy w takich dyscyplinach, jak: elektronika, technika laserowa, informatyka, mechanika, teoria eksploatacji, inżynieria materiałowa, fizyka i technika wybuchu, chemia, budownictwo, technika lotnicza i motoryzacyjna wniosły znaczny wkład do rozwoju nauki polskiej, a w wielu przypadkach i światowej.

Obecnie uczelnia współpracuje z 45 uczelniami krajowymi i z wieloma partnerami zagranicznymi. Pracownicy uczelni odbywają staże naukowe w ośrodkach zagranicznych, uczestniczą w realizacji wspólnych programów i eksperymentów, biorą udział w seminariach i konferencjach.

Generał profesor Amelińczyk mówi z optymizmem o przyszłości: „Konsekwentnie będziemy doskonalili metodykę kształcenia, przy pełnym uwzględnieniu najnowszych światowych osiągnięć dydaktyki, rozwoju nauki i techniki, a także wymogów związanych z przechodzeniem na standardy NATO”.

Kiedykolwiek odwiedzam WAT, zawsze staram się „otrzeć” o Instytut Optoelektroniki. Rozmowa z płk dr hab. inż. Karolem Jachem obdarowuje mnie śmiałością widzenia „jutra”. Z aprobatą mu przytakuję, kiedy powtarza, że tylko różne odmiany wiedzy mogą szybko wzmocnić najważniejsze filary wojska polskiego. Po stokroć ma rację. Tylko wiedza, jest ukrytą siłą, która otwiera bramy do nowoczesnego potencjału militarnego. Wprowadzenie środków multimedialnych do procesu kształcenia w naszych uczelniach wojskowych, to najpewniejsze przyspieszenie w kierunku integracji Sił Zbrojnych RP z NATO.

Obserwując WAT, odnoszę wrażenie, iż od innych uczelni różni się umiejętnością wpajania swoim studentom „sztuki uczenia się i odpoczynku”

Współczesna nauka wojenna wymaga ciągłego uaktualniania przedmiotu badań, a także precyzyjnego określenia związków między dynamicznie rozwijającymi się technologiami informatycznymi a humanistycznymi dyscyplinami naukowymi¹³⁷.

Obie polskie akademie – swoimi standardami jakości nauczania i duchem tolerancji – powinny przyciągać studentów krajów sojuszniczych i od sąsiadów, aby wzmacniać swój autorytet międzynarodowy. W edukacji trzeba poszukiwać nowych pomocy i narzędzi, organizacji nauczania, nie gubiąc z pola widzenia

¹³⁷ Płk dr J. Bednarek, O potrzebie badań nad nowoczesnością kształcenia wojskowego, *Myśl Wojskowa*, 6/1998, s.154.

najważniejszego, że kształcenie zawsze pozostanie relacją pomiędzy „profesorem i studentem” Osobiście jestem przekonany, że obie akademie dojrzały, aby występować z inicjatywą modelu edukacji międzynarodowej¹³⁸. Początkowo w układach sojuszniczych.

Szkołom oficerskim poświęcam mniej uwagi, bo ich głównym celem jest przygotowanie dobrych profesjonalistów ze wszystkich specjalności, których wojsko potrzebuje. Jednak każda z nich, winna przejawiać wewnętrzną mądrość – podobnie jak niezależne uczelnie cywilne – aby profil przyszłego oficera nie był zbyt zawężony i skupiony tylko na swoim rodzaju broni. Wstępnym „abecadłem” do wszystkich życiowych sytuacji, jest dobra znajomość angielskiego i swobodne wykorzystywanie technik komputerowych. Nowe czasy wymagają też mocnego „obłożenia” programu nauczania wiedzą ogólną, aby ułatwić młodemu oficerowi częste przekwalifikowanie i dostosowywanie się do postępujących zmian organizacyjnych i technologicznych wojska.

Reasumując ten rozdział w aspekcie całego szkolnictwa wojskowego, widziałbym konieczność śmiałego dostosowywania go do najlepszych standardów światowych. Poza czystym profilem militarnym, student powinien otrzymywać potężną dawkę, interesującej go ubocznej wiedzy, wywołującej potrzebę analitycznego myślenia, logicznego łączenia faktów, emocjonalnych doznań. Może to dotyczyć: stosunków międzynarodowych, kontaktów z mediami, studyjnych podróży historycznych, udziału w dyskusjach parlamentarnych. **Angażowanie osób o wielkim autorytecie, uznanych naukowców, uniwersyteckich profesorów, wybitnych dyplomatów, przedstawicieli rządu, zapewni studentom – przez pryzmat powagi ich traktowania - poczucie własnej wartości i szacunku do uczelni.**

Słynny amerykański profesor Nicholas Farnham jest zdania, że w przyszłej edukacji pojawią się nowe pomocnicze narzędzia. Zmieni się, być może organizacja nauczania, ale kształcenie pozostanie relacją pomiędzy ludźmi, między mistrzami a uczniami.

Doświadczenia wyniesione ze studiów, wzmocnione przez zawarte znajomości z ciekawym otoczeniem - nauczyciele, studenci polscy i innych

¹³⁸ Prof. N. Farnham, Edukacja – Sieć mózgów, Polityka, 11 listopad 2000.

narodowości – nabierają pogłębionego znaczenia osobistego, wychowują tolerancyjnego człowieka, otwierają intelektualną wyobraźnię i nowe horyzonty na świat. **Słowem, tego rodzaju oddziaływanie szkoły, jest najlepszą inwestycją w trudno przewidywalną przyszłość. Czas studiów zawsze zapada w pamięci, jako bagaż najcenniejszych życiowych doświadczeń.** Nic dziwnego, że zawarte na uczelni przyjaźnie, przekształcają się w wieloletnie trwałe więzi, często wzmacniane przez spotkania absolwentów w różnych ramach organizacyjnych, albo w zawężonych kontaktach prywatnych.

Uczelnia wojskowa, musi tak kształcić, aby zdobywana wiedza była łączona z jej praktycznym zastosowaniem. Temu służą ćwiczenia grupowe w klasach, dowódczo-sztabowe w warunkach terenowych, ćwiczenia z wojskami, staże w jednostkach, gdzie student uczy się planowania i prowadzenia operacji połączonych i zajęcia pozorujące działania w międzynarodowych misjach pokojowych.

„Wpisane” do programu kontakty zagraniczne, wymagają bezbłędnej znajomości języka współdziałania i techniki informatycznej. Wszystkie armie NATO zmierzają w kierunku coraz głębszego nasycenia elektroniką, techniką laserową, systemami komputerowymi, nowoczesnymi systemami komunikowania się i logistyki.

Obecna uczelnia, której mózgiem są aktywni profesorowie, opanowani krytycznym intelektualizmem, stanowi ośrodek emanujący swoim wpływem na całe wojsko. Ją nie ogranicza żadna, narzucona z zewnątrz, „linia demarkacyjna”. Uczelnia „ustawia się” w pozycji zaczepnej, a niekiedy „agresywnej”, do militarnej rzeczywistości. Hołduje filozofii poszukiwania nowych trendów, wyłuskiwania najciekawszych zjawisk, przenoszenia ich na grunt własnej uczelni i wojska¹³⁹. W niej stale drzemie duch odpowiedzialności za kształtowanie umysłów swoich wychowanków i bieg procesów taktyczno-operacyjnych w siłach zbrojnych. W takiej szkole nie może być pobłażania dla miernych dydaktyków, będących hamulcem postępu.

¹³⁹ Z satysfakcją odnotowałem opinie w stylu nowoczesnego myślenia, o szkolnictwie wojskowym, wyrażane w roku 1995 na łamach prasy, przez generała bryg. Józefa Flisa – komendanta – rektora WSO im. Stefana Czarnieckiego.

Uczelnia typu akademickiego – to samo dotyczy szkół oficerskich – winna zapewniać studentom łatwy dostęp do wielojęzycznych zasobów bibliotecznych, wpajać im „miłość” do książki, umiejętność wyłuskiwania najciekawszych i najważniejszych treści, oczyszczać ich z biernej senności i indyferentyzmu w obliczu oszołamiającego zalewu bibliografii. Z tego tytułu, kierownictwo bibliotek musi spoczywać w ręku kadry technicznej, zdolnej do pełnej informatyzacji prac bibliotecznych¹⁴⁰.

Ostatnio, z zainteresowaniem czytam sporo entuzjastycznych wypowiedzi polskich oficerów, którzy odbyli szkolenia w Stanach Zjednoczonych. Nie dziwię im się. Przeważenie są pod silnym wrażeniem kontrastu realiów polskich i amerykańskich¹⁴¹. Oszołomieni bogactwem technologicznym, rozmachem zamierzeń, wielkością ośrodków militarynych, uzbrojeniem poligonów, wydają nabrzmiałe emocjami opinie. **Wielu z nich – czego się obawiam – po wejściu na wyżyny decyzyjne, może próbować „naginać” realia naszego szkolnictwa, do wzorca amerykańskiego. Byłby to błąd obciążony przykrymi konsekwencjami. Naśladownictwo światowego mocarstwa, wobec którego nasz potencjał gospodarczy jest „maciupęńki”, byłoby śmieszoną niedorzecznością.** Zachowując rozwiązania wynikające z własnego rozsądku narodowego, oddamy najlepszą przysługę naszym zachodnim aliantom „z Amerykanami na czele”.

Po wszystkich perturbacjach na ostatnim „odcinku” naszej historii końca XX wieku, który nie był też łatwy dla wojska polskiego, potrzebuje ono śmiałego, o wymiarze strategicznym programu edukacyjnego, który by go znów dowartościował. Kadra, siła napędowa wojska, musi być świadoma swoich korzeni kulturowych, aby mogła bez kompleksów „poruszać się” wśród alianckich kolegów. Ojczysta szkoła militaryna, promując wśród żołnierzy nowy sposób pro europejskiego myślenia, równoległe powinna ich uczyć godnego reprezentowania

¹⁴⁰ W AON, przez wiele lat, z podziwem obserwowałem pracę dyrektora biblioteki pułkownika dr Tadeusza Pedrycza, „zapaleńca” i wybitnego znawcę bibliotekarstwa.

¹⁴¹ S. Czumur, Smak Nowoczesności, Polska Zbrojna nr 17 Kwiecień 2000.

Polski i jak w każdym miejscu służby promować i bronić jej interesów.

12. Cywile w wojsku

Wzrastająca ilość cywilnych pracowników w wojsku, a szczególnie powstanie cywilnych kierowniczych stanowisk w ministerstwie obrony narodowej, jest zjawiskiem stosunkowo nowym. Wzajemne relacje pomiędzy osobami cywilnymi i kadrami generalsko-oficerską, ciągle jeszcze oczekują na pozytywne przekształcenia.

Kadra cywilna średniego szczebla, nadal jest traktowana „po macoszemu”. Jej płace są żenująco niskie i spełnia pomocnicze funkcje wobec oficerów. Jej droga do rzeczywistego partnerstwa jest bardzo odległa

Natomiast cywilne osoby, z naznaczenia politycznego, mają ogromne uprawnienia decyzyjne. One nie powinny szczędzić wysiłków, aby dogłębnie poznawać skomplikowaną maszynę wojska, od strony taktyczno-operacyjnej jej warunków życia, służby, techniki uzbrojenia, logistyki.

Dobro służby wymaga, aby kadra oficerska i podoficerska – przerzucana często z garnizonu do garnizonu - miały zapewnione przyzwoite warunki finansowe i zakwaterowania. Zaplecze rodzinne w miejscu pracy korzystnie oddziałuje na morale i stan psychofizyczny żołnierza zawodowego.

Przebieg służby każdego oficera jest skomplikowany, stresogenny i wymuszający ciągłej perfekcji (doskonalenia). Rewolucja w wojskowości – technika i dowodzenie – dokonuje się w zawrotnym tempie. Widać to na przykładzie rozwoju mikroprocesorów, broni laserowej, biotechnologii, inteligentnych broni, logistyki.

Gremia kierownicze i dowódcze ponoszą osobistą odpowiedzialność, aby ten złożony „organizm” nie dostał „zadyszki albo zawału”. Oby funkcjonował i rozwijał się w zgodzie z oceną politycznych i strategicznych realiów obecnego czasu. Od ich kreatywności, zależeć będzie w jakim stopniu oficerska młodzież – męsko damska – wojska polskiego, opanuje świat komputerowych programów i sieci.

Cywilno wojskowe „pogranicze współpracy” powinno być wypełnione wzajemną wyrozumiałością i życzliwością, wynikającymi ze świadomości, że postępujący proces technizacji piętrzy trudności koordynacyjne i zarządzania systemami różnych rodzajów broni. Ta życzliwość niech się rodzi na gruncie

patriotycznej wyobraźni, iż Polsce potrzebne jest jak powietrze operatywne nowoczesne wojsko, bo nasze polskie sprawy są fragmentem złożonej sytuacji międzynarodowej. Tylko w harmonijnym współdziałaniu można sprostać wyzwaniom globalizacji.

13. Terroryzm – Signum Temporis

13.1. Sygnały nowego

Elita oficerów z akademickim wykształceniem ma świadomość, że na centralnej drodze rozwoju militarnej ludzkości, często ukazują się czytelne znaki, sygnalizujące powstawanie jakościowo nowych sytuacji. Aby się o tym przekonać, wystarczy sięgnąć do kilku niezbyt odległych przykładów. Oto one.

W pierwszej wojnie światowej użyto - w prymitywnym wydaniu - nieznaczne ilości samolotów bojowych i czołgów. Tylko kilku wybitnych „wizjonerów” zaczęło przepowiadać, że te nowe bronie otwierają pole dla innej formy działań – bardziej ruchliwych i zdecydowanych. Nie trzeba było długo oczekiwać, aby się to sprawdziło.

W drugiej wojnie światowej, niemieckie zagony pancerne, wspierane zmasowanym użyciem lotnictwa, demonstrowały światu nową strategię wojny błyskawicznej. Jej skutki odczuła na sobie w 1939 roku Polska, a potem cała Europa. W tej globalnej wojnie, z upływem czasu, pojawiały się coraz to bardziej wyrafinowane bronie, świadczące o wzroście znaczenia ognia. Ukoronowaniem tego procesu stało się wynalezienie broni jądrowej i użycie jej przez Amerykanów w wojnie z Japonią. Kiedy nad Hiroszimą i Nagasaki wybuchły zaledwie dwie pojedyncze bomby, okazało się, że spowodowały one prawdziwą „burzę ogniową”¹⁴², a sparaliżowane strachem cesarstwo japońskie natychmiast skapitulowało. Potem, przez kilka dziesięcioleci, trwał wyścig amerykańsko – radziecki w rozbudowie potencjału jądrowego.

W czas „zimnej wojny”, obie przeciwstawne potęgi – Ameryka i Związek Radziecki – nawzajem się straszyły możliwością wyeliminowania strony przeciwnej zmasowanym uderzeniem jądrowym. I nie były to czcze słowa. Na oczach

¹⁴² W Hiroszynie bomba o mocy 13 kt spowodowała śmierć 78 150 osób, rannych 37 424 i około 14 000 zaginionych. W Nagasaki bomba o mocy 21 kt zniszczyła połowę miasta. Źródło: Weapons of mass destruction and environment, London 1977, s. 2.

dwudziestego wieku, trwał szaleńczy wyścig w rozbudowie potencjału nuklearnego. Osobiście pamiętam ćwiczenia, na których w operacji armijnej planowało się użycie kilkudziesięciu uderzeń jądrowych. Nad skutkami nikt się nie zastanawiał. Ostrzegawcze opinie naukowców, sprowadzono do głosu „wołającego na puszczy”. Podobnie jak w rozumowaniu Stalina – w latach drugiej wojny światowej – strat w ludziach nikt nie brał pod uwagę. Najważniejszym było osiągnięcie celu, a zwycięzcę historia miała usprawiedliwić.

I przyszło nagłe ostrzeżenie. W roku 1986 nastąpiła zaskakująca tragedia - awaria elektrowni atomowej w Czernobylu. Poruszyła umysły najbardziej zatwardziały „militarystów”. Pokazała, że zmasowane użycie broni jądrowej może naruszyć fundamenty ludzkiego losu. Nagle wszyscy zrozumieli, iż tą bronią nie można igrać.

Końcówka XX wieku była świadkiem gwałtownego rozwoju elektroniki. Wojna w Zatoce Perskiej unaoczniała, że dominacja Amerykanów w tej dziedzinie – zrewolucjonizowany system dowodzenia, rozpoznania i logistyki – przyniosła im druzgocące zwycięstwo nad armią Iraku. Przyspieszony rozwój elektroniki i jej różnorodnych zastosowań, otworzył nowe pole militarnego wyścigu: w miniaturyzacji uzbrojenia, w systemach informacyjnych, robotyzacji, automatyzacji, samonaprowadzaniu na cele.

Teoretycy wojskowi nie nadążali za ujęciem technologicznej „burzy rozwojowej” w ramy taktyki, sztuki operacyjnej i strategii. Generalnie przychylali się do twierdzenia, iż skończyła się era masowania wojsk w operacjach zaczepnych i obronnych. Analizując działania amerykańskie w wojnie z Irakiem i występujące w nich trendy zrozumieli, że nowe czasy wymagają przygotowywania sił zbrojnych do manewrowych działań powietrzno – lądowych. Powszechnie została zaakceptowana teza, że o sile i skuteczności wojska decyduje nie ilość lecz jakość.

W nowym świetle ujrzano priorytety. Systemy dowodzenia, rozpoznania, rażenia i logistyki wysunęły się na plan pierwszy. Wszystkie nowoczesne armie, z uwagą zaczęły obserwować wysiłki Amerykanów w sferze poszukiwań nowych konstrukcji „mini automatów” jako bezzałogowych środków rozpoznania i samolotów bojowych. Jakże to przybrało formy, może służyć przykład samolociku „Microstar”, ważącego zaledwie 86 gram i zdolnego do monitorowania terenu w promieniu pięciu kilometrów.

I wreszcie, w ostatniej dekadzie ubiegłego wieku, nie tylko teoretycy wojskowi zaczęli dostrzegać „rozstawione znaki” nowych zagrożeń ze strony terroryzmu. Jego przejawy przybierały różne formy i pobudzały wyobraźnię do niepokoju. Dramaty rozgrywały się na wielu polach: konflikty religijne w Irlandii, stałe napięcie na Bliskim Wschodzie na tle aspiracji niepodległościowych Palestyńczyków, krwawe starcia o podłożu etnicznym na Bałkanach, terroryzm Basków, skrajny fundamentalizm religijny w Afganistanie, koszmarna przepaść pomiędzy dobrobytem w państwach zachodniej cywilizacji i krańcową nędzą w wielu krajach Południa¹⁴³.

Zaczęła narastać liczba zjawisk terrorystycznych oraz stosowanych przy tym wymyślnych metod i narzędzi. Mnożyły się wypadki: porywania samolotów pasażerskich, występowania „żywych min typu kamikadze”, brawurowych działań partyzanckich, zamachów na placówki dyplomatyczne, ataków na systemy komputerowe lub infekowanie wirusami ich sieci, krwawych konfliktów religijnych, przestępczości zorganizowanej, handlu narkotykami. Liczne źródła bibliograficzne i artykuły prasowe poświęcone zjawiskom terroryzmu, zaczęły alarmować o nadchodzącej erze jakościowo „nowej skali zagrożeń”. Od 1975 roku do sierpnia 2000 roku terroryści atakowali na całym świecie 126 razy używając jako broni substancji chemicznych lub biologicznych¹⁴⁴.

W tym samym czasie, osadzony w dostatkach zachodni świat, traktował te ostrzeżenia „z przymrużaniem oka”. Jeszcze bardziej „uśpione” jawiło się społeczeństwo amerykańskie. Stałe żyło w ubarwianym przez polityków przekonaniu, iż Stany Zjednoczone są bezpieczną oazą dobrobytu, szczelnie osłoniętą przez najnowocześniejsze w świecie siły zbrojne. Chociaż upłynęło już ponad dziesięć lat od wojny w Zatoce Perskiej, poczucie rzeczywistości nadal jeszcze deformował klimat euforii, po błyskotliwym i prawie bezbolesnym zwycięstwie. **I w takiej oto atmosferze relaksu i samozadowolenia, Ameryka dotrwała do 11 września 2001 roku.** To właśnie wówczas, telewizja wysłała w świat szokujące obrazy, jak porwane przez terrorystów trzy amerykańskie samoloty pasażerskie uderzały kolejno w wieżowce World Trade Center Manhattanu i w Pentagon. Oglądając je, w pierwszym odruchu – wiem, że było to odczucie wielu moich znajomych - nasunęły mi się skojarzenia z jakąś komputerową prezentacją makabrycznej „science fiction”.

¹⁴³ J. A. Cervera, *Zagrożenia Cywilizacji XX Wieku*, Wydawnictwo NORTOM – Wrocław 1999, s. 90.

¹⁴⁴ E. Bendyk, *Kielbasa z musztardą*, *Polityka* nr 43, 27 października 2001.

Po chwili jednak zrozumiałem, iż nastąpiło coś strasznego, wykraczającego poza moją wyobraźnię, co ugodziło w nas wszystkich. Prawda była taka, że dokonało tego – w imię świętej wojny Islamistów - kilkunastu fanatycznych samobójczych szaleńców, w wyniku czego zginęło około sześć tysięcy przypadkowych niewinnych ludzi. Obywatele prawie 80 państw ponieśli śmierć w wyniku tych ataków. Odpowiedzialni za ten czyn organizatorzy pozostali anonimowi i jak szczury pochowali się w swoich norach.

W dygresji do tego typu zachowań, nasuwa mi się podobieństwo ohydnej, tchórzliwej postawy przyjętej przez Stalina, po strasznym mordzie dokonanym na ponad dwudziestu tysiącach polskich oficerów i policjantów. Za ten bestialski czyn, obłudnie próbował winą obarczyć władze hitlerowskie. I najsmutniejsze jest to, że w tamtych dramatycznych latach dla naszego kraju, dopóki Stalin żył, mocarstwa zachodnie – chociaż nie miały żadnej wątpliwości gdzie jest prawda - nie odważyły się zepsuć humoru „wujkowi Stalinowi”.

13.2. *Terroryzm - wyzwanie XXI wieku*

W minionej historii mojego życia, wiek XX był stuleciem niezwykłym. Zawierał w sobie jednocześnie niezgłębione tragedie dwóch wojen światowych, jak i oszałamiające osiągnięcia w nauce, technice i technologii, które otworzyły wspaniałe, nieprzewidywalne wcześniej horyzonty cywilizacyjnego rozwoju.

Czyż można zapomnieć o wielu milionach zabitych żołnierzy i o niewyobrażalnej skali zwykłego ludobójstwa? A z drugiej strony duma rozpiera z lotów kosmicznych, sukcesów medycyny, rewolucji informatycznej, demokratyzacji i dekolonizacji.

Pod koniec tego wieku, coraz mocniej utrwalała się świadomość – poprzez środki masowego przekazu, Organizację Narodów Zjednoczonych i upowszechnioną edukację – że dotychczasowy rozwój świata generuje straszliwe napięcia. Ich najważniejszą przyczyną okazuje się przepaść pomiędzy bogactwem jednych krajów i nędzą panującą w innych. Tym argumentem operują ci, co ugrzęźli w świecie utopii, ekstremiści polityczni i religijni. Jest on nośny, bo pada na ziemię nasączoną ubóstwem w każdej sferze ludzkiej egzystencji. **A bieda i głód pozbawiają nadziei, wytwarzają w umysłach nienawiść i stają się niszczącą siłą.** Na tej właśnie glebie rodzi się ślepy fanatyzm i terroryzm, które dla demokratycznych społeczeństw

XXI wieku stanowią wielkie zagrożenie. I jak by to nie było przykre, nasuwa się gorzki wniosek, że równoległe z globalizacją cywilizacji ludzkiej, globalizuje się terroryzm. Do jego dyspozycji jest supernowoczesna technika, środki przekazu informacji i dostęp do wielkich zasobów finansowych.

Tragedia zaistniała w New Yorku 11 września 2001 roku, uświadomiła całemu światu, że na drodze rozwoju człowieka pojawiła nowa broń, być może nawet groźniejsza od bomby atomowej. Przyszłość udzieli na to odpowiedzi. Jak już zaznaczyłem, rodzi ją sfrustrowana baza społeczna, na której żerują przeróżnej maści fundamentaliści. Stąd, za słuszne uznaję opinie wyrażane przez wielu państwowych osobistości i naukowców, że w takich przypadkach ważniejsze od odwetu militarnego są rozważne wysiłki polityczne „o pozyskanie umysłów” mas społecznych w krajach generujących terroryzm.

Z własnego doświadczenia, doskonale pamiętam partyzancki odcinek mojego życiorysu. W Zgrupowaniu im. Jeszcze Polska Nie Zginęła, operującym na terenach Wołynia, Polesia, Podlasia i Lubelszczyzny, pełniłem funkcję dowódcy drużyny dywersyjnej [minerskiej]. Było ich kilka i wszystkie doskonale „wpisywały się” w mądrą strategię aktywności bojowej zgrupowania. Natomiast przez hitlerowskiego okupanta, były zakwalifikowane do działań „sabotażowych i terrorystycznych”, jako że zmierzały do dezorganizacji jego dofrontowych sieci logistycznych. I chociaż Niemcy z całą pedanterią mieli opracowany system ochrony linii kolejowych, na który składały się co kilometr rozmieszczone bunkry i kursujące pomiędzy nimi patrole, nie potrafili zapewnić bezpiecznego funkcjonowania pociągów. Nie było dnia bez wykolejonych transportów wojskowych, zniszczonych torów lub dokonywanych uderzeń na mosty przy arteriach dofrontowych.

Ten specyficzny sposób walki zbrojnej z okupantem, okazał się skuteczny i nie możliwy do wyeliminowania, bo każdy z nas motywowany był silnym żołnierskim patriotyzmem, gotowością do ostatecznego poświęcenia i świadomością, że mamy bezgraniczne poparcie społeczności wiejskiej. Grupy dywersyjne, zawsze znajdowały na wsi pożywienie, schronienie i odważnych miejscowych przewodników, perfekcyjnie znających swój teren.

Jako jeszcze jedną ciekawostkę z niedawnej ojczystej historii chciałbym przypomnieć, że w 1939 roku, tuż przed agresją hitlerowskich wojsk na Polskę – o czym szeroko informowała prasa – do Ministerstwa Spraw Wojskowych zgłaszało

się setki Polaków, wyrażających gotowość do wykorzystania ich jako żywych torped. I to nie był przejaw ślepego fanatyzmu. Każdy z ochotników pobudzany był najczystszy patriotyzmem i racjonalnym myśleniem. Wszyscy oni wiedzieli, że Polskę oczekuje wojenna konfrontacja z silniejszym przeciwnikiem, który śmiertelnie zagraża jej niepodległości.

Obserwując działalność obecnych terrorystów, przejawiających gotowość do ofiary życia, też jestem przekonany, że są oni silnie motywowani celami religijnymi i swoistym patriotyzmem. W wielu krajach o radykalnej wersji islamu, pracują nad tym dobrze zorganizowane ośrodki, dysponujące umiejętnością oddziaływania na nich propagandowo i psychologicznie. A jak człowieka można zniewolić, poddając go odpowiedniej „obróbce”, świadczą o tym przykłady kilkunastoletnich chłopców, którzy – w ostatnich tygodniach drugiej wojny światowej - uzbrojeni tylko w lekkie przeciwpancerne wyrzutnie, brali udział w obronie Berlina – de facto Hitlera - przed radzieckimi czołgami.

13.3. Jak walczyć z terroryzmem?

Barbarzyński akt terroryzmu, dokonany 11 września 2000 roku w New Yorku, zakończony tragiczną, bezsensowną śmiercią kilku tysięcy ludzi, wstrząsnął sumieniem bez mała całej populacji człowieczej. Niezliczone zastępy prawdziwych i urojonych ekspertów zaczęły formułować i codziennie od nowa głoszą swoje teorie o przyczynach i perspektywach tego przerażającego zjawiska. Występują z „dobrymi radami”, jak mu w przyszłości zapobiegać. I okazuje się, że nawet ci niekwestionowani profesjonaliści, mają trudności z przypisaniem odpowiedniego „lekarstwa” na tą chorobę, która jak nieuleczalny AIDS, wdarła się do ludzkiej cywilizacji.

Mnie najbardziej odpowiada stanowisko zajmowane przez osoby pokroju Jamesa D. Wolfensohna – prezes banku światowego – że imperatywem naszego działania w zmaganiach z terroryzmem, powinna być walka z ubóstwem i tworzenie świata, uwzględniającego potrzeby wszystkich. Trzeba poprawić sytuację ponad

miliarda ludzi, stanowiących około 20 procent populacji naszej planety, dysponującymi dziennym dochodem wynoszącym niespełna dolara¹⁴⁵.

Pisałem już o tym, więc pozostaje mi tylko dodać, że jest to ogólnoświatowy problem, z którym muszą się zmierzyć politycy. Potrzebna jest globalna jego ocena i odważna historyczna decyzja: co z nim? Jak go skutecznie rozwiązywać?

Odpowiada mi też opinia wyrażana przez jednego z pracowników naukowych Uniwersytetu Warszawskiego, iż plan przeciwdziałania terroryzmowi należy rozpisnąć na wiele dziesięcioleci, bo jest to kwestia budowania nowej świadomości ludzi pochodzących często z różnych cywilizacji, dopuszczającej równe prawa dla osób inaczej myślących¹⁴⁶.

To wytworzy najpewniejszą barierę przed terroryzmem. Nie można z tym zwlekać, bo ze względu na „hiperprędkość” z jaką zmienia się życie oraz nauka i technologia, już obecne potencjalne możliwości terrorystów są niewyobrażalne i nieprzewidywalne. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, gdzie i w jakiej skali, może pojawić się kolejne uderzenie.

Rozmyślając nad powyższym tekstem, jeszcze jestem pod „świeżym” wrażeniem swojej obecności na Polsko – Niemieckim Seminarium Oficerów Starszych, na temat „Polska – Niemcy, wspólnie ku nowym wyzwaniom”¹⁴⁷.

Oficerowie obydwu armii dokonywali szczerzej wymiany poglądów na tematy związane z szeroko pojętą rolą i możliwościami obu państw w wywieraniu wpływu na zmiany zachodzące w Europie, aby sprostać obecnym i przyszłym wyzwaniom. Panowała zgoda, że ryzyko klasycznego zagrożenia oddaliło się, ale pojawiły się nowe nie mniej groźne - terroryzm, zorganizowana przestępczość – bardzo trudne do rozpoznania i zwalczania.

Syntetyzując opinie wypowiedziane na tym ciekawym seminarium i moje osobiste przemyślenia – dotyczące terroryzmu - ująłbym je w następujących zdaniach:

¹⁴⁵ J. D. Wofensohn, Wyzwanie dla naszego pokolenia, Rzeczpospolita, 24 października 2000.

¹⁴⁶ Dr K. Karolczak, Nie można zabić wszystkich, Polska Zbrojna nr 41, Październik 2001.

¹⁴⁷ Seminarium zorganizowane po raz 12, w dniach 22-26.10.2001, w Akademii Obrony Narodowej, we współpracy z Akademią Europejską w Waren-Muritz. Przewodniczyli: płk dr hab. Jacek Pawłowski i Lennard Souchon były pracownik akademii w Hamburgu.

1. Terroryzm – po 11 września 2001 roku – odłonił nowy charakter zagrożeń w skali globalnej. W sytuacjach skrajnych, może on stanowić niebezpieczeństwo dla suwerenności poszczególnych państw.
2. Po likwidacji Układu Warszawskiego, groźba wojny globalnej została zażegnana, jednak nadal pozostaje duże prawdopodobieństwo zaistnienia wojen lokalnych, w których mogą uczestniczyć wielkie mocarstwa lub koalicje;
3. Postępująca globalizacja, jako proces nieodwracalny, wciąga wszystkie państwa do coraz większej współzależności w każdej dziedzinie życia cywilnego i militarnego;
4. Globalizujący się terroryzm, będąc przejawem ślepej nienawiści przekształconej w wyrafinowane sposoby i metody walki, staje się nagłym powszechnym wyzwaniem. Rozsiewa on na wszystkie strony świata: strach, groźbę i niebezpieczeństwo¹⁴⁸.
5. Zmagania mocarstwa amerykańskiego z Talibami w Afganistanie pokazały państwom demokratycznym, że wytworzona na świecie – zagrożeniem terroryzmu – nowa sytuacja, wymaga innej jakości współpracy międzysojuszniczej i międzynarodowej – bardziej solidarnej, dynamicznej i przewidującej. Byłoby niebezpieczną iluzją zakładać, iż któryś z krajów europejskich znajduje się poza zainteresowaniem ogólnoswiatowego terroryzmu.
6. W trosce o własne interesy narodowe, państwa Europy Środkowej powinny starać się być jak najszybciej aktywnie zaangażowane w budownictwo europejskich sił obronnych i o włączenie ich do nowej konstrukcji bezpieczeństwa europejskiego. Spowoduje to również wzmocnienie całej Europy, potrzebne jej po to, aby mogła utrzymywać swoją pozycję światową, coraz bardziej zagrożoną przez kraje Azji i Pacyfiku.
7. W walce z terroryzmem, w pierwszej kolejności powinny być wyczerpane środki polityczne, dyplomatyczne i ekonomiczne oraz państwowych organów typu policyjnego i sądownictwa, a dopiero potem może nastąpić ewentualne użycie sił militarnych.

¹⁴⁸ B. Misztal, Społeczeństwo wysokiego ryzyka, Rzeczpospolita, 3-4 listopada 2001.

8. Aktualnie, jest już dużo uzasadnionych argumentów, wynikających z amerykańskiej interwencji zbrojnej w Afganistanie, aby dokonać znacznych zmian w strukturze sił zbrojnych. W obliczu wielości misji pokojowych i zagrożenia terroryzmu oraz potrzeby różnorodnego reagowania obronnego, wymagane jest ich znaczne przemodelowanie, nie tylko „kosmetyczne”. Wynikiem takiego działania powinno być wykreowanie nowego typu jednostek lekkich i mobilnych, maksymalnie elastycznych, o lepszych standardach bezpieczeństwa, gotowości bojowej i zdolności do walki na terenie kraju albo w ramach zobowiązań sojuszniczych. Musi je charakteryzować wyjątkowa sprawność systemów dowodzenia, rozpoznania, precyzyjnego rażenia, logistyki i interoperacyjności z NATO.

9. W atmosferze powstałego obecnie zagrożenia terrorystycznego, wszystkie jednostki wojskowe - lekkie w pierwszej kolejności – muszą mieć przygotowane „scenariusze” szybkiego reagowania na wypadek zaistnienia sytuacji nadzwyczajnych. O wyborze opcji działania decyduje dowódca.

Gdybym obecnie miał szczęście być dowódcą brygady raketowej – senne marzenie – lub każdej innej samodzielnej jednostki, zasiadłbym w gronie sztabu i wybranych oficerów do „burzy mózgów” i w takiej ograniczonej przestrzeni intelektualnej, tak długo byśmy medytowali, aż powstał by z tego zestaw scenariuszy – wariantów reagowania na wypadek zaistnienia jednego z rozmaitych przewidywalnych terrorystycznych działań na terenie kraju lub w obrębie jednostki:

- Użycie materiałów wybuchowych do przeróżnych form „ataku”, które już występowały i nadal są odnotowywane w wielu miejscach na świecie;
- Wykorzystanie niebezpiecznych substancji biologicznych, toksyn i śmiertelnych wirusów;
- Atak bronią biologiczną na dużą aglomerację miejską lub w jeszcze większej skali;
- Terroryzm cyberprzestrzeni – współczesna *infawar* - prowadzący do penetracji systemów informatycznych lub do ich nieodwracalnych awarii. Może zakłócić działalność instytucji państwowych, systemów energetycznych, służby zdrowia,

instytutów badawczych, zakładów przemysłowych i przeróżnych struktur militarnych¹⁴⁹.

Oczywiście scenariusze w wymiarze jednostki wojskowej mogą uwzględniać zaledwie „mikrowycinek” reakcji kryzysowych na szczeblu państwa i samorządów lokalnych. Powinny one odpowiadać intencjom regulaminowych przełożonych i być przez nich akceptowane.

Trzeba przewycięzać błogi stan otaczających nas iluzji i każdego dnia odnawiać w pamięci świadomość, że terroryzm działa wbrew wszelkim prawom i konwencjom międzynarodowym. Nie ma poszanowania dla żadnych norm cywilizacyjnych i moralnych. Wszystko podporządkowuje swoim wyimaginowanym celom, wynikającym z własnej, utopijnej interpretacji założeń religijnych lub zamiarów niepodległościowych.

Podobnych wątków i odniesień, jak te do których sięgnąłem w swoich rozważaniach, jest dużo, ale – ze względu na wysoką hierarchię usytuowania osoby - powołałam się jeszcze na konferencję antyterrorystyczną, zorganizowaną przez pana prezydenta Aleksandra KWAŚNIEWSKIEGO z udziałem 16 prezydentów (4 kraje miały niższy szczebel reprezentacji)¹⁵⁰. Był to akcent polski, mocno odnotowany nie tylko w skali europejskiej, jako że dotyczył ważnej inicjatywy regionalnej, oddziaływującej synergetycznie na ogólnoświatową walkę z terrorem. W wyniku tego spotkania powstały dwa dokumenty: deklaracja i plan działania. W rzeczywistości, oba wyrażają koncepcję zgodnego przeciwdziałania zjawiskom terroryzmu, który nas wszystkich coraz częściej prowokuje i wystawia na próbę. Z Warszawy został nadany zupełnie wyraźny sygnał ostrzegawczy. Powołałam się tylko na dwa akapity z tych dokumentów, zaakceptowanych przez szefów państw Europy Środkowej, Wschodniej i Południowo-Wschodniej, jako przykład myślenia już kategoriami globalnymi.

1. Zwalczanie terroryzmu różnymi metodami i z użyciem różnych środków, zarówno w naszych regionach, jak i poza nimi;
2. Gotowość przyjęcia i propagowania form i metod walki z terroryzmem w dziedzinie ustawodawstwa, instytucji, gospodarki, wymiany informacji, wywiadu

¹⁴⁹ E. Bendyk, Infowojna, Polityka nr 42, 20 października 2001.

¹⁵⁰ Konferencja zorganizowana w Warszawie, 7 listopada 2001.

oraz przepływu osób i towarów (między innymi wypracowanie jednolitych metod kontroli paszportowej, wspólne gromadzenie i wymiana informacji, tak aby wypracować jednolitą definicję „terroryzmu międzynarodowego”, dzielenie się doświadczeniami i wiedzą o krajach i grupach zaangażowanych w terroryzm, przyjęcie procedur umożliwiających zwalczanie prania brudnych pieniędzy i przemytu narkotyków).

Po tym co zdołałem na temat terroryzmu napisać, pozostaje mi tylko wyrazić życzenie, aby polscy oficerowie nadawali tej problematyce odpowiednią rangę i traktowali ją jako długofalowe zadanie priorytetowe, zawsze ujmowane w dorocznych szkoleniach (ćwiczeniach) własnych lub międzysojuszniczych.

Nie sformułowałem wprawdzie *expressis verbis* syntetycznej odpowiedzi na pytanie, jak walczyć z terroryzmem, ale jak sądzę można się jej doszukać rozrzuconą w wielu miejscach powyższych rozważań. Natomiast, na przykładzie tego co się wydarzyło 11 września 2001r. W New Yorku i wojny w Afganistanie, z całą pewnością trzeba zdobyć się na odwagę stwierdzenia, że z problemem terroryzmu nie są w stanie poradzić sobie samodzielnie ani państwo polskie, ani jego siły zbrojne. Stąd, dla zabicia dręczącego niepokoju, czyńmy wszystko, aby wzmocnić nasze więzi z NATO i Unią Europejską.

I na zakończenie, nawołuję oficerów do trwania w optymizmie, bo chociaż zderzenie z terroryzmem będzie zjawiskiem długofalowym i wielopłaszczyznowym, to jednak przewodnictwo mocarstwa amerykańskiego, które już obecnie podjęło to wyzwanie z ogromnym rozsądkiem i odwagą, daje gwarancję, że główne ośrodki terroryzmu zostaną zniszczone. Z drugiej strony, zło jest fenomenem, który się odradza i wymaga stałej czujności.

Nieszczęście, jakie dotknęło Nowy York – wbrew zamiarom i oczekiwaniom złoczyńców – otworzyło drogę do wzmocnienia przebudowy stosunków międzynarodowych¹⁵¹. Widać to na przykładzie Rady Bezpieczeństwa, która jednogłośnie przyjęła historyczną rezolucję zobowiązującą wszystkich 189 członków ONZ do położenia kresu przemieszczaniu się terrorystów, przepływowi ich pieniędzy,

¹⁵¹ C. L. Powell, Wspólny Wróg Wspólna Szansa, Rzeczpospolita, 17 –18 listopada 2001.

planowaniu terrorystycznych zamiarów i innych rodzajów wsparcia dla terrorystów, a także do współpracy na rzecz wymierzenia terrorystom sprawiedliwości¹⁵².

¹⁵² Tamże

Bibliografia

1. Dale Carnegie and Associates, *The Leader in You*, 1993.
2. R.G.A. Dolby, *Uncertain KNOWLEDGE*, Cambridge University Press 1996.
3. F. Kusiak, *Życie codzienne oficerów Drugiej Rzeczypospolitej*.
4. T. Hołówko, *Oficer polski*, Warszawa, E. Wende i S-ka 1921.
5. L. Szostek, *23 Pułk Artylerii Lekkiej*, Wyd. „Ajaks”, Pruszków 1997.
6. P. Zarzycki, *29 Pułk Artylerii Lekkiej*, Wyd. „Ajaks”, Pruszków 1999.
7. J. W. Dyskant, *Flotylla Rieczna Marynarki Wojennej, 1919-1939*, Wyd. Bellona, Warszawa 1994.
8. W. Mirecki, *Malowane dzieci*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1986.
9. S. Kopański, *Moja służba w Wojsku Polskim 1917-1939*.
10. W.E. Dodd, *Dziennik ambasadora (1933-1938)*, Instytut Wyd. PAX.
11. R. Szeremietiew, *Czy mogliśmy przetrwać*, Bellona, Warszawa 1996.
12. *Wrzesień 1939. Z relacji Szefa Sztabu Naczelnego Wodza*, Warszawa, Wyd. MON 1989.
13. *Encyklopedia Powszechna PWN*, Warszawa 1976, *Wojna Obronna Polski*.
14. J. Tucholski, *Mord w Katyniu*, PAX, Warszawa 1991.
15. M.K. Dragan, *Żurawiejki kawaleryjskie*, Wyd. MON Warszawa 1990.
16. K. Wyszynski, *Rozwój organizacyjny, szkolenie i zasady użycia artylerii polskiej w latach 1918-1939*.
17. W. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski*, Bydgoszcz 1990.
18. *Encyklopedia II wojny światowej*, Warszawa 1975.
19. Cz. Staciwa, *Etapy rozwojowe ludowego Wojska Polskiego w 35-leciu*, Warszawa 1978.
20. Płk dr K. Kaczmarek, *Z problematyki dowodzenia 2 armią WP*, *Wojskowy Przegląd Historyczny*, Lipiec-Wrzesień 1973.
21. Płk dypl. mgr I. Błagowieszczkański, *Rozważania o artylerii 2 armii WP*, *Wojskowy Przegląd Historyczny*, Październik-Grudzień 1972.

22. Mała Kronika Ludowego Wojska Polskiego 1943-1973, Wyd MON.
23. 175 Let Wojennoj Akademii im. Dzierżinskogo (1820-1995), Moskwa 1995.
24. W. Kowalski, U Polskich stoim granic. Wydawnictwo Hańcza, Suwałki 1999.
25. Z. Trejnis, Siły Zbrojne w państwie demokratycznym i autorytarnym. Wyd. A. Marszałek, Warszawa 1997.
26. Rozmowa z Marianem Podkowińskim, Polska Zbrojna nr 17, Kwiecień 1999.
27. L. Ciborowski, Walka informacyjna, Wyd. Europejskie Centrum Edukacyjne, Toruń 1999;
28. M. Jędrzejko, Kariera po schodkach, Polska Zbrojna nr 22, Maj 1999.
29. J. Orzechowski, Dowodzenie i sztaby, MON, Warszawa 1975.
30. S. Lem, U progu kwantotechnologii, Rzeczpospolita 30 marca 2000.
31. G. Celente, Trendy 2000, Warszawa, Philip Wilson 1999.
32. J. Giedrojc, Dziwny naród, Rzeczpospolita 28 luty – 1 marca 1998.
33. Alvin i Heidi Toffler, Wojna i Antywojna, Wyd. MUZA S.A., Warszawa 1997.
34. Alvin Toffler, Trzecia fala, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1997.
35. Historia de Cuba, Primera Parte, Instituto Cubano del libro, 1971, La Habana, A. N. Jimenez, Kuba, Printed in Mexico, 1984.
36. Napoleon, Maksymy, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1983.
37. N. B. Enkelmann, Die Macht der Motivation, Wyd. MVG-Monachium 1995.
38. Wł. Kaleta, Symulowana wojna, Polska Zbrojna nr 50, Grudzień 1999.
39. Abrahamsson B. 1972. Military professionalization and political power. Beverly Hills, Calif. Sage.
40. Keegan J., The mask of command, New York, Viking 1987.
41. Centrum Informatyki Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, Biuletyn jubileuszowy, Październik 1999.
42. M. Bryx, Początki Przemysłu Radiotechnicznego (Pionierami polscy oficerowie), Rzeczpospolita, 19 maja 1997.

43. K. Wyszyński, Rozwój organizacyjny, szkolenie i zasady użycia artylerii polskiej w latach 1921-1939. Rozprawa doktorska na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, 1977.
44. Dr hab. Wł. Kusch, O ENIGMIE – raz jeszcze, WPT i Log., 1/1993.
45. G. N. Schwarzkopf, Nie Trzeba Bohatera, Wyd. Ryton, Warszawa 1993.
46. H. Piekarski, Walka radioelektroniczna, Warszawa 1980.
47. M. Mejssner, Brygady hackerskie, Polska Zbrojna nr 28, lipiec 1999.
48. Z. Lentowicz, Rozmowa z gen. broni Henrykiem Szumskim, Rzeczpospolita, 13 stycznia 2000.
49. Automatyzacja Wojsk Lądowych – Problemy i Zagrożenia, Myśl Wojskowa, 5/1999, Warszawa.
50. E. Bendyk, Rozmowa z Georgem Metakidesem, Życie, 10-11 grudnia 1994.
51. Z. Zwierzchowski, Piechota cyfrowego wojska, Rzeczpospolita, 29 kwietnia – 1 maja 1995.
52. Jay R. Sculley, Coomputers, Military Use, Encyklopedia Of The AMERICAN MILITARY, Volume II.
53. Harris, Ofensywa Bombowa, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 2000.
54. J. Szczepański, Wyobraźnia – okno na świat, Polityka, nr 100/1044, 1977.
55. FM 100-1, Part One – The ARMY, August 1986.
56. P. Sienkiewicz, Decyzje i komputery, Militaria, nr 2 XII 95 – I.
57. International Military and Defense Encyklopedia, Volume 2, Brassey's (US), Inc.
58. S. T. Possony, Peace Enforcement, Yale Law Journal, 1964.
59. Ch. Bartlett, Konflikt globalny, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1997.
60. Welzer, Just and Unjust Wars, New York, Basic Books, 1977.
61. D. Senghas, Armament Dynamics and disarmament, Berlin November 1973.
62. Cz. Dęga, W pokojowej misji, Wyd. MON, Warszawa 1977.
63. D. Ellsberg, Papers on the War, The Secret History on the Vietnam War, New York, July 1971.

64. H. W. Baldwin, *Strategy for Tomorrow*, New York 1970.
65. Gen. bryg. mgr Franciszek Gagor i płk mgr Krzysztof Paszkowski, *Międzynarodowe operacje pokojowe oraz ich miejsce we współczesnej doktrynie obronnej RP*. Zespołowa rozprawa doktorska, AON, Warszawa 1998.
66. Press Release, United Nations Information Centre, 50 lat Misji Pokojowych ONZ.
67. Gogolewska, *Kariera*, *Polska Zbrojna* nr 6, Luty 2000.
68. Ppłk R. Przeciszewski, *Cienie na splendorze*, *Polska Zbrojna* nr 3, Styczeń 2000.
69. *Regulamin Exerccerunku Kawaleryi*, Wydany w Warszawie w drukarni Nadworney JK. Mci y pp. Kom. Eduk. Narod. Roku 1786.
70. M. Ostrowski, *Polonia na Wydaniu*, *Polityka* nr 32 (2257), 5 sierpnia 2000.
71. *Od polityki do poligonu*, *Polska Zbrojna* nr 10, Marzec 2000.
72. *Szkoda*, *Wojska Lądowe*, Nr 14 z 1-15 listopada 2000.
73. Goldman, Nancy L., *Female Soldiers – Combatants or Noncombatants? Historical and Contemporary Perspectives* (1982).
74. Płk dr J. Bednarek, *O potrzebie badań nad nowoczesnością kształcenia wojskowego*, *Myśl Wojskowa*, 6/1998.
75. Prof. N. Farnham, *Edukacja – Sieć mózgow*, *Polityka*, 11 listopad 2000.
76. S. Czumur, *Smak Nowoczesności*, *Polska Zbrojna* nr 17, Kwiecień 2000.
77. J. A. Cervera, *Zagrożenia Cywilizacji XX wieku*, Wydawnictwo NORTOM, Wrocław 1999.
78. J. D. Wofensohn, *Wyzwanie dla naszego pokolenia*, *Rzeczpospolita*, 24 października 2000.
79. Dr K. Karolczak, *Nie można zabić wszystkich*, *Polska Zbrojna* nr 41, październik 2001.
80. E. Bendyk, *Infowojna*, *Polityka* nr 42, 20 października 2001.
81. Konferencja polsko-niemiecka zorganizowana w AON, Warszawa 7 XI 2001.
82. J. Kuropieska, *Wspomnienia oficera sztabu, 1934-1939*, Wyd. MON 1972.
83. R. Łoś, *Artyleria Polska 1914-1939*, Wyd. Bellona, Warszawa 1991.

84. B. Fugate, L. Dworiecki, Blitzkrieg nad Dnieprem, Wyd. Bellona, Warszawa 2001.

85. Z. Ziglar, Ponad szczytem, Wyd. Studio Emka, Warszawa 1995.

86. Ch. Barlett, Konflikt globalny, Wyd. Ossolineum, Wrocław 1997.

